

Ulubiony pisarz STEPHENA KINGA

P E T E R
ABRAHAM'S



福祿壽

**Czerwona
wiadomość**

C&T



PERFEKCYJNA POWIEŚĆ SENSACYJNA

Beth Hunter chce wyjść za Teddy'ego Wu – genialnego matematyka, sierotę cudem uratowanego od śmierci i przywiezionego do Stanów z Chin przez misjonarzy.

Ale w przeddzień uroczystości przychodzi do ich domu Chinka podająca się za matkę Teddy'ego. A nazajutrz pan młody nie zjawia się na ślubie, znika bez wieści.

I potrzeba już tylko wizyty Lathropa z CIA – który oznajmia, że Teddy był ich kryptologiem – aby Beth naprawdę zaczęła wierzyć, że Teddy zdradził kraj i uciekł do Chin.

To jednak zbyt proste rozwiązanie dla zdesperowanej kobiety. I Beth zacznie szukać innego. Nie wiedząc, jak śmiertelnie niebezpieczne jest grzebanie w przeszłości Teddy'ego...

Po lekturze „ŚMIERCI W DESZCZU” i „CZASU POWROTU” można zgadywać: czy Peter Abrahams zaskoczy nas jeszcze równie ekscytującą historią? Stephen King twierdzi, że tak! I powtarza z uporem, że twórca „FANA” i „ZBRODNI DOSKONAŁEJ” to jego absolutny faworyt.

C&T



Peter Abrahams
Czerwona
wiadomość

Przekład:
TOMASZ SKUPNIEWICZ

CAT
TORUŃ

Tytuł oryginału: RED MESSAGE

Copyright © 1986 by Peter Abrahams

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2002

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Skupniewicz

Dpracowanie graficzne:

MAŁGORZATA WOJNOWSKA

Redaktor wydania:

PAWEŁ MARSZAŁEK

Korekta:

MAGDALENA MARSZAŁEK

Skład i łamanie:

KUP „BORGIS”

Toruń, tel./fax (56) 654-82-04

ISBN 83-89064-07-3

Wydawnictwo „C&T”

ul. Św. Józefa 79,

87-100 Toruń,

tel./fax (56) 652-90-17

Toruń 2002. Wydanie I.

Ark. wyd. 17; ark. druk. 18.

Druk i oprawa:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne sp. z o.o.,

ul. Mickiewicza 15, 87-200 Wąbrzeźno.

Dla Jeffa

Podając nazwy chińskie, stosowałem oficjalny system pinyin, z wyjątkiem nazw własnych, które mogą być lepiej znane czytelnikowi w transliteracji Wade'a-Gilesa.

Serdeczne podziękowania dla Kelly Haggart z Pekinu, Lynne Lindley z Falmouth oraz dla X.T.-Xu z Wuxi.

Dla naprawienia zła konieczne jest
przekroczenie pewnych granic i nie da
się tego zła naprawić, jeśli owe granice
nie zostaną przekroczone.

Mao Zedong (Mao Tse-tung)

A świt jak grzmot wybucha
I z Chin nad Zatoką mknie

Rudyard Kipling

PROLOG

Dziecko zawsze budziło się wcześniej. I to właśnie ocaliło mu życie tego ranka, kiedy przyszli ludzie Zielonego Węża.

Niania poczuła, jak niemowlę kręci się obok niej. Usiadła. Chłopczyk leżał na plecach. W szarym świetle przedświt nie widziała jego rysów zbyt dobrze: tylko duże, ciemne, obserwujące ją oczy. Był pięknym malcem; znajomym mówiła, że żadne dziecko nie ma takich oczu jak on.

— Dzień dobry, myszko — odezwała się do niego.

Chłopczyk bił powietrze małymi piąstkami. Wzięła go na ręce i wyszła z żółtego domu, kierując się w stronę jeziora.

Smugi mgły wisiały nad wodą i owijały się wokół drzew wiśniowych jak pomięte koce. Niania przeszła żwirową ścieżką wokół sadu, przekroczyła garbaty mostek nad małym strumieniem i weszła do czerwonego pawilonu. Stał na niewielkim skrawku łądy wrzynającym się w jezioro i to tu właśnie ona rankiem lubiła karmić dziecko. Gdy otwierała drzwi do pawilonu, poczuła, jak ziemia drży pod jej stopami, i za chwilę usłyszała grzmot na północy. Walki nie ustawały.

W pawilonie niania usiadła na ławce i przystawiła dziecko do piersi. Maluch gorączkowo szukał ustami sutka, znalazł go i zaczął ssać. Przez chwilę czuła ból, który jednak szybko minął. Piastunka spojrzała na wodę. Mgła ześlizgiwała się z brzegu, wycofując się na środek jeziora. Kobieta zamknęła oczy. I myślała o matce.

Ktoś przebiegł niedaleko i wyrwał ją z zadumy. Dziecko także wzdrygnęło się, gubiąc pierś. Zapłakało cichutko. — Ciii — szepnęła, podając mu ją znowu. Usłyszała więcej kroków na zewnątrz. Schylona podeszła do ażurowej balustrady, uklękła i wyjrzała nad jej krawędzią.

Widziała, jak jacyś mężczyźni biegną w stronę domu Pana; ilu — nie wiedziała. Nigdy nie nauczyła się liczyć dalej niż do dziesięciu. A ich było więcej. I wszyscy mieli broń.

Zatrzymali się przed domem. Jeden próbował otworzyć drzwi. Piastunka wiedziała, że to ich dowódca, bo jako jedyny miał buty. Drzwi były zamknięte. Przywódca odwrócił się i skinął ręką. Dwóch mężczyzn rzuciło się na

drzwi. Poddały się z trzaskiem i zawisły na zawiasach. Mężczyźni weszli do środka.

Piastunka nasłuchiwała uważnie. Słyszała dalekie odgłosy wojny, plusk ryb w jeziorze, ale z domu Pana dochodziła tylko cisza. Niania wyszeptała modlitwę do przodków. Później dobiegł ją z domu krzyk kobiety. Jeszcze nigdy nie słyszała takiego wrzasku. Przez jej ciało przeszedł lodowaty dreszcz. Dziecko się poruszyło; ukołysała je w ramionach.

Mężczyźni opuścili dom. Dwóch z nich niosło Pana Góry. Jeden trzymał go za kostki, a drugi za nadgarstki. Gardło Pana było rozcięte tak głęboko, że gdy szli, jego głowa odbijała się między łopatkami.

Człowiek w butach ciągnął żonę Pana. Była naga i próbowała przykryć swą kobiecość drobnymi dłońmi. Przywódca szarpnięciem postawił ją na nogi i coś do niej rzekł. Nie odpowiedziała. Przemówił jeszcze raz, głośniejszym głosem. Piastunka wiedziała, że było to pytanie, ale nie słyszała treści. I tym razem żona Pana wołała milczeć. Mężczyzna wpatrywał się w nią. Następnie ruchem tak szybkim, że niania nie wiedziała, co się dzieje, dopóki nie usłyszała trzasku, wykręcił jej rękę do tyłu i złamał. Żona Pana zważyła się na ziemię. Jęknęła — tak jak jęczy pies, któremu śni się coś złego. Piastunka wydała podobny dźwięk. Kiedy mężczyzna zapytał znowu, żona Pana odpowiedziała.

Przywódca zwrócił się do swoich ludzi. Tworząc półkole, skierowali się w stronę jeziora. Piastunka wiedziała już, jakie pytanie zadał mężczyzna żonie Pana. Wycofała się szybko spod ściany i rozejrzała dokoła. Było tylko jedno miejsce, gdzie mogła się ukryć: mały schowek pod pawilonem. Podniosła klapę w podłodze i zobaczyła, że piwnica zastawiona jest narzędziami ogrodniczymi i workami ziarna. Zeszła po krótkiej drabinie i zamknęła właz.

Ciemność. Schylając się, by nie uderzyć w niski sufit, niania skierowała się w najdalszy kąt pomieszczenia. Pajęczyny lepiły się do jej twarzy; stopa poślizgnęła się na czymś miękkim i mokrym. Dziecko przestało ssać. Pogłaskała je po karku.

Poczuła ścianę przed sobą; była wilgotna i kruszyła się pod dotykiem. Na kuckach przeciągnęła kilka worków ziarna i ułożyła je przed sobą jeden na drugim. Następnie usiadła na zimnym glinianym klepisku, oparta plecami o ścianę. Kołysała maleństwo w ramionach.

Cisza. *Zaśnij, myszko. Zaśnij.* Ale dziecko nie chciało spać. Było rozbudzone. Przekręciło głowę i próbowało wydostać się z jej objęć. Gdy przytuliła je znowu do piersi, usłyszała ponowny odległy krzyk żony Pana. A niemowlę w jej ramionach uspokoiło się nagle. Przyłożyła je do drugiej piersi i zaczęło ssać. I znów poczuła ból, który szybko minął.

Po chwili wydawało się jej, że słyszy odległy plusk w jeziorze. Później następny. Zaczęła się trząść. Małeństwo chrząknęło nerwowo. *Nie bój się*, przykazywała sobie. *Ze strachu mleko kwaśniej i dziecko zaczyna płakać*. Wiedziała, że sama nie zniosłaby stania nago przed tamtymi mężczyznami, wykręcania i łamanie ręki, i innych rzeczy, które robili żonie Pana.

Na podłodze nad nią zadudniły kroki: ciężki stukot, jaki wydają buty. Dziecko chrząknęło znowu. *Nie skiśnij, nie skiśnij*. Błagała swoje piersi, żeby jej nie zdradziły.

Kłapa uchyliła się, wpuszczając do schowka smugę światła. Dziecko przestało ssać. Zaskrzypiała drabina. Piastunka skuliła się między wilgotną ścianą a workami ziarna. Kroki przybliżyły się. Ciężki buciór kopnął jeden z worów. Chłopczyk zadrzał, przekreślił się i znowu próbował wydostać się z jej objęć. Kochała go, ale nie wytrzymałaby, gdyby robiono jej różne takie rzeczy. Po omacku odszukała twarz malca i dłonią przykryła mu nos i usta. Wielka łapa wynurzyła się znad worków z ziarnem. Długie paluchy dotknęły niemal główki dziecka. Chłopczyk wykręcał się ze wszystkich sił, rozpaczliwie walcząc o oddech. Próbowała stłamsić w nim to życie. Dłoń przecięła powietrze. Niania zobaczyła gruby nadgarstek z owiniętym dokoła zielonym węzłem, jego zęby kilka centymetrów od swoich oczu. Potem ręka dotknęła ściany i wycofała się. Drabina zaskrzypiała. Kłapa opadła. Powróciła ciemność.

Kiedy już nie słyszała kroków, zdjęła dłoń z twarzy chłopca. Przez chwilę myślała, że go zadusiła, lecz wtedy wydał ostry, urywany krzyk, taki jak przy narodzinach. W ciasnej przestrzeni pomiędzy ścianą i workami kołysała go najlepiej, jak umiała. Wkrótce się uspokoił. Ona sama płakała jeszcze długi czas.

Została tam, gdzie była. Raz usłyszała krzyk jakiegoś mężczyzny. Później nastąpiła cisza. Chłopczyk spał. Obudził się. Nakarmiła go. Znowu zasnął. Następnym razem, gdy się zbudził, wstała, wspięła się po drabinie i otworzyła kłapę. Było bardzo cicho. Wyszła na zewnątrz. Mężczyźni odeszli. Nie było nawet śladu Pana Góry ani jego żony. Nie słyszała też odgłosów walki na północy.

Dużo później doszedł ją śpiew. Stawał się coraz głośniejszy. Drogą maszerowali żołnierze. Nie byli to wojacy w mundurach koloru khaki, jakich widywała wiele razy. O tych tutaj tylko słyszała; mieli czerwone gwiazdy na czapkach i maszerowali śpiewając. Niektórzy uśmiechali się do niej i do dziecka.

Nie wiedziała, o co chodziło w tej wojnie. Wiedziała tylko, że właśnie się skończyła.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Piątek, jedenasty kwietnia, był dla Beth Hunter podwójnie wyjątkowy. Po pierwsze był to dzień jej ślubu. Po drugie pan młody jeszcze się nie zjawił. Oznaczało to między innymi, że Beth nie odkryła jego planów dotyczących podróży poślubnej. Później, kiedy ważne stało się zapamiętanie szczegółów ich ostatnich tygodni spędzonych razem, potrafiła wyodrębnić chwilę, kiedy zrozumiała, że Teddy ma na myśli coś wyjątkowego. Miało to miejsce pewnego chłodnego i słonecznego poranka w lutym, dwa miesiące przed ślubem.

Dzień wcześniej Beth siedziała do późna, sprawdzając wypracowania studentów pierwszego roku na temat inkwizycji i oczekując powrotu Teddy'ego z jakiejś konferencji w Waszyngtonie. Ocenianie prac kradło czas potrzebny jej na pisanie doktoratu, ale na początku nawet ją to bawiło („Inkwizycja: Za i Przeciw”). Później stało się irytujące („Ponieważ nie uważam, aby inkwizycja mogła wnieść cokolwiek pożytecznego do naszych czasów, postanowiłem zamiast tego napisać o tym, co jedzono i pito w epoce Średniowiecza.”). W końcu przerodziło się w męczarnię („Osiem przyczyn inkwizycji...”). Beth obudziła się z przemykającym przez zakamarki jej umysłu tytułem „Inkwizycja w poezji i prozie”. Nie pamiętała, czy przeczytała go, czy wyśniła.

— A może: „Inkwizycja w komedii sytuacyjnej”? — powiedziała. — Coś jak Bill Cosby, tylko w fikuśnym przebraniu.

Otworzyła oczy. Odkryła, że nikt jej nie słucha. Teddy już wstał. Zostawił po sobie jeszcze ciepłe zagłębienie. Podnosząc się z łóżka, zauważyła na kwiecistej poszwie zanotowane flamastrem równanie: $x-X(s, t)f(s, t) = u[X(s, t)t]$. Ostatnia część kończyła się na prześcieradle. Zapiski takie jak ten pojawiały się w całym mieszkaniu — na tytułowych stronach książek,

na etykietach na winie, na ścianie przy wannie. Teddy robił je, gdy przyszedł mu do głowy, czymkolwiek, co było pod ręką.

No już, na podłogę. Pięćdziesiąt przysiadów. I dwadzieścia pompek; przy ostatnich trzech trzęsły jej się ręce. Beth miała ciało pływaczki o długich, cienkich mięśniach, które są dużo silniejsze, niżby się mogło wydawać. Wciąż pływała trzy razy w tygodniu, ale nie była już tak szczupła jak kiedyś. Toczyła wojnę z wagą, która po swojej stronie miała makaron z sosem. Dorzuciła jeszcze pięć pompek, po czym wzięła poduszkę i poszła szukać Teddy'ego.

Nie było go w salonie, gdzie spodziewała się go znaleźć, leżącego na starej sztruksowej sofie z filiżanką kawy i *Chronicle*. Srebrzyste światło poranka wypełniało cichy pokój, padając na olejne portrety Beth i Teddy'ego, wiszące nad kominkiem. Artysta (polecony przez znajomego), który je namalował, stawał się coraz bardziej znany, ale Beth uważała portret Teddy'ego prawie za porażkę. W rysach czoła i delikatnych kości wokół oczu uchwycił coś z jego inteligencji, ale przytłaczające, konfucjańskie dostojęstwo, które zawisło na twarzy na tym obrazie, nigdy nie gościło na obliczu Teddy'ego w rzeczywistości.

Malarzowi lepiej poszło z Beth, pomimo kilku niedokładności. Jej włosy były zbyt jasne — faktycznie miały najciemniejszy odcień możliwy u blondynki; jej tęcza oczu nie była aż tak niebieskie — prawie każdy o tym kolorze oczu miał je bardziej błękitne niż Beth. Jednak artysta nie zrobił z niej Doris Day*. Miała silne rysy i taki wyraz twarzy, jakby chciała powiedzieć coś niestosownego — coś zbyt ostrego dla osób z dobrego towarzystwa. Miała to po ojcu.

*Doris Day — amerykańska piosenkarka i aktorka popularna zwłaszcza w latach 50-tych. Jej wizerunek stanowił dla Amerykanów uosobienie czystości, zdrowia i wartości rodzinnych. (Wszystkie przypisy od tłumacza).

Beth wyszła na balkon. Północny wiatr pchał po wodzie dwie żaglówki. Powietrze było niezwykle czyste. Mogła dojrzeć mewy wznoszące się nad zielonymi wzgórzami Berkeley po drugiej stronie Zatoki. Teddy siedział w rozlatującym się wiklinowym fotelu, ubrany tylko w bokserki i szlafrok frotte.

— Zglupiałeś? — zawołała. — Jest zimno jak diabli.

Teddy zerknął na nią. — Jest zimno, ponieważ jesteś naga. — Przyjrzał się lepiej. — Nieubrana — poprawił się.

— Uważaj na dobór słów. — Uniosła poduszkę. — Zresztą czy to ważne?

— Tylko wtedy, gdy nie chcesz, żeby cię zawiało z samego rana — odpowiedział Teddy.

Rzuciła w niego. Skulił się, osłaniając list.

— Co to?

— List, nic istotnego.

— Od kogo?

Teddy odpowiedział zagadkową miną: oczy na wpół zamknięte, usta wykrzywione w szelmowskim uśmiechu.

— Nie wysilaj się na tę swoją kamienną twarz — powiedziała Beth. — Chyba że próbujesz naśladować Kaczora Donalda z dymem w oczach.

Z Teddy'ego Wu był raczej kiepski Chińczyk: nie potrafił przybrać nieodgadnionego wyrazu twarzy, nie znał języka i zawsze prosił o widelec w chińskiej restauracji. „Zgrywam się na białasa” — mawiał za każdym razem, gdy Beth przypominała mu o tych niedociągnięciach.

Oparła się z tyłu o wiklinowy fotel, objęła Teddy'ego i próbowała przeczytać list nad jego ramieniem. — Cwaniara — rzucił, składając kartkę i wsuwając ją do kieszeni szlafroka.

— Tylko powiedz mi, co w nim jest.

— To by wszystko zepsuło.

— A więc to niespodzianka? — Sięgnęła ręką do kieszeni szlafroka.

— Nie tego rodzaju.

— Coś jak prezent ślubny?

— Nie.

— A może podróż? Podróż poślubna gdzieś daleko?

W oczach Teddy'ego pojawił się błysk, ale patrzył tylko na przelatującą mewę.

— Podpuszczaj mnie, jak tylko chcesz — powiedział — i tak ci nic nie zdradzę.

— Nie musisz. Spojrzę ci głęboko w oczy i zacznę wymieniać miejsca. Będę wiedziała, kiedy trafię.

No i spojrzała mu głęboko w oczy.

— Paryż. Rio. Fidżi. Ateny. Nairobi.

— Daly City*.

* Daly City — przedmieście San Francisco.

Ja cię chyba uduszę. — Beth przycisnęła mu gardło ramieniem.

Wyślizgnął się z jej chwytu i wszedł do domu, aby odegrać poranny rytuał parzenia kawy.

Ona zaś podniosła się i spojrzała na wodę. Jedna z łodzi, płynąca z wiatrem, postawiła jasnoczerwony spinaker. Łopotał przez chwilę, później się

wydał. Beth poszła szukać Teddy'ego. Był w kuchni przy blacie i wsypywał swój ulubiony gatunek kawy do niemieckiego młynka.

— Wróćmy do łóżka — rzuciła.

— Nie mogę. — W oczach Teddy'ego znowu pojawił się błysk; tym razem nie mógł zawiesić wzroku na żadnej mewie. — Muszę iść do biura.

To było niezwykle. Teddy miał biuro w Berkeley, gdzie był profesorem matematyki, ale rzadko tam chodził. Minęły już prawie dwa lata, odkąd cokolwiek opublikował. Beth widziała jego ostatnią pracę: „Aspekty założenia Mordella”. Składała się ze zdania wprowadzającego, dwóch stron równań i zdania podsumowującego — wszystko dla niej niezrozumiałe. Za to właśnie Teddy zdobył Nagrodę Crafoorda, matematycznego Nobla. *Time* opublikował artykuł, nazywając go jednym z trzech lub czterech najważniejszych matematyków wieku. Następnie wyjaśnili znaczenie jego prac w taki sposób, że Teddy, czytając to, za każdym razem przewracał oczami. Po zapoznaniu się z artykułem Beth w dalszym ciągu nie wiedziała, co Teddy właściwie robi, jednak miała już pewne pojęcie dlaczego.

„Dowód będzie trwał wiecznie” — powiedział kiedyś.

Ale później, gdy próbował wytłumaczyć jej dowód, nad którym właśnie pracował, nie wiedziała, o co chodzi. Teddy był do tego przyzwyczajony.

„To żaden wstyd” — mówił. „Ja za to nie wiem, kto wygrał bitwę pod Angieri.”

„Ja też nie.”

To go zaskoczyło. Rozmowa ta odbywała się niedługo po tym, jak się poznali (na galerii basenu w Berkeley), i Teddy nie znał jeszcze podejścia Beth do historii. Miało ono mało wspólnego z wojnami, traktatami i polityką władzy — czy z jednostkami na hektar, wartością nadwyżki i ekonomią. Beth chciała wiedzieć, jak by to było otworzyć, na przykład, drzwi domu chłopca w Vaucluse w 1423 roku i zajrzeć do środka. Co gotowałyby się na ogniu? Czym by pachniało? Co ludzie mieliby na sobie? Jak nazwali swoje dzieci? O czym rozmawiali z księdzem? Co sądzili o swoim możnowładcy? Praca Beth nie polegała na śnieniu o tym wszystkim na jawie, chociaż czasami to robiła, i to od dzieciństwa. Jej zadaniem jako historyka było ustalanie faktów. Liczyła się wytrwałość. I *kreatywność*. To było słowo, którego używali profesorowie, gdy mieli na myśli śnienie na jawie.

Teraz w kuchni Beth wyciągnęła rękę.

— No chodź, Teddy. Do łóżka. Tylko na pięć minut.

— Pięć minut! — Wyglądał na zszokowanego. — Nawet do głowy by mi nie przyszło obrażać cię w taki sposób.

Beth spróbowała raz jeszcze.

— Okej — zgodził się w końcu.

Weszli do sypialni, zostawiając za sobą zapach świeżo zmielonych ziaren kawy i szlafrok Teddy'ego. A Beth wielbiła znowu gładkość jego skóry, siłę szczupłego i silnego ciała oraz iskrę, która błyszczała w jego oczach, gdy coraz bardziej się podniecał. Były ciężkie oddechy, jego i jej, oraz wrażenia zmysłowe, których nie da się zbyt długo wytrzymać.

Później leżeli razem na łóżku. Przez okno wpadała chłodna bryza.

— To nieprzyzwoite — stwierdził Teddy — żeby ciężarnej kobiecie chciało się jeszcze takiego seksu.

— Nic nie mogę na to poradzić. Przez ciążę rosna moje... — nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

— Wiem — rzucił znużonym głosem.

Beth roześmiała się i usiadła. — Dlaczego tak się dzieje? Jakiemu biologicznemu celowi mogłoby to służyć?

— Biologicznemu? — zapytał Teddy, który był ignorantem we wszystkich dziedzinach wiedzy oprócz matematyki.

Beth przyduсила go poduszką. Próbowali ją sobie wyrwać. To była niezła walka. Po chwili zapomnieli o poduszce, a Teddy zapomniał o pójściu do biura.

W tym czasie, na początku lutego, Beth była w ciąży od sześciu tygodni. I to właśnie ciąża była powodem, dla którego się pobierali, chociaż Beth nie sądziła, aby to było konieczne. Ona i Teddy mieszkali razem od ponad roku i odpowiadało jej takie życie. Nie uważała, by trzeba było w to mieszać kościół i państwo. Ale Teddy nalegał.

— Dlaczego? — zapytała Beth.

Poklepał ją po brzuchu.

— Dla tego małenstwa. Żeby pokazać mu, że jesteśmy poważni. — Zastanowił się chwilę. — Albo jej.

Więcej już o tym nie wspominała: Teddy był sierotą. Zapytała natomiast:

— Czy zastanawiałaś się już nad imionami?

— Adolf, jeśli będzie chłopiec.

— A Meduza, jeśli dziewczynka?

— Doskonale.

Zarezerwowali termin ślubu w ratuszu na piątek, jedenastego kwietnia między 10:15 a 10:25. Rozesłali zaproszenia na małe przyjęcie: kilkoro przyjaciół, matka Beth z Arizony, która zadzwoniła, że przyjedzie, i przybrani rodzice Teddy'ego, Mildred i Arthur Merton, którzy odpisali z Oregonu, że niestety nie będą mogli się zjawić, i załączyli bony oszczędnościowe o wartości pięćdziesięciu dolarów. Mertonowie zaadoptowali Teddy'ego po tym, jak został przywieziony przez misjonarzy z Chin; w wieku dwunastu lat

wyjechał do Andover na stypendium i od tamtej pory nie widywał ich często.

„Nie do końca zaspokoił moje potrzeby” — wyznał kiedyś Beth późno w nocy. O swoim życiu w Chinach Teddy nie wiedział prawie nic. Nie znał nawet daty swojego urodzenia. Jedyne informacje, jakie miał, pochodziły z wizy wjazdowej do USA. Było na niej jego nazwisko, Wu Tun-li, data wpisu — 12.07.1949 — oraz małej odcisk kciuka. W kratce WIEK było napisane „ok. 1 rok” ; w okienkach IMIĘ OJCA oraz IMIĘ MATKI wpisano: NIE ŻYJĄ. Teddy obchodził więc urodziny dwunastego lipca.

Dziesiątego kwietnia, w wieczór poprzedzający ich ślub, Teddy przyniósł do domu szampana.

— Dla ciebie tylko jeden kieliszek — zastrzegł, odkorkowując butelkę.

Ostatnio stał się ekspertem od opieki prenatalnej.

— Za przyszłość — wznosił toast.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Beth poczuła, jak szampan przelewa się jej po języku, zimny i wytrawny. Ogarnęło ją nagle szczęście: rano weźmie ślub. Wino, przenikając głęboko, poruszyło w niej dawno zapomniane dziewczęce marzenie.

Wyszli na balkon. Księżyc w pełni wznosił się na wschodzie, rozsiewając po wodach Zatoki swoje małe odbicia. Liniowiec z błyszczącymi światłami kierował się w stronę Golden Gate. Beth wydawało się, że słyszy orkiestrę grającą na pokładzie.

— Wiesz, że cię kocham — powiedział Teddy. Objęli się.

I wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Beth pocałowała Teddy'ego w policzek. Następnie z kieliszkiem w dłoni przeszła przez salonik i otworzyła.

Na wycieraczce stała Chinka. Miała wysokie kości policzkowe i głęboko osadzone, ciemne oczy oraz lśniące, gęsto przetykane siwizną włosy. Włosy i oczy były jedynymi oznakami jej wieku. Powieki miała pomalowane zielonym cieniem, w uszach nefrytowe kolczyki, a na sobie czarną, jedwabną suknię z długimi rękawami, które przykrywały jej nadgarstki. Była niezwykle piękną kobietą.

— Tak? — odezwała się Beth.

Chinka zignorowała ją. Patrzyła w głąb mieszkania, gdzie dostrzegła wyglądającego z salonu Teddy'ego. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Tun-li — rzekła miękko.

— Obawiam się, że pomyliła pani mieszkanie — odparła Beth.

Kobieta wydawała się nie słyszeć. Wpatrywała się w Teddy'ego.

— Tun-li — powtórzyła. — Ja... — głos się jej załamał. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz. — Ja jestem twoją matką.

Nikt nawet nie drgnął. Teddy powoli ruszył do przodu. Beth odwróciła się do niego. — Nie rozumiem — powiedziała. Był blady; mała żyłka pulsowała mu na skroni. — Teddy...

Minął ją i stanął naprzeciw kobiety. Ta patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Dwie łzy zadrzały na brzegach jej powiek i spłynęły po gładkich policzkach. Teddy stał bez ruchu krok przed nią.

Po długiej chwili zrobił ten krok i objął ją. Ona również oplótła go ramionami. Ciało Teddy'ego się trzęsło. Beth delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. Kobieta spojrzała na nią. Jej oczy były teraz wilgotne. Błyszczały w świetle lampy. Beth zabrała dłoń.

2

Czas mijał. Być może wszyscy troje zdali sobie z tego sprawę w tej samej chwili. Kobieta wydostała się z objęć Teddy'ego, który odwrócił się do Beth. Jego policzki były mokre, ale na twarzy gościł uśmiech — uśmiech, nad którym nie panował.

— Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę — wyznał. — Po prostu nie mogę w to uwierzyć. — Głos mu się załamał. Głęboko wciągnął powietrze, jak gdyby wdech mógł wcisnąć mu emocje do gardła.

— Ale to prawda — powiedziała kobieta. — Czekałam trzydzieści pięć lat na tę chwilę.

Odpięła górny guzik sukienki i wyjęła srebrny amulet w kształcie rurki, zwisający na łańcuszku z jej szyi. Odkręciła denko i wyjęła złożony drobno kawałek papieru, wręczając go Teddy'emu.

Rozłożył go: wyblakły dokument, spisany po chińsku, z czerwoną pieczęcią na dole.

— Co to jest? — zapytał. Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

— Nie umiesz czytać po chińsku? — zapytała.

— Nie.

Na jej twarzy pojawił się grymas, jakby miała za chwilę wybuchnąć płaczem. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Szybko się opanowała.

— Powinłam się tego spodziewać — odrzekła. Wzięła papier z jego rąk. — To jest twoja metryka urodzenia. Noszę ją od czasu, gdy cię zgubiłam.

— Jak mnie zgubiłaś? I jak mnie znalazłaś? Mam tyle pytań. Ja... nie, nie! Poczekaj.

Objął ramieniem Beth.

— To jest Beth. Ona... my bierzemy jutro ślub.

— Tyle dobrego naraz — padła odpowiedź.

Jej angielski był prawie doskonały, miała niewielkie problemy tylko z głoską *r*. Dostojnie, niczym kapłanka podczas ceremonii, wzięła rękę Beth. Ale nie potrząsnęła nią; zamiast tego skłoniła się i ucałowała czubki jej palców. Usta miała aksamitnie gładkie i chłodne. Pachniała miętą.

Kiedy wyprostowała się i spojrzała na Beth, rzekła:

— Jakaż ona piękna.

Po czym westchnęła i mrugnęła raz czy dwa, jak gdyby wychodziła z transu. Ceremonia się skończyła.

Beth spojrzała jej głęboko w oczy i powiedziała: — To jest takie cudowne.

— To prawda — przytaknęła Chinka i odwróciła się do Teddy'ego, który niezręcznie wyciągnął teraz dłoń. Kobieta przycisnęła ją do policzka. Ten gest również powinien wyglądać niezgrabnie, lecz wcale tak nie wyglądał. — Cudowne — powtórzyła, wciąż trzymając dłoń Teddy'ego.

— Cóż — odezwała się po chwili Beth — proszę do środka.

Weszli do salonu. Gdy siadali, Teddy i kobieta na sztruksowej sofie, Beth powiedziała: — Nie wiem, jak się do pani zwracać.

Chinka wydawała się nie słyszeć. Wpatrywała się w portrety nad kominkiem. Nie odwracając wzroku od obrazów, odpowiedziała: — Nazywam się Han Shih.

— Han to nazwisko?

— Tak.

Beth zastanowiła się chwilę. — Nie Wu?

Han Shih odwróciła się. Usta miała otwarte w szerokim uśmiechu.

— Obecnie raczej nie nosimy nazwiska męża.

Beth rozumiała to doskonale; po ślubie nie planowała przyjąć nazwiska Teddy'ego. Nie wiedziała tylko, kogo miała na myśli Chinka, mówiąc „nosimy”. I nadal nie wiedziała, jak się do niej zwracać. Kiedy myślała o sformułowaniu pytania w inny sposób, Teddy powiedział:

— No dobrze. Teraz chcę usłyszeć całą historię.

— Historię?

— Tak. Jak mnie znalazłaś? Czy to raczej ja cię znalazłem?

Han Shih położyła swoje dłonie na jego. — Nigdy nie utraciłam nadziei, dlatego właśnie cię znalazłam.

Teddy przysunął się bliżej, czekając, by mówiła dalej. Ale Han Shih milczała — jej spojrzenie przykuwały portrety na ścianie.

W tym czasie Beth studiowała fizjonomię kobiety; potem zerknęła na Teddy'ego. Oboje mieli szczupłe twarze i wystające kości policzkowe; poza tym nie było innych wyraźnych podobieństw. Nagle Beth poczuła się zdeorientowana. Sofa, fotele, perski dywan, który dostała po śmierci ojca i sprzedaży domu — nie mogło być nic bardziej znajomego. Jednak, tak jakby ktoś rzucił czar, wszystko wydało się jej obce. Wstała i przeszła przez pokój, zapalając światła.

Jej ruch zdjął ze wszystkich czar. Han Shih podążyła za nią spojrzeniem; widziała, że Beth to zauważyła, i uśmiechnęła się. Beth odwzajemniła się jej tym samym. Wciąż się uśmiechała, gdy zobaczyła się w lustrze wiszącym przy wyłączniku. Wtedy grymas z jej twarzy znikł.

Usłyszała, jak Teddy mówi: — Chodzi mi o to, jak mnie szukałaś.

— Szukałam znaku — odparła. — I w końcu go znalazłam.

Wyjęła coś z torebki i mu wręczyła. Beth podeszła i zobaczyła, że to wycinek z *Time'a* — artykuł o Teddym sprzed dwóch lat. Wydawał się dłuższy niż wtedy, gdy go czytała. Przejrzała go uważnie. Czy treść także była inna?

— Co to jest? — zapytała Beth.

Han Shih wyglądała na zaskoczoną.

— Artykuł z *Time'a* — odpowiedziała. — Nie czytałaś go? — Zmarszczyła brwi, dodając sobie lat.

— Czytałam.

Zmarszczki znikły tak szybko, jak na zdjęciach „po zabiegu” w folderze reklamowym chirurga plastycznego.

— Pokazała mi go bibliotekarka z komitetu na mojej ulicy — mówiła Han Shih.

— Nie bardzo rozumiem — przyznała Beth.

— Przepraszam. — Chinka spojrzała na swoje dłonie i pociągnęła za rękaw. — Powinam była wyjaśnić, że ta kobieta zna całą moją historię. To właśnie jeden z celów komitetu ulicznego.

— A gdzie jest ta ulica?

Han Shih wybuchnęła śmiechem. Był to głośny i perlisty rechot ukazujący w całej okazałości jej zęby: białutkie i równe.

— W Bejijing, oczywiście. Mieszkam w Bejijing.

Początkowo Beth nie zrozumiiała kobiety. Spojrzała na Zatokę. Wtedy zdała sobie sprawę, o czym mowa. Patrząc na twarz Teddy'ego, uświadomiła sobie, że on tego nadal nie wie.

— To Pekin — podpowiedziała.

— Tak — potwierdziła tamta. — Pekin. W transkrypcji Wade'a-Gilesea. Ale teraz używamy pinyin. — W jej głosie zabrzmiało jakby ostrzeżenie.

Ona sama także to wyczuła, bo po chwili dodała: — To tylko biurokracja.

Beth wydało się, że to bardzo zachodnia myśl wyrażona na bardzo zachodnią modłę; jedyną niezachodnią jej cechą było *r*, które umykało z języka Chinki tak, że brzmiało prawie jak *l*.

— Wiedziałaś już dwa lata temu? Dlaczego nie napisałaś? Mógłbym przyjechać.

— Nie tak wyglądały moje marzenia — odparła Han Shih. — Marzyłam, że to ja odnajdę *ciebie*.

— Jak się tutaj dostałaś?

— Czekałam.

— Na pozwolenie?

— Nie całkiem. Czekałam na okazję. Jestem tu oficjalnie.

— Oficjalnie? — zapytała Beth. — Pracujesz dla rządu?

— Nie, nie. W tym mieszkaniu przebywam prywatnie. Wielu Chińczyków ma krewnych w USA. Ale rządu to nie interesuje. Jednak w San Francisco jestem oficjalnie — na wymianie kulturalnej.

— Jakiej wymianie? — dociekała Beth.

— Jestem kucharką — roześmiała się Han Shih; jej różowy język tańczył za zębami.

Beth coś sobie przypomniała. Poszła do kuchni i znalazła poranne wydanie *Chronicle*. Na drugiej stronie był artykuł, którego szukała — artykuł zatytułowany: „Chińscy mistrzowie kuchni gotują u nas”. Towarzyszyło mu zdjęcie ośmiu czy dziewięciu kucharzy. Han Shih stała w tylnym rzędzie, patrząc prosto w obiektyw.

Beth wzięła gazetę do pokoju.

— Jeszcze tego nie widziałam — powiedziała Han Shih, zakładając okulary w złotej oprawie i z uwagą studiując zdjęcie. — Nie cierpię, kiedy mnie fotografują.

Jednak na jej twarzy nie gościł wyraz niezadowolenia z osiągniętego na zdjęciu rezultatu. Była bardzo fotogeniczna. Uśmiechnęła się do Teddy'ego. Odpowiedział jej tym samym.

— Napijesz się czegoś? — zapytał. — Mamy szampana.

— Świetnie.

— Przygotuję kolację — dodała Beth. — Już po dziewiątej.

— Pomogę ci — zaproponowała Han Shih, podążając za nią do kuchni.

— Na pewno się już dzisiaj nagotowałaś. Odpocznij sobie.

— O nie. Uwielbiam gotować. Poza tym... — zwróciła oczy na Teddy'ego, nachylonego nad tacą z napojami w salonie.

Beth zamilkła. Zrobiło się jej trochę głupio z powodu takiej niewrażliwości. Han Shih chciała wreszcie ugotować coś dla swego syna. Założyła fartuch i zapytała:

- Mogę zajrzeć do lodówki?
- Jasne.

Wybrała składniki i położyła je na desce do krojenia. Szybkimi, wprawnymi ruchami posiekała cebulę, czosnek i imbir. Pokroiła wołowinę w cienkie paski, marchew i grzyby w plasterki, odcięła końcówki zielonej i żółtej fasolki. Rozgrzała olej na dużej patelni, podsmażyła cebulę, czosnek i imbir, następnie dodała sos sojowy i sól.

- W jakiej kuchni się specjalizujesz? — zapytała Beth.
- W każdej. Mandaryńskiej, hunan, seczuańskiej, kantońskiej, mongolskiej. Umiem nawet zrobić hamburgera z frytkami.

Beth roześmiała się.

Wszedł Teddy z trzema lampkami szampana.

- A gdzie właściwie pracujesz? — pytała dalej Beth.
- W hotelu.
- W Pekinie?
- Tak.

Han Shih podkręciła gaz i wrzuciła na patelnię wołowinę, marchew, grzyby i fasolę; wlała swojego szampana. Patelnia zaskwierczała. Kuchnia wypełniła się zapachem przygotowywanej potrawy.

- Mniam, mniam — mlasnął Teddy.

Przyglądał się, jak Han Shih gotuje. Nie odwracała się, ale wiedziała, że się na nią patrzy. Beth wyszła nakryć do stołu.

Wyjęła rattanowe podkładki, białe talerze i sztucce z nierdzewnej stali. Na stole postawiła również lichterze z białymi świecami. Następnie podeszła do adaptera i włączyła Sinatrę. Beth lubiła słuchać muzyki przy posiłkach. Jej ojciec również to lubił, chociaż nigdy nie włączał niczego poza starymi broadwayowskimi kawałkami — z wyjątkiem Bacha, którego puszczał późno w nocy. Beth zerknęła na stół. Zabrała sztucce, a zamiast nich położyła pałeczki. I widelec dla Teddy'ego.

- Wszystko gotowe — zawołała.
- Jeszcze minutkę — odpowiedziała Han Shih.

Beth poszła do gabinetu i otworzyła dolną szufladę biurka. Od dzieciństwa prowadziła zeszyt z wycinkami z prasy. Teraz miała kartonowe pudełko, gdzie trzymała artykuły, które mogłyby się złożyć na książkę. Przeglądała je, aż znalazła wycinek z *Time'a*. Był krótszy niż ten, który miała Han Shih. I nie było w nim dwóch rzeczy, jakie znalazły się w artykule Chinki: miejsca urodzenia Teddy'ego i jego chińskiego nazwiska.

Kiedy wróciła do salonu, Teddy i Han Shih stawiali na stole jedzenie.

— Spójrzcie na to — powiedziała, pokazując im wycinek.

Han Shih rzuciła na niego okiem, wyjęła okulary i zaczęła czytać. Świece odbijały się w jej szklach.

— No i co? — zapytała.

— Różni się od twojego.

— Wiem — odparła Chinka, wyjmując z torebki swój artykuł i kładąc go przed Beth. — Mój jest z wydania dalekowschodniego. Z tutejszym nigdy bym nie odnalazła syna.

— Dlaczego? — zapytał Teddy.

— Bo nie ma w nim twojego nazwiska — odrzekła zdziwiona Han Shih.

— Twojego *prawdziwego* nazwiska. Więc skąd miałabym wiedzieć, że chodzi o ciebie?

— Ale „Wu” pewnie słyszy się w Chinach bardzo często — zauważyła Beth.

— Oczywiście. Miliony Chińczyków nazywają się Wu. Ale jest tylko jeden Wu Tun-li. — Zwróciła się do Teddy'ego: — Nie wiesz nic o chińskich nazwiskach?

— Chyba nie.

Han Shih cmoknęła.

— To proste — rzekła, zdejmując okulary; świece wciąż odbijały się w jej oczach. — Tun to pokoleniowe imię, które wybrał twój ojciec dla ciebie i dla wszystkich twoich braci. Jest to dwunaste słowo starego wiersza, który jego rodzina stosowała od ponad dwustu lat. Imieniem twojego ojca był jedenasty wyraz, twojego dziadka — dziesiąty. Tak więc Tun to nie to samo co John czy Bob. Żaden inny Wu go nie nosi.

— Czy mam jakichś braci?

— Nie.

— Siostry?

— Też nie.

— A co z moim ojcem?

Han Shih patrzyła przez chwilę w podłogę.

— Nie żyje.

Stali przez chwilę przy stole niczym żałobnicy. W końcu Beth odezwała się: — A co znaczy „li”?

Han Shih podniosła głowę, uśmiechnięta.

— To imię od matki. Sama mu je nadałam.

Poszła do kuchni i wróciła z trzema filiżankami herbaty.

— Dla mnie woda — poprosiła Beth.

Jednak Han Shih i tak postawiła przed nią naczynie.

— Z herbatą smakuje lepiej. — Szybko usiadła i podniosła swoją filiżankę. — Za wasze szczęśliwe małżeństwo — powiedziała.

Napili się.

— Mam nadzieję, że przyjdiesz na ślub — powiedziała Beth.

— Bardzo bym chciała.

— Jest o dziesiątej piętnaście.

— Dobrze. Na jutro rano nie mamy nic zaplanowanego.

Jedli.

— Wyśmienite — stwierdził Teddy. Ale nie był ekspertem od chińskiego jedzenia. Najbardziej lubił kuchnię włoską. Beth pomyślała, że w potrawie jest za dużo imbiru.

Jednak zjadła tylko troszkę. Prawie natychmiast po kilku łykach poczuła się zmęczona. Od początku ciąży kładła się wcześniej spać. Spojrzała na zegarek; nie było jeszcze dziesiątej. W dziewiątym miesiącu będzie pewnie spała po osiemnaście godzin na dobę, jak noworodek. Wypiła trochę herbaty, mając nadzieję, że teina ją pobudzi, ale zamiast tego zebrało się jej na ziewnięcie. Stłumiła je i wyprostowała się na krześle.

Nagle czas się zatrzymał i wszystko zaczęła postrzegać niezwykle wyraźnie: pietyzm, z jakim Han Shih posługiwała się pałeczkami; Teddy'ego jedzącego bez zbytniego apetytu; sposób, w jaki Sinatra powracał do przewodniego motywu melodii i przechodził do wzniosłego zakończenia; wiedziała nawet, co jest nie tak z martwą naturą na ścianie — gruszka się chwiała. Tak, wszystko teraz widziała bardzo dokładnie.

Mimo to czuła się bardzo zmęczona.

Teddy zwrócił się do Han Shih: — Jak to się stało, że nas rozdzielono?

Nie odpowiedziała od razu. Wpatrywała się w martwą naturę, jak gdyby próbując dojrzeć w ułożeniu owoców wzór, który nadałby im głębsze znaczenie. A może zauważyła chwiejącą się gruszkę?

— Straciłam cię podczas wojny — odrzekła w końcu.

— Jakiej wojny?

— W czasie rewolucji, oczywiście — powiedziała, jak gdyby była to jedyna wojna w historii.

— Jak to się stało, że mnie... straciłaś?

Han Shih westchnęła. — Nie wiem, od czego zacząć.

— Zaczynij od miejsca. Gdzie mieszkaliśmy?

Beth roześmiała się. Zawsze miała radochę, gdy przyłapała Teddy'ego na matematycznym rozumowaniu albo gdy przynajmniej tak jej się zdawało. Może zaśmiała się zbyt głośno. Teddy i Han Shih spojrzeli na nią. Śmiech przeszedł w ziewnięcie.

Han Shih położyła pałeczki na talerzu.

— Mieszkaliśmy w Szanghaju — zaczęła. — Ale nie było nas tam wtedy. Mieliśmy letnią rezydencję.

— Gdzie?

— Koło Wuxi.

— Wuxi?

Han Shih uśmiechnęła się. — To niedaleko Szanghaju.

Dodała jeszcze coś o żółwiach, ale Beth już tego nie słyszała. Muzyka grała bardzo głośno, grzmiała wokół niej, jak gdyby zamknięto ją pod klapą pianina. Teddy coś mówił. Jego też nie słyszała.

— Przepraszam. — Beth wstała i poszła przyciszyć adapter.

Mimo to muzyka wciąż wydawała się za głośna. Wyłączyła ją. Mechanizm brzęknął. Han Shih opowiadała: — ...to interesy związane z eksportem i importem.

Powieki Beth stały się ciężkie. Wyszła na balkon.

Niebo wciąż było bezchmurne. Księżyc przez to wydawał się jaśniejszy, a różowa poświata nad miastami po wschodniej stronie Zatoki — przyciemniona. Od zachodu powiewała lekka bryza. To dobrze; po przyjęciu nazajutrz Beth i Teddy wybierali się pożeglować na *Pop-Upie*. Teraz wdychała morze.

Usiadła na leżaku. *Tylko na parę chwil* — pomyślała. *Świeże powietrze mnie orzeźwi*. Jednak głowa jej się kołysała. Położyła się. *Nie wciągnę na leżak nog* — powiedziała sobie. Ale wciągnęła. Z daleka dobiegł ją dzwonek telefonu. Zaszczekał jakiś pies. Zaśmiała się kobieta. *Tylko pięć minut*.

Kiedy Beth się obudziła, leżała sama w łóżku. Wstała i rozsunęła zasłony. Światło poranka zajrzało jej w oczy. Bolała ją głowa. Poszukała zegarka. Stał na stole w kuchni. 9:30. Pod zegarkiem leżała karteczka.

Dzień dobry, śpiochu,

Zabrałem matkę do hotelu, żeby się przebrała. Spotkamy się o dziesiątej przy schodach do ratusza.

Uściski, T.

Beth wróciła do sypialni, otworzyła szafę i wybrała sukienkę: szarą, wełnianą, z długimi rękawami i jasnofioletową lamówką. Gdy schylała się, by dobrać buty, poczuła coś po raz pierwszy w życiu: ruch w swoim łonie.

A może tylko jej się zdawało. Była w ciąży dopiero od piętnastu tygodni — plus minus czternaście dni.

Pozostała w bezruchu.

Znowu. Lekkie szturchnięcie. Jeszcze jedno, trochę mocniejsze, jak gdyby dziecko chciało pozbawić ją wszelkich wątpliwości. To wejście,

prawdziwe lub nie, w charakter dziecka, wzbudziło w Beth falę narastającego uczucia, które sprawiło, że chciało jej się i śmiać, i płakać.

— Teddy — wymówiła na głos.

Nie mogła się doczekać, by mu o tym powiedzieć.

3

Beth znalazła szarą kopertę z aktem małżeństwa, chwyciła kluczyki do samochodu, pieniądze i otworzyła drzwi. Na klatce schodowej stało dwóch mężczyzn i kobieta. Ubrani byli w czarne obcisłe spodnie, czarne kamizelki i białe koszule z bufiastymi rękawami. W uszach mieli kolczyki. Ludzie od przyjęcia. Zupełnie o nich zapomniała.

— Spiesz się. Poradzicie sobie beze mnie?

Jeden z mężczyzn podszedł bliżej i spojrzał jej w oczy z wyrazem niezmiernej duchowej głębi, jak jakiś przywódca religijny powołany do uśmierzenia ludzkiego cierpienia albo jak ktoś, kogo właśnie poddano terapii szokowej. Takie spojrzenia często widywało się w Kalifornii.

— Pani się nie martwi — rzekł. — Jesteśmy profesjonalistami.

Beth wcale w to nie wątpiła. Astronomicznej zapłaty zażądano z góry. Odsunęła się. Mężczyźni weszli do środka i rozejrzeli się. Za nimi podażyła kobieta, pchając przed sobą wózek załadowany jedzeniem i napojami.

— Bardzo ładnie — stwierdził jeden z mężczyzn.

Beth wyszła i zamknęła drzwi. Będąc na schodach, słyszała, jak drugi facet mówi: — Ale patrz, co to za meble!

Budynek miał dwie kondygnacje. Schody były wyłożone wyblakłym czerwonym chodnikiem. Była to pamiątka z dawnych, dobrych czasów, zanim starą rezydencję przerobiono na budynek mieszkalny dla trzech rodzin. Były także inne pamiątki w holu wejściowym: skrzynki na listy z polerowanego mosiądzu, lustro w pozłacanej ramie, cięte kwiaty w wazonie. Wszystko to utrzymywało czynsz na dość wysokim poziomie. Jednak właściciel twierdził, że i tak na tym traci, i zastanawiał się nad sprzedażą domu. Beth i Teddy myśleli o jego kupnie. Gdyby do tego doszło, mogłaby się pozbyć tego czerwonego chodnika.

Na zewnątrz wisały nisko szare chmury. Znad Pacyfiku nadciągała wilgoć, wywołując u Beth dreszcze. Szybko przeszła do garażu na tyłach budynku. Teddy nie wziął swojego wozu. Był to duży, nierzucający się w oczy amerykański model, który bardzo lubił, choć miał problemy z jęgo

parkowaniem. Za każdym razem, gdy musiał jechać do centrum, brał taksówkę. Beth miała małe japońskie autko. Nie było na nim żadnych nalepek zdradzających jej poglądy na temat wojny nuklearnej, aborcji, broni palnej, praw mniejszości seksualnych czy miejscowej drużyny futbolowej. Był to po prostu zwyczajny samochód. Wsiadła do niego i pojechała w dół Telegraph Hill. Później skręciła na południe w stronę dzielnicy, gdzie mieściły się urzędy.

Znalazła miejsce do parkowania prawie przed samym ratuszem. Wysiadła i ruszyła do kamiennych schodów. Niebo pociemniało; wiatr uciął. Na dłoni i twarzy poczuła duże, zimne krople. Przechodnie przyspieszyli kroku.

Teddy'ego nie było przy schodach. Przy wejściu na nie jakiś mężczyzna w czapeczce baseballowej sprzedawał mrożony jogurt. Na dolnym stopniu leżało z plecakami pod głową dwóch chłopaków. Nieco wyżej jakiś zafajdany menel siedział z papierową torbą między nogami. Inni ludzie — urzędowo ubrani — albo wchodzili, albo wychodzili z ratusza. Beth spojrzała na zegarek. Była 10:05.

Weszła do środka, minęła stanowisko ochrony i stanęła pod kopułą. Powietrze było zimne i wilgotne — jak w jaskini. Wysoko nad nią wyrzeźbiona w kamieniu naga para trzymała w dłoniach herb stanu. On przypominał Kirka Douglasa. Ona wyglądała na znudzoną. Beth rozglądała się w poszukiwaniu Teddy'ego. Nigdzie go nie było.

Ślubów udzielano w pokoju 310. Pojechała windą na trzecie piętro. Była to sala sądowa przedzielona drewnianą balustradą. Po jednej stronie stały rzędy twardych ławek. Po drugiej — biurko urzędnika stanu cywilnego, które miało rozmiary stołu do ping-ponga. Nad nim, niczym tron, górował stół sędziego. Krzesło było puste. Za nim, po jednej stronie drzwi z tabliczką NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY stała flaga narodowa, a po drugiej — stanowa.

Nie był to dobry dzień na zawarcie ślubu. Nie licząc urzędniczki, na sali znajdowało się sześć osób, ściśniętych w pierwszej ławce. Wszyscy mieli oliwkową cerę i lśniące czarne włosy: korpulentna pani w średnim wieku z ustami wymalowanymi jaskrawoczerwoną szminką; szczupły mężczyzna około czterdziestki z gęstymi siwiejącymi włosami, sięgającymi aż na policzki; dwie chude i przejęte dziewczynki; młodzieniec niemający więcej niż dwadzieścia dwa lata, wpatrujący się w czubki swych butów; i kobieta mniej więcej w tym samym wieku, ubrana w suknię ślubną, z białymi kwiatami we włosach i brzuchem, jakby za chwilę miała rodzić.

A Teddy'ego nigdzie nie było. Beth podeszła do biurka i wręczyła akt małżeństwa. Urzędniczką była masywnie zbudowana Murzynka z

rozprostowanymi włosami i w ogromnych okularach. Zza ucha wyjęła ołówek, na liście ślubów znalazła HUNTER-WU, odhaczyła nazwiska i powiedziała:

— Jeszcze parę minut.

Zatknęła ołówek z powrotem za ucho i utkwiała wzrok gdzieś daleko. Beth zerknęła na ścienny zegar: 10:09.

— Beth?

Usłyszała za sobą znajomy głos i odwróciła się. Przez salę szła w jej stronę kobieta o pięknej twarzy. Ubrana była w śliczną jedwabną garsonkę. Gdy się zbliżyła, dało się zauważyć inne szczegóły: spaloną słońcem skórę, lśniąco rude włosy, niebieskie oczy.

— Mamo — odezwała się Beth, gdy się objęły.

Poczuła zapach papierosów i soku pomidorowego. A sok pomidorowy oznaczał Krwawą Mary.

— Nie spóźniłam się? Nigdy nie byłam świadkiem.

— Przyszedł nawet za wcześniej. Teddy'ego jeszcze nie ma.

Matka rozejrzała się po sali. Zobaczyła weselników i wymieniła spojrzenie z Beth: oczy jakby jej pojaśniały i wypełniły się radością. Beth pamiętała z przeszłości wiele takich chwil; ale ojciec zmarł pięć lat temu, a matka przeprowadziła się do Arizony, żeby piec się samotnie w palącym słońcu.

— Zostań tutaj, proszę. Ja zobaczę, czy Teddy nie czeka na zewnątrz. Beth zjechała windą do holu i rozejrzała się. Padało już bardzo mocno. Sprzedawca jogurtu i chłopcy znikli. Menel nawet się nie ruszył. Przemoknięta koszula przylepiła mu się do pleców. Na schodach poza nim nie było nikogo.

Wróciła do sali 310. Śniadzi ludzie tkwili nadal w swojej ławce. Jej matka siedziała w innej. Palila papierosa i przeglądała jakieś czasopismo. Pozostałe siedzenia były puste. Drzwi za urzędniczką otworzyły się i wyszli z nich inni oliwkowi. Cięża nowo przybyłej panny młodej nie była tak zaawansowana jak tej pierwszej. Wchodzili na salę gęsiego, wymieniając spojrzenia z tamtymi weselnikami. Wszyscy wyglądali ponuro.

— Hunter-Wu — zawołała urzędniczka.

Była 10:15. Beth podeszła do biurka.

— Pana Wu jeszcze nie ma.

— Aha.

— Czy nie zostawił pani czasem jakiejś wiadomości?

— Wiadomości?

— Może dzwonił, że się spóźni?

— Nie.

— No to pewnie zaraz przyjdzie.

— Macie czas do dziesiątej dwadzieścia pięć.

Urzędniczka wyjęła zza ucha ołówek i zapisała na karteczce 10:25. Zaczęła rysować wokół godziny ramkę. Beth usiadła obok matki.

— Czy coś jest nie tak?

— Teddy się spóźnia.

— To typowe dla mózgowców. Twój ojciec nie przyszedł na czas na żadne spotkanie. — Zaciągnęła się dymem z papierosa.

Ojciec Beth pisywał dowcipy i skecze.

Beth wstała i jeszcze raz ruszyła na dół do holu, tym razem po schodach. Teddy'ego wciąż nie było. Zobaczyła tylko deszcz. I menela. Wróciła na salę. Wzrok urzędniczki był utkwiony gdzieś daleko, ramka wokół 10:25 nie dokończona.

— Czy mogę skorzystać z pani telefonu?

Z westchnieniem urzędniczka wróciła myślami na salę. Popatrzyła na Beth i na telefon. Gdy się zastanawiała, drzwi za jej plecami otworzyły się i jakiś gruby facet wcisnął czerwoną twarz.

— Co to za przerwa, Eulalio? — Miał takie same oczy jak matka Beth.

— Mężuś się nie pojawił — odpowiedziała pytana, nie patrząc na niego, jakby była sportowcem rozmawiającym z sędzią na zawodach.

Mężczyzna spojrział na Beth, jej matkę i ludzi w pierwszej ławce.

— Załatw najpierw tych śniadych — powiedział. — Czas ucieka.

Czerwona twarz znikła. Drzwi się zamknęły.

— Pieniądze — wyjaśniła urzędniczka obserwującym ją ciemnoskó-
rym. — Pieniądze.

Zaczęła śmiać się: najpierw gardłowo, potem coraz wyżej, aż osiągnęła takie tony, że chyba tylko pies mógłby je usłyszeć.

— Czy mogę skorzystać z telefonu? — ponownie spytała Beth.

Urzędniczka pokręciła głową.

— Dlaczego nie?

Kobieta zdziwiła się. — Wcale nie powiedziałam „nie”. Śmiałam się po prostu. — Przesunęła telefon w stronę Beth, patrząc na nią uważnie. — Tylko żadnych zamiejskowych.

Weselnicy z pierwszej ławki też jej się przyglądali. Beth podniosła słuchawkę i wykręciła numer do domu.

— Dzień dobry — usłyszała Teddy'ego. — W tej chwili nikogo nie ma w domu. Po sygnale proszę zostawić wiadomość.

Odłożyła słuchawkę.

Urzędniczka uniosła brwi. Beth czekała, aż powie: „No i co?” — ale się nie odezwała. Była 10:21.

Beth przeszła przez salę, mijając czekających ludzi. Podeszła do swojej ławki.

— No i co? — zapytała matka.

Znowu zeszała do holu. Menel leżał na schodach. Chyba film mu się urwał. Stoczył się o stopień czy dwa. Jego butelka spadła na sam dół i rozbiła się o krawężnik. Krople deszczu odbijały się od schodów i zniszczonej twarzy pijaczka.

Wróciła do sali. Zegar wskazywał 10:24. Usiadła obok matki.

— *Prostoduszny* na sześć liter — odezwała się matka. Rozwiązywała krzyżówkę w jednym z czasopism.

— Na jaką literę?

— Chyba na *n*.

Beth już miała powiedzieć *naiwny*, gdy urzędniczka wyczytała:

— Hernandez-Ruiz.

Ludzie o oliwkowej skórze wstali i weszli do pokoju sędziego. Pan młody włókł się zrezygnowany na końcu.

Beth też wstała i podeszła do balustrady.

— Jestem pewna, że mój narzeczony zaraz się zjawi — zwróciła się do urzędniczki. — Czy da się nas gdzieś wcisnąć?

— Przykro mi. Wszystkie terminy zarezerwowane. — Przejrzała grafik.

— Aż do przyszłego piątku.

Beth zdusiła w sobie przekleństwo. Kobieta chyba to zauważyła; jej twarz złagodniała.

— Poczekaj jeszcze trochę, złotko — poradziła. — Może ktoś nie przyjdzie. To się ciągle zdarza. Niektórych tchórz oblatuje.

Usiadła.

— Ech, te chłopy — rzuciła matka. — Zwłaszcza ci mądrale.

Beth zastanawiała się, na kiedy matka zarezerwowała lot powrotny. Ludzie wchodzili, brali ślub i wychodzili. W tym czasie one rozwiązały trzy krzyżówki. Beth zadzwoniła do biura Teddy'ego.

— Przykro mi — powiedziała sekretarka — pana Wu dzisiaj nie będzie. Może go pani zastać w domu. Zna pani numer?

Dzwoniła do domu czterokrotnie. Trzy razy usłyszała automatyczną sekretarkę. Za czwartym odebrał jeden z ludzi przygotowujących przyjęcie.

— Mieszkanie państwa Hunter-Wu.

— Mówi Beth Hunter.

— A, to pani. Niech się pani nie martwi. Wszystko już gotowe. A gladiole są cudowne. Po prostu cudowne.

— Gladiole?

— Tak. Nigdy tyłu na raz nie widziałem. Napelniliśmy wodą wszystko, co się dało. Wyglądają jak obraz tego malarza. Jak mu tam...

— Kto je przysłał?

— Gdzieś tu jest bilecik. Proszę poczekać.

— Nieważne. Chcę wiedzieć, czy były jakieś telefony.

— Mnóstwo. Ale dopiero ten odebraliśmy. Chce pani, żebym sprawdził na sekretarce?

— Nie. Czy mój... Czy doktor Wu był w domu?

— Doktor Wu?

— Tak. Mój...

— A, tak. Nie. Był tylko chłopak z kwaciarni i facet od trunków. Obawialiśmy się, że zamówiła pani za mało, i poprosiliśmy go, żeby jeszcze trochę dowiózł. Teraz na pewno niczego nie zabraknie. Chyba dobrze zrobiliśmy?

— Jasne. Nie ma sprawy.

— Świetnie. Proszę się o nic nie martwić.

Odłożyła słuchawkę.

Do południa ławki opustoszały. Urzędniczka wyjęła z szuflady brązową torebkę, otworzyła ją, wyjęła kanapki i zaczęła jeść. Z pokoju wyszedł sędzia.

— Gdzie dzisiaj iść? — zapytał urzędniczkę. — Do Nicka czy do Ostrygi?

— Do Nicka — odparła. — Mówiłeś, że w Ostrydze była ostatnio kiepska obsługa.

— Tak?

Przeszedł przez bramkę. Zwolnił kroku, gdy przechodził obok Beth i jej matki. Zatrzymał się.

— Niech się pani nie martwi — rzekł żwawo. — Lepiej wiedzieć to teraz, niż za dziesięć lat.

Beth spojrzała na niego, nie bardzo wierząc w to, co usłyszała.

— Wiem, jak się pani czuje — kontynuował sędzia miłszym głosem. — Widziałem to setki razy.

— Co pan widział setki razy?

Spojrzał na matkę Beth, później na nią. — Cóż, może nie z takimi dziewczynami jak pani. Chyba nie jest pani w ciąży?

Nie twój zasrany interes, pomyślała. Ale odpowiedziała: — Nie.

— Tak myślałem. Nie wygląda mi pani na taką.

Siedziała w milczeniu, myśląc o ruchach w łonie dziś rano. Żałowała, że nie czuje ich teraz. Sędzia wziął jej milczenie za zgodę. Poklepał ją po ramieniu.

— Poza tym — dodał — mieszane małżeństwa to jednak nie najlepszy pomysł. Wcale nie jestem rasistą. Po prostu już tak jest. Znam się na małżeństwie. Mam rację, Eulalio?

Urzędniczka wyrzuciła kość od kurczaka do kosza.

— Masz.

Sędzia uśmiechnął się. — Założę się, że już pani lepiej. Jest pani ładna, na pewno jeszcze kogoś pani znajdzie. Sam bym się skusił, gdybym nie był takim starym grzybem i nie miał baby, o którą muszę się martwić.

Roześmiał się. Urzędniczka mu zawtórowała. Potem wyszedł, wpuszczając na chwilę do sali głosy udających się na lunch prawników. Drzwi się zamknęły.

— Myślałam, że się porzygam — powiedziała Beth.

— On tylko starał się być miły — stwierdziła jej matka.

— Do diabła z nim — warknęła Beth trochę ostrzej, niż zamierzała.

Urzędniczka przestała jeść i spojrzała na nią. — Racja.

Wyszły.

Wciąż padało. Pijaka już nie było. Potłuczoną butelkę deszcz zmył do rynsztoka. Beth rozejrzała się. Ani śladu Teddy'ego.

Zeszły w ciszy po schodach i wsiadły do samochodu. Za wycieraczką tkwił mandat.

— Fatalnie — stwierdziła matka Beth, zapalając papierosa.

Ręce jej się trzęsły. Samochód wypełnił się dymem.

W strugach deszczu pojechały do domu i Beth zaparkowała na tyłach. Samochód Teddy'ego wciąż tam stał.

— Założę się, że czeka w środku — mówiła matka. — Na pewno zamyslił się nad jakimś matematycznym problemem i zapomniał, o której godzinie jest ślub.

Beth nie odpowiedziała. Obeszły budynek i znalazły się od frontu.

— Czy wciąż wszędzie wypisuje te swoje równania?

— Tak.

— Twój ojciec był taki sam. Wszędzie znajdowałam świstki papieru zapisane jego docwipami. Na jeden natknęłam się jeszcze całkiem niedawno w barku. — Przerwała. — Musiał go napisać przed swoim ostatnim przedstawieniem.

— O czym był ten żart?

— Nie pamiętam dokładnie. Nigdy nie potrafiłam mówić kawałów. Chyba jednak nie był najlepszy. Jeden z tych o teściowej. Tak naprawdę to żałuję, że go znalazłam. Mam nadzieję, że już żadne inne nie walają się po kątach.

4

Z góry dochodziły radosne dźwięki: strzelające korki szampana, dzwonienie kostek lodu, śmiech ludzi.

— O rany — westchnęła matka, gdy szły po schodach.

Drzwi do mieszkania były otwarte. W środku wszyscy bawili się na całego. Teddy'ego nadal nie było.

Przez chwilę Beth stała w wejściu niezauważona. Wszędzie pełno było jaśnoczerwonych gladioli. Znajomi Teddy'ego i jej porozchodzili się po całym mieszkaniu. Wyglądało to na udaną imprezę. Każdy był czymś zajęty — piciem, jedzeniem, rozmową.

Nagle Marty Kesselman, jeden z kolegów Teddy'ego, zauważył ją i wzniosł w geście powitania ogromną krewetkę. Goście odwrócili się. Dla większości ich znajomych małżeństwo nie było żadną świętością, jednak wszyscy klaskali, a jeden czy dwa głosy zaczęły nucić donośnie „Marsz weselny”.

Beth weszła do pokoju z wysoko podniesioną głową, tak jak ją nauczył instruktor klubu dyskusyjnego w liceum.

— Trochę za wcześnie na śpiewy — powiedziała. — Teddy stchórzył.

Rozległ się śmiech. Po chwili z wolna przycichł.

— Tak naprawdę, to w ogóle nie przyszedł. Czy ktoś go dzisiaj widział?

Nikt. Na ich twarzach odmalował się wyraz zakłopotania. Przyglądali się jej. Nie wiedziała, co powiedzieć; nawet gdyby wiedziała, to i tak nic by z siebie nie wydusiła, bo nagle mięśnie wokół kącików jej ust zaczęły drżeć. Sama była tym zaskoczona. Odwróciła się, poszła szybko do sypialni i zamknęła drzwi.

Emocje przelewały się przez nią falami: wstyd, poniżenie, złość. Żadne z tych uczuć nie trwało jednak długo. Nie były dla niej prawdziwe; stanowiły jedynie część weselnego zamieszania. Gdy wyszła dwadzieścia minut później, była gotowa spojrzeć w oczy każdemu, nawet temu sędziemu o czerwonej twarzy.

Ale gości już nie było. Nie było też ludzi, którzy przygotowali przyjęcie, ani jedzenia, ani picia. Została tylko jej matka. Siedziała na sofie z Krwawą Mary w dłoni. Zostały też gladiole.

— Chcesz drinka?

— Nie.

Poszła do kuchni. Na stole leżała wciąż kartka, którą Teddy zostawił rano.

*Dzień dobry, śpiochu,
Zabrałem matkę do hotelu, żeby się przebrała. Spotkamy się o dziesiątej przy schodach do ratusza.*

Uściski, T.

Obok niej bilecik. Był na nim adres i nazwa kwaciarni. W miejscu na wiadomość widniały trzy chińskie znaki nakreślone zielonym atramentem. Jej zdenerwowanie zaczęło przekształcać się w uczucie bardziej autentyczne, które tak szybko nie przeminie: lęk. Lęk o Teddy'ego. Jego zapominalstwo miało swoje granice.

U jej stóp leżała gliadiola. Podniosła ją i przytknęła do nosa. Nie miała zapachu. Położyła ją na stole. Spojrzała na wizytówkę z kwaciarni i wiadomość od Teddy'ego.

Po chwili zdała sobie sprawę z ruchu w salonie. Poszła tam. Jej matka stała przy tacy z alkoholami i nalewała wódkę.

— Dolewam tylko do drinka — powiedziała, gdy zdała sobie sprawę, że Beth na nią patrzy. — Na pewno nie chcesz się napić? Dla zdrowia.

— To wcale nie wychodzi na zdrowie.

Matka wzięła szklankę i wróciła na sofę. Wyglądała starszej niż kilka godzin temu; jej skóra była bardziej wysuszona — z zewnątrz przez słońce, od środka przez alkohol.

Beth podeszła do telefonu i sprawdziła, czy na sekretarce nie ma żadnych wiadomości. Nie było. Zadzwoiła na wydział historii w Berkeley. Nikt jej nie szukał. Spróbowała na wydziale matematyki. Teddy'ego nie było i tam. Wykręciła numer sali 310 w ratuszu.

— Halo — usłyszała głos sędziego. Odłożyła słuchawkę.

Usiadła w fotelu. Matka siedziała na sofie. Już wypila połowę swojego drinka.

— Beth?

— Tak?

— Czy mówiłaś poważnie?

— Czy co mówiłam poważnie?

— Że Teddy stchórzył.

— Jasne, że nie.

Beth zdała sobie sprawę, że jej głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała. Matka pociągnęła długi łyk ze szklanki i zapaliła papierosa.

— W takim razie co się stało?

— Nie wiem. Dowiemy się, jak wróci.

Matka spojrzała na nią. Beth zacisnęła usta. Matka spuściła wzrok. Pociągnęła papierosa i wydmuchnęła chmurę dymu.

— Mogę cię o coś spytać, Beth?

Nie, pomyślała. Odpowiedziała zaś: — Jasne.

— Czy jesteś w ciąży?

— Tak.

Matka pokiwała głową.

— Co to właściwie miało znaczyć? — zapytała Beth.

— Nic.

Ale ona wiedziała, co to znaczy: jej matka i sędzia z ratusza myśleli tak samo.

— To on chciał wziąć ślub, nie ja. I to właśnie z powodu dziecka — wyjaśniła Beth. — Myślisz schematami, które nie odnoszą się do mnie i Teddy'ego.

— Niepotrzebnie się denerwujesz.

— Przepraszam.

Podeszła do rozsuwanych drzwi prowadzących na balkon i wyjrzała. Wciąż lało. Woda spływała rynsztokiem, ulicą i chodnikiem, unosząc ze sobą cały brud.

— W którym jesteś miesiącu?

— W czwartym — odparła, nie odwracając się.

— Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

Beth odwróciła się do matki. Nie wyglądała na szczęśliwą. Wyglądała na starą, zmęczoną i pijaną. Nagle w jej załzawionych oczach pojawiła się iskierka życia.

— Będę babcią — wyszeptwała, bardziej do siebie niż do Beth.

Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech. Beth nie widziała go od bardzo dawna. Usiadła obok matki.

— Ja też jestem szczęśliwa — wyznała. — Martwię się tylko o Teddy'ego. To wszystko.

— Niepotrzebnie się martwisz, kochanie. Poszedł pewnie gdzieś na śniadanie i zamyślił się nad swoimi cyferkami.

Beth prawie w to uwierzyła, ale coś ją powstrzymywało. Coś cisnęło się na usta. Poszła do kuchni. Spojrzała na wizytówkę kwaciarni i wiadomość od Teddy'ego. W salonie stuknęło szkło; matka znowu była przy barku. Kilka minut później pojawiła się w drzwiach do kuchni.

— Mogę się troszkę zdrzemnąć, kochanie? — zapytała.

— Oczywiście.

Nieco chwiejnym krokiem przeszła do sypialni dla gości. Po drodze rozlała część drinka.

Było bardzo cicho. Telefon nie dzwonił. Nikt nie pukał do drzwi. Beth położyła głowę na stole. Wpatrywała się w chińskie znaki na bilecie

z kwiaciarni. Jeden z nich przypominał jej wigwam. Zastanawiała się, jak wyglądają chińskie maszyny do pisania. Ta myśl ją otrzeźwiła.

Wstała i rozejrzała się za wczorajszym wydaniem *Chronicle*. Przeszukała wszystkie pokoje. W gościnnym spała na plecach jej matka. Miała otwarte usta i wysoko zadartą sukienkę. Jej nogi były chude i pomarszczone przez słońce. Beth szukała dalej. W końcu otworzyła szafkę pod zlewem i przejrzała śmieci. Znalazła niedojedzone kanapki, puste butelki, korki, nietkniętą kostkę masła, herbatę ekspresową, zwiędniętą żółtą i zieloną fasolę. Na samym dnie foliowego worka leżała wybrudzona wczorajszą kolacją gazeta. Beth otworzyła ją na stronie ze zdjęciem. Z fotografii spoglądała na nią Han Shih.

Autorem artykułu był R.N. Phelps. Zadzwoiła do gazety. Połączono ją z działem lokalnym.

— Z panem Phelpsem, proszę.

— Nie ma go — odpowiedziała jakaś kobieta. Później znacznie głośniejsze dodała: — Spróbuj, na Boga, w Embarcadero!

— Embarcadero?

— To nie było do pani — rzuciła od niechcienia kobieta. — Chwileczkę.

Coś kliknęło. Czekala. Kilka minut później w słuchawce usłyszała męski głos.

— Przepraszam, złotko — powiedział, a nieco ciszej dodał: — O, jak ta suka mnie wkurza. Chyba ją kiedyś zabiję.

— Pan Phelps?

— Co? — *Klik*. Czekanie.

Docierały do niej inne rozmowy; cieniutkie głosiki pokrzykiwały na siebie jak postacie z kreskówek zamknięte w puszcze po ciastkach. *Klik*. Usłyszała głos innej kobiety: — Czekają pani na kogoś?

— Na pana Phelpsa.

— Nie ma go.

— A kiedy będzie?

— Nie wiem. Jest wolnym strzelcem.

— Gdzie go mogę złapać?

— Chwileczkę. — *Klik*. Odległy jazgot. *Klik*. — Jest tam pani?

— Tak.

— Podam pani jego numer domowy.

Betty zapisała go.

Zadzwoiła. Po dłuższej chwili odezwał się jakiś mężczyzna.

— Phelps — rzucił szorstkim, chrypiącym głosem, jak gdyby jego krtań była zardzewiałym metalowym urządzeniem.

— Dzień dobry — powiedziała. — Interesuje mn'ie pański artykuł o chińskich kucharach, który ukazał się we wczorajszej gazecie. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie się zatrzymali?

Nastąpiła przerwa. Później Phelps odparł: — Obudziła mnie pani.

— Bardzo mi przykro, ale to ważne.

Phelps parsknął. — Gówno prawda. Chodziło tylko o to, żeby dać coś do tej szmatławej gazety. I tak nie wiem, gdzie mieszkają.

— A gdzie przeprowadzał pan z nimi wywiad?

— Wywiad? Czy wie pani, ile mi zapłacili za ten „wywiad”? — Czekał na odpowiedź.

Zaś Beth czekała na ciąg dalszy. — Nie wiem — rzekła w końcu.

— Czterdzieści pięć dolarów. Czy myśli pani, że robię wywiady za czterdzieści pięć dolców?

Miała dosyć jego marudzenia. — Skąd mam niby wiedzieć?

— Nie, do kurwy nędzy, nie robię — wrzasnęła.

Beth stłumiła swój gniew. — W takim razie jak pan napisał ten artykuł?

Phelps zaśmiał się, przywodząc jej na myśl nienaoliwione zawiasy.

— Wypatrzyłem notatkę prasową, że przyjeżdżają — oznajmił z nutą triumfu w głosie. — A niby jak?

— Dobra robota — skomentowała i odłożyła słuchawkę.

I tak go nie potrzebowała. Sprawdziła w *Chronicle*, kto zrobił zdjęcie: Ernestine Gowers. Zadzwoiła do gazety jeszcze raz, tym razem prosząc, by połączono ją z laboratorium.

— Z panią Gowers, proszę.

— Przy telefonie.

— We wczorajszej gazecie ukazało się zrobione przez panią zdjęcie chińskich kucharzy. Czy wie pani, w którym hotelu się zatrzymali?

— W Beresford.

— Dziękuję.

Hotel znajdował się na Sutter Street.

Założyła płaszcz przeciwdeszczowy. Wychodząc, zajrzała do sypialni dla gości. Matka wciąż spała z ręką zarzuconą na oczy. Beth włączyła automatyczną sekretarkę i wyszła.

Pojechała w dół ulicy. Deszcz z wolna przechodził w mżawkę, rozdmuchowaną powiewami bryzy. Okna jej samochodu powoli zachodziły mgłą. Opuściła boczne szyby; poczuła silny zapach morza.

Zaparkowała przy hotelu. Znała go bardzo dobrze. Na prawo od wejścia była mała knajpka, gdzie spotykała się ze swoim ekschłopakiem. Lokal był

urządzony jak szkocki pub. Jej były lubił takie klimaty. Portier skinął głową, gdy wchodziła do hotelu.

Recepcja znajdowała się na lewo od wejścia. Recepcjonista, przystojny Murzyn w tweedowym garniturze, miał odpięty guzik przy rękawie marynarki, jak gdyby wszystkich chciał pozbawić wątpliwości, czy garnitur jest szyty na miarę. *Mogłeś sobie podwinąć rękawy do łokci*, pomyślała Beth, gdy się do niej odwrócił.

— W czym mogę pomóc? — zapytał. Wyglądał jak konferansjer.

— Szukam jednego z waszych gości. Kobiety. Nazywa się Han Shih. — Przeliterowała nazwisko.

Recepcjonista przejechał zadbanym palcem po książce meldunkowej.

— Obawiam się, że nikt o takim nazwisku nie jest u nas zameldowany.

— Jestem pewna, że tak — powiedziała. — Przybyła z delegacją chińskich kucharzy.

Z pietyzmem, jak gdyby była to Biblia Gutenberga, przewrócił stronę. Zamyślił się.

— Niestety, oni wymeldowali się dziś rano.

— Dokąd się udali?

Otworzył drugą księgę. Zaczął przerzucać kartki. Jego palcom sprawiało to taką przyjemność, jak Segovii uderzanie w struny gitary.

— Mieli zarezerwowany lot liniami Pan American 426. Odlot o 8:05.

— Dokąd?

— Do Pekinu.

Beijing.

— Mogę zobaczyć książkę meldunkową? — Jej głos dochodził jakby z daleka.

Spojrzał na nią z odmową w oczach. — Ale tylko na chwileczkę.

Chciała sprawdzić, czy Han Shih nie wpisała się chińskimi znakami. Wszyscy to zrobili; na liście znajdowało się osiem nazwisk. Z boku jednym charakterem pisma podane były ich transliteracje. Nie było wśród nich Han Shih.

— Dziękuję panu — powiedziała.

— Nie ma za co. — Patrzył na nią z zaciekawieniem.

Poszła do knajpki. Nie znalazła Teddy'ego. Nie znalazła też Han Shih. Poprosiła o szklanekę wody.

— Coś jeszcze?

— Brandy.

— Francuską czy kalifornijską?

— Obojętnie.

Dostała kalifornijską. Usiadła ze swoim drinkiem i starała się wyobrazić sobie, co się stało. Gdy zasnęła, Han Shih musiała powiedzieć Teddy'emu, że rano wyjeżdża. To na pewno go zmartwiło. Odprowadził ją na lotnisko. I co dalej? Może poszedł gdzieś, żeby pobyć w samotności. Pomyślała o ich łodzi zacumowanej w Basenie Jachtowym San Francisco. Podeszła do telefonu i zadzwoniła tam. Nikt nie odpowiadał.

Wróciła do samochodu i pojechała na przystań. Pojazdy przed nią zachlapały jej szybę błotem z ulicy; ona zrobiła to samo autom jadącym za nią. Jeśli żeglował, to żałowała, że nie zabrał jej ze sobą. Nie dlatego, że myślała, iż powinien przyjść do niej ze swym strapieniem — rozumiała potrzebę samotności — ale dlatego, że był kiepskim żeglarzem, a widoczność była nie najlepsza. No i był to dzień ich ślubu. Próbowała wyobrazić sobie, co powstrzymałoby ją od dania jakiegokolwiek znaku, gdyby była na jego miejscu. Nic nie przychodziło jej do głowy.

Zobaczyła przystań. Maszty, ustawione w równe rzędy, na tle Golden Gate wyglądały jak zapalki. Dwie żagłówki przepływały pod mostem — jedna wpływała do przystani, druga z niej wypływała. Obie były za wielkie jak na *Pop-Up*. Beth zaparkowała przy biurze i otworzyła bramę prowadzącą do kei. Przeszła do miejsca cumowania ich jachtu. Łodzi nie było. Tenisówki Teddy'ego leżały na pomoście. Podniosła je. Pod jej stopami ocean wydawał ssące dźwięki.

5

Beth wpatrywała się w wodę. Ciężko spadające krople deszczu spłaszczwały fale. Łódź płynąca do przystani skierowała się do kei. Za mostem jakiś frachtowiec zmierzał na północ, zostawiając za sobą chmurę dymu. Na wodzie nie było żadnych innych łodzi. Dzień nie bardzo sprzyjał żeglowaniu.

— Cześć — odezwał się ktoś za nią.

Odwróciła się. Obok cumował żółty tahitański kecz. Wydawał się złościć nawet w deszczu. Na dziobie stał mężczyzna i zwijał linę. Sztormiak sięgał mu do kolan. Jego nogi pokryte były żółtawą opalenizną jak u marynarzy, którzy całe życie spędzili na morzu. Miał długie, kręcone, tlenione włosy. Większość z nich rosła na brodzie i z tyłu głowy, równoważąc łysinę na cieniu. Zwijał linę szybkimi, pewnymi ruchami; nie wyglądał jednak, jakby mu się spieszyło.

— Cześć — powtórzył. — Jesteś z *All-State*?

— Nie.

— Cholera. — Przestał się nią interesować.

Beth podeszła do niego. — Jak długo pan tu cumuje?

— Parę tygodni.

— Trzymam tu swoją łódkę — rzekła, wskazując na puste miejsce.

— Słup z włókna szklanego? Dziewięć sześćdziesiąt długości?

— Dziewięć trzydzieści — poprawiła go. — Widział pan, jak wypływał?

Spojrzał na falującą wodę w miejscu do cumowania, a następnie na buty w rękę Beth.

— Niezupełnie — odparł. — Hej, Blue! — zawołał głośno.

Za głównym masztem uniosła się kłapa. Beth usłyszała muzykę: „White Rabbit”, Jefferson Airplane. Przypomniał się jej ogólniak. Następnie w otworze pojawiła się głowa Blue. Była mniej więcej w tym samym wieku co mężczyzna i miała taką samą opaleniznę. Czarne włosy gęsto przetykała siwizna.

— Co tam?

— Kiedy wypłynął ten słup? — zapytał. — Ta babka mówi, że jest jej.

Blue wykrzywiła twarz i zaczęła myśleć, tak jakby od jej odpowiedzi zależała wygrana w „Milionerach”.

— Wcześniej było — przemówiła w końcu.

Przez otwór wyciągnęła rękę; w dłoni trzymała skręta. Zaciągnęła się i podała go Beth, odsłaniając przy tym niewielką kępkę włosów pod pachą. Beth pokręciła głową. Kobieta przekazała jointa facetowi. Wziął. Blue wypuściła chmurę dymu.

— O świcie. Chyba — dodała.

— Kto na nim był?

Zanim Blue odpowiedziała, muzyka stała się głośniejsza i przykuła jej uwagę.

— „...a te, co daje ci matka, też nie przydają ci się na nic...” Śpiewała razem z wokalistką, jej oczy były nieobecne. Fałszowała. Była w takim wieku, że mogłaby mieć dzieci na studiach, i była na haju.

— Kto na nim był?

Blue wygrzebała się z głębokiej, przytulnej norki, jaką piosenka wydrążyła w jej mózgu przez te wszystkie lata, i odpowiedziała: — Nie widziałam, jak wypływa. Słyszałam tylko. Musielibyśmy wstać, żeby sprawdzić. Poza tym...

— Byliśmy w trakcie — dokończył mężczyzna. Było to po prostu stwierdzenie, ale wygłosił je w sposób nadający mu posmak zachęty do współudziału, a może i czegoś więcej.

— To twoja własna łajba?

— Tak.

— Mamy świetną trawkę. Tanio.

— Nie, dzięki — odparła Beth. — Czy kiedy już wstaliście... — zaczęła.

Blue jej przerwała: — Przywieźliśmy ją z Fidżi. Jest ekstra. — Uśmiechnęła się zachęcająco. Brakowało jej przedniego zęba.

— Niepotrzebna mi trawa. — *Potrzebny mi Teddy*. — Potrzebny mi mój jacht. Czy kiedy wstaliście, nie widzieliście przypadkiem, w którą stronę się kierował?

— Ktoś go ukradł?

— Nie.

— Zaginął?

— To właśnie chciałabym ustalić — odparła Beth, próbując ukryć zniecierpliwienie. — Widzieliście go?

— Hej, nie wkurzaj się — rzekł mężczyzna.

Pochwycił złość w jej głosie i nie spodobało mu się to. On i Blue wychowali się w nieufności do każdego, kto miał ponad trzydzieści lat; teraz sami byli grubo po trzydziestce, podczas gdy Beth jeszcze nie osiągnęła tego wieku. Co gorsza, wcale nie była taka jak oni. To burzyło ich filozofię i nie zwiastowało nic dobrego.

Beth nagle zdała sobie sprawę z pulsowania gdzieś za lewym okiem. Zaskoczyło ją to. Głowa nigdy jej jeszcze nie bolała.

— Przepraszam — powiedziała. — Martwię się tylko o łódź.

— Mogę to sobie przypomnieć — odrzekł mężczyzna, ułagodzony. — Chyba ją widziałem, jak wstałem. Gdzieś tam — wskazał w stronę frachtowca za mostem. — Halsowała na południowy zachód.

Beth utkwiała wzrok za statkiem. I nic.

— Dzięki — powiedziała i odwróciła się, by odejść.

— Na pewno nie chcesz trawki?

— Na pewno — rzuciła, odchodząc.

— Trochę szmalu by się przydało — zawołała za nią Blue.

Beth szła dalej, zostawiając ich samym sobie: Adam i Ewa w średnim wieku w dziesięciometrowym Raju.

Weszła do biura przystani. Dzwonił telefon, ale w środku nie było nikogo. Spojrzała na barometr — ciśnienie spadało. Wtedy przypomniała sobie o lornetce na półce pod ladą. Sięgnęła po nią.

Wyszła na zewnątrz. Deszcz słabł. Podjechała jak najbliżej mostu. Zaparkowała. Resztę drogi przebyła pieszo. Po drodze mijali ją mokrzy od deszczu i potu biegacze.

Wzięła lornetkę i popatrzyła na zachód. Szare morze wyginało się, chcąc spotkać się z horyzontem. Powoli przesuwiała wzrok z północy na południe. Na północy zauważyła jeszcze jeden frachtowiec. Na południu szarawe pagórki pochylały się w stronę morza: mgła. Żadnych innych łodzi.

Na chwilę zamknęła oczy. Spróbowała jeszcze raz — z południa na północ. Tym razem wydawało jej się, że zobaczyła coś na południowym zachodzie: czarną kropkę na tle szarości. Gdy się w nią wpatrywała, plamka zaczęła znikać.

Nie odrywając od niej wzroku, wyjęła monetę i zrobiła znak na metalowej barierce. Gdy skończyła, plamki już nie było. Wszystko, co po niej zostało, to wyskrobany ślad i czarna kropka na jej siatkówce. Patrząc na srebrzystą kreskę, oceniła swoje położenie względem widzianego punktu: mniej więcej dwieście stopni. To „mniej więcej” mogło oznaczać ogromny obszar.

Wróciła do biura przystani. Wciąż nikogo tam nie było. Ale tym razem na kontuarze leżała kartka: WRACAM ZA PIĘĆ MINUT. Weszła do pokoju szefa przystani. Z boku biurka stało CB radio. Włączyła je, wcisnęła czerwony przycisk i powiedziała do mikrofonu: — Przystań San Francisco do *Pop-Up*. Przystań do *Pop-Up*. Zgłoś się. — Puściła przycisk. Z głośnika popłynęły tylko szумы. — Przystań do *Pop-Up*. Teddy, zgłoś się. — Szum. Słuchała go przez chwilę, zanim wyłączyła radio.

Obok biura znajdował się mały dok. Brama była otwarta. Beth znalazła szefa przy podnośniku widłowym: na widelkach chwiały się jakiś silnik. Szef przemoczony był do suchej nitki i umazany smarem. Widząc Beth, krzyknął: — Nic nie mogę ci teraz naprawić. Pablo zrezygnował i jestem sam.

- Chcę wypożyczyć motorówkę — odkrzyknęła.
- Dzisiaj?
- Tak. Ale nie na narty.
- Dwadzieścia dolicz za godzinę. I wróc przed siódmą.

Silnik zaryczał. Koła wózka obracały się w miejscu. Spojrzała na zegarek: 16:30. Do szóstej się ściemni.

Zawieszając lornetkę na szyi, podeszła do pomostu. Motorówka stała przycumowana na końcu. Była to sześciometrowa łódź z pulpitem sterowniczym pośrodku i dwoma wielkimi silnikami. Beth weszła na pokład i przekreśliła kluczyk. Motory zagłuszyły wszystkie inne dźwięki: padający deszcz, fale bijące o burty, jej własny oddech.

Odwiązała linę i wrzuciła bieg. Wypłynęła, powoli mijając miejsca do cumowania. Przesunęła dźwignię do oporu. W przyptywie mocy dziób uniósł się wysoko, a kompas zawirował jak szalony. Później grawitacja

ustawiła łódkę jak należy. Igła busoli przestała się obracać. Beth skierowała się w stronę mostu i kręciła sterem, aż kompas wskazał dwieście stopni.

Poza Zatoką morze było bardziej niespokojne. Mała łódź podskakiwała na falach, nie reagując na polecenia steru. Beth ściągnęła buty i mocno oparła stopy o pokład. Starła się utrzymać kurs pomiędzy 190 a 210 stopniami. Deszcz chłostał ją po twarzy, przemaczając wełnianą sukienkę z długimi rękawami i jasnioletową lamówką. Po chwili suknia przylepiła się jej do całego ciała. Oglądając się za siebie, stwierdziła, że przystań skurczyła się do rozmiarów makiety z pudełek i patyków. Łódź zostawiała za sobą ślad w kształcie litery „V”.

Beth przymrużyła oczy i rozejrzała się. Znad horyzontu nadciągały ciemnoszare masy chmur. Nie widać było żadnej czarnej plamki. Oceniała, że jej pole widzenia rozciąga się na około szesnaście, siedemnaście kilometrów. Próbowwała dodać gazu, ale łódka już płynęła z pełną prędkością.

Gdy obejrzała się następnym razem, most wyglądał jak budowla z klocków. San Francisco stanowiło rozciągniętą na wzgórzach, pofałdowaną skorupę.

Po chwili zwolniła i wzięła lornetkę. Nie zobaczyła nic poza ciemnoszarą mgłą nadciągającą z zachodu. Nie podobało jej się to; kilkanaście lat temu, gdy pływała z ojcem przy takiej widoczności, prawie wpadł na nich frachtowiec. To ojciec nauczył ją żeglować. Miał niezgrabnego, ale dobrego starego dwumasztowca o wdzięcznej nazwie *Sójka* („Właśnie dlatego kupiłem tę krypę.”). Jego kumple z show biznesu nigdy na nią nie wchodzili; podobnie jak matka, która zawsze cierpiała na chorobę morską; łódź należała wyłącznie do Beth i jej taty, odkąd tylko skończyła cztery lata. Na morzu ojciec był inny: żadnych żartów, żadnej gadki-szmatki. Na lądzie był zawałowcem, aż do czasu, gdy któryś z kolei atak serca zabił go w drodze ze studia na łódź.

Morze zaczęło przycichać. Deszcz przeszedł w mżawkę. Pierwsze pasma mgły pełżyły w stronę motorówki. Obejrzała się. Łąd zniknął za krzywizną ziemi.

Mgła otuliła ją w końcu, gęsta i wilgotna. Tłumiła dźwięk silników. Łódź płynęła w małej półkuli własnego światła. Beth trzymała się kursu, z przepustnicą otwartą do oporu. Nie brała już lornetki; i tak nie mogłaby zobaczyć niczego, co znalazłoby się dalej niż sto metrów od niej. Szybko widoczność spadała do trzydziestu. Zamknęła przepustnicę i czekała, aż zza mlecznej zasłony wyłoni się jakaś łódź. Żadna nie wypłynęła. Wrzuciła na luz, wyłączyła silniki i nasłuchiwała.

Słyszała, jak fale biją o kadłub, i to było wszystko. Żadnych innych silników, łopoczących żagli czy trzeszczących masztów. Morze pod nią wznosiło

się i opadało jak pierś oddychającej ziemi. Mogła to być taka wspaniała chwila.

— Teddy! — zawołała. I jeszcze raz, na cały głos: — Teddy!

Nikt nie odpowiadał. Nie było nawet echa; zostało stłumione przez mgłę.

Deszcz ustał. Wiatr zamilkł. Ściemni się za mniej niż godzinę. Bez wiatru Teddy będzie musiał wrócić do przystani na silniku. Beth starała się usłyszeć warkot.

Mgła zacieśniała się wokół niej, ciemniejąc wraz z zapadaniem zmierzchu. Beth włączyła silniki. Postanowiła trzymać się kursu jeszcze przez dziesięć minut, płynąc z połową prędkości. Później skręci na północ i będzie płynęła przez kolejne dziesięć minut, następnie skręci na wschód, południe, i znowu na zachód, aż zrobi kwadrat. Co pięć minut będzie się zatrzymywać i słuchać, czy skądś nie dobiegnie warczenia silnika.

Przez trzy minuty trzymała się południowo-zachodniego kursu, walcząc z wrażeniem, że popłynęła za daleko. Pozbyła się go i przekreśliła koło sterowe w prawo. Płynęła jeszcze dwie minuty, wyłączyła silniki i nasłuchiwała.

Nic.

Płynęła dalej. Mgła wokół niej zgęstniała, przesłaniając dziób. Włączyła bieg jałowy i dryfowała, ślepa i nieważka, jakby we śnie unosząc się w ciemnej chmurze.

Nagle wydało jej się, że zobaczyła jakiś cień po lewej stronie. Wytężyła wzrok. Nic. Szybko wyłączyła silniki i nasłuchiwała. Najpierw słyszała tylko warkot motorów, wciąż dudniący jej w uszach. Później, gdzieś na lewo, doszedł ją odgłos zamykanych drzwiczek: lekkich, drewnianych, takich jak na ich żaglówce.

— Teddy! — wrzasnęła.

Drzwi się otworzyły. Wydało jej się, że słyszy także odgłos bosych stóp na drewnianej powierzchni.

— Teddy! Odpowiedz mi!

Ale na odpowiedź nie było czasu. Stożek wody wyskoczył z morza kilka centymetrów od lewej burty. Czarna, metalowa rura przebiła go i wzniosła się do poziomu jej głowy. Końcówka rury była zagięta i zakończona dużym, szklanym okiem. Oko obracało się, aż znalazło Beth. Utkwiło swoje puste spojrzenie w jej twarzy. Beth zamarła.

Morze się zakotłowało. Z głębin wyskoczyła ciemna, ociekająca wodą płetwa, wznosząc się nad nią, wielka jak dom. Wtedy motorówka zaczęła unosić się wysoko nad wodę. Puste oko wciąż na nią patrzyło. Przez chwilę łódka zakolysała się, jakby była na szczycie pagórka. Ciężkie silniki

przechyliły ją do tyłu. Motorówka przecięła powietrze i z hukiem walnęła w twardą stal.

Uderzenie pozbawiło Beth tchu. Bezradna, poślizgnęła się na mokrym pokładzie. Usłyszała trzask rozdieranego drewna. Jeden z silników odbił się koło jej głowy i łukiem wleciał do wody. Za moment ona też poszybowała: długi upadek do lodowatego morza. Runęła głęboko w ciemność.

Czerń dookoła przygniatała jej pierś. Rozchyliła wargi, aby zaczerpnąć powietrza. Słona, lodowata woda wypełniła jej usta. Zaciśnęła szczęki. W ciemności wyczuła coś jeszcze ciemniejszego, coś ogromnego, poruszającego się obok niej; czuła wibracje. Odbiła się od tego z całej siły.

Powietrze. Wypełniła nim płuca. Wokół widziała tylko czerń. Czerń przeszła w biel z czarną otoczką. Zimna fala chlusnęła jej w twarz. Połknęła trochę wody i zakasłała. Biel z czarną otoczką znikła. Widziała już normalnie: wokół szare morze, nad nią szara mgła. Ani śladu motorówki, jachtu czy czarnej płetwy.

Gdzieś niedaleko usłyszała zgrzyt metalu o metal. Słyszała także przytłumione przez mgłę ludzkie głosy. Nie mogła rozróżnić słów; nie była nawet pewna, czy rozmawiają po angielsku. Zaczęła płynąć w stronę dźwięków, od czasu do czasu wychylając głowę z wody, aby posłuchać.

Głosy przybliżyły się. Ciężkie metalowe ogniwa dudniły o drewniany pokład. Metal zgrzytnął o metal. Nagle gdzieś niedaleko z morza wydobył się świszczący dźwięk, jaki słyszała po raz pierwszy w życiu. Czekwała na inne odgłosy. I nic. Cisza.

Płynęła dalej. Gdy uniosła głowę, ujrzała przed sobą majaczący szary kształt. Wiedziała, co to jest, i płynęła najszybciej, jak mogła.

Jej dłoń uderzyła w coś twardego. Podniosła głowę i zobaczyła namalowane na burcie niebieską farbą: *POP-UP. SAN FRANCISCO*. Podpierając się na sterze, chwyciła za reling i podciągnęła się na pokład. Dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie tylko majtki.

— Teddy?

Nie było go ani przy sterze, ani nigdzie na zewnątrz. Drzwi prowadzące pod pokład stały otworem. Weszła. Teddy'ego ani śladu. Na stoliku do map stał kubek. Z kawą. Umoczyła w niej palec: jeszcze ciepła. Uniosła kubek do ust: bez cukru i z dużą ilością śmietanki. Taka, jaką lubił. Przy zlewie znalazła grubą, prostokątną paczkę, przewiazaną czerwoną wstążką. Charakterem Teddy'ego było napisane jej imię. Rozdarła papier. W środku znajdowała się książka: *Chiński dla turystów*.

Wróciła na pokład. — Teddy?

Zaczęła sprawdzać wszystkie skrytki. Gdy zbliżyła się do dziobu, zauważyła ciężki łańcuch, który nie stanowił wyposażenia jachtu. Przymocowany

był do knagi kotwicznej. Biegł przez przedni pokład i na dziobie wpadał do wody. Schyliła się, aby mu się lepiej przyjrzeć, gdy nagle się naprężył. Dziób zaczął się zanurzać. Jacht zadrżał. Beth czuła, jak coś rozdziera się pod jej stopami. Pootwieraly się szafki. Szklanki się potłukły.

Z wolna dziób nachylał się w stronę wody. W końcu zanurzył się. Beth chwyciła za reling, aby utrzymać równowagę. Na chwilę jacht znieruchomiał. Nagle jednym szarpnięciem został wciągnięty pod wodę.

Uderzenie wyrwało reling z jej rąk. Pod nią *Pop-Up* schodził szybko coraz głębiej. Powstały wir starał się wciągnąć i ją, ale wkrótce się poddał. Beth z trudem wychnęła na powierzchnię.

Płynęła powoli, rozglądając się na wszystkie strony. Widziała tylko mgłę, ale i ona zaczęła znikać; była prawie noc. A łódź była tak odległa. Dobrze pływała, jednak ziemia leżała zbyt daleko, by dotrzeć do niej w zimnych wodach Pacyfiku. I tak nie miało to znaczenia — nie wiedziała nawet, w którą stronę się skierować.

Płynęła, aż zapadła noc.

6

Dokoła panowała ciemność. Powietrze było zimne, a morze jeszcze zimniejsze. Szczękała zębami. Próbowwała zacisnąć szczęki, ale mięśnie nie reagowały. Pod swą powierzchnią Pacyfik wysysał z niej całe ciepło, robiąc jej to, co robił wszystkim bezradnym stworzeniom; nie przez złośliwość bynajmniej — taka już była jego natura. Nikt nie mógł przeżyć długo w tak zimnej wodzie — najwyżej kilka godzin, ale nie od zmierzchu do świtu. Trzęsa się ze strachu; usłyszała, że lka — cicho i cienko, ledwie by ją było słychać po drugiej stronie ulicy. Łzy zalały jej oczy i spłynęły po policzkach: były ciepłe.

Przestań, przykazała sobie. *Nie pozwól, żeby ocean cię zabił. Nie rycz jak przedszkolak.* Przygryzła wargi, żeby pokazać sobie, że jest dorosła. Przestała płakać. Wzbierający w jej gardle szloch poddał się i wycofał z powrotem do piersi, gdzie mogła go kontrolować.

Płynęła dalej. *Myśl o tym, co robisz* — powtarzała sobie. Równo pracowała nogami, jej ręce gładko przecinały powierzchnię wody. Ale to nie wystarczyło do zaprzątnięcia umysłu; wkrótce myślała o tym, co ją czeka, o lodowatej czerni pod spodem. Rekiny i inni padlinożercy w zimnokrwistym

świecie. Jej własna krew też powoli stawała się zimna. Płacz począł kielkować jej w krtani.

— Beth! — krzyknęła z furją, uwalniając z gardła szloch, któremu nie dała wybrzmieć.

Wciąż szczykała zębami, a jej ciało drętwiało. Jednak w środku czuła się spokojniejsza. W myślach przerzucała obrazy. Skupiła się na jednym: kubek na jachcie z jeszcze ciepłą kawą.

Teddy. Gdzie jesteś?

Han Shih.

Tun-li.

„Wiesz, kocham cię” — powiedział tamtego wieczoru.

To dlaczego odszedłeś? Dlaczego nie zadzwoniłeś i przynajmniej nie powiedziałaś: „Jestem przygnębiony, chodźmy pozełgować, ślub weźmiemy kiedy indziej”? Dlaczego? Gdzie jesteś? Czy kochasz mnie, Teddy Tun-li?

Znowu zaczął narastać w niej szloch.

— Beth! — krzyknęła na siebie po raz kolejny.

Była zachrypnięta. Ledwie mogła wymówić swoje imię. To był zły znak.

— Kubek z kawą — powiedziała starannie. Teraz było lepiej.

Ale niewiele. Zresztą po co to? On już tam oczywiście był; był na zimnym, czarnym dnie. Wkrótce spotkają się tam we dwójkę. We trójkę.

— Beth!

Charczała coraz bardziej. Z jej ust dobywał się jedynie bezkształtny bełkot zaczynający się na *B*.

— Kubek z kawą.

Zatruta herbata. Zabili go. I ja. I dziecko.

— Beth! — A później: — Tun-li. — W swoim głosie słyszała złość.

Wokół niej połyskiwały maleńkie, załamujące się księżycy. Jak długo już tak lśniły? Spojrzała w górę. Mgła znikła. Niebo było czyste. Księżyc świecił nad nią: okrągły i srebrzysty. Gdzie wszedł wczoraj? Nad Zatoką. Na wschodzie. Teraz nie miała już wymówki, żeby nie płynąć. Wiedziała, gdzie jest brzeg.

Płynęła. Lewa ręka do góry, w przód, pociągnięcie. Prawa do góry, w przód, pociągnięcie. Na pierwszym roku w Stanford pływała na czterysta metrów dowolnym. Miała czas 4:17. Wystarczająco dobry, aby wejść do drużyny, ale nie żeby wygrać. Lewa ręka, prawa ręka. Woda była jej żywiołem. Uniosła głowę; księżyc był daleko. O tak, woda była jej żywiołem. Lewa ręka, prawa ręka. *Staram się, trenerze, staram się.*

„Jesteś najsilniejszą dziewczyną, jaką mam — mówił trener Gibbons. — Musimy tylko popracować nad twoją techniką”.

Kubek z kamą, zatruta herbata.. Kubek z kawą, zatruta herbata.

Po chwili zdała sobie sprawę, że nie pracuje nogami. Co to była za technika? Zaczęła nimi machać.

Tak już lepiej. Pociągnięcie, wymach. Teraz poczuła, że naprawdę płynie: może na 4:10, może szybciej, może dość szybko, by wygrać. Pociągnięcie, wymach. *Nikt nie czuje się w wodzie lepiej niż ty, Beth. Nikt.*

Podniosła głowę. Księżyc zniknął. Przestała płynąć. W końcu znalazła go: za sobą.

— Beth!

Odwróciła się i podjęła swą walkę. Pociągnięcie, wymach. *Teraz nie płyn na czas. Tylko dopłyn. Kubek z kawą, zatruta herbata.*

Po prostu płyn w stronę księżycy, Beth. Dasz radę. Odnalazła rytm. Pociągnięcie, wymach. Jedynym problemem była jej lewa ręka; nie do końca wyciągała ją z wody. To bez znaczenia. Dawała sobie radę i bez niej. Prawą zawsze miała silniejszą. *Płyn w stronę księżycy.*

Tylko gdzie on był?

Zatrzymała się i rozejrzała. Chwilę to trwało, zanim go odnalazła: wysoko nad sobą. A to znaczyło, że nie świecił już na wschodzie.

Gdzie był wschód? Rozejrzała się po niebie, ale księżyc nie zostawił po swej wędrówce żadnego śladu. Widziała tylko gwiazdy. Gwiazdy! Ojciec uczył ją o gwiazdach. Powiedzą jej, gdzie jest wschód. Położyła się na plecach i wpatrywała w jasne kropki. Ale jakoś nie układały się w znajome konstelacje. Nie mogła nawet znaleźć Oriona, łowcy. Gwiazdy okazały się bezużyteczne. Odległe światło niedające ciepła. A ona potrzebowała ciepła. Było jej bardzo zimno.

Coś uderzyło ją w tył głowy. Przygotowała się na śmierć.

Ale nie umarła. Jeszcze jedno uderzenie, nie tak silne jak pierwsze, niemalże przyjazne. Odwróciła się i zobaczyła silnik kołyszący się na małej łodzi. Część rufy była rozerwana. Woda wlewała się przez dziurę na pokład — do jej motorówki.

Była głęboko zanurzona. Nawet niezniszczona część rufy ledwie wystawała nad wodę. Beth złapała za krawędź i podciągnęła się. Ześlizgnęła się do wody. Spróbowała jeszcze raz. I jeszcze.

Jej ręce były słabe. Wciąż spadała do morza. Ostatnim razem zanurzyła się całkiem. Wypłynęła, prychając i szukając łodzi.

Nie odpływaj, łódeczko.

Włożyła dłonie do buzi, najpierw jedną, potem drugą. Palce miała zimne i miękkie. Trzymała je w ustach liżąc, tak jak pies liże swoje rany. Po chwili

spróbowała jeszcze raz wdrapać się na motorówkę. Lewa ręka straciła uchwyt, potem prawa. Po raz kolejny zsunęła się do wody. Wypląnęła, parskając.

Łódź unosiła się na swoim miejscu.

Beth znowu wetknęła palce do buzi. Trzymała je tam długo, starając się przywrócić im czucie. Księżyc ześlizgiwał się wolno po kopule nieba.

— No, już — rzekła w końcu. Nie dotarł do niej żaden dźwięk.

Chwyliła krawędź rufy i podciągnęła się. Lewa ręka straciła uchwyt, ale prawa się trzymała. Wciągała się. Jej głowa była już na poziomie górnej krawędzi. Wpiła się w nią zębami. Dźwignęła się. Machnęła nogami. Przełożyła ramię, a potem pierś nad rufą. Burta wbijała jej się pod żebra, ale nie czuła bólu.

Powtórzyła: — No, już. — Znowu bezgłośnie. Podciągnęła ciało. Machnęła nogami. Wpadła do łodzi.

Przez długą chwilę leżała trzęsąc się na pokładzie. Był mokry. Woda powoli zbierała się wokół niej. Podpełzła na dziób. Tam było sucho. Trzęsła się i patrzyła na gwiazdy. Księżyc zniknął z pola widzenia. Gwiazdy przygasły. Mlecznobiałe światło wyciekało przez dziurę gdzieś na wschodzie. Usiadła.

Woda zaczęła podchodzić w stronę dziobu. Zerwał się wiatr. Lekko wzburzone fale przelewały się przez rufę. Wiedziała, że łódź miała podwójny kadłub. Pomiędzy dwiema warstwami wcześniej znajdowało się powietrze — teraz woda. Tonąła.

Przeçoła się do tablicy rozdzielczej i z trudem ustała na nogach. Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce. Przekręciła. Nic. W skrytce pod konsolą znalazła nylonową linę dojazdu na nartach i małą, ręczną pompkę. Na końcu liny zrobiła węzeł i podeszła do silnika. Jeśli usunie pokrywę, będzie mogła obwiązać linę wokół koła zamachowego i zapalić silnik ręcznie.

Kłapa przymocowana była dwoma zaciskami. Beth nie mogła zmusić dłoni, żeby się wokół nich zamknęły. Włożyła palce do buzi. Nic nie pomogło. *Odkręć cały silnik*, pomyślała. *Wypchnij go. Zyskaj na czasie*. Ale nawet nie próbowała.

Niebo pojaśniało. Lecz to tylko rozżościło ocean. Wzburzone fale rzuciły się na małą łódkę, która, pełna wody, kołysała się ociężale. Beth wzięła pompkę. Na jednym końcu znajdowała się mała rączka, na drugim wężyk. Przewiesiła wężyk przez burtę i usiadła w wodzie na rufie. Umieściła urządzenie między nogami i prawą ręką zaczęła pompować.

Woda pocięła z wężyka, lecz łódka tonęła nadal. Beth machała dalej.

Pompuj. Pompuj. Jej oczy utkwione były w strumyk wody wyciekający z wężyka. Nie oglądała się aż do czasu, gdy odpadła rączka. Z pompy

wyskoczyła sprężyna i wpadła do wody. Beth rzuciła przyrząd i zaczęła płakać, wydając z siebie niemy szloch rozpaczny.

— Beth! Beth!

Nie mogła przestać.

Kraweźdź rufy już się zanurzyła. Łkając, zaczęła wylewać wodę rękami.

Wysoko nad nią niebo także się rozzłościło. Zaczęło na nią głośno powarkiwać. Nie podnosiła wzroku. Wciąż wylewała wodę. Aż wyrósł nad nią mężczyzna w uprzęży.

— Jezu Chryste, jest całkiem sina*.

— Nie jestem sina, jestem Beth — odpowiedziała, ale on wydawał się jej nie słyszeć, chociaż spoczywała w jego ramionach.

* Nieprzetłumaczalna gra słów: sina to po angielsku *blue*, tak jak imię kobiety na przystani.

Razem wzniesli się w powietrze. Mężczyzna owinął ją kocem. Ciepły płyn spłynął jej do przełyku.

— Ostrożnie — krzyknął ktoś inny. — To wrzątek.

— Nie. Jest dobra — zapewniła, lecz nikt jej nie słyszał. Odlecieli. W dole pod nimi pojawiło się miasto. Wylądowali na jakimś dachu. Ludzie w zielonych strojach ułożyli ją na noszach i wnieśli do budynku. Położyli ją na łóżku. Kobieta w bieli uśmiechnęła się.

— Zdejmujemy pani te mokre majtki — powiedziała, mocując się z nimi. — O Boże — dodała.

Beth spojrzała w dół. Poroniła.

7

Umowa już podpisana?

— Umowa?

— No wiesz, centrum handlowe San Mateo.

— A, tak. Podpisaliśmy dziś rano. Namówiliśmy bank, J.C. Penny'ego i A&P. Wszystkich na długoterminową dzierżawę.

— Ile z tego będziesz miał?

— Dużo. Bardzo dużo.

Przeciągly gwizd. — No, no. To może następnym razem, jak nadarzy się taka okazja, dasz i mnie znać...?

— Masz to jak w banku.

Ktoś dotknął jej lewej dłoni. — Co o tym myślisz?

— Trzeba będzie jej amputować paliczki paznokciowe.

— Wcale nie — wtrąciła Beth, otwierając oczy.

Stało nad nią dwóch mężczyzn. Byli mniej więcej w jej wieku, opaleni, równo ostrzyżeni. Gdyby nie białe fartuchy, wyglądałoby jak zawodowi gracze w golfa. Litery na ich identyfikatorach rozmywały się jej przed oczami.

— Co jej podają? — zapytał jeden.

Drugi przejrzał kartę. — Demerol. Dziewięćdziesiąt mililitrów.

— Obniżyć do sześćdziesięciu.

— Dobra.

— Paliczki paznokciowe zostają na swoim miejscu — powiedziała Beth.

Uśmiechnęły się do niej z rozbawieniem. Jeden miał małe, białe zęby. Drugi miał żółte i jeszcze mniejsze niż pierwszy.

— Paliczki paznokciowe — powiedział Białozęby. — A cóż to takiego, łaskawa pani?

— Końcówki palców — odparła. — Myślicie, że tylko na tej waszej medycynie tego uczą?

Uśmiechy znikły z ich twarzy.

— Jak się nazywa? — zapytał Białozęby.

Żółtozęby zerknął w kartę. — Elizabeth Hunter.

— Słuchaj, Liz — zwrócił się do niej Białozęby. — Chcemy dla ciebie jak najlepiej.

— Tak — potwierdził Żółtozęby. — W takich sytuacjach trzeba umieć wybrać mniejsze zło.

— Mniejsze zło?

— Tak. To lewa ręka. Nie jesteś leworęczna, prawda?

— To wcale nie znaczy, że dam ją sobie obciąć.

Białozęby spojrział na zegarek. Cokolwiek tam zobaczył, zirytowało go to.

— Liz, wiem, że jesteś teraz na prochach, ale spróbuj skupić się na tym, co do ciebie mówię. Rozmawiamy tylko o końcówkach palców, małuszkich końcówkach. Centymetr, może półtora, nie więcej. Przysięgam.

— Nie jesteś chyba pianistką, Liz? — zapytał Żółtozęby. — Ani łapaczem u Giatns?

— Chcesz stracić całą dłoń? — zapytał Białozęby. — A może i ramię?

Pochylili nad nią głowy i czekali na odpowiedź.

— Nie mówcie do mnie Liz.

— Jezu. Dobra. A jak byś chciała — pani, panno? Czy ty w ogóle widziałas tę swoją cholerną rękę?

Beth spojrzała w dół. Palce były sine i nabrzmiałe, paznokcie fioletowo-czarne.

— Tak już lepiej. — Białozęby się uśmiechnął. Żółtozęby też. I wyszli.

Przez chwilę wpatrywała się w swoją dłoń. Pomyślała o matce. Wzięła telefon stojący przy łóżku i prawą ręką zaczęła wykręcać numer. Przerwała. Wcisnęła guzik i zaczęła jeszcze raz, lewą. Nie słuchała jej. Długą chwilę trwało, nim zdołała wykręcić tylko pierwszą cyfrę; dokończyła prawą ręką.

— Dzień dobry — odezwał się Teddy. — W tej chwili nikogo nie ma w domu. Po sygnale proszę zostawić wiadomość.

Zamknęła oczy i zobaczyła morze. Jego obraz nie opuszczał jej, dopóki nie zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, na krześle przy łóżku siedział mężczyzna. Miał grube nadgarstki, siwe, krótko przystryżone włosy i toporne rysy twarzy. Jego głos dudnił z głębi piersi.

— Dzień dobry, panno Hunter. — Spojrzał na nią. — Twarda z pani sztuka. Nazywam się Gomez, jestem kapitanem Straży Przybrzeżnej. Chciałbym zadać pani kilka pytań, jeśli czuje się pani na siłach, by na nie odpowiedzieć.

— Chcą mi tylko odciąć palce. Poza tym wszystko w porządku.

— Zobaczymy. — Wziął jej rękę w swoje duże, ciepłe, suche dłonie. — Widywałem już gorsze przypadki. Niech im się pani nie daje.

Jak na kapitana Straży Przybrzeżnej, wydawał się mieć dość mało szacunku dla autorytetu. Widocznie zauważył zdziwienie Beth, ponieważ uśmiechnął się szelmowsko i powiedział:

— Od czasu do czasu muszą coś odciąć. Inaczej utracą swój mistycyzm.

To stwierdzenie człowieka o topornej twarzy tak ją zaskoczyło, że już chciała go poprosić o okazanie dokumentów. Ale nie było to konieczne: miał na sobie granatowy mundur z czterema złotymi paskami na rękawie.

— Co chce pani wiedzieć? — zapytała.

— Na początek może, co pani robiła w motorówce dwadzieścia pięć kilometrów od brzegu? — Nie pochylił się w jej stronę ani nie zmienił tonu, ale w jego głosie dało się wyczuć czujność, która zagęściła atmosferę w pokój.

— Szukałam *Pop-Upu*. To mój jacht. Ja... Wydaje mi się, że był na nim mężczyzna, z którym mieszkam.

Słuchała własnych słów. Czy wydała się przez nie wyjątkowo wrażliwa? Czy po prostu głupia?

— Co nasunęło pani takie przypuszczenie? — Jego głos tym razem zabrzmiał jakby ostrzej.

Wiele rzeczy. Ale trudno je było ze sobą połączyć. — Jego buty leżały na pomoście.

— A gdzie są teraz?

— Nie jestem pewna. Chyba były w motorówce. Gdzie ona jest?

— Na dnie.

Nastąpiła długa cisza. Zabrzmiał gong, a potem kobiecy głos powiedział: — Doktor Perkins, doktor Perkins proszony.... — *Gong*. — Doktor Stottlemeyer, doktor Stottlemeyer proszony...

Beth zaczynała boleć ręka.

— Czy znalazła go pani? — cicho zapytał Gomez.

Spojrzała na niego; on popatrzył na nią.

— Dziwne pytania pan zadaje.

— Czyżby? — Patrzyli na siebie. — W takim razie wycofuję je. *Gong*. — Doktor Weinberg, doktor Weinberg...

— Czy widziała pani swój jacht? — zapytał.

— Byłam na nim.

Zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się. Opowiedziała mu o *Pop-Upie*. O kubku z kawą. I o tym, jak jacht zatonął. Zmarszczki pogłębiły się jeszcze bardziej.

Beth podparła się, gotowa usłyszeć kolejne pytanie, ale Gomez już ich nie zadawał.

— Rozmawiałem z pani matką — powiedział.

— Gdzie ona jest?

— Jedzie tutaj. — Wstał i podszedł do okna.

Beth patrzyła na jego profil. W świetle słonecznym twarz kapitana wyglądała na starą i zniszczoną. Patrzył na zewnątrz, ale Beth wiedziała, że nic nie widzi. W końcu usłyszała płynące z głębi piersi ciche słowa:

— Czy nie chce pani zmienić swojej opowieści?

— Co pan ma na myśli?

— Rozumiem, że się pani denerwowała, panno Hunter. Ale przysporzyła nam pani masę roboty. To było nie w porządku.

— Co pan sugeruje? — Do jej ciała dotarło to wcześniej niż do umysłu; poczuła krew napływającą do głowy. — Że ukartowałam to wszystko?

Gomez podniósł wielką dłoń jak policjant kierujący ruchem.

— Skądże. Chodzi tylko o to, że czasami, gdy jesteśmy pod presją, umysł płata nam figle. Szczególnie na morzu. A tym bardziej w nocy, kiedy jest się samemu.

— O jakiej presji pan mówi? — Wstała z łóżka w nagłym przypływie złości. Zrobiła krok w kierunku Gomeza. Nagle coś wyssało powietrze z pokoju. Gdy upadała, oślepiła ją biel...

Na dnie oceanu twarzą w dół leżał mężczyzna. Zanurkowała i odwróciła go. Teddy. Jego oczy były pełne piasku. Objął ją i wpił w nią swoje wargi. Jego pocałunek był wodnisty. Słony strumień wypełnił jej usta. Próbowwała się uwolnić, ale nie chciał jej puścić. Mogła tylko otworzyć oczy.

Gomeza już nie było. Matka zajęła jego miejsce na krześle przy łóżku. Miała ciemne okulary i papierosa w dłoni. Beth poczuła, że zbiera się jej na wymioty.

— Odlóż go, proszę.

— Przepraszam, kochanie — odrzekła. Zaciągnęła się po raz ostatni i zgasiła papierosa, ale niedokładnie. Wciąż kopał.

— Co powiedziałaś Gomezowi?

— Gomezowi?

— Kapitanowi ze Straży Przybrzeżnej. Czy musisz nosić te okulary?

Zdjęła je. Beth natychmiast pożałowała, że to powiedziała — nie chciała patrzeć w oczy, które były przekrwione, zapijaczone i błagały o litość.

— Nic mu nie powiedziałam, kochanie. Tylko o... ślubie. — Zaczęła płakać. Próbowwała uśmiechnąć się przez łzy. — Przyniosłam ci kwiaty.

Beth popatrzyła: jasnoczerwone gladiole w wazonie przy oknie. Zamknęła oczy.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Spadł widelec. Zapłakało dziecko. Na swojej ręce poczuła dłoń matki, wilgotną i kościstą.

— Co ci jest, Beth?

— Jestem tylko zmęczona. To wszystko.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

Beth poczuła burzę łez, zbierającą się gdzieś za oczami. Tam, gdzie mieszkała jej matka, nawałnice zawsze wisiały na włosku, a ona przywiozła tę niepogodę ze sobą.

— Nic. Niczego nie potrzebuję. A w ratuszu byłaś wspaniała.

— Ja? — zapytała matka samokrytycznie. — A co ja takiego zrobiłam? Jestem bezużyteczna.

Tego już było dla Beth za wiele. Burza łez rozpełtała się w końcu. Wyciągnęła rękę w stronę matki i przyciągnęła ją do siebie.

Szybko przestała płakać. Za to matka wciąż szlochała w jej ramionach. Beth czuła zapach papierosów i soku pomidorowego.

— Co się dzieje? — spytała, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Burza minęła. Matka wróciła na krzesło przy łóżku i założyła okulary.

— Jakie masz plany? — zapytała Beth.

— Jakie tylko chcesz, kochanie. — Jej oczy poruszały się za ciemnymi szklami. — Choć kiedyś będę musiała wrócić do domu. Paquita podlewa mi kwiaty, ale jutro wyjeżdża na wakacje.

— To lepiej wracaj, mamó. Dam sobie radę.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— No cóż, skoro jesteś pewna...

Beth zamknęła oczy i na wpół zasnęła. Suche usta musnęły jej policzek. Usłyszała oddalające się kroki. Zapadła w sen.

— Obiad — oznajmiła głośno jakaś kobieta, zdejmując tacę z wózka na kółkach.

Beth otworzyła oczy i spojrzała na jedzenie: żółty sok pomarańczowy, brązowa sałatka, szare mięso, czarna tarta. Zjadła wszystko, co do okruszyny.

Po obiedzie trenowała wykręcanie numeru lewą ręką. Robiła to powoli i niezgrabnie. Bolała ją dłoń. Wykręcała dalej. Bolało ją jeszcze bardziej, ale robiła to trochę sprawniej i szybciej.

Ktoś zapukał do drzwi. — Proszę.

Wszedł mężczyzna, żywcem jak z reklamy Brooks Brothers*. Mógł być bankierem lub prawnikiem. Lecz w jego oczach nie było nawet odrobiny serdeczności. Tęczówki miał prawie bezbarwne, co nadawało oczom wygląd czarnych dziur w białej przestrzeni. Beth pomyślała, że jest lekarzem.

* Brooks Brothers - dom towarowy w Nowym Jorku słynący z konserwatywnej mody męskiej.

Podszedł do łóżka i zerknął w jej kartę. Ich spojrzenia się spotkały. Popatrzył na jej lewą dłoń. *Może jest psychiatrą*, pomyślała. Rozzłościło ją to.

— Czy jest pan psychiatrą?

— Nie. Chcę tylko z panią porozmawiać.

— O czym?

— O tym, co powiedziała pani Gomezowi. I o paru innych rzeczach.

— Jest pan lekarzem?

— Nie.

To dlaczego patrzyłeś w moją kartę?

— Czy jest pan ze Straży Przybrzeżnej?

Nie miał jednak opalenizny cechującej ludzi pracujących na morzu. Opalony był jak ktoś, kto gra w tenisa trzy razy w tygodniu i popija gin z tonikiem na tarasie w klubie.

— Współpracuję z nimi — odpowiedział. — Próbuję ustalić, co się stało zeszłej nocy.

— Powiedziałam mu, co się stało.
— Gomezowi? Obawiam się, że pani nie uwierzył. Myśli, że miała pani halucynacje wywołane histerią.

— Nie jestem histeryczką.

Jednak słysząc swój głos, nie była tego wcale taka pewna. Być może samo podejrzenie o histerię samoczynnie wywoływało ją w każdej kobiecie.

— Nie jestem histeryczką — powtórzyła, zmieniając ton głosu i patrząc mu prosto w oczy.

Teraz zabrzmiało to dużo lepiej. Ledwo powstrzymała się od powtórzenia tego raz jeszcze. To prochy. Poczula, jak zakłopotana czerwieni się na twarzy. Cały czas świdrowały ją jego oczy. Mógł przekazać nimi wiele reakcji, kiedy mówiła — rozbawienie, złość, znudzenie. Jednak pozostawały obojętne. Odwróciła wzrok.

— Niech się pani za bardzo nie złości na Gomeza — powiedział. — On może uwierzyć w jedną z dwóch wersji. Wersja pierwsza: znalazła pani jacht dwadzieścia pięć kilometrów od brzegu, pani motorówka została wywrócona przez łódź podwodną, która później wciągnęła jacht pod wodę.

Wersja druga: facet zmajstrował pani dziecko, porzucił panią, dostała pani świra i odegrała to całe przedstawienie, żeby jakoś się wytłumaczyć przed znajomymi. To pierwsze jest mało prawdopodobne: drugie — zdarza się co dzień.

Beth znenawidziła go. Początkowo była to pałaca wściekłość, jaką zawsze odczuwała w obliczu grubiaństwa czy agresji, jednak zamiast minąć, przerodziła się w zimną nienawiść wywołaną dobozem słownictwa, na przykład gdy mówił o „zmajstrowaniu” jej nieżyjącego dziecka. To chłodne uczucie zaważnęło ją teraz całkowicie, stało się lekiem na histerię, nie domagając się nawet uzewnętrznienia.

— Jak się pan nazywa? — zapytała.

— Lathrop.

Spodziewała się tego rodzaju nazwiska.

— Czego pan ode mnie chce, panie Lathrop?

— Na początek chcę wiedzieć, czyja to była łódź podwodna.

— To znaczy, że mi pan wierzy? — spytała zdziwiona i usiadła na łóżku.

— To nie kwestia wiary. To kwestia znajomości faktów. Gomez ich nie znał. Wszystko, co wiedział, to to, że przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nie było żadnych raportów dotyczących łodzi podwodnych, naszych czy obcych, pływających w tym rejonie.

— Ale było ciemno i mgliście. A łódź podwodna wynurzyła się na powierzchnię tylko na kilka minut. Musiałby pan tam być, aby wiedzieć, że się tam znajduje.

Usłyszała dziwny dźwięk, jak gdyby balon powietrza wybuchł mu w płucach i trącił struny głosowe. To był śmiech.

— Nie musimy ich widzieć — powiedział. — SIND słyszy je dla nas.

— SIND?

— Nigdy nie słyszała pani o SIND? — powiedział Lathrop niedbałym tonem, ale uważnie się jej przyglądając.

— Nie.

— Doktor Wu nigdy o tym nie wspominał?

— Nie. Do czego pan zmierza?

— SIND to System Inwigilacji Dźwiękowej. Anteny hydrofoniczne na dnie morza. Rozumie pani, o czym mówię?

— Nie.

— Nie? Ocean jest zapluskwiony, złotko. Możemy powiedzieć, z jakiego kraju pochodzi łódź, jakiego jest typu i często znamy jej nazwę. Słyszymy, jak ryby pływają. Czy wyrażam się dość jasno?

Wyraził się jasno, ale jej umysł nie przyjmował do wiadomości słów Lathropa. Rzeczy, o których mówił, zanieczyszczały ocean bardziej niż plamy ropy. Zmusiła się do zastanowienia nad tym, co jej powiedział.

— Ale mówił pan, że niczego nie słyszeliście przez ostatnie czterdzieści osiem godzin.

— Powiedziałem również, że jest to tylko jeden z faktów. Są jeszcze inne.

— Jakie inne?

— Pani niech mi powie.

— Ale ja nic nie wiem — odrzekła Beth podniesionym głosem.

On także odezwał się głośniejszym głosem. To ją zaskoczyło. Miał typową amerykańską twarz, pozbawioną wszelkiego wyrazu.

— Niewiele pani wie, co? A wie pani chociaż, co robi pani narzeczony?

— Oczywiście. Jest matematykiem.

— Ale czym się zajmuje?

— Pracuje nad teorią liczb. Zdobył nagrodę za swoją pracę nad założeniem Mordella.

— I mówi ono o...?

Beth starała się przypomnieć sobie, co mówił jej Teddy. Nie zdołała. Próbowiła też przywołać na myśl, co pisali o tym w *Timie*. Była zbyt otumaniowana nawet na to.

— Nie wiem.

Lathrop prychnął. — Lęk przed matematyką, złotko?

— To może pan mi zwyczajnie powie, czego ono dotyczy — cicho odparła Beth.

Zanim odpowiedział, patrzył na nią przez chwilę.

— Założenie Mordella mówi o tym, że istnieje ogromny zbiór równań, które mają ograniczoną liczbę rozwiązań. Pani chłopak zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze, dowiódł, że to założenie jest prawdziwe. Dlatego zdobył nagrodę — nad założeniem Mordella matematycy pracowali już od 1922 roku. Druga rzecz, jaką zrobił, była nawet ważniejsza: doszedł do tego, jak określić dokładną liczbę rozwiązań danego równania z tego zbioru. Tej części pracy nie opublikowano.

— Dlaczego?

— To materiał zastrzeżony.

— Czemu?

— Nie rozumie pani implikacji?

— Nie.

— Czy wie pani, że doktor Wu czasami jeździł do Waszyngtonu?

— Tak. Raz nawet mu towarzyszyłam. Jeździł tam na konferencje.

— Na jaki temat?

Nagle podniesionym głosem rzuciła: — Niech się pan ze mną nie drażni, co pan ukrywa?

Lathrop odkrzyknął. — A pani niech przestanie udawać głupią. Pani narzeczony to zdrajca, przeszedł na drugą stronę.

— Jaką drugą stronę?

— O, to kwestia sporna — odparł Lathrop normalnym już głosem. — Niektórzy moi koledzy sugerują, że do Rosjan — przerwał i spojrzął na nią. — Ale ja mam przeczucie, że Wu wybrał inny... kolor.

— Co pan ma na myśli?

Lathrop zbliżył się do niej. — Mam na myśli to, że jest jednym z małych żółtych ludzików Mao.

Jego rasizm pozbawił ją kontroli nad własnym głosem.

— Jest pan odrażający! Nie ma pan pojęcia o tym, co mówi. Teddy ma w dupie politykę. I, na Boga, mieliśmy mieć to cholerne dziecko! — Głos jej się załamał.

Lathrop stał nad nią. — Gównu mnie obchodzi pani życie seksualne. I nie ma to nic wspólnego z polityką. Ma za to wiele wspólnego ze zdradą. Wu był pilnowany jak mało kto, a mimo to ktoś do niego dotarł. Chcę wiedzieć jak.

— O co panu chodzi?

Gdy to mówiła, pomyślała o Han Shih.

— Czy pani jest normalna? Nikt nie może być przecież aż tak naiwny. Nawet... — przerwał w pół zdania, widząc zmianę w wyrazie jej twarzy. Kontynuował już spokojniej. — A może próbuje go pani kryć? Czy o to chodzi? Czy pani też dla nich pracuje? — Spojrzał na nią tymi swoimi bezbarwnymi oczami. — Czy jest pani jedną z dziewczynek Mao?

— Czy gdybym była, to powiedziałabym o łodzi podwodnej, dupku?

Lathrop zacisnął pięści. — Sama jesteś dupkiem, kotku. Jak myślisz, dlaczego nie jesteś jeszcze w sali przesłuchań?

— Ciszej, proszę! — W drzwiach stała duża czarna pielęgniarka. — To jest szpital. A odwiedziny już się skończyły. — Spojrzała na Lathropa. — I to dawno.

Lathrop odwrócił się i spiorunował ją wzrokiem. Potem wyszedł.

Pielęgniarka podała Beth proszek. — Nie powinnaś się tak denerwować, kochanieńka. Weź tę pigułkę.

Beth połknęła tabletkę. Pielęgniarka zgasiła światło i wyszła.

Przez długi czas Beth wpatrywała się w otwarte drzwi, czekając, czy Lathrop wróci. Trzęsła się, jakby właśnie wyszła z lodowatej wody. Ten arogant mówił, że ktoś dotarł do Teddy'ego. Lubił fakty. Han Shih była faktem, o którym nie wiedział. Nikt o nim nie wiedział, poza Beth. Nie powiedziała nawet matce.

Ale może Lathrop nie musiał o nim wiedzieć. Mówił innym językiem. Han Shih także mówiła innym językiem. Teddy też.

Spała. Gdzieś w oddali rozległ się gong. Kobieta zawołała: — Doktor Wu, doktor Wu proszony...

8

Szpital pojękiwał przez sen. Do Beth docierało to, gdy dryfowała między jednym koszmarem a drugim. Gdzieś obok przeleciał nietoperz, muskając jej policzek. Ktoś nią potrząsnął.

— Proszę się obudzić, proszę wstać.

— O co chodzi?

— Musi pani stąd wyjść.

— Dlaczego?

— W pokoju jest nietoperz.

Rozbłysły światła. Beth zamrugała. Przy łóżku stała pielęgniarka, a obok niej potężny sanitariusz, ściskający w dłoni raketę do tenisa, Nerwowo

wodzili wzrokiem po pokoju. Lekki wiatr poruszył żaluzjami. Ale przecież nie mógł to być wiatr, bo okno było zamknięte.

— Za żaluzjami — powiedziała Beth.

Sanitariusz ruszył na palcach. Zbliżając się do okna, stawiał drobniutkie kroki, jak kobieta w szpilkach. Podniósł żaluzje. Nietoperz wisiał tuż nad framugą. Niczym szykujący się do serwu tenisista, mężczyzna wznosił rakiętę; mięśnie napięły mu się pod skórą.

Walnął w ścianę, chybiając o jakieś trzydzieści centymetrów. Rakieta odbiła się, a nietoperz zatoczył koło po pokoju i wyfrunął przez drzwi. Pielęgniarka i sanitariusz wybiegli za nim. Po ich wizycie Beth nie mogła zasnąć. Ręka nie bolała już tak bardzo i nie była taka sina. Poćwiczyła wykręcanie numeru.

Przyszła kolejna zmiana. Szpital przestał pojękiwać. Wszyscy hałasowali, jak tylko mogli. Nastął ranek. Do pokoju wszedł rozpromieniony magnat z centrum handlowego. Białozęby. Przybył w asyście siwowłosego mężczyzny. Jego czarne brwi wisiały nad oczami tak inteligentnymi, jak Teddy'ego.

— To jest doktor McPhee — oznajmił Białozęby. Nie zagrały wprawdzie fanfary, ale właśnie w takim stylu Białozęby dokonał prezentacji.

Beth uśmiechnęła się do nich. — Sekundkę. — Wzięła telefon. — Muszę najpierw zadzwonić.

Lewym palcem wskazującym sprawnie wykręciła siedem cyfr.

— Cześć — rzuciła do słuchawki.

— Halo? — odebrał jakiś mężczyzna.

— Czuję się dużo lepiej, dziękuję. A może przyjdiesz mnie odwiedzić?

Jestem w pokoju 1509.

— Co za 1509?

— To cześć. — Odłożyła słuchawkę. — Przepraszam — zwróciła się do lekarzy. — Co mogę dla panów zrobić?

McPhee patrzył na kolebę z wyrazem ni to zakłopotania, ni to złości. Białozęby nie wyglądał na szczęśliwego. McPhee podszedł do łóżka. — Czy mogę zobaczyć pani rękę?

Beth podała mu ją. Miał miękki dotyk. Obejrzał wierzch, spód, popukał w paznokcie.

— Dziękuję, panno Hunter. — Odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Doktorze McPhee?

Zatrzymał się i odwrócił.

— Tak?

— Czy z moją dłonią wszystko w porządku?

— Nie. Pani palce były wystawione na nadmierne wychłodzenie. Nastąpiło uszkodzenie komórek i naczyń krwionośnych. Występuje także

znaczące osłabienie reakcji nerwowych. Niektóre z tych zmian są nieodwracalne.

Poczuła ucisk w piersi. — Czy to znaczy, że trzeba będzie mi je obciąć?

— Oczywiście, że nie. — Był prawie zły.

Ucisk ustąpił. Zamiast niego pojawiło się uczucie ulgi.

— Kiedy będę mogła wyjść ze szpitala?

— Jeżeli chodzi o mnie, to choćby dzisiaj — odparł. — A jutro proszę zadzwonić do mojego gabinetu i umówić się na wizytę.

Wyszedł z pokoju. Białozęby poczłapał za nim.

Uczucie ulgi zaczęło ją opuszczać, gdy dotarła do domu. Niedojedzona kanapka leżała na stole w jadalni. Po szafkach w kuchni wały się jak kręgle puste butelki po wódce. Ze wszystkich popielniczek wysypywały się niedopałki. Mieszkanie doskonale odzwierciedlało stan ducha jej matki.

Wysprzątała wszystkie zakamarki. Zmęczyło ją to, ale nie przybliżyło ani o krok do Teddy'ego. Rozsiadła się w jednym z foteli i zamknęła oczy.

Metal zgrzytnął o metal, cicho i daleko. Uchyliły się drzwi wejściowe. Beth otworzyła oczy i wyprostowała się. Cienie wypierały z pokoju światło; był wczesny wieczór. Ktoś szedł przez przedpokój do kuchni. Teddy? Kroki były wolne, ostrożne i cięższe niż Teddy'ego. Rozważyła konfrontację z intruzem. Jednak bała się i była słaba.

Na dywaniku stał odkurzacz. Była zbyt zmęczona, by schować go do szafy. Włączyła urządzenie i kucnęła za sztruksową sofą.

Stamtąd częściowo widziała drzwi. Nastawiła uszu, ale nie słyszała nic poza buczeniem maszyny. Nagle jej oczom ukazał się jakiś mężczyzna. Widziała tylko jego plecy. Pospiesznie podszedł do wyjścia i znikł. Beth podbiegła do drzwi i przekreśliła klucz. Usłyszała szybkie kroki na schodach.

Wyszła na balkon i przykucnęła, wyglądając przez balustradę. Z budynku wyszedł mężczyzna i chyłkiem ruszył w dół ulicy. Miał granatowy garnitur w prążki i zmarszczone brwi: Lathrop.

Wróciła do środka i zapaliła wszystkie światła. Wyłączyła odkurzacz. Mieszkanie wydało jej się teraz zbyt ciche. Nastawiła pierwszą lepszą płytę — Trout Quintet. Już po kilku taktach wiedziała, że to nie najlepszy wybór. Słuchając tej płyty, Teddy zawsze udawał nadzianego na haczyk pstrąga*, który próbuje tańczyć w rytm muzyki; za każdym razem przyprawiało ją to o zawrót głowy. Nastawiła więc coś innego.

* Pstrąg to po angielsku *trout*, tak jak pierwszy człon nazwy zespołu.

Usiadła, żeby pomyśleć. A miała nad czym. Jednak nic z tego nie wyszło, bo zaczęły się jej kleić oczy. Poszła do kuchni, by zrobić kawę. Był to

ulubiony napój Teddy'ego, dlatego mieli gatunki z Kolumbii, Jawy, Brazylii, skomplikowany francuski ekspres i niemiecki młynek. Z głębi szafki wyjęła słoik z rozpuszczalną.

Czekając, aż woda się zagotuje, znalazła coś, od czego mogła zacząć swoje przemyślenia: kawa Teddy'ego. Lubił nowe gatunki i eksperymenty z różnymi mieszankami. Taki był Teddy. Chińczyk zgrywający się na białasa, który tańczył taniec pstrąga na haczyku; który na prześcieradłach wypisywał równania; który chciał być ojcem; który ją kochał. Nie należał do facetów, co to znikają bez słowa przed ślubem. 'Nie zwałby ani do Żółtków, ani do Ruskich, ani nigdzie indziej. Tak więc cokolwiek zrobił, nie zrobił tego z własnej woli. Zaś to oznaczało, że miał kłopoty.

Jej rozumowanie miało dwa słabe punkty. (Odkryła, że myśli jak Lathrop). Pierwszy: w sądzie na pewno nikt nie uwierzy w jej wyjaśnienia, a tym bardziej nie uwierzą jej ludzie tacy jak Lathrop.

Drugim była Han Shih.

Przeszła do salonu. Nad kominkiem wisiały portrety, na które Chinka patrzyła z takim zainteresowaniem. Na jednym był Teddy z konfucjańską maską. W tej chwili zdała sobie sprawę z trzeciego słabego punktu w jej rozumowaniu — z wątpliwości, która kiełkowała w jej umyśle przez cały ten czas — w poczekalni u Eulalii, w drodze na przystań, na pokładzie jachtu. Może wszystko, co sobie zakładała, było błędne, może to ona się myliła, twórca portretu był lepszy, niż myślała. Może Teddy wcale jej nie kochał.

Lecz dlaczego miałyby przestać ją kochać? Przez dziecko. Ależ on chciał tego dziecka. Możliwe, że zmienił zdanie: to drugie zdarza się co dzień. Tak myśleli Gomez i Lathrop, i pomyślałby każdy, gdyby w całej tej sprawie chodziło jedynie o szczerłość lub fałsz w miłości Teddy'ego do niej. Gdyby zależało jej tylko na dowiedzeniu tego uczucia, byłaby kompletnie zaślepiona. Widziałyby wyłącznie to, co chciałyby widzieć. Nie odnalazłyby Teddy'ego. A odnalezienie go było teraz jedyną rzeczą, jaka się liczyła.

Potrzebowała faktów.

Faktem była Han Shih.

Beth wróciła do kuchni. Wreszcie, po raz pierwszy od dnia ślubu, myślała jasno. Na stole wciąż leżała notka Teddy'ego: „Dzień dobry, śpiochu”. I wizytówka kwaciarni z trzema chińskimi znakami. I *Chronicle*: „Chińscy mistrzowie kuchni gotują u nas”.

Przeczytała krótki artykuł Phelps'a. Wpatrywała się w zdjęcie Elizabeth Gowers, zrobione w Hotelu Beresford, gdzie mieszkali kucharze. Przyglądała się ładnej twarzy Han Shih. Nikt inny nie patrzył w obiektyw tak jak ona. Czy ktokolwiek z nich był od niej lepszym kucharzem? Han Shih używała za dużo imbiru.

Beth przeczytała artykuł jeszcze raz i znów popatrzyła na zdjęcie. Hotel Beresford. Elegancki recepcjonista. Jego zadbany palec na liście gości, na której nie było Han Shih. Znalazła osiem nazwisk, ale jej nie było. Znowu wzięła gazetę z artykułem, który знаła już na pamięć. „Ośmioro kucharzy z Chińskiej Republiki Ludowej przyjechało w tym tygodniu do San Francisco, kończąc tym samym swój smakowity pobyt w USA” — tak się zaczynał. Policzyla twarze na zdjęciu. Było ich dziewięć.

Ośmioro kucharzy w artykule. Ośmioro w Beresford. Dziewięć osób na zdjęciu. Han Shih była dziewiąta: była tą, która nie umie gotować.

Wstawiła więcej wody i chodząc po kuchni, czekała, aż zacznie wrzeć. Zaparzyła kawę. Podniosła dzbanek lewą ręką. Rozbił się na podłodze. Zaskoczona, spojrzała na swą dłoń: była bardziej sina niż rano, prawie tak sina jak wczoraj.

Zapomnij o tym.

Fakt pierwszy: Han Shih.

Fakt drugi: Lathrop. Współpracujący ze Strażą Przybrzeżną.

Zbadała zamek przy drzwiach. Nie było śladów włamania. A zatem Lathrop musiał mieć jakiś klucz. Wszedł więc sam, ale przepłoszył go odkurzacza. Nie spodziewał się, że ktoś będzie w domu, nie po tym, jak zobaczył w jej karcie diagnozę Białozębego. Jednak nie wiedział o tym, co powiedział jej doktor McPhee.

Mimo wszystko przyszedł. Po co? Po Teddy'ego? Poszukiwał go tak samo jak ona. Ale uważał, że Teddy jest na łodzi podwodnej gdzieś na Pacyfiku. Tak więc przyszedł po coś innego, po jakiś znak, który doprowadzi go do doktora Wu. Przekręciła klucz w drzwiach i zrobiła to, co zamierzał Lathrop: przeszukała mieszkanie.

A to znaczyło, że musiała opróżnić każdą szufladę, szafę, szafkę; szukała pod materacami, poduszkami i pod perskim dywanem. Przejrzała biurka — swoje i Teddy'ego. U siebie znalazła pocztówkę, którą przesłał jej z Waszyngtonu we wrześniu. Na zdjęciu była zajadająca liście panda. Przeczytała, co było napisane na odwrocie:

Droga Beth,

Wypiłem jednego za dużo. Na konferencji nudy jak diabli. I gorąco jak w piekle. Jeśli kiedykolwiek wcisną ten guzik, to na pewno w taki dzień jak dziś.

Byłem w Galerii. Mają Giorgione'a. Najlepsze u niego jest tło — odległe góry, itp. Twoje oczy są koloru jego gór. Teraz już wypiłem o dwa za dużo. Do zobaczenia wkrótce.

Uściski, T.

Przeczytała jeszcze raz zdanie o guziku. „Teddy ma w dupie politykę” – powiedziała Lathropowi. Ale zmiana kontekstu sprawiła, że zdanie zabrzmiało niepokojąco. Czy to o to chodziło Lathropowi? A może o coś więcej?

Poza pocztówką nie znalazła nic godnego uwagi. W końcu pozostał jej do przeszukania tylko worek na śmieci. Już raz w nim grzebała, gdy poszli goście i szukała *Chronicle*. Zrobiła to jeszcze raz.

Śmieci rozmiękły już i cuchnęły czymś kwaśnym. Poza tym wszystko było tak samo: niedojezione kanapki, puste butelki, korki, masło, mokre herbatki ekspresowe, zwiędnięta fasola.

Wyjęła ekspresówki. Były trzy. „Z herbatą smakuje lepiej” – powiedziała Han Shih, gdy Beth poprosiła o wodę. „Za szczęśliwe małżeństwo.” Włożyła je do torebki śniadaniowej i położyła na blacie.

Przeszukiwanie zajęło sporo czasu. Kawa nie pomogła już zwalczyć zmęczenia; zamiast tego wywołała podenerwowanie. Beth stała na balkonie. Dawno minęła północ. Było chłodno i spokojnie. Miliony światel oplatały Zatokę jak świecący wieniec rzucony na wodę. Patrzyła w stronę Berkeley.

Ślepa uliczka. Trzeba zacząć od nowa.

Lathrop. Ze względu na Teddy'ego skłonny był uwierzyć, że była jakaś łódź podwodna, chociaż jej nie słyszeli. Z prac nad teorią liczb wypływały wnioski dla niego oczywiste. Pomyślała o Martym Kesselmanie z Berkeley, profesorze matematyki i przyjacielu Teddy'ego. Był zaproszony na przyjęcie. Starła się sobie przypomnieć, czy widziała go, gdy wygłaszała zdanie o tchórzostwie Teddy'ego. Tak. Stał w rogu, przeżuując ogromną krewetkę.

Podeszła do telefonu. Może dzwonił w ciągu ostatnich dwóch dni, dając jej pretekst do pobudki o pierwszej w nocy. Przewinęła taśmę w automatycznej sekretarce i zaczęła słuchać.

„Beth. Tu Maggie. Wszystko w porządku? Zadzwoń.”

„Halo. Ja do pani Hunter. Nazywam się Tom Simpson. Chodzę do pani na seminarium z historii. Niestety, nie napisałem jeszcze tej pracy i chciałbym porozmawiać z panią o przedłużeniu terminu. Ostatnio trochę choruję. Wczoraj miałem trzydzieści dziewięć stopni gorączki i lekarz...” Wykorzystał już swoje trzydzieści sekund.

„Jedzenie było świetne, Beth. Daj Teddy'emu klapsa i zróbmy to jeszcze raz. Jane.”

„Tu Ron Todd z przystani.” Długa przerwa. „Proszę do mnie zadzwonić.”

„Dzień dobry. Tu Angie z biura podróży Empress Travel. Pańskie bilety są gotowe, panie Wu. Może je pan odebrać w dowolnym terminie.”

„Pani Hunter? Tu Paquita. Czy mam zostawić klucze pod wycieraczką? Jutro wyjeżdżam.”

„Halo. Tu Robert Means z *New York Timesa*. Panno Hunter, czy mogła pani do mnie zadzwonić?” Zostawił numer.

To była ostatnia wiadomość. Przewinęła taśmę i posłuchała jeszcze raz.

„Dzień dobry. Tu Angie z biura podróży Empress Travel. Pańskie bilety są gotowe, panie Wu. Może je pan odebrać w dowolnym terminie.”

Beth siedziała skulona nad sekretarką, przesłuchując wiadomość jeszcze kilka razy. Serce jej biło jak tam-tamy. Pot skapywał spod pach i ściekał po żebrach. Wzięła głęboki oddech w nadziei, że uspokoi swe serce, i zadzwoniła do Marty'ego Kesselmana.

Odpowiedział po pierwszym dzwonku.

— Halo?

— Mówi Beth Hunter. Obudziłam cię?

— Nie. Pracowałem trochę. — Pauza. — Czy Teddy...

— Nie wiem, gdzie jest. Myślę, że coś mu się stało. — Głos jej się prawie załamał. Przygryzła wargi, by nad nim zapanować.

Cisza. W końcu Marty odezwał się: — Co mogło mu się stać?

— Nie wiem.

— Dzwoniłaś na policję?

— To nie jest sprawa dla policji. — *A może?* — Chciałabym z tobą porozmawiać, Marty. Możemy się spotkać rano?

Przerwa. — *A może przyjdiesz teraz?*

— Mogę?

— No jasne.

Wzięła ze stołu szarą kopertę. Włożyła do niej *Chronicle*, wizytówkę z kwaciarni, liścik od Teddy'ego i ekspresówki. Wyszła, zamykając drzwi na klucz. Na klatce schodowej nie było nikogo. Pusto było też na schodach i na zewnątrz. Poszła do garażu. Jej samochód tam nie stał. Chwilę zajęło przypomnienie sobie, gdzie go zostawiła: na przystani.

Auto Teddy'ego tkwiło na swoim miejscu. Nigdy go nie zamykał i zawsze zostawiał kluczyki pod siedzeniem. Odszukała je i włączyła silnik. Sarah Vaughan zaczęła śpiewać „More Than You Know”. Beth wyłączyła radio i wycofała ostrożnie. Samochód Teddy'ego był bardzo szeroki i prawie niemożliwością było wyjechać nim z garażu bez zarysowania. Ona w każdym razie regularnie go obcierała.

Ta myśl rozbawiła ją. Po chwili jednak łzy napłynęły jej do oczu.

Dosyć już tego, powiedziała sobie. *Nie możesz marnować ani czasu, ani energii*. Pojechała w stronę Bay Bridge, lewą rękę trzymając na kolanach. Nocna bryza wpadała przez otwarte okno, chłodna i spokojna. Jej serce było już wolniej.

Na ulicach panował niewielki ruch. Minęła zaledwie kilka pojazdów zmierzających w przeciwnym kierunku. Za nią jechał jeden samochód. Jego białe światła, odbite w lusterku wstecznym i bocznym, raziły ją w oczy. Wciąż ją oślepiały, gdy przejeżdżała przez most.

9

Światła cały czas odbijały się w lusterkach, rzucając na nią blask niczym dwa wektory zbiegające się na ruchomym celu. Po przebyciu mostu skręciła na zjazd do Berkeley. Samochód z tyłu podążał za nią. Próbowwała rozpoznać markę, ale widziała tylko białe światła.

Skręciła w stronę uczelni. Auto za nią. Gdy już prawie minęła uniwersytet, zбочyła nagle w ulicę prowadzącą na przystań. Reflektory znikły, lecz za chwilę pojawiły się znowu — świeciły bliżej i jaśniej niż poprzednio. Tak naprawdę nie oczekiwała, że je zgubi. Przekonała się jedynie, że jest śledzona. I to jej wystarczyło.

Zwolniła, przejechała pod wiaduktem autostrady, potem wspięła się na Telegraph Hill i zaparkowała w garażu za domem. Zamknęła samochód i podeszła do drzwi budynku od frontu. Na ulicy stały pojazdy. Wszystkie miały zgaszone światła, ale gdzieś w pobliżu usłyszała trzask stygnącego metalu.

Weszła po schodach do mieszkania. Wszystko było na swoim miejscu. Nikt nie czał się za drzwiami ani w szafie w przedpokoju, ani pod prysznicem. Usiadła. Niczym urządzenie kontrolowane przez kogoś innego, jej lewa ręka zaczęła drżeć. Wkrótce Beth trzęsła się cała.

Zacznij jeszcze raz. Mądrzej. I bardziej ostrożnie.

Podeszła do telefonu i już miała podnieść słuchawkę, lecz się wstrzymała. Nie potrafiła już myśleć, że to *jej* telefon. Ktoś być może śledził ją na moście; ktoś mógł także podsłuchiwać jej rozmowy. Może nawet robił to już wcześniej.

W takim razie wykorzystaj tę wiedzę.

Zadzwoń do Marty'ego.

— Zmieniłam zdanie — powiedziała. — Jestem zbyt zmęczona.

Milczał dłuższą chwilę. — W porządku.

— Zadzwoń jutro. Dobranoc, Marty.

Odłożyła słuchawkę. Włączyła sekretarkę, przewinęła taśmę i skasowała wszystkie wiadomości. Wtedy to przebiegłość własnego postępowania dotarła do jej świadomości, a ręka znów zaczęła się trząść. Podeszła do barku i prosto z butelki wzięła łyk brandy. Drżenie ustało. Włączyła radio, zapaliła jeszcze kilka świateł i zeszła do piwnicy. Idąc po schodach, myślała o tajemniczym świecie Lathropa.

Nie włączała światła. Piwnica była wilgotna i ciemna; bladopomarańczowy blask lamp ulicznych padał na piwniczne szyby, ale nie przenikał do środka. Niewiele tam znalazła — starą pralkę, gnijące meble, zardzewiałe rowery i smród po kotach. Po omacku doszła do pralki, weszła na nią, otworzyła okno pod sufitem i wypełzła na podwórze. Okno zamknęło się z trzaskiem.

Stała bez ruchu. Usłyszała muzykę, prawdopodobnie z jej własnego mieszkania dwa piętra wyżej, i szczekającego gdzieś psa. Nie otworzyły się jednak drzwi żadnego samochodu.

Za garażem znajdował się mały płotek. Przeszła przez niego do świeżo skopanego ogródka. Chociaż nie wymagało to dużego wysiłku, poczuła zawroty głowy. Zdała sobie sprawę, jaka jest słaba, i pomyślała, że wróci. Jednak kiedy zawroty minęły, ruszyła dalej, przez ogród, mijając ciemny dom. Okno na parterze było otwarte. Przechodząc cicho obok niego, poczuła zapach marihuany.

Wyszła na Lombard Street, skręciła w prawo i ruszyła szybko z górki. Zbliżało się do niej dwóch mężczyzn. Ubrani byli w bluzy hokejowe i trzymali się za ręce. Nawet jej nie zauważyli.

U stóp pagórka ze Stockton wyjechała taksówka. Beth zatrzymała ją i podała adres Marty'ego.

— Berkeley? — zajączkał kierowca, jakby nie mógł się pogodzić z perspektywą tak długiego kursu.

Zebrał się wreszcie w sobie i ruszył w stronę mostu. Beth oglądała się kilka razy, ale nie zauważyła żadnych śledzących ją świateł.

Kierowca dojechał na Shasta Road i zatrzymał się przed domem Marty'ego.

— Tylko tyle? — zapytał, widząc napiwek.

Odjechał z piskiem opon.

Marty Kesselman mieszkał w wysokim domu szeregowym, tyłem wychodzącym na wzgórze. Pomiędzy czubkami dębów rosnących po drugiej stronie ulicy widać było Zatokę. To był wielki dom, gdzie miejsca starczało dla wszystkich — Marty'ego, jego żony, ich trojga dzieci i kundla, którego

nazwał Trocki. Jednak obecnie mieszkał tu tylko Marty i pies. Marilyn z dziećmi żyła w Teksasie z jakimś innym mężczyzną.

Beth podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Nie zapaliły się światła. Nikt się nie poruszył. Zadzwoiła jeszcze kilka razy. Próbowwała też pukać, najpierw ręką, później wiszącą na drzwiach mosiężną kołatką. Po jakiejś chwili nacisnęła klamkę. Drzwi się otworzyły. Zastanawiała się, czy wejść, gdy na chodniku usłyszała kroki.

W jej stronę biegł wysoki, chudy mężczyzna. Na sobie miał spodenki, koszulkę na ramiączkach, a na nogach adidas. Nie był urodzonym biegaczem; jego lewa pięta odskakiwała na bok, jakby brał zamach kijem baseballowym. Obok niego truchtał śliniacy się Trocki.

— Marty.

Mężczyzna zatrzymał się, zdziwiony. Trocki zawarczał i najeżył się, by zademonstrować stan gotowości, ale nie rzucił się do gryzienia.

— Beth? — zapytał Marty.

Pies uspokoił się.

— Myślałem, że nie przyjdiesz, i postanowiłem pobiegać.

Podszedł bliżej i zrobił kilka skłonów, by rozciągnąć mięśnie. Miał zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Beth poczuła zapach jego potu, kwaśny i ciężki, jak gdyby jego strój do joggingu już dawno nie był prany.

— Zawsze biegasz o tej porze?

— Ostatnio, tak. Jest spokojniej.

Trocki ocierał się o nią. Poklepała go po łbie. Ślinił się na jej stopy.

— Zaraz wejdziemy. Trocki jeszcze się nie wysrał. No, sraj, Trocki.

Pies powąchał jego adidas. Zaczął nerwowo kręcić się po trawniku, nagle szybko przebiegł przez jezdnię i załatwił się u sąsiada.

— Co na to sąsiedzi? — zapytała.

— Chyba jeszcze nie zauważyli. Marilyn zawsze wysyłała dzieciaka z szufelką.

Popatrzył na drugą stronę jezdni w nadziei, że z cienia wyskoczy dziecko, ale Trocki wrócił sam.

— Wejdźmy do domu — rzekł, popychając drzwi mocniej, niż to było konieczne, i zapalając światła. Zamrugał kilka razy, gdy zobaczył, w jakim stanie znajduje się jego siedlisko. — Trochę tu bałagan.

Beth była już kiedyś u Marty'ego, ale to był grill w ogrodzie i nie wchodziła do środka. Zobaczyła, że Marilyn zostawiła meble i kwiaty w doniczkach, teraz już wyschnięte, ale zabrała wszystkie obrazy — ściany zdobiły teraz tylko puste jaśniejsze prostokąty. Marty podązał za jej wzrokiem.

— Wszędzie tu takie pobojuwisko — orzekł. — Zejdźmy na dół. To obecnie jedyna zamieszкана część domu.

Poprowadził ją do piwnicy. Było to duże pomieszczenie, puste, nie licząc dwóch kanap, zakurzonej ławy, biurka i porozrzucanych wszędzie papierów. Sufit był czarny. Ściany zdobiły psychodeliczne malunki. Spleciona w uścisku para hermafrodytów na tle zachodzących słońc, penisy, które rozkwitły chryzantemami, i wszyscy mieli oczy takie, jakie mógłby mieć Jezus, gdyby dawał w żyłę trzy razy w tygodniu. W centrum znajdowała się prymitywnie namalowana Mount Rushmore z twarzami nie czterech prezydentów, ale Marksa, Engelsa, Lenina i Mao.

— Cały dom tak wyglądał, gdy go kupiliśmy — wyjaśnił Marty. — Marilyn nie starczyło czasu, żeby skończyć remont.

Usiadł na kanapie, zdjął buty i założył jedną kościstą nogę na drugą.

— Mówiłaś, że martwisz się, że Teddy'emu coś się stało.

Beth zrzuciła papiery z drugiego końca kanapy i usiadła.

— Tak.

Opowiedziała mu wszystko; nie wspomniała tylko o Han Shih. Nie była jeszcze gotowa wyrzec na głos tego, co o niej myślała. Marty nie spuszczał z niej swoich niebieskich oczu.

— To wszystko? — spytał.

— Jak to?

Wzruszył ramionami. — Nie wiem. Czy Ted ostatnio zachowywał się dziwnie? Czy zdarzyło się coś niezwykłego?

Już miała powiedzieć mu o Han Shih, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Problem nie polegał na tym, że nie umiała ubrać swoich myśli w słowa; chodziło o niechęć do stawienia czoła temu, co te słowa mogły oznaczać.

— Nie — odparła.

— Nie? — Znowu wzruszył ramionami. — Wygląda na to, że ten Lathrop, mimo całego swego chamstwa, może być twoim najlepszym sprzymierzeńcem.

Dlaczego powiedział *twoim*, a nie *naszym*? — pomyślała Beth. Może właśnie takie drobne słowne nieporozumienia przyczyniły się do odejścia Marilyn.

— Nie, Marty. — Lathrop może i posiadał władzę potrzebną do znalezienia Teddy'ego, ale brakowało mu chęci. Jego wola działania sprowadzała się jedynie do dostania doktora Wu w swoje łapy. Kropka. — Lathrop twierdzi, że Teddy zwiął do Chin.

Czekała, aż Marty powie, co to za bzdurny pomysł. Ale nie skomentował jej wypowiedzi.

- Potrzebna mi twoja pomoc, Marty.
- Moja? — Długimi palcami wskazał na własną pierś.
- Opowiedz mi o pracy Teddy'ego nad założeniem Mordella.

Brwi Marty'ego ułożyły się literę V. — Nie potrafię. Nic byś nie zrozumiała. Sam nie mogę załapać, o co w tym chodzi. Niewiele wiem o geometrii algebraicznej.

— A Teddy?

— Nikt na świecie nie wie na ten temat więcej od niego. Ruscy zatrudnili cały sztab fachowców, żeby doszli do tego, co on.

— Udało im się?

Wycelował w nią swój palec. — Pozwól, że cię o coś zapytam. Ilu matematyków w ciągu wieku pcha tę naukę do przodu?

— Nie wiem. Pewnie tysiące.

— Błąd. Pięciu. Może sześciu. Wszyscy pozostali zwyczajnie sprzątaję resztki po tej garstce. I wierz mi — jego oczy przybrały wyraz zamyślenia — są tego świadomi. Nie znaczy to jednak, że się do czegoś takiego przyznają. W niektórych przypadkach, zanim to do nich dotrze, jest już za późno.

— Za późno na co?

— Za późno, aby żyć.

Wstał i sztywno podszedł do biurka w rogu pokoju. Poszperał w papierach, wziął jakąś kartkę, przeleciał ją wzrokiem i upuścił. Frunęła na podłogę jak liść. Wtedy Marty popatrzył na Beth. Za nim, na ścianie, dwoje nagich hipisów leżało na łożu z purpurowych róż.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jak dużą część życia poświęciłem tylko na myślenie?

— Jestem pewna, że nie zmarnowałeś tego czasu. Teddy zawsze wyraża się o twojej pracy jak najlepiej.

— Nie potrzebuję jego pieprzonych pochwał — powiedział. Ukrył twarz w dłoniach. — Przepraszam, Beth. To oczywiście bardzo miło z jego strony.

Odwrócił się i usiadł na kanapie naprzeciw niej.

— Z Teddym znamy się od dawna. Od czasów studenckich. Nigdy nie byliśmy bardzo żyłci, ale znamy się długo. A to coś znaczy na tym cholerym świecie.

Zapatrzył się gdzieś daleko, gdzieś poza Mount Rushmore. Po chwili odezwała się Beth:

— Dlaczego praca Teddy'ego nad założeniem Mordella jest taka ważna?

Marty wzruszył ramionami. Kiedy odpowiedział, jego głos nie brzmiał już tak silnie. — W matematyce nigdy nic nie wiadomo. Jedno rozwiązanie prowadzi do drugiego.

Musiało być w tym coś więcej. — Jakie są implikacje wynikające z pracy Teddy'ego?

— Implikacje?

Odetchnęła i spróbowała podejść go w inny sposób. Marty wspominał o Rosjanach, zaś to przypomniało jej o czymś, co powiedział Lathrop.

— Czy wiesz, że praca Teddy'ego nie została opublikowana w całości? Nie pozwolili mu na to.

— Skąd wiesz? — Wcale nie wydawał się zaskoczony.

— Lathrop mi mówił. Ale skąd *ty* o tym wiesz?

Marty wydał dziwny dźwięk przypominający śmiech. — Nie wiedziałem. Zgadłem.

— Jak?

— Te równania zdawały się prowadzić w nowe obszary wiedzy. Trudno to wyrazić, ale nie wierzyłem, że Ted na tym poprzestanie. Poza tym coś mi o nich napomknął. W dniu publikacji pracy.

— O czym mówił?

— O tej łatwiejszej części.

— Nie poprosiłeś go, żeby ci wyjaśnił resztę?

Na jego czole znowu pojawił się mars. — Oczywiście, że nie. To nie była moja sprawa.

— Ale czy nie byłeś zainteresowany? Jako matematyk, oczywiście.

— Ja zajmuję się innymi sprawami.

— Nie teorią liczb?

— Nie.

— To jaki dział matematyki jest twoją specjalnością?

Znowu się zaśmiał. — Ciężko to wyjaśnić komuś, kto nie jest matematykiem.

Spróbowała z innej beczki. — Kim są *oni*?

— Jacy *oni*?

— Ci, którzy nie pozwolili Teddy'emu opublikować całej pracy.

— Przypuszczam, że kimś w rodzaju ochrony.

— Dlaczego ich to interesuje? Po co te wszystkie konferencje w Waszyngtonie?

— Nie jestem pewien. Ja się tym nie zajmuję.

— Tym, to znaczy czym?

— Już ci mówiłem. Teorią liczb. Nie tykam też żadnych tajnych badań dla rządu.

— Twierdzisz, że Teddy robi coś dla rządu?

— Cóż, prowadzi badania, które władze chcą utrzymać w tajemnicy. Wychodzi na to samo, czyż nie?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego zapytała: — Ale co jakaś zakichana ochrona mogła mieć do jego pracy?

Marty wstał. Zatrzeszczało mu w kolanach. Zaczął chodzić w tę i z powrotem, depcząc porozrzucane wszędzie gazety, okładki od płyt, papierowe tacki. Trocki dreptał przy jego nodze. Marty złożył ręce i przytknął je do ust, jak do modlitwy.

— Jeśli istnieje potężny zbiór równań ze skończoną liczbą rozwiązań, to ilość rozwiązań i ich treść byłaby bardzo ważna dla ludzi, którzy chcieliby to wiedzieć. Bez tej wiedzy mogłabyś zaprzęgnąć do pracy wszystkie komputery na ziemi, a do końca świata nie przeanalizowałyby wszystkich możliwych rozwiązań. — Przestał chodzić i odwrócił się do niej. — Nadążasz?

— O jakich ludziach mówisz?

— O kryptologach, oczywiście. Ludziach, którzy tworzą i łamią kody.

— Czy Teddy robi coś takiego?

Kesselman pokręcił głową. — Od tego mają innych ludzi. To jedna z konsekwencji jego odkrycia — on dał im klucz.

— Jaki klucz?

Marty usiadł i spojrzał na nią. — Do łamania kodów innych ludzi. I stworzenia własnego, takiego, którego nie da się złamać. — Podniecenie pojawiło się w jego oczach i głosie.

— Czy szyfry są aż tak ważne?

— Absolutnie. Teraz każdy podsłuchuje każdego.

— Cały zakichany świat jest zapluskwiony, co?

Marty wziął to za żart i roześmiał się. — Masz rację. Właśnie dlatego szyfruje się wszystkie ważne przekazy — wojskowe, dyplomatyczne, handlowe. Istnieją kody elektroniczne, laserowe, kody podstawiania, transpozycyjne, wszystkie nafaszerowane pierwiastkami i zmiennymi. Pewnie wciąż stosuje się też atrament sympatyczny.

— Teddy nigdy o tym nie wspominał.

— To informacje poufne. — Zauważył coś w jej oczach i dodał: — Poza tym wątpię, czy interesowało go zastosowanie jego odkrycia w praktyce. To tak jak z prochem: Chińczycy go wynaleźli, ale używali tylko do sztucznych ogni.

Chińczycy. Przecucie Lathropa. Byłoby to coś więcej niż przecucie, gdyby wiedział o Han Shih.

— Jaki kraj mógłby... chciał Teddy'ego?

- Każdy.
- Rosjanie?
- Pewnie.
- Chińczycy?
- Nawet bardziej. Są daleko w tyle. Ale musisz sobie coś uświadomić.

Nikt nie porywa naukowców z innego państwa. Istnieje w tej sprawie niepisane porozumienie.

- Ale ja widziałam tę łódź podwodną.
- To wcale nie znaczy, że był na niej Teddy.
- No to gdzie jest?

Kesselman nie odpowiedział.

- Jestem zmęczona, Marty.
- Zostań tutaj, jeśli chcesz.
- Dzięki.

Przyniósł jej koc. Położyła się na kanapie. Marty zgasił światło. Komunistyczna Mount Rushmore i wszyscy naćpani Jezusi zniknęli na powrót w roku 1968. W ciemności słyszała, jak Marty kładzie się na drugiej kanapie.

- Sam też tu ostatnio kimam — wyjaśnił.

Beth spała, dopóki nie obudziły jej trzeszczące stawy. Marty stał obok niej i trzymał rękę na jej brzuchu.

— To ciekawe, że nie ma Marilyn, nie ma Teddy'ego, a my jesteśmy tu we dwoje.

- Wcale nie.

Zabrał rękę. Jego kolana znów zatrzeszczały. Położył się na swojej kanapie. Wkrótce już pochrapywał, a raz czy dwa stęknął sobie przez sen.

Kilka godzin później Beth usłyszała, jak wstaje. Przez brudne okno przy schodach sączyło się szare światło poranka. Obserwowała Marty'ego przez przymrużone powieki. Wciąż miał na sobie spodenki i koszulkę. Założył buty i poszedł biegać, a Trocki za nim.

Gdy tylko doszedł ją odgłos zamykanych drzwi, wstała i poszła do kuchni. Wszystkie naczynia w domu były brudne. Znalazła książkę telefoniczną. Biuro Empress Travel znajdowało się na Shattuck Avenue w Berkeley.

Z szarej koperty wyjęła ekspresówki i napisała dla Marty'ego notkę: „Dzięki za wszystko. Poproś kogoś z laboratorium, żeby przebadał herbatę na obecność obcych substancji. Zadzwoń”. Taśmą klejącą przyklepiła kopertę i notkę do lodówki. Już miała wychodzić, gdy zadzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę. — Tak?

Ktoś przerwał połączenie.

Dziesięć minut później znalazła się w Empress Travel. Młoda Japonka pochylała się nad klawiaturą komputera. Jej twarz zasłaniała kaskada włosów.

- Dzień dobry — odezwała się Beth. — Szukam Angie.
- To ja.
- Przyszłam odebrać bilety.
- Na jakie nazwisko?
- Wu.

Dziewczyna otworzyła szufladę i wręczyła jej kopertę. W środku znajdowały się dwa bilety: jeden na nazwisko Teddy'ego, drugi na jej. Były to rezerwacje na lot do Szanghaju i z powrotem. Odlot o 10:30 we wtorek piętnastego kwietnia. Jutro. Daty powrotu nie było.

- Miłej podróży — powiedziała Angie.

10

Stała na chodniku przed Empress Travel, nic nie widząc, nie słysząc, nie czując. Po chwili uświadomiła sobie obecność wiszącego nisko nad wzgórzem słońca, którego promienie ogrzewały jej twarz. Powoli ruszyła w górę Durant Street, przeszła przez Sather Gate i znalazła się na terenie uniwersytetu.

Wysoko nad nią do zbocza przygłnęło kilka pasemek mgły, które stopniowo zanikały w słońcu. Lekka bryza niosła zapach drzew eukaliptusowych. Przechodząc przez Plaza, zdjęła sweter i zawiązała go wokół talii; ubrana była stosownie do klimatu po drugiej stronie Zatoki.

Na stopniach budynku Związku Studentów, gdzie członkowie Ruchu Wolności Słowa ośmielili się niegdyś publicznie powiedzieć coś wulgarnego, zmieniając tym samym bieg historii, a przynajmniej długość męskich włosów, stał bez koszuli jakiś blondyn i czytał z Biblii. Robił to niepewnie i niewyraźniej bez zrozumienia. Jego jedynym słuchaczem był bezzębny staruch z butelką w papierowej torebce, który od czasu do czasu wykrzykiwał „Amen!”.

- Gdyż nie z ciałem i krwią wojujemy...
- Amen!
- Ale...
- Amen!
- Z księżtami, z...

— Amen!

Blondyn zgubił się i zaczął jeszcze raz. Beth minęła go obojętnie.

Na trawniku wylegiwali się studenci. Jedni czytali, inni drzemali, jeszcze inni palili. Jakiś chłopak szalał na wrotkach, jakaś kobieta żonglowała pomarańczami. Wiosna...

Campus rozciągał się na niższych partiach wzgórza. Na całym terenie rozsiane były budynki w różnych stylach — greckim, romańskim, renesansowym. Evans Hall był gmachem typowo użytkowym: dziesięciopiętrowa szara bryła. Wydział matematyki zajmował trzy najwyższe kondygnacje. Weszła do windy i wcisnęła przycisk z cyfrą 10.

Na drugim piętrze wsiadł drobny facet z brodą. W jednej ręce trzymał pudełko z dyskietkami, a w drugiej płytę *Stars of the Doo-Wop Sound*. Wsiadł na piątym — komputerowiec.

Dziesiąte. Wyszła na korytarz, po którego obu stronach znajdowały się gabinety. Przy wszystkich drzwiach wisiały tabliczki z nazwiskami i godzinami urzędowania. Przy 1082 takiej tabliczki nie zobaczyła — był to pokój Teddy'ego. Drzwi były zamknięte. Wyjęła z kieszeni jego klucze i odliczała: do samochodu, do mieszkania i dwa, których nie знаła. Pierwszy z nich otworzył zamek. Weszła do środka.

Na podłodze zobaczyła złożoną kartkę. Zamknęła za sobą drzwi i podniosła ją. Była to notatka sprzed dwóch dni, zawiadamiająca o seminarium na temat wpływu twierdzenia Sturma-Liouville'a na teorię równań z wieloma niewiadomymi. Na dole mazakiem ktoś dopisał: „Prowadzący to prawdziwy spec od tematu”.

Beth rozejrzała się. Nic się tu nie zmieniło. Biurko, półki, tablica i piękny widok na San Francisco, chwilowo ukryte pod warstwą postrzępionych chmur. Tablica była czysta, blat biurka pusty, na półkach stał tylko zbiór powieści PG. Wodehouse'a. Spróbowała w szufladach. Zamknięte. Ostatni klucz z pęku je otworzył.

W górnej znalazła czarno-białe zdjęcie. Było trochę nieostre. Śmiała się na nim, stojąc przy sterze *Pop-Upu*. W środkowej walały się spinacze i wydarty z gazety komiks. Rysunek pierwszy przedstawiał grubą kobietę i węża, patrzących na siebie. Rysunek drugi: ona chwyta gada za ogon, wali o skałę i szyderczo pyta: *No, i jak ci się podoba?* Rysunek trzeci: splaszczony wąż duma. Rysunek czwarty: wąż odpowiada: *Niezły rock'n'roll. Dam ci osiemdziesiąt pięć punktów na stówę.*

W dolnej szufladzie znalazła dwa paszporty, swój i Teddy'ego. W obydwu była wbita wiza wjazdowa do Chin. Pod paszportami leżała zaadresowana do niego koperta z datą trzydziestego pierwszego stycznia. Adres zwrotny

głosił: Merton, 48 Maple Lane, Salem, Oregon. Mertonowie byli przybranymi rodzicami Teddy'ego.

Wyjęła list z koperty. Pismo było równe i wyraźne, jednak litery tak małe, że z trudem mogła je odczytać:

Drogi Synu,

Ze względu na artretyzm Matki, piszę do Ciebie ja. Poza tym – to jest poza artretyzmem – wszystko u nas w porządku.

Pani Barbizon – pamiętasz, uczyła Cię w szóstej klasie – powiedziała Matce, że zdobyłeś nagrodę za tę Twoją matematykę. Świetna robota, Synu! Mówi też, że byłeś najlepszym uczniem, jakiego kiedykolwiek miała.

W zeszłym tygodniu dostaliśmy Twój list. Nie odpowiedzieliśmy od razu, bo nie możemy się dogadać, co robić. Ja uważam, że wracanie do tego, co było, nie przyniesie nic dobrego. Ale Matka utrzymuje, że masz prawo wiedzieć. Zawsze się z nią zgadzam, gdy chodzi o...

Drzwi do pokoju otworzyły się i Beth podniosła wzrok. W wejściu stał młody, długowłosy Chińczyk. Na głowie miał czapkę baseballową Giants, a w dłoni kartę American Express.

– Oj – powiedział. – Obsługa techniczna. Sprawdzam tylko klimatyzację.

Wycofał się i zamknął drzwi.

Beth wróciła do listu.

...gdy chodzi o uczucia. Ona dużo lepiej rozumie „sprawy sercowe” niż...

Przerwała czytanie. W Evans Hall nie było klimatyzacji. Odłączyli ją w zeszłym roku. „Komputerowcom to nie pasuje” – powiedział jej wówczas Teddy. Zatem nie ma klimatyzacji. A facet z obsługi nie miał w ręku kluczy, tylko kartę kredytową.

Podskoczyła, paszporty i list wcisnęła do kieszeni i wybiegła na korytarz. Drzwi do windy były zamknięte, zjeżdżała na dół. Dziewiąte. Ósme. Siódme.

Zbiegła po schodach, przeskakując po trzy stopnie. Na zakrętach owijała się wokół poręczy. Wpadła zdyszana do holu. Winda już tam była. Pusta, z otwartymi drzwiami. Beth wybiegła na zewnątrz.

Facet z obsługi siedł szybko ścieżką obok dzwonnicy. Jak gdyby poczuł jej wzrok na sobie, odwrócił się i zaczął biec. Po chwili zniknął za zakrętem. Pędem ruszyła za nim.

Za dzwonnica ścieżka rozwidlała się: jedna prowadziła na stadion, druga na Plaża. Chińczyka nigdzie jednak nie było. Pobiegnęła w stronę Plaża.

Gdy już tam dotarła, zobaczyła go mniej więcej pośrodku placu. Był bardzo szybki. Przemierzał skwer równym truchtem i systematycznie zwiększał dystans. Zrzuciła sandały i starała się biec szybciej.

Odwrócił się znowu i zobaczył ją. Gdy uciekał odwrócony, zderzył się z zonglującą kobietą. Upadła razem ze swoim pomarańczami. Beth zyskała kilka metrów.

Tamten chyba czuł, że się zbliża. Skracając krok, przebierał nogami jak sprinter, przebiegając przez Gate na Telegraph Avenue.

Żeby tylko nie zginął w tłumie, myślała. W czasie pogoni zgubiła sweter, a sukienka owinęła się jej wokół talii. Wyzwolone z ograniczeń, jej silne nogi zaczęły pracować szybciej. Przecięła plac.

— ...z władcami...

— Amen!

Minęła Gate i wypadła na ulicę. Zatrąbił na nią samochód. Na chodnikach było pełno ludzi. Przechadzali się, jedli lody, oglądali witryny sklepowe. Chińczyk mógł ją zgubić, zwalniając i miesząc się z tłumem, lecz nie zrobił tego. Biegł dalej, jakieś pięćdziesiąt metrów przed nią.

Prędko zrobiło się z tego sześćdziesiąt. Chciała zmusić swoje nogi do szybszego biegu, ale jej nie słuchały. Nie miała kolki ani zadyszki, lecz jej kończyny słabły; wciąż odczuwała skutki spędzonej w wodzie nocy. Biegła najszybciej, jak mogła, jednak wyglądało na to, że miał jej się wymknąć.

— Zatrzymać go! — krzyknęła. — Zatrzymajcie tego mężczyznę!

Ludzie spojrzeli na nią, na niego i pozostali obojętni. Chłopak biegł dalej, a ona za nim.

— Zatrzymać go! Zatrzymać!

Gdzieś w przedzie policjant wypisujący mandat podniósł głowę. Uniósł rękę i powiedział coś, gdy długowłose zbliżał się do niego. Chińczyk wybił się w pełnym biegu i będąc w powietrzu, kopnął go w twarz. Stróż prawa upadł na chodnik. Długowłose wylądował, zrobił krok i się wyłożył. Wstał szybko i pobiegł dalej. Jednak jego krok nie był już tak miarowy. Utykał na prawą nogę. Na tę, którą kopnął policjanta.

Funkcjonariusz próbował podnieść się z chodnika. Z nosa leciała mu krew. Beth minęła go pędem. Czterdzieści metrów. Trzydzieści. Dwadzieścia.

Ażjata obejrzał się przez ramię. Miał strach w oczach. Próbował przyspieszyć. Czapka mu spadła, a długie włosy powiewały za nim, podskakując w rytm kulawego biegu. Piętnaście metrów. Dziesięć. Słyszała już jego charczący oddech.

Dobiegł do skrzyżowania z Ashby. Czerwone światło. Duży ruch. *Będzie musiał zwolnić*, pomyślała Beth. Ale nie zwolnił.

Przy krawężniku stał zaparkowany czarny samochód. Tylne drzwi były otwarte. Długowłosey wpadł do środka. Rzuciła się za nim i złapała go za nogi. Poczula, jak autem targnęło. Chłopak kopnął ją w brzuch i prawie się uwolnił. Lewa ręka słabła jej z każdą chwilą. Kopnął ją znowu, niżej. Złapała go za zwichniętą nogę i szarpnęła. Wrzasnął. Od tego krzyku zrobiło jej się słabo i upadła na jezdnię.

On spadł razem z nią. Z otwartych drzwi ktoś wyciągnął ręce i próbował go chwycić. Nie udało się. Beth zajrzała do samochodu. Za kierownicą siedział potężny Chińczyk. Jego ogolona głowa wydawała się wyrastać prosto z tułowia. Kobieta na tylnej kanapie również była Chinką. Miała wielkie przeciwsłoneczne okulary i czarny szal na głowie, ale Beth i tak ją rozpoznała: była to Han Shih.

— Stać! — ktoś krzyknął.

Zabrzmiało to dla niej jak eksplozja. Później usłyszała tylko pisk opon ruszającego samochodu.

Długowłosey próbował się podnieść. Beth chwyciła go wpół i powaliła na chodnik. Czula, jak wali mu serce. Wykręcił się i wbił jej w plecy paznokcie. Były długie i ostre. Mimo to nie puściła go.

— Już nie żyjesz, sukinsynu. — Nad nimi stanął policjant z bronią wycelowaną w twarz mężczyzny. Z nosa wciąż kapła mu krew. Miał małe, okrągłe oczka — takie jak wylot lufy jego pistoletu. Już miał strzelać.

— Nie! — krzyknęła Beth. — On jest bardzo ważnym świadkiem.

Troje oczu skierowało się w jej stronę. — Świadkiem czego?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Wokół nich zaczęli gromadzić się ludzie. Gdzieś w dali słychać było ryk syreny. Stawał się coraz głośniejszy. Metalowe oko powoli odsuwało się od niej w stronę długowłosego, później w kierunku ziemi. Oczy policjanta stały się większe i bardziej ludzkie. Chęć zabijania już mu przeszła.

— Świadkiem spisku — odrzekła w końcu. — Okropnego spisku.

Wstała, układając w głowie wyjaśnienia. Długowłosey obserwował ją. Wydawał się bardziej przestraszony niż wtedy, gdy w jego głowę celował pistolet.

— Serio? — rzekł policjant. Rękawem wytarł nos i obejrzał skutek. — Cholera.

Nachylił się nad chłopakiem, zakuł go w kajdanki i postawił na nogi. Chińczyk wrzasnął, gdy wykręciła mu się prawa stopa, a Beth pochyliła się i zwymiotowała do rynsztoka.

Koleżanka policjanta stanęła przy niej. — Wszystko w porządku?

— Tak.

— Lepiej niech coś pani zrobi z tą spódniczką.

Wszyscy na nią patrzyli: policjantka, policjant, gapie. Obciągnęła sukienkę na uda.

Wsiadła do samochodu razem ze stróżem porządku z rozbitym nosem. W drodze na posterunek zapytała: — Czy spisał pan numery tego czarnego samochodu?

— Jakiego samochodu?

— Tego na Ashby.

— Nie widziałem żadnego samochodu. — Jego oczy znowu zrobiły się małe. — Widziałem tylko, jak mocowała się pani z tym żółtkiem.

Przez resztę drogi nic już nie mówili.

Beth czekała potem w zielonym pokoju bez okien. Zielone ściany, zielone szafy, zielone metalowe biurko. Wskazówka starego zegara na ścianie odmierzała każdą minutę sześćdziesięcioma drgawkami. 11:27. Spojrzała na swoją lewą dłoń. Wyglądała nieźle: miała taki sam kolor jak prawa. Paznokcie wciąż były czarne, ale na brzegach dało się już zauważyć oznaki zdrowienia. Jednak nie nadawała się jeszcze do chwytania. Zaciśnęła ją kilka razy, tak dla wprawy. 11:51.

Do pokoju wszedł wysoki, czarny sierżant. Jego postura była doskonała, mundur nieskazitelnie czysty, skóra gładka jak lukier. Pewnie zwalczał przestępczość, samemu dając dobry przykład.

— Przepraszam, że musiała pani czekać. — Oparł się o biurko i spojrzał na nią. — Rozumiem, że to pani pojmała podejrzanego po tym, jak powalił jednego z moich ludzi. Zgadza się?

— Tak.

Patrzył na nią jeszcze przez chwilę. Jego oczy były zimne i inteligentne; nie mogła jednak nic z nich wyczytać.

— Dziękuję — powiedział.

Otworzył notes i zaczął zadawać pytania. Powiedziała mu o włamaniu do biura Teddy'ego.

— Czy kiedykolwiek przedtem widziała pani tego mężczyznę?

— Nie.

Pukał ołówkiem w swoje muskularne udo. — Więc nie ma pani pojęcia, kim jest?

— Nie.

— To niedobrze.

— Dlaczego?

— Bo on niczego nie chce nam zdradzić. Nawet swojego nazwiska. I nie ma żadnych dokumentów. Musieliśmy umieścić go w kartotece pod NN.

— A co z kartą American Express?

— Jest na nazwisko Altobelli. Miesiąc temu zgłoszono jej kradzież.

— W końcu chyba będzie musiał zacząć mówić? — zapytała.

Sierżant nie odpowiedział. Uderzał tylko ołówkiem w udo.

— Spróbuje pan jeszcze raz?

— Gdy skończą z nim w ambulatorium. Ma skręconą stopę. Złamał też Mendezowi nos i szczękę w dwóch miejscach. Mamy mnóstwo włamań, panno Hunter. Rzadko kiedy ofiara ściąga rabusia. A już na pewno nie wtedy, gdy ten nic nie zabrał. Co panią do tego skłoniło?

— Nie wiem.

Patrzyli na siebie. Sierżant przestał pukać i wsunął ołówek za ucho. Zdało się, że ten gest otworzył między nimi otchłań. Coś jak Atlantyckie oddzielające Amerykę od Afryki. Policjant wstał.

— Może pani iść. Jeśli się czegoś dowiemy, damy pani znać.

Wyszła z komisariatu. Tuż obok stała budka telefoniczna. Zadzwoiła do Straży Przybrzeżnej i po długim oczekiwaniu połączono ją z Gomezem.

— Jak ręka?

— Dzięki, dobrze. Muszę rozmawiać z Lathropem. To bardzo ważne.

Przerwa.

— W zasadzie to on u nas nie pracuje.

— Ale z wami współpracuje.

— Tak.

— To proszę tej współpracy nie utrudniać. Jestem pewna, że będzie chciał ze mną porozmawiać.

Podawała mu numer budki i odwiesiła słuchawkę. Wyszła na zewnątrz i zaczęła czytać ogłoszenia na drzewie — seks na telefon, sklep ze starymi płytami, Złota Ścieżka Kriszny, nawoływanie do bojkotu żywności dla niemowląt. Nie skończyła czytać wszystkich, gdy zadzwonił telefon.

— Halo — odebrała.

— Co się stało?

Opowiedziała mu.

— Będę za dwadzieścia minut. Do zobaczenia.

— Proszę poczekać. Czy rozumie pan, co to znaczy? Teddy nie jest zdrajcą. Został porwany.

— Doprawdy? — *Klik.*

Oczywiście, pomyślała, wolno odkładając słuchawkę. Teddy został porwany. Długowłosey na pewno przyszedł ukraść paszporty. Dlaczego? Czy była to część przykrywki? Teraz już mogła powiedzieć Lathropowi o Han Shih. Potrzebowała go. Długowłosey nie chciał mówić. Lathrop będzie wiedział, jak go do tego zmusić. Musiał zacząć śpiewać. Mógłby doprowadzić ją do Han Shih. Zaś ona wiedziała, gdzie jest Teddy.

Od czasu do czasu spoglądała na zegarek. Jeszcze raz przeczytała ogłoszenia na drzewie. Upłynęło dziewiętnaście minut. Od mijającego ją sznura

aut odłączył się samochód i stanął przy budce. Za kierownicą siedział Lathrop i golił się elektryczną maszynką. Spojrzał w lusterko, włożył golarkę do schowka i wysiadł.

Był ubrany prawie tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania; teraz miał tylko inny krawat i ciemne okulary.

Podeszła do niego. — Mam panu coś do powiedzenia, ale najpierw chciałabym zadać jedno pytanie.

- Proszę pytać.
- Czy pracuje pan dla CIA?
- Współpracuję z nimi. Co chciała mi pani powiedzieć?
- Czy śledził mnie pan wczoraj w nocy?
- To już drugie pytanie.

Ciemne okulary skrywały wyraz jego oczu. Był w tym dobry: nie potrafił tylko ukryć złości. Głos, ubranie, równo przystrzyżone włosy — wszystko to doskonale maskowało jego odczucia. A może był udanym rezultatem badań nad sztuczną inteligencją? Wkurzał ją i sprawiał, że ona też miała chęć go wkurzyć.

- Dlaczego włamał się pan do naszego mieszkania?
- Teraz to już tylko pani mieszkanie.

Nieuchronnie zmierzali ku następnej kłótni. Niczym stare zgorzkniałe małżeństwo mogli to osiągnąć po zaledwie kilku zdaniach. Cofnęła się o krok, w cień.

— Nie ma czasu na słowne utarczki, panie Lathrop. Teddy został porwany.

- Już to pani mówiła.
- Mogę to udowodnić.
- No to proszę.

Opowiedziała mu o Han Shih, zdjęciu w gazecie, księdze meldunkowej w hotelu i czarnym samochodzie na Ashby. W szklach jego okularów widziała swoje dwa wypukłe odbicia.

- To niczego nie dowodzi — podsumował, gdy skończyła.
- Ale Han Shih to oszustka.
- Oczywiście. To powinno być jasne od pierwszej chwili.
- Nie dla sieroty.
- Czy pani jest sierotą, panno Hunter?
- Nie ja, Teddy. Nie wiedział pan?

Pokręcił głową. Dwie małe Beth znikły ze szkieł okularów.

— To się nie trzyma kupy, choć bardzo się pani stara. Facet jest geniuszem. Nie wskoczyłby w ramiona pierwszej lepszej kobiecie w średnim wieku, która powie, że jest jego matką.

- Akurat w tych sprawach nie jest geniuszem.
- To pani tak twierdzi. Nie wie pani nawet, że był... — przerwał.
- Geniuszem od kodów? To chciał pan powiedzieć?
- Skąd pani wie?
- Od przyjaciela.

Zbliżył się do niej. Małe odbicia Beth urosły.

- Jak pani myśli, kogo pani teraz chroni?

Nie odezwała się. Lathrop kontynuował:

— Niech pani spojrzysz prawdzie w oczy: sytuacja w mieszkaniu to była scenka odegrana dla pani. To wszystko było z góry zaplanowane. Zdjęcie w gazecie, godzina ślubu, wszystko.

- Nie wierzę.

— Ależ wierzy pani. Połowę z tego udowodniła pani sama. Trzeba teraz tylko wypowiedzieć resztę na głos: niedoszły mążulek zmajstrował bachora i się ulotnił, jak mówił Gomez. I zrobił to z premedytacją, żeby zatrzeć za sobą ślady.

Z całej siły wymierzyła cios w jego głowę. Lathrop z łatwością zablokował go lewą ręką, a prawą trzasnął ją w policzek. Małe Beth na okularach znie-ruchomiały. Duża Beth poczuła, jak krew napływa jej do piekającej twarzy. Oblicze Lathropa również się zaczerwieniło. Ten policzek tak samo podzia-łał na niego, jak i na nią.

Uśmiechnął się, trochę za szeroko. — Proszę się na mnie nie złościć, ja usiłuję tylko coś pani przekazać.

- I bardzo się to panu podoba.

Wciąż się uśmiechał. — Lubię pomagać ludziom. Pomogę pani zrozumieć resztę. Zasługuje pani na to. Gdyby nie widziała pani łodzi podwodnej, doktor Wu zniknąłby bez śladu. — Przerwał na chwilę. — Zostawił tam panią na śmierć. Wie pani o tym, prawda?

- Nie.

- Nie słyszę.

- Nie!

— Dojdzie pani do siebie. Będzie pani musiała. Ponieważ widziała pani, co widziała, nie będą mogli utrzymać tego w tajemnicy. Choć szeroko pojęta opinia publiczna i tak nigdy się o tym nie dowie — dodał. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy. — A tak przy okazji, SIND namierzył pani łódź podwodną. Dziś o ósmej rano była się siedemset kilometrów na północny wschód od Midway, płynąc na zachód z prędkością czterdziestu węzłów. Bardzo szybko i bardzo głęboko. Jeśli jest to chińska łódź — a nie widzę powodu, by nadal mówić „jeśli” — to wizyta kucharki stanowiła tylko przykrywkę dla umieszczenia tu ich agenta. Jest to pewnie nowa łódź klasy Han.

O ile mi wiadomo, to pierwszy przypadek, gdy wypłynęła poza ich wody przybrzeżne. Jakiś bystrzak z Marynarki przeprowadził nawet symulację, jak udało jej się niepostrzeżenie prześlizgnąć. Przy prądach morskich, jakie występują o tej porze roku, mogła wpłynąć w jeden z nich na północy, wyłączyć reaktory i dryfować wzdłuż wybrzeża. Powoli, ale do celu.

— Nie musi mi pan udowadniać, że była jakaś łódź podwodna. Sama ją widziałam. Jednak to nie znaczy, że Teddy wszedł na nią z własnej woli. Gdyby tak było, to po co ktoś by się włamywał do jego gabinetu?

— Może coś zostawił.

Powstrzymała się od sięgnięcia do kieszeni. Jej zawartość czuła na Lidzie: bilety, paszporty z chińskimi wizami, list od Mertonów.

— Przekonajmy się. — Lathrop ruszył w stronę posterunku.

Gdy byli już w środku, wyjął coś z portfela i pokazał sierżantowi. Ten zaprowadził ich na dół. Szli betonowym korytarzem. Po obu stronach znajdowały się cele. Przez kraty widzieli twarze osadzonych.

Ktoś zagwizdał.

Ktoś wyciągnął do niej rękę.

Przyspieszyła.

Długowłosey był w ostatniej celi sam. Leżał na brzuchu na metalowej przyczepie ze świeżo zagipsowaną stopą między kratami.

— Ej, Kung-fu. Pobudka — zawołał sierżant.

I nagle rzucił się do przodu. Beth zobaczyła na podłodze sporą, czerwoną kałużę. Sierżant odwrócił Chińczyka na plecy. Miał głęboko rozcięte gardło. Rana już przyschła; cała krew znalazła się na podłodze.

Przyszedł lekarz. Wynieśli długowłosego na korytarz. Twarze między kratami przyglądały im się w milczeniu. Sierżant przeszukał celę. Nic nie znalazł. Lekarz przykłęknął nad denatem. Trupie oczy wpatrywały się ślepo w zwisającą z sufitu nieosłoniętą żarówkę. Nikt nie zwracał na nie uwagi. Sierżant rozmawiał przez walkie-talkie, Lathrop spoglądał na niego zza swoich ciemnych okularów, a Beth wpatrywała się w czerwoną kałużę na podłodze.

— Aha — odezwał się po chwili lekarz. Badał właśnie prawą dłoń Chińczyka. Miał długie i ostre szpony. — Spójrzcie na to — dodał. Pod paznokciami tkwiły resztki tkanki.

— Żartuje pan — rzekł sierżant.

— Nie. Sukinsyn sam poderżnął sobie gardło. Trafił w tętnicę.

Sierżant westchnął. — Zabieramy im paski, zabieramy sznurowadła, a te gnojki i tak znajdują sposób, żeby się zabić.

— Potrzeba matką wynalazku — odparł lekarz. Podciągnął rękaw koszuli długowłosego.

— Jakieś ślady? — zapytał sierżant.

— Nie. Ale jest ładny tatuaż.

Beth spojrzała. Wokół nadgarstka wytatuowany był zielony wąż. Miał czerwone zęby i rozdwojony język. Na białej skórze kolory wyglądały niezwykle żywo.

11

To absolutnie nic nie znaczy — odezwał się Lathrop, gdy wyszli z powrotem na ulicę. Jego policzki wciąż były zaróżowione. — Ten człowiek był tylko płotką.

— Ale dla kogo pracował? — spytała.

Popatrzył na nią w milczeniu. Przez ciemne okulary nie widziała, czy nie znał odpowiedzi, czy uważał ją za oczywistą. Otworzył drzwi swojego samochodu i ze schowka wyjął teczkę. — Proszę to obejrzeć.

Były w niej zdjęcia łodzi podwodnych, ponumerowane od 1 do 53. Niektóre miały pieczętkę CIA, inne Departamentu Obrony. Oglądała je po kolei.

— No i co? — zapytał.

Przejrzała je jeszcze raz. Łodzie różniły się tylko szczegółami.

— Nie wiedziałam, że jest aż tyle rodzajów okrętów podwodnych.

— To jeszcze nic.

Wybrała trzy ujęcia: 17, 23 i 49 — i położyła je na dachu samochodu.

— Która z nich? — zapytał Lathrop, ledwie zerkając na fotki.

— Nie jestem pewna. — Próbowała przypomnieć sobie łódź, którą widziała. — Może ta — wskazała na numer 17. Miała kwadratowe luki i długą, nisko umieszczoną płetwę.

Lathrop wziął zdjęcie.

— Typ Alfa. Zanurzona, może płynąć z prędkością czterdziestu dwóch węzłów. Głębokość zanurzenia około sześciuset metrów, może więcej. Kadłub ze stopu tytanu, powłoka nie odbijająca dźwięku, po prostu majstersztyk. Była pani blisko, ale to nie ta łódź.

— Czemu pan tak twierdzi?

— Łodzie klasy Alfa są sowieckie, a to nie była ich operacja.

— Skąd ta pewność?

— Już to przerabialiśmy. — Wskazał na numer 49. — To jest chińska wersja tego okrętu. Typ Han.

Beth spojrzała. Ta łódź miała okrągłe luki i płetwę trochę krótszą niż Alfa. — Płetwa wydawała mi się dłuższa — powiedziała.

— My mówimy na to stabilizator.

— I te luki...

— Tak?

Nie pamiętała, czy były okrągłe, czy kwadratowe. Lathrop włożył zdjęcia do teczki i wszedł do samochodu.

— I co teraz będzie? — spytała.

Na stopniach komisariatu pojawił się sierżant. Obserwował ich.

— Postaramy się zminimalizować nasze straty — odpowiedział Lathrop, wkładając kluczyk do stacyjki. — Ale to pani nie dotyczy.

Przekręcił kluczyk. Odchyliła się i z całej siły walnęła go w bok głowy. Jego okulary poleciały na drugie siedzenie. Z nienawiścią w oczach wyciągał rękę do drzwi, lecz zobaczył zmierzającego w ich stronę sierżanta i pohamował się. Beth zbliżyła swoją twarz do jego i powiedziała: — Wszystko, co dotyczy Teddy'ego, dotyczy także mnie.

Patrzyli sobie w oczy. Beth zaczęła drżeć.

— Coś nie tak? — zapytał sierżant.

— Spadaj — warknął na niego Lathrop.

Wbił spojrzenie w oczy sierżanta. Mięśnie zadrgały pod mundurem funkcjonariusza, ale wycofał się i zniknął we wnętrzu budynku. Kiedy Lathrop popatrzył znowu na nią, w jego oczach nie było już nienawiści; było w nich zamyślenie.

— Tak przy okazji, znalazła pani coś w gabinecie mężulka?

— Nie. — W tej chwili przyszła jej do głowy pewna myśl. — Czy długo-
włosy pracował dla pana?

Lathrop zaśmiał się i założył swoje ciemne okulary.

— Teraz to robi pani z siebie idiotkę. — Przekręcił kluczyk i zwrócił się jeszcze do niej: — Początkowo myślałem, że jest pani częścią tej gry. Teraz wiem, że nie. Cymbał z pani, i tyle.

Wcisnął pedał gazu i odjechał z piskiem.

— Powiedz to do faceta w lustrze! — krzyknęła za nim.

Ludzie się gapili, a ona wybuchnęła płaczem.

Wróciła do domu. Choć teraz to już nie był dom. Był nim, kiedy przebywał w nim Teddy. I kiedy był on sobą. Zaś teraz stał się zdrajcą. Albo jeńcem. Albo złapanym na haczyk pstrągiem.

Zamknęła i zarygłowała drzwi. Zapaliła wszystkie światła i zajrzała do wszystkich szaf. Przeciągnęła sztruksową sofę i zastawiła nią wejście.

Usiadła na niej i otworzyła butelkę brandy. Zadzwoił telefon.

— Słucham.

- Panna Hunter?
- Tak.
- Tu Means, z *New York Timesa*. Chciałbym z panią porozmawiać.
- O czym?
- O doktorze Wu.

Odłożyła słuchawkę. Telefon znowu zadzwonił. Włączyła automatyczną sekretarkę. Głos Teddy'ego odebrał wiadomość.

Podeszła do okna i spojrzała na zaparkowane na Chestnut Street samochody. Wszystkie miały przednie koła na krawężniku. Wszystkie były puste. Lathrop nie miał powodu tam siedzieć. Nie szukała go zresztą. Szukała Chińczyka z ogoloną głową, o wyglądzie zapaśnika. Han Shih miała świadomość, że ona wie.

Ale co wie?

Biorąc ze sobą butelkę, wyszła na balkon. Zachodni wiatr przepychał nad Golden Gate ogromną chmurę; wydawała się brnąć nad Zatoką jak lodowiec. Małe żaglówki ścigały się przy wschodnim krańcu Alcatraz. Jedna z nich okrążyła właśnie boję. Coś poszło nie tak. Żagiel wyduł się i łódka popłynęła zbyt szerokim łukiem. Druga żaglówka wykorzystwała to i wyprzedziła ją, płynąc pod wiatr. Kolejne łódki przyływały i odpływały, jedna po drugiej znikając pod białą chmurą. Słońce powoli chowało się za horyzontem, najpierw pozłacając obłok, a potem nadając mu barwę ognia. Beth wiedziała, że pod nim zrobiło się ciemno. Ciekawe, jakie to wrażenie, przepłynąć przez chmurę ognia i zapaść się w mrok? Odsunęła się od balustrady. Ruch sprawił, że poczuła zawartość swojej kieszeni. List. Wyjęła go i skończyła czytać.

...rozumie „sprawy sercowe” dużo lepiej niż ja. Pewnie nie muszę Ci o tym mówić, choć może jednak muszę. Wyjechałeś dawno temu. Na stypendium. Tak czy owak, czytasz teraz wypociny starego człowieka, chociaż tak stary to jeszcze nie jestem — złapałem wczoraj cztery pstrągi w Pudding Creek! (Pamiętasz, jak złapałeś tam kiedyś lososia?)

No to przejdę do sedna sprawy. Chcesz dowiedzieć się o swojej przeszłości, jak Cię zaadoptowaliśmy, itd. Matka mówi, że dużo ludzi to teraz robi. Ale w Twoim przypadku nie wiem, po co Ci wiedzieć o tym, jak zostałeś sierotą. W każdym razie było to w 1949. Matka dowiedziała się, że nie może mieć dzieci. Wielebny Luckinbill — zmarł biedaczek tego lata — skontaktował nas z parą misjonarzy, którzy właśnie wrócili z Chin i przywieźli ze sobą dwadzieścia czy trzydzieści sierot. Pojechaliśmy jesienią do Los Angeles i wybraliśmy Ciebie. Misjonarze nazywali się Heide-mann. Mieli w Santa Monica kościół Świętego Ducha. Ich adres to Montana 12880. Nic więcej, niestety, nie wiemy. To już stare informacje, ale

mam nadzieję, że okażą się pomocne.

Miło mi, że masz taką fajną dziewczynę. Myślicie o małżeństwie? Jeśli tak, to daj nam znać. Chcielibyśmy przesłać Wam mały prezent.

*Wszystkiego najlepszego,
Twój Ojciec
(Arthur Merton)*

Poszła do przedpokoju i usiadła na sofie plecami do zaryglowanych drzwi. Musiała pomyśleć. Ale nie była w stanie; wypila już pół butelki brandy.

W kuchni zrobiła sobie kawę. *Pomyśl. Pomyśl o Teddym siedzącym w wiklinowym fotelu, czytającym list.* To było na początku lutego. List Arthura Mertona miał datę trzydziestego pierwszego stycznia.

Teddy złożył list i włożył go do kieszeni szlafroka. Podróż poślubna. Nie spodzianka. Czy *on* to powiedział, czy *ona*? *Pomyśl.* Wzięła łyk kawy. Zamiast otrzeźwieć, stała się nerwowa. Po głowie kołatało się jej jedynie słowo *pomyśl.*

Na stole w kuchni położyła wszystkie swoje znaleziska: liścik od Teddy'ego, bilecik z kwaciarni, *Chronicle*, bilety do Szanghaju, paszporty, list Arthura Mertona. Wszystko to były dowody, ale czego? Zdrady? Porwania? Czy zbrodni o bardziej osobistym charakterze?

Pomyśl o podróży. O niespodziance. Teddy wiedział, że do jesieni będzie wolna. Dopiero latem, przed narodzinami dziecka, zamierzała skończyć swój doktorat. Tak więc na podróż było dość czasu. Na podróż z nieustaloną datą powrotu. Spojrzała na bilety. Lot Pan Am 830 do Szanghaju. Do startu pozostało niecałe czternaście godzin.

Dopiero teraz przypomniała sobie o książce Berlitz'a *Chiński dla turystów*, którą znalazła na jachcie, owiniętą w papier, podpisaną przez Teddy'ego jej imieniem. Pomyślała o tym przez chwilę. Nie doprowadziło jej to jednak do żadnych nowych wniosków.

Jeszcze raz przejrzała swoje znaleziska i włożyła je do teczki. Spojrzała na zaparkowane na ulicy samochody, sprawdziła drzwi, połknęła pigułkę nasenną i poszła do łóżka. Słyszała syrenę statku, przejeżdżające pojazdy, gitarę basową. Miasto się wyciszało. Była bliska zaśnięcia, ale nie spała. Próbowwała po swojej stronie łóżka, potem po stronie Teddy'ego. Przypomniała jej się Han Shih. I jej kierowca. Wstała i sprawdziła drzwi. Potem przeszła do gabinetu. W szafce znalazła rachunek telefoniczny za luty. Trzeciego lutego o 9:43 odbyła się sześciominutowa rozmowa z Santa Monica; kosztowała dwa dolary i pięć centów. Był też numer: (213) 634-2926.

Wykręciła go. Nikt nie odpowiadał. Zadzwoiła do informacji i poprosiła o telefon kościoła Świętego Ducha w Montana.

— 634-2926.

Połknęła jeszcze jedną pigułkę nasenną i położyła się na kanapie przy drzwiach. Z początku miasto było ciche. Potem hałas zaczął narastać. Beth w końcu odplynęła w sen.

Coś stuknęło na korytarzu. Zerwała się z walącym sercem. Ktoś oddał się holom. To gazeciarz.

Wstała i poszła do łazienki. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Na półce stały kosmetyki do makijażu. Rzadko się malowała. Ale dziś postanowiła to zrobić.

Wykąpana, ładnie ubrana i umalowana, pojechała na lotnisko. A może Teddy zostawił paszporty w swoim biurze wiedząc, że ona je znajdzie i domyśli się, iż chciał się z nią spotkać na lotnisku? Niemożliwe. Tak czy owak, jednak tam pojechała.

Nisko nad miastem wisiały szare chmury. Gdy zmierzała na lotnisko, zmieniły barwę na brunatną. Zaczęło padać. Zaparkowała samochód i weszła do terminalu. Na tablicy świetlnej zobaczyła, że lot Pan Am 830 nie jest opóźniony, a pasażerowie mają się udać do przejścia 36. Przed kontrolą biletów ustawiła się długa kolejka. Czterdzieści minut do odlotu i ani śladu Teddy'ego.

Stanęła na końcu ogonka i pokazała swój bilet.

— Dla palących czy nie?

— Obojętnie. — Chciała tylko wziąć kartę pokładową, żeby przejść przez odprawę do przejścia 36.

— Miejsce przy przejściu czy przy oknie?

— Obojętnie.

— Idealny pasażer z pani — stwierdziła pracownica lotniska, wręczając jej bilet i kartę pokładową.

To dlatego, że jestem cymbał.

Ruszyła do przejścia. Wszystkie miejsca w poczekalni były zajęte. Ani śladu Teddy'ego. Ludzie trzymali bagaż podręczny, nesesery i reklamówki pełne alkoholu. Jeden facet miał nawet kije golfowe. Zamierzał pewnie strzelić parę piłek w chińskie zarośla, a potem chwalić się tym przed swoimi kumplami.

— Pasażerowie lotu Pan Am 830 do Szanghaju, proszę przygotować się do wejścia na pokład.

Wszyscy nagle podnieśli się i ustawili w długiej kolejce. Bardzo powoli ludzie znikali w rękawie prowadzącym do samolotu. Wkrótce w poczekalni została tylko Beth i dwoje ludzi z obsługi.

Kobieta za biurkiem popatrzyła na Beth, wzięła mikrofon i powiedziała: — Pasażerowie do Szanghaju, lot Pan Am 830, proszeni są o natychmiastowe wejście na pokład samolotu.

Wstała i ruszyła do wejścia. A może Teddy czekał już na nią w samolocie? Pewnie. A może to zwyczajne szukanie igły w stogu siana? Zatrzymała się. *Pieprzyć to. Zwyczajnie pieprzyć.*

Odwróciła się i wybiegła z terminalu.

Wróciła do domu w siąpiącej mżawce.

W żadnym samochodzie na Chestnut Street nikt nie siedział. Zostawiła wóz za budynkiem i poszła na górę do swojego mieszkania. Zamknęła drzwi na klucz, zarygłowała, zapaliła światła i sprawdziła wszystkie pomieszczenia.

Zdjęła ze ściany portret Teddy'ego — nie Teddy'ego, tylko kogoś o podobnej twarzy — i schowała go do szafy. Potem przesunęła pod drzwi starą sztruksową sofę.

Położyła się na niej i zasnęła.

12

Z sufitu zwisała torba pomarańczy. Nie przestawała się bujać. Na początku sięgał ze swojej koi, żeby ją uspokoić, ale za każdym razem, gdy ją puszczał, zaczynała bujać się znowu. W tę i z powrotem, nawet dość szybko. Niezły rock'n'roll.

Torba wykonana była z luźno splecionych nylonowych nitek. Miała etykietę z rysunkiem drzewa pomarańczowego i jakimś napisami. Po chińsku, więc nie mogli ich odczytać. Przyglądał się znakom. Były cztery. Ten po lewej wyglądał jak konik polny zdejmujący kapelusz.

Gdy do kajuty wszedł srebrnowłosy mężczyzna, wskazał na niego i zapytał: — Czy ten znak oznacza pomarańcze, ojczyste?

Mężczyzna podszedł. Był potężnie zbudowany — kraweźdź koi sięgała jego barków. Ten drugi, ten, co przynosił jedzenie, musiał stawać na palcach, żeby zobaczyć, czy na pryczy ktoś leży. Srebrnowłosy spojrział na torbę z pomarańczami. Jego twarz znalazła się bardzo blisko. Miał gładką, nieskazitelną skórę.

— Ten znak oznacza gospodarstwo — odpowiedział. — A ja nie jestem twoim ojcem.

— No to gdzie on jest?

Srebrnowłosy poklepał go po ramieniu. Miał bardzo długie palce. Długie i zimne.

- Teraz jest bardzo zajęty. To niezwykle ważna osobistość.
- Czym się zajmuje?
- Sam ci to powie.
- Mam nadzieję, że wkrótce się zjawi.
- Na pewno.
- Bo ja się żenię.
- Małżeństwo to świetna instytucja.
- Co za śmieszne wyrażenie!

Śmiał się i śmiał. Srebrnowłosy mu zawtórował, choć jego oczy pozostały poważne. Wciąż go obserwowały. Po chwili śmiech ustał — i jego, i srebrnowłosego mężczyzny. Chciał zerknąć na zegarek, ale ten zniknął.

- Gdzie jest mój zegarek?
- Pewnie go zgubiłeś, gdy spadłeś.
- Ślub jest o 10:15. Nie spóźnię się chyba?

Srebrnowłosy sprawdził godzinę. — Masz jeszcze mnóstwo czasu.

- A która jest?

Srebrnowłosy pokazał mu zegarek. Był cały ze złota. Wskazywał 2:37.

- Druga trzydzieści siedem?
- To inna strefa czasowa.
- Ulżyło mi. Nie mogę się spóźnić na własny ślub.

Pomyślał o Beth i nagle małą stalową izbę przesłoniła jakby wodna kurtyna, a srebrnowłosy spoglądał z jej drugiej strony. Co się dzieło? Postarał się znów widzieć ostro.

- Skoro nie jesteś moim ojcem, to kim jesteś?
- Mów do mnie Jimmy.
- Ten twój zegarek nie wygląda mi na proletariacki, Jimmy.
- Proletariacki? — Mężczyzna nie załapał, o co mu chodzi. — To Rolex. — Przekreślił nadgarstek, żeby mu pokazać. — Wytrzymuje do trzystu metrów pod wodą.
- Zaimponowałby rybom.

Tego żartu Jimmy też nie chwycił. I chyba mu się nie spodobał. Ale tylko przez moment. Króciutki moment, bo zaraz się uśmiechnął. Jego zęby były duże, białe i równe. Nie wyglądały na prawdziwe. Już miał to powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. *Co się z tobą dzieje?* Miał ochotę paplać o wszystkim.

Dotknęły go długie, zimne palce. — Wszystko w porządku? — spytał Jimmy.

- Boli mnie głowa.

- Uderzyłeś się przy upadku.
- Przy upadku?
- Tak, ze stabilizatora.

Co za głupia nazwa; jeszcze gorzej niż głupia. Pomarańcze się huśtały. *Hmm, hmm*, buczały metalowe ściany bez okien.

- Boli mnie głowa — powtórzył.
- To niedobrze. Miałem nadzieję, że pomożesz mi napisać list. Mam problemy z pisownią.

- Nie ma sprawy. Ale kto go wyśle? Morświn?

I znowu śmiał się i śmiał. Jimmy mu zawtórował, jednak jego oczy pozostały poważne. Po chwili śmiech ustał.

- Boli mnie głowa.
- Wkrótce ci przejdzie.
- Masz aspirynę?
- Mam coś lepszego. — W rękę trzymał strzykawkę.
- Bądź delikatniejszy tym razem.

Poczuł ukłucie jak żądło. Spojrzeli na siebie.

- Wciąż mnie boli.
- Poczekaj, środek zaraz zacznie działać.
- Dobra. Ale nie mam dużo czasu. Piętnaście po dziesiątej muszę być przy schodach. Lepiej powiedz mojemu ojcu, żeby się pośpieszył.

- Powiem. Ale teraz jest zajęty.
- Co robi?
- Ważne rzeczy.
- Chcę się z nim zobaczyć. Przecież po to tu jestem. Zimne palce po-
klepały go po ramieniu. — Spróbuj zasnąć.

- Nie uda mi się
- To nie próbuj.
- Wtedy mi się uda.

Śmiech i zimne palce. Jimmy wyszedł przez stalowe drzwi. Były bardzo grube, ale pod najłżejszym dotknięciem otwierały się z sykiem pneumatycznych urządzeń. Kiedy się zasunęły, usłyszał bardzo ciche kliknięcie. Czy ktoś je zamknął na klucz? Lepiej to sprawdzić.

Jednak nie mógł wstać. Mógł co najwyżej podnieść głowę. To wszystko.

Było mu ciepło. Nadchodził sen. Zawsze tak się działo, gdy się nie starał; Jimmy miał rację. Zdrzemnie się trochę, to ból głowy minie.

Pomarańcze się huśtały. *Hmm, hmm*, buczały ściany.

CZEŚĆ DRUGA

13

Z wody ciepłej zanurkowała w zimną. Minął ją karmazyn. Wycelowała pistolet strzałkowy i pociągnęła za spust. Strzała wbiła się w głowę, trochę za blisko tułowia. Ryba rzuciła się i próbowała uwolnić. Zadziory trzymały ją jednak mocno. Zaczęła płynąć ku powierzchni. Tatko czekał w kambuzie, gotowy do smażenia. Już się niecierpliwił — słyszała, jak stuka w kadłub. Spojrzała w dół. Ryba już się nie rzucała, tylko patrzyła na nią. Miała oczy Teddy'ego.

Puk, puk.

Obudziła się na sztruksowej sofie.

Puk, puk.

Wstała, zagubiona przez chwilę we własnym mieszkaniu. W końcu wszystko powróciło. Taniec pstrąga na haczyku.

Puk, puk.

— Kto tam?

— Marty Kesselman.

Odciągnęła sofę i otworzyła drzwi. Marty wszedł, spojrzał na kanapę, potem na nią.

— Jezu, co tu się dzieje?

— Nic.

Przecisnął się obok mebla. — Wyglądasz okropnie.

On też wyglądał nieciekawie: wymizerowany, blady, z podkrążonymi oczami. Minął ją i wszedł do salonu. Zamknęła drzwi na zasuwę. To też zauważył.

— Próbowałem cię złapać — rzekł, siadając. — Gdzie byłaś?

Przez rozsuwane drzwi balkonu dostrzegła, że zachodzące słońce zabarwiło wody Zatoki na pomarańczowo. — Która godzina?

— Po szóstej.

Kolor wody powoli zmieniał się w czerwony; cienie budynków kładły się na jej powierzchni.

— Czy dziś jest wtorek, Marty?

— Środa. — Wstał, podszedł do niej i złapał za rękę. — Co się dzieje, Beth?

— Teddy zniknął. Czy to nie wystarczy?

Odsunęła się od niego, nie do końca mu ufając po wizycie w jego piwnicy. Zdawał się tego nie zauważać.

— Oczywiście. Ale jest coś jeszcze.

— A mianowicie?

— Słyszałem, że gonilaś po Telegraph Avenue jakiegoś faceta, który później w celi popełnił samobójstwo.

— Skąd wiesz?

— Wszyscy o tym mówią.

— Ale kto, konkretnie?

— Studentka w kafejce. Sprzedawca w księgarni. Campus jest jak małe miasteczko. Zresztą sama wiesz. Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Mój znajomy zbadał te ekspresówki, które u mnie zostawiłaś. W dwóch z nich nie było żadnych obcych substancji. Trzecia była nasączona $C_2H_3Cl_3O_2$. To chloroform.

— Który służy do...?

— Znieczulania. Zapada się po nim w sen. Albo, gdy ilość jest wystarczająca, po prostu się umiera.

— Czy było go aż tyle?

— W samej torebce nie. — Czekał, aż Beth coś powie. Gdy się nie odezwała, zapytał: — Skąd miałaś tę herbatę?

Nie słuchała go. Patrzyła na ciemniejące niebo zastanawiając się, jak ta herbata podziałała na Teddy'ego.

Marty zapytał: — Czy to Teddy ci ją podsunął?

— Zwariowałaś?

— Nie złość się na mnie. Cholera, próbuję ci tylko pomóc.

— Przepraszam, Marty.

— W porządku — odrzekł, jednak głos wciąż miał poirytowany. — O co chodziło z tym pościgiem po Telegraph Avenue?

— Tak naprawdę to sama nie wiem.

— Jak to? — Wbił w nią spojrzenie. — Facet nic nie powiedział, zanim się zabił?

— Nie.

Westchnął i wstał. — Nie sądzisz, że lepiej by ci było u mnie? Tam nie będzie żadnych... — Nie dokończył.

— Muszę zostać tutaj. W razie gdyby... — Ona też nie dokończyła.

Marty wyszedł. Chciał jej coś przekazać. Tak jak Lathrop. Z okna widziała, jak wtapia się w cienie na Chestnut Street. Dopiero teraz zauważyła, że ubrany był w strój do joggingu, i zdała sobie sprawę, że przebiegł całą drogę z Berkeley, a teraz truchtał z powrotem. Marty był jednym z tych staromodnych ludzi prowadzących życie według Thoreau — życie cichej desperacji. Inni z reguły wiedli żywot desperacji szumnej.

Włączając w to ją. Nie umiała nad sobą panować. Ludzie wciąż się na nią gapili — w pokoju 310, na Telegraph Avenue, w poczekalni na lotnisku. Nagle uświadomiła sobie, że w tych dniach bardzo płytko oddycha. Zmusiła się do kilku głębszych wdechów. Następnie poszła do kuchni i usiadła przy stole. Leżała na nim teczka z dowodami rzeczowymi. Otworzyła ją i obejrzała przedmioty jeden po drugim. Nie mogła się powstrzymać. Dużo później znowu przysunęła sofę pod drzwi i położyła się na niej. Wszędzie panowała cisza, która trwała i trwała. Zwalczyła pokusę napicia się brandy i łyknięcia pigułek nasennych. Po długiej chwili zasnęła. Kiedy obudziła się rano, czuła się ocieźłała i zmęczona. Złapała się na tym, że znowu płytko oddycha. Senność zawisła w jej umyśle jak ciemna chmura. Nie chciała się rozproszyć, ale też nie zamierzała nią zawładnąć. Beth wstała i poszła pod prysznic. Strumienie zimnej wody biczowały jej ciało, pobudzając do życia. Faza maniakalna już minęła. Teraz musiała stawić czoło depresji.

Ubrała się i pojechała na Sutter Street poszukać Le Bouquet. Nikt jej nie śledził. Odnalazła kwiaciarnię na parterze małego biurowca kilka przecznic za hotelem Beresford. Zaparkowała za budynkiem i skierowała się do sklepiku. Poranek był ciepły i przyjemny, zwiastował lato. Na chodniku roilo się od zrelaksowanych ludzi, spacerowym krokiem zmierzających do pracy. Wszyscy wyglądali na zadowolonych.

Beth otworzyła drzwi i weszła do kwiaciarni. W środku pachniało jak w lesie po deszczu. Za ladą stał niski mężczyzna o różowych policzkach i przycinał róże. Miał bordową apaszkę na szyi i fartuch w podobnym kolorze.

— Czym mogę służyć? — zapytał, spoglądając na nią znad okularów do czytania. — Mamy dzisiaj piękne róże. I tulipany, pierwsze w tym roku.

— Nie dzisiaj, dziękuję. W zeszłym tygodniu ktoś przysłał mi kwiaty z pańskiej kwiaciarni. Chciałabym temu komuś podziękować. — Pokazała mu bilecik. — Może pan pamięta.

— Gladiole — zgadł natychmiast. — Pięć tuzinów. Jasnoczerwone. Mam nadzieję, że się pani podobały?

— Bardzo.

Przyjrzał się jej uważnie. — Założę się, że czerwony to pani ulubiony kolor.

— Tak.

— Ja zawsze najbardziej lubiłem bordo. A zaraz po nim różowy. — Skończył przycinać róże i zaczął je zawijać w papier. Robił to szybko i sprawnie. — Chociaż muszę przyznać, że nie przepadam za gladiolami. Nigdy nie znaczyły dla mnie nic szczególnego.

— Dla mnie także.

— Nie? To dlaczego tamta kobieta zamówiła je dla pani?

— Nie jestem pewna, może nie zna mnie zbyt dobrze. Właśnie dlatego chcę się dowiedzieć, kto to taki. Kwiaty na pewno sporo kosztowały i mam z tego powodu wyrzuty sumienia.

— Sto dwadzieścia cztery dolary, dziewięćdziesiąt dwa centy — powiedział mały człowieczek. — Ale nigdy nie powinna pani czuć wyrzutów sumienia, otrzymując prezent. To wszystko psuje. — Sprawdził coś w księdze leżącej przy kasie. — Mam. Pięć tuzinów czerwonych gladioli. Zamówione w ostatnią środę, przesłać w piątek na Chestnut Street 218, mieszkanie 3. Sto dwadzieścia cztery dolary i dziewięćdziesiąt dwa centy.

— Jak się nazywała?

— Nie podała nazwiska, zapłaciła gotówką.

— A czy pamięta pan, jak wyglądała?

— Doskonale. Chinka, około pięćdziesiątki. Szykowna, mimo że lubi gladiole. Miała przepiękny nefrytowy naszyjnik. Znają pani?

— Tak. Dziękuję.

— Mam nadzieję, że się nie pogniewa, że pani powiedziałem. — Spojrzał na nią znad okularów. — Niektórzy klienci wolą pozostać tajemniczymi wielbicielami, choć w tym wypadku chyba nie o to chodzi. — Otworzył już usta, żeby coś dodać, ale się powstrzymał.

— Proszę, niech pan mówi.

Pochylił się nad ladą w jej stronę i zniżył głos: — Ale w tym mieście nigdy nic nie wiadomo, nieprawdaż? — Zarechotał. — Tu wszystko jest możliwe.

Jego twarz znalazła się blisko jej; miał gładką i czystą cerę, ale nieświeży oddech. To zburzyło tworzący się w jej głowie obrazek: wizerunek kwaciara jako elfa na leśnej polanie. Pożegnała się i zostawiła go za ladą, gdy wyglądał apaszkę.

Na zewnątrz oparła się o samochód pozwalając, by słońce ogrzało jej twarz. Han Shih zamówiła kwiaty w środę. A to znaczyło, że wiedziała, gdzie mieszkają, już na dzień przed swoimi odwiedzinami – na dzień przed tym, jak stanęła ze łzami w oczach na progu ich mieszkania i wyszeptwała: „Tun-li”.

Zapłaciła prawie sto dwadzieścia pięć dolców za czerwone gladiole. Beth pogodziła się już prawie z faktem, że Chiny wysłały po Teddy'ego łódź podwodną przez Pacyfik. Jednak nie potrafiła zrozumieć, że zapłacili ponad stówę, żeby przesłać jej kwiaty. Po co to zrobili? Wyjęła bilecik z koperty i po raz kolejny przyjrzała się trzem chińskim znakom; wiedziała już, co musi zrobić.

Znalazła książkę telefoniczną i otworzyła na D. Strona, której szukała, była wydarta. Przeszła do innej budki i pod hasłem *Detektywi* znalazła osiem chińskich nazwisk. Wybrała „Y.K. Ling: Prywatne śledztwa i porady”, bo ta firma jako jedyna nie wspominała nic o absolutnej czy zapewnionej dyskrecji. Miała nadzieję, że dla Y.K. Linga rozumie się to samo przez się. Agencja mieściła się przy Grant Avenue 417. Beth zostawiła samochód tam, gdzie był, i wybrała się do chińskiej dzielnicy.

Był słoneczny poranek, więc w Chinatown roilo się od turystów. Przyglądali się kelnerom pucującym podłogi restauracji, skwierczącym na grillach kaczkom, koszom pełnym owoców i warzyw, których nazw nawet nie znali. Kupowali wykonane z kości słoniowej pałeczki, których i tak nigdy nie nauczą się używać, błyskotki wyprodukowane w Korei i Singapurze. Kłaniali się starym kobietom, które siedziały za ladami i wcale nie próbowały być miłe, za to uważały, żeby banknoty się nie pozlepiały, gdy wydawały resztę. Wyglądało to jak plan filmowy pełen statystów, ale Beth stwierdziła, że wcale nim nie jest, gdy otworzyła szklane drzwi oznaczone numerem 417 i weszła do prawdziwego budynku.

Na parterze był sklep sprzedający duże wypchane pandy i sandały chińskich wieśniaków. Wspięła się po zakurzonych, pokrytych linoleum schodach. Na pierwszym piętrze znajdowała się spółka Fatt & Co. Import. Drzwi stały otworem. Chociaż w środku było ciemno, dostrzegła, że całe pomieszczenie pod sam sufit zawalone jest wypchanymi pandami. Weszła na najwyższe piętro. Do drzwi ktoś przypiął pinezką małą akwarelę. Dwoje ludzi w łódce w cieniu góry. Uniosła róg malunku i pod nim zobaczyła tabliczkę z napisem: *Y.K. Ling: PRYWATNE ŚLEDZTWA I PORADY*. Ołówkiem ktoś dopisał: *Zapraszamy*.

Otworzyła drzwi i znalazła się w niewielkim biurze. Nikogo w nim nie zastała. Kaktus, wyglądający jak ogromny hydrant, wypełniał jeden kąt pokoju. Stały tam także drewniane szafy, krzesła i dwa biurka, które wyglądały,

jakby je kupiono na szkolnej wyprzedaży pod koniec lat pięćdziesiątych. Na jednym z nich stał komputer, na drugim oprawione w ramkę zdjęcie siedmiorga dzieci ustawionych od najniższego do najwyższego, niczym znaki na wykresie przyrostu naturalnego.

W pomieszczeniu było jeszcze troje drzwi. Rozważała, do których zapukać, gdy środkowe otworzyły się nagle i do biura weszła dziewczyna z plikiem listów. Słuchała walkmana i żuła gumę.

- Szukam Y.K. Linga — odezwała się Beth.
- Nie musi pani krzyczeć. Mówię po angielsku.
- Przepraszam. Myślałam, że przez te słuchawki...
- Co?
- Nic.

Dziewczyna rzuciła listy na biurko i wyszła, wciąż znęcając się nad gumą. Chwilę później Beth usłyszała buczenie i przez środkowe drzwi wjechał na elektrycznym wózku starszy jegomość. Gdyby nie ten wózek, wyglądałby w swojej długiej szacie i z rozwichrzoną brodą jak mędrzec z dynastii Ming. Okrążył pokój i zatrzymał się przed nią.

- Szukam pana Y.K. Linga.
- No to go pani znalazła.

W jego mowie Beth wychwyciła kilka akcentów: kalifornijski, brytyjski, chiński oraz jeden czy dwa, których nie rozpoznała. Gdyby zidentyfikowała wszystkie i ustawiła je w odpowiednim porządku, poznałaby jego życiorys.

Ale nie miała na to czasu. Potrzebowała młodszego mężczyzny i żalowała, że nie spisała z książki telefonicznej pozostałych nazwisk. Gdy myślała, jak tu się kulturalnie pożegnać, Y.K. Ling z zadziwiającą łatwością sięgnął po drewniane krzesło i postawił je obok niej.

- Proszę usiąść.

Usiadła.

Jego oczy były na wpół przymknięte, prawie obojętne, ale gdy siadała, otworzyły się szeroko i zbadały ją jak radar; potem ich obojętny wyraz powrócił.

- Czy chce pani wynająć detektywa?
- Tak.

— Ja, niestety, od zeszłego miesiąca jestem na emeryturze. — Myślał przez chwilę. — Skończyłem z tym. Siedziałem w tym interesie pięćdziesiąt lat. Dwadzieścia jako sierżant w Hongkongu, pięć w policji w San Francisco, dwadzieścia pięć jako prywatny detektyw.

Zatoczył wózkciem małe koło i zaczął się wiercić jak hokeista czekający na krążek. Lubił ten swój mały pojazd.

— W każdym razie dziękuję — powiedziała Beth, ruszając do drzwi.

Chińczyk popchnął małą dźwignię i podjechał do niej.

— Ale wciąż udzielam porad. Dlatego w nazwie firmy dodaliśmy „Porady”. — Spojrzał na nią i znowu włączył swój radar. — Ale pani nie potrzebuje porady, mam rację?

— Owszem.

— W takim razie sprawą zajmie się Albert.

— Albert?

— To mój syn. Dziesięć lat pracował w policji San Pedro, osiemnaście ze mną. Razem dwadzieścia osiem. Zaprowadzę panią do niego.

Obrócił się na wózk i szybko wyjechał przez środkowe drzwi. Podążyła za nim.

Jechał daleko przed nią przez długi, pusty hol. Przyspieszyła. Korytarz krzyżował się z następnym. Y.K. Ling skręcił nie zwalniając. Zadrapał trochę ścianę, zjechał z podjazd» w słoneczny prostokąt i zniknął.

Odnalazła go na tarasie na dachu otoczonym ze wszystkich stron bambusowymi pergolami, po których pięła się winorośl. W doniczkach rosły krzewy bonsai. Był też ogródek z ziołami, pięknie wkomponowany w dywan z różnych gatunków traw, oraz wykonany z brązu Budda, który raczej nie został kupiony w jednym ze sklepów na Grant Avenue. Pośrodku tarasu znajdował się okrągły stół, dość duży, by pomieścić króla Artura i wszystkich jego rycerzy. Stały na nim dwie ogromne miski parującego makaronu. Wszyscy siedzący dokoła jedli: dziewczyna ze słuchawkami na uszach, ośmioro czy dziewięcioro dzieci, dwie stare kobiety, jedna trochę młodsza oraz potężnie zbudowany mężczyzna w średnim wieku, trzymający na swym wystającym brzuchu niemowlę.

Y.K. Ling zatrzymał się przy mężczyźnie. — To mój syn, Albert Ling — przedstawił.

— Beth Hunter.

— Bardzo mi miło — odparł Albert, głaszcząc dziecko. — Proszę się poczęstować. Zwykle nie jemy tak późno, ale dziś jest dzień D.N. i dzieciaki trochę pospały.

— D.N.? — powtórzył Y.K. Ling.

— Doksztalcania Nauczycieli. Nauczyciele się doksztalcają, a dzieciaki w tym czasie cofają się w rozwoju. Wszystko się wyrównuje.

— Och, tato — jęknęła siedząca obok niego dziewczynka, przewracając oczami.

— Nie *ochtataj* mi tu — skarcił ją Albert. — Gdzie się podziały twoje manieri?

Dziewczyna wstała, przyniosła czystą miseczkę i pałeczki i postawiła je przed Beth.

— Tak już lepiej. Proszę usiąść, panno Hunter.

Usiadła.

— To moja rodzina — wyjaśnił Albert. — Ojca już pani poznała. To jest moja żona. To moja matka. I teściowa. Mój siostrzeniec Li. Moja siostrzenica Xu. I moje dzieciaki — Jamie, Carol, Angela, Tony, Danny, Tom i Linda.

Przestali jeść i uśmiechnęli się do niej, wszyscy z wyjątkiem Lindy, dziewczyny ze słuchawkami na uszach.

— Nie mam na imię Linda, tato. Przecież wiesz.

— Zapomniałem. A jak masz na imię w tym tygodniu?

— Jade.

— Jade Ling. Nieźle. A to jest najmłodsze dziecko. Nie ma jeszcze imienia.

Albert przecesał palcami jego jedwabiste włosy. Niemowlę spało. Beth nie mogła oderwać od niego oczu.

Matka Alberta napełniła makaronem jej miseczkę.

— Może nazwiemy go Charlie? — powiedział Albert. — Czyż nie wygląda jak Charlie?

— Do kitu — skwitowały dzieciaki.

Jedzenie było wyśmienite. Beth uświadomiła sobie dopiero, jaka była głodna. Zjadła wszystko. Za bambusowym ogrodzeniem znajdował się następny taras. Przechadzały się po nim kury. Jakaś kobieta goniła jedną z nożem. Ptak zaskrzeczał. Po chwili umilkł. Beth odłożyła pałeczki.

— Co zrobimy z tymi wszystkimi pandami, Albercie? — zapytała jego żona.

— Czy wszystkie są felerne?

— Tak.

— W takim razie trzeba je odesłać.

Żona Alberta wstała i zabrała dziecko. — Chodźmy — powiedziała. Wszyscy odeszli od stołu, zostawiając Beth samą z Y.K. Lingiem i jego synem.

— Czy Fatt & Co. należy do pana? — spytała Beth.

Albert potaknął. — Fatt to nazwisko mojej teściowej.

— Sklep też jest nasz — dodał Y.K. Ling. — I cały dom. I budynki sąsiednie. — Uśmiechnął się radośnie.

— Myślę, że panny Hunter to nie interesuje, tato.

— Oczywiście, że ją interesuje — odpowiedział natychmiast. — Przecież pytała o to, prawda?

Przez chwilę Beth myślała, że Albert zacznie przewracać oczami tak jak jego córka, ale odwrócił się do niej i zapytał: — Co możemy dla pani zrobić?

Y.K. Ling odpowiedział za nią. — Potrzebuje prywatnego detektywa.

— W jakim celu? — zapytał Albert.

— Muszę kogoś odnaleźć — odparła.

— Kogo? — zapytał Y.K. Ling.

Nie wiedziała, od czego zacząć. Otworzyła kopertę, wyjęła z niej bilecik z kwiaciarni i podała go Albertowi.

— Co tu jest napisane?

Y.K. Ling wychylił się z wózka i zajrzał synowi przez ramię.

— Chińskie znaki? — spytał Albert.

— Tak.

— Styl trawiasty — wymamrotał Y.K. Ling.

— Nie rozumiem.

— Styl pisma — wyjaśnił Albert. — Są trzy rodzaje pisma: drukowane, pisane i trawiaste. Tu mamy do czynienia z tym ostatnim.

— Nie podoba mi się to — rzekł Y.K. Ling.

— Ale co tu jest napisane?

— *Fu, lu, shou.*

— Co to znaczy?

— To toast — odparł Albert. — *Szczęścia, bogactwa i długiego życia.*

— Za to nie musi pani płacić — zaśmiał się Y.K. Ling, wracając na swoje miejsce.

Na tarasie pojawił się jeden z chłopców. — Dziadku, telefon do ciebie.

— Kto dzwoni?

— Pan Chen.

— Powiedz mu, że dzisiaj nie mam czasu. Pracuję nad sprawą. — Odeśłał chłopca.

Albert zastukał palcem w bilecik. — Co to ma wspólnego z osobą, której pani szuka?

— Chcę odnaleźć kobietę, która to przysłała.

— Skąd pani wie, że to kobieta?

— Poznałam ją.

— I widać to po charakterze pisma — zauważył Y.K. Ling. Albert zignorował go. — Jak się nazywa?

— Han Shih.

Starszy mężczyzna roześmiał się.

— Co w tym takiego śmiesznego? — zapytała.

Patrząc na ojca z dezaprobatą, Albert odrzekł: — Tak naprawdę Han Shih to nie jest nazwisko. Oznacza tylko kobietę z rodziny Han. A to wielka rodzina. W Chinach jest ich pewnie około czterdziestu milionów.

— W tym dwadzieścia milionów kobiet — dodał Y.K. Ling, próbując powstrzymać śmiech.

Na tarasie zjawiała się jedna ze starych kobiet. Powiedziała coś po chińsku do swojego męża. Albert uśmiechnął się, a jego ojciec westchnął. Kobieta odwróciła się i wyszła. Y.K. Ling wolno pojechał za nią.

Albert odprowadził go wzrokiem. — Nie znosi życia na emeryturze.

— Minał przecież dopiero miesiąc.

— Miesiąc? To już prawie osiem lat. Codziennie gra w madżonga z panem Chenem. To go przygnębia.

— Może powinien wrócić do pracy?

Albert pochylił się w jej stronę i zniżył głos. — Nie może wykonywać zawodu, odkąd został postrzelony. I on o tym wie.

— Jak to się stało?

Albert spojrział na połyskującego w słońcu Buddę.

— Niech go pani kiedyś poprosi, to sam pani powie. Opowiada tę historię jak anegdotę. — Milczał przez chwilę, po czym odwrócił się do niej i zapytał: — Dlaczego chce pani odnaleźć tę kobietę?

Opowiedziała o wszystkim oprócz dziecka. Obserwowała go uważnie przez cały czas, szukając oznak wiary lub niedowierzania. Niczego się nie dopatrzyła. Jego twarz, choć trochę pełniejsza, miała taką samą zdolność zachowywania obojętności jak twarz ojca; jeśli posiadał w oczach taki sam radar, to nie dał tego po sobie poznać. Przerwał jej tylko raz, prosząc o dokładniejszy opis tatuażu długowłosego. Gdy skończyła, wstał i przeszedł na drugą stronę tarasu. Był dużo wyższy, niż się spodziewała; przy potężnych barkach i torsie brzuch wyglądał całkiem proporcjonalnie.

Kobieta na dachu obok gonila następną kurę. Zauważyła Alberta i pomachała do niego nożem. On też jej pokiwał i wrócił do Beth. Ptak zaskrzeczał.

— Panno Hunter...

— Wystarczy Beth.

— Beth. A ja Albert. Ojciec dał mi imię po Einsteinie. Jest taoistą i uważa, że teoria względności to prawdziwie taoistyczna doktryna. — Uśmiechnął się. Lecz gdy spojrział na nią, jego twarz była już poważna. — Czy słyszałaś kiedyś o triadach? — zapytał.

— O tajnych chińskich stowarzyszeniach? O tongach?

Potaknęła. — Czerwona Kohorta, Małe Włócznie, Bokserzy, Chee Kung Tong. Dawniej w Chinach były ich dziesiątki, niektóre z nich bardzo stare.

Na początku były organizacjami o charakterze politycznym — przeciwstawiły się dynastii Ching. „Przywrócić Ming, wykończyć Ching.” To było ich hasło. Kiedy dynastia Ching w końcu upadła, większość triad zajęła się działalnością przestępczą — opium, prostytutka, hazard, wymuszenia. Niektóre brały udział w rewolucji — jedno po jednej stronie, inne po drugiej, a jeszcze inne po obu naraz. Po zwycięstwie komunistów Mao chciał je wypenić, z wyjątkiem tych, które mu pomogły. Ko Lao Hui — Stowarzyszenie Starszych Braci — jest wciąż legalną partią w Chinach. Triady, które przetrwały, uciekły — do Hongkongu, Makao, na Tajwan, do Singapuru. Bardzo dobrze im się tam powodzi. Są jak mafia: rozkwitają dzięki gospodarce wolnorynkowej.

— O czym ty mówisz?

Wstał. — Wejdźmy do środka.

Szła za nim długim korytarzem, potem następnym, i dalej przez drzwi. Znaleźli się w małym pokoju o ścianach zawieszonych nieoprawionymi akwarelami. Y.K. Ling i jakiś inny mężczyzna siedzieli przy stole. Karty leżały na blacie, ale oni nie grali; pan Chen spał, a Y.K. Ling malował przepływające w cieniu góry łodzie. Na ekranie stojącego w rogu telewizora harcował przy wyłączonej fonii Kaczor Daffy.

Y.K. Ling zmieszał w filizance niebieską i zieloną farbę i nakładał ją na papier. Delikatnymi pociągnięciami stworzył jezioro, ciche i spokojne.

— Tato?

Starzec podniósł wzrok; jego myśli błąkały się gdzieś daleko.

— Panna Hunter widziała mężczyznę z wytatuowanym na nadgarstku zielonym wężem.

W jego oku pojawił się błysk. — Takim? — Kilkoma pociągnięciami pędzla namalował zielonego węża z rozwidlonym czerwonym językiem i czerwonymi zębami.

— Tak — odparła Beth.

— Bractwo Zielonego Węża — wyszeptał, dotykając gadziego ogona.

— Co to jest?

— Jedna z triad, o których ci mówiłem. Tajne stowarzyszenie.

Starzec zmieszał zieloną i niebieską farbę i zatopił węża w wodach jeziora.

— Co o nich pamiętasz, tato?

— Wszystko — odpowiedział starzec ze złością w głosie.

Jego uwagę przyciągnął Kaczor Daffy; przez chwilę wszyscy patrzyli, jak podskakuje na ekranie. Kiedy Y.K. Ling odezwał się ponownie, w jego głosie nie było już gniewu.

— Za wiele o nich nie wiedziałem. Kwaterę główną mieli na Tajwanie, ale działali też w Hongkongu. To był początek lat pięćdziesiątych. Zajmowali się przemysłem i hazardem. Opanowali większość wybrzeża. Robiliśmy, co w naszej mocy, lecz nie mogliśmy wiele. Nikt nie chciał mówić — zdrajcom grozili Śmiercią Tysiąca Cięć. Stosowali mnóstwo takich sztuczek.

Y.K. Ling podniósł filizankę, opierając jej dno na środkowym palcu, a wskazującym i kciukiem trzymając brzegi.

— To była taka ich wizytówka. Takie tam czary-mary bez znaczenia, ale niektórzy ludzie się ich bali.

Jego głos zamierał. *Czary-mary bez znaczenia*, pomyślała Beth, *tak jak przesłanie pięciu tuzinów jasnoczerwonych gladioli*. Na ekranie telewizora Daffy walił pięściami w drzewo.

Starzec spojrzął na Alberta. — Kiedyś widziałem zwłoki człowieka, który zginął Śmiercią Tysiąca Cięć. Raz wystarczyło. Takie umieranie trwa nawet kilka miesięcy, bo zadają rany raz na jakiś czas. Niektórych to przeraża.

Na przykład długowłosego, pomyślała.

Y.K. Ling odwrócił się do niej. — Jest takie chińskie przysłowie: „Zabij kurczaka, żeby przestraszyć małpę”.

Czekała, co powie dalej, ale on wziął tylko pędzel i zmarszczył powierzchnię jeziora.

Beth i Albert wrócili na taras.

— No i? — zapytała.

— No i co?

— Czy mi pomożesz?

Włączył swój radar. Nie był on jednak tak silny jak jego ojca.

— Biorę sto pięćdziesiąt dolarów za dzień. Plus koszty. I potrzebuję pięć stów zaliczki.

— Dziś po południu dostaniesz potwierdzony czek.

Albert odwrócił się i spojrzął na Buddę. — Po co marnować pieniądze — rzekł cicho.

Podbiegła i złapała go za ramię. — Nie wierzysz mi? Myślisz, że to wymyślił jakiejś histeryczki?

— Ależ skąd. Wierzę ci. — Uwolnił ramię z jej chwytu. — Właśnie dlatego mówię ci, żebyś nie marnowała pieniędzy.

— Czy sądzisz, że Teddy nie żyje?

— Może tak, a może nie. — Przerwał na moment. Kiedy znowu zaczął mówić, jego głos brzmiał łagodniej. — W sprawę zamieszane jest Bractwo Zielonego Węża. I rząd obcego państwa — triady nie posiadają łodzi

podwodnych. Zadali sobie sporo trudu, żeby dostać twojego narzeczonego. Myślę, że już go nie zobaczysz.

Beth złapała go za masywne barki. — Zobaczą, choćbym miała wykopać go spod ziemi.

Popatrzyli sobie w oczy. Albert spuścił wzrok.

— Dobrze — powiedział.

Puściła go. — Czek przyniosę po południu.

— Włóż do skrzynki pocztowej. — Uśmiechnął się. — I nie musi być potwierdzony.

14

Samolot kończył lot, spadając z błękitu w brąz. Poniżej miasto połyskiwało jak matowy mosiądz na dnie zamulonej rzeki. Wysokie budynki nowego centrum były niewidoczne. To pewnie przez to powietrze.

— To tylko mgła — odezwał się siedzący obok niej mężczyzna.

Wiedziała, że musi mieszkać gdzieś tam, w Los Angeles. Jego mieszkańcy zapomnieli już, jak wygląda mgła, albo woleli udawać, że spowijający ich miasto smog nie istnieje.

Aż do tego ranka Beth była posiadaczką części fortuny tej metropolii: na zakończenie studiów ojciec sprezentował jej pięćset akcji studia MGM. Jednak po wyjściu od Alberta Linga zadzwoniła do maklera i kazała mu je sprzedać.

— Czyżby wiedziała pani coś, czego ja nie wiem? — zapytał ją.

— Może — odparła, choć wiedziała jedynie, że potrzebuje pieniędzy na detektywa.

— Sam mam trochę akcji MGM — wyznał makler z niepokojem, zanim odłożyła słuchawkę. Miał bardzo młody głos.

Na lotnisku Beth wynajęła samochód, najmniejszy i najtańszy, jaki był. W korku na Lincoln Boulevard radził sobie równie dobrze jak mercedesy i jaguary. Wszyscy jeździli z zamkniętymi oknami, odizolowani w prywatnych mikroklimatach, poruszając ustami do słów popularnych piosenek. Skręciła w Ocean Boulevard i jechała wzdłuż trawiastej promenady po lewej stronie. Pełno było na niej drzemiących ludzi: starszych osób na leżakach i rozwalonych na trawniku nielegalnych imigrantów.

Zjechała znad oceanu w ulicę Montana i skierowała się w głąb łądu. Wreszcie dojechała do numeru 12880. Kościół Świętego Ducha wyglądał

jak stodoła ze stali i przydymionego szkła, wciśnięta między irlandzki pub, zachwalający 136 różnych gatunków piwa, a siłownię „U Fabrice”, obiecującą idealną figurę w sześćdziesiąt dni. Znalazła miejsce do zaparkowania i poszła do kościoła. Na dworze panował zaduch i spiekota. Beth była tu jedynym przechodniem.

Na tablicy przy schodach prowadzących do świątyni widniał napis: WIELEBNY DR RORY BROCK. KAZANIE NIEDZIELNE: WIERZYSZ W MOC RELANIUM? MOŻE WYPRÓBUJ CHRYSUSA! Otworzyła przeszklone drzwi i weszła do klimatyzowanego wnętrza. Było tam prawie tak zimno jak w chłodni.

Na ścianie naprzeciw wejścia wisiał ogromny złoty krzyż, dość duży, by pomieścić trzech Żydów naraz. Przed nim znajdowało się prezbiterium wyściełone złocistym dywanem. Stąd do wejścia ciągnęły się rzędy ławek z jasnego klonowego drewna — wszystkie puste. Nie był to kościół, do którego wchodziło się ot tak, z ulicy, żeby chwilę posiedzieć. Trudno też było sobie wyobrazić Boga, który zechciałby tu zamieszkać.

Nawa poprzeczna prowadziła od prezbiterium do usytuowanych z boku zamkniętych drzwi. Podeszła do nich i zapukała.

— Proszę — zawołał jakiś mężczyzna; miał baryton idealny do reklam firm ubezpieczeniowych, które chcą wmówić ludziom, że są w dobrych rękach.

Otworzyła drzwi i weszła do wielkiego gabinetu. Na podłodze leżał gruby dywan. Na nim stały skórzane fotele i kanapy oraz wykonane ze stali i szkła biurko, za którym siedział mężczyzna i oglądał telewizję. Na głowie miał gąszcz równo przyciętych, jasnobrązowych włosów, które w młodości były pewnie koloru blond. Opaloną twarz o wyrazistych rysach znaczyło zaledwie kilka zmarszczek. Spojrzał na nią, uśmiechnął się szeroko i przekręcił telewizor tak, by widziała ekran.

Ukazał się na nim mężczyzna. Miał równo przycięte, jasnobrązowe włosy, opaloną twarz o wyrazistych rysach i makijaż, który ukrywał zmarszczki. Stał w złotym prezbiterium przed złotym krzyżem.

„Piekło jest prawdziwe, tak samo prawdziwe jak grzech” — głosił.

Dostosowano wysokie tony tak, by jego głos brzmiał donośniej. Kamera zrobiła najazd. Patrzył teraz prosto w obiektyw i powtarzał to, co przed chwilą, tym razem groźnym szeptem. Przerwał, odwrócił się i wolno przeszedł na tył prezbiterium. Nagle okręcił się szybko i wykrzyknął:

„A wy wszyscy wiecie, co to grzech, czyż nie?” Dał się słyszeć pomruk potwierdzenia niewidocznych słuchaczy. „Pewnie, że wiecie. To wiecie też, że piekło jest tak samo prawdziwe i powinniście śmiertelnie się go bać. Ale czy się boicie? Nie! Grzeszycie dalej.” Zniżył głos do szeptu. „A jeśli nie

trzęście się z lęku przed ogniem piekielnym w waszych sercach, Jezus nie może was zbawić. Jezus nie może...” Wcisnął jakiś guzik, zatrzymując obraz.

— Proszę na to spojrzeć — rzekł, kręcąc głową. Z kieszeni wyjął dyktafon i zaczął mówić: — Strona ósma kazania, wers czternasty. Nieładne cienie pod oczami i brodą. Po pauzie wstawić inny kadr i trzymać aż do następnego cięcia.

Wyłączył dyktafon.

— Najgorsza banda amatorów, z jaką miałem do czynienia — zwrócił się do niej. — Wylałbym wszystkich na zbity pysk, gdyby nie związki.

Spojrzał jeszcze na siebie w białych szatach, podskakującego na ekranie, i wyłączył telewizor.

— Co mogę dla pani zrobić, młoda damo? — Wyciągnął rękę i uściśnął mocno jej dłoń. — Jestem wielebny doktor Brock.

— Doktor Hunter — odpowiedziała. Chociaż doktorem ma zostać dopiero za parę miesięcy.

Wielebny poczuł się chyba trochę niepewnie, bo cofnął rękę. Miał już coś powiedzieć, ale się wstrzymał. Wiedziała, że chciał zapytać, z czego zrobiła doktorat, ale nie mógł wykombinować, jak to zrobić bez narażania się na takie samo pytanie. Uśmiechnął się więc tylko i rzekł: — Proszę mówić do mnie Rory.

Czekał, aż ona też zdradzi mu swoje imię. Gdy tego nie zrobiła, zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. Złożył dłonie i wycelował w nią.

— Co sprowadza panią do naszego przybytku? Udzielam porad duchowych, ale tylko po uprzednim umówieniu się na spotkanie.

— Szukam małżeństwa, które kiedyś prowadziło ten kościół, może nawet nadal jest z nim związane. Nazywają się Heidemannowie.

Odchylił się do tyłu, brodę oparł na złożonych dłoniach.

— Czy mogę wiedzieć, czego pani od nich chce?

Beth nie czuła potrzeby wyjawiania mu wszystkiego, odpowiedziała więc:

— Jestem historykiem. Prowadzę badania do książki na temat misji protestanckich w Chinach przed rewolucją. Rozumiem, że Heidemannowie tam byli.

— Skąd pani o tym wie?

— To żadna tajemnica. Sprawdziłam zapisy konsularne.

— Rozumiem.

Wstał i podszedł do zajmującego całą ścianę okna z przyciemnianego szkła. Na zewnątrz stiukowa ściana siłowni oślepiła odbitym blaskiem słońca.

— Czy może mi wielebny powiedzieć, gdzie znajdę państwa Heidemann?

Brock odwrócił się od okna i uważnie na nią popatrzył. Jego czujny wzrok posiadał silną i mocno skoncentrowaną zdolność oceniania ludzi: miał oczy dobrego handlowca.

— Zanim pani odpowiem, chciałbym wiedzieć coś o pani nastawieniu.

— Do czego?

— Do misjonarzy w Chinach. Misjonarzy w ogóle.

Czy o to nie powinni się już martwić Heidemannowie? — pomyślała.

Uśmiechnęła się i rzekła: — Och, nie chodzi mi o takie badania. Mnie interesuje statystyka: ilu misjonarzy tam było, gdzie przebywali, co zbudowali, ilu ludzi nawrócili, ile pieniędzy wydali — tego rodzaju dane. Suche fakty.

— Dzięki Bogu.

Nagle otworzyły się drzwi. Do pokoju zajrzała mocno zbudowana kobieta w trykocie.

— Cześć, Ro — rzuciła, po czym dostrzegła Beth. — Ach, jesteś zajęty.

— Obawiam się, że będziemy musieli przesunąć twoje spotkanie o pół godziny, Fabrice.

Z oczami utkwionymi w Beth, kobieta wycofała się i zamknęła drzwi. Brock westchnął.

— Biedactwo. Robię, co mogę. — Zapatrzył się w stiukowy tynk za oknem i pograżył w myślach. — Należy do osób wierzących w konieczność utrzymania doskonałej kondycji fizycznej — mówił tonem, jaki ludzie rezerwują dla własnych przemyśleń; jednak Beth wiedziała, że jest zawodowym mówcą. Znowu westchnął. — Gdybyż tak jeszcze zechcieli zadbać o kondycję duchową. — Ocknął się nieco zbyt nagle z udawanej zadumy, odwrócił się do Beth i powiedział: — Pani wydaje się w dobrej kondycji fizycznej.

Zaczynała powoli rozumieć jego sposób na kobiety.

— Miał mi wielebny powiedzieć o Heidemannach.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się. Westchnął po raz kolejny.

— Niewiele wiem o wielebnym Heidemannie — odparł. — Zaś pani Heidemann to obecnie pani Brock. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu pięciu lat. Powinna być teraz w domu. Zadzwoń i powiem jej, że pani przyjedzie. — Podał jej adres w Beverly Hills.

Wysła. Upał jakby chciał ją ukarać za czas spędzony w klimatyzowanym pomieszczeniu, a smog wypełnił jej płuca. Wsiadła do wynajętego auta i

ruszyła na wschód. Zaniechała dalszych prób rozpracowania sposobu na kobiety wielebnego Brocka: miała niekompletne dane.

Brockowie posiadali dom w hiszpańskim stylu, otoczony murem w tym samym guście, czego przejawem miało być zwieńczenie z pomarańczowych płytek. Wcisnęła guzik domofonu przy furtce. W głośniku zatrzeszczał pi-skliwy kobiecy głos: — Kto tam?

— Beth Hunter.

Coś pstryknęło. Otworzyła furtkę i ruszyła w kierunku domu. Duże ka-mienne donice stały po obu stronach wejścia, ale znajdował się w nich tylko żwir. W ciężkich drewnianych drzwiach było fazowane okno, osłonięte sta-łową siateczką. Przez szybkę najpierw widziała ciemność, potem ujrzała bladą twarz. Drzwi otworzyły się.

— Doktor Hunter? — zapytała kobieta, oślepiąca blaskiem słońca.

Była niższa od Beth o kilkanaście centymetrów, chuda jak szczapa i o ja-kieś dwadzieścia lat starsza od wielebnego doktora Brocka.

— Proszę mi mówić Beth.

— Helen Brock. — Podążyła jej ciepłą, suchą dłoń. — Czy widziała się pani w kościele z Rorym?

— Właśnie stamtąd jadę.

— Czy był sam?

— Tak. — Fabrice wpadła przecież tylko na chwilkę.

Kobieta przyglądała się jej. — Jest pani taka młoda jak na pisarkę.

— Wcale nią nie jestem.

— Ale Rory mówił...

— *Jeszcze* nią nie jestem — weszła jej w słowo Beth. — Muszę się jesz-cze wiele nauczyć.

Dla wygody posłużyła się wcześniej niewinnym kłamstwem; teraz za-czynano jej ono ciążyć. Nie miała powodu, by kłamać czy nie ufać Brockom. Musiała zadać tylko dwa proste pytania: „Czy rozmawiała pani z Teddym?” i „Co mówił?”.

Zadaj je wreszcie.

Spojrzęła na Helen Brock i miała zacząć mówić. Kobieta obserwowała ją uważnie; białka jej oczu były żółte. Lecz Beth nie mogła nic z siebie wy-krztusić. Teddy dzwonił do ich kościoła, a teraz zniknął. Nie miała więc także powodu im ufać.

— Niech panią Bóg błogosławi za tę skromność — rzekła Helen. — Każdy, kto pracuje nad książką, jest dla mnie pisarzem. Proszę wejść.

Podążyła za nią w głąb ciemnego domu. Minęły salon i jadalnię, które wyglądały na nieużywane, i weszły do małego pokoju. Ciężkie stopy były zaciągnięte, a mrok rozjaśniały tylko dwie lampki i telewizor.

Usiadły naprzeciw siebie przy małym stoliku w miękkich starych fotelach z oparciami z wytartego perkalu i skrzypiącymi sprężynami.

— Chce się pani dowiedzieć czegoś o naszej misji w Chinach — zaczęła Helen.

— To prawda.

Pani Brock pochyliła się w jej stronę. Beth zauważyła, że w miejscu lewej piersi nosiła protezę. Sterczała jędrna jak u nastolatki, podczas gdy prawa pierś była obwisła.

— Cieszę się, że mogę o tym pomówić. Po części dlatego, że uważam to za istotny temat. Jednak główny powód jest taki, że, Boże, wybacz mi, były to najszcześniejsze chwile mego życia.

W telewizorze ogromna tarcza przestała się kręcić i rozbłysła mrugającymi światełkami. Jakaś kobieta podskakiwała ze szczęścia; to była najszcześniejsza chwila jej życia. Helen dostrzegła, że Beth się rozproszyła, i wyłączyła telewizor.

— Od czego mam zacząć? — zapytała. — Musi chyba być jakaś ustalona metoda przeprowadzania takich badań.

Nie miała nawet długopisu ani notatnika.

— Proszę zacząć od początku. Jak to się stało, że wyjechaliście do Chin?

Helen rozsiała się wygodnie w fotelu. Jej ciemne oczy były skupione.

— Wysłał mnie tam mój ojciec. Założył Kościół Świętego Ducha jeszcze w latach dwudziestych.

— Świątynia nie wygląda na tak starą.

— Została przebudowana. Najpierw stanowiła dokładną replikę kościoła Kongregacyjnego w miasteczku Cornwall w Connecticut, skąd pochodził mój ojciec. Nowy budynek to pomysł Rory'ego. Co pani o nim sądzi?

— Nie znam się na architekturze sakralnej.

— Bardzo dyplomatyczna odpowiedź — zauważyła Helen z uśmiechem. — Ale nie trzeba się na tym znać; kościół Rory'ego to zimne i okropne miejsce. Nigdy nie powinnam była dać się na to namówić.

— Czy pani też się w nim udziela?

Helen zamrugła. — Ten kościół jest moją własnością. Byłam jedynaczką i ojciec zostawił mi go w spadku.

— Mówi pani o budynku?

— O budynku, o gruncie, o wszystkim.

Beth nigdy nie myślała o kościele jak o czyjejś własności.

— Kiedy umarł pani ojciec?

— Zimą 1950 roku. Krótco po tym, jak wróciliśmy z Rexem z Chin. Najpierw sama chciałam wygłaszać kazania. Ale boję się przemawiać do

tylu ludzi naraz. — Zamknęła oczy. — Modliłam się co wieczór, by Bóg na-
technął mnie spokojem. Ale On miał wobec mnie inny plan... Otarła łzy.

— Tak więc naukami zajął się Rex. Był świetnym kaznodzieją, choć nie
tak dobrym jak Rory. Mężczyźni chyba nie boją się tłumu. Wydaje się wręcz,
że czerpią z niego siłę. Tak przynajmniej było z panami w moim życiu.

Uśmiechnęła się krzywo, co zniekształciło jej twarz. Wyglądała teraz jak
postać z obrazu kubisty: miała nierówne piersi i wykrzywione oblicze.

— Kim jest Rex?

— Rex Heidemann to mój pierwszy mąż. Także był misjonarzem. Po-
znaliśmy się i pobraliśmy w Chinach mniej więcej rok przed przejściem
władzy przez komunistów.

Znowu zamknęła oczy i wykrzywiła twarz, jakby chciała w ten sposób
zdusić w sobie myśli. Beth przyszło do głowy pytanie, ale nie chciała go za-
dawać. Lecz Helen i tak na nie odpowiedziała.

— Rozwiedliśmy się w pięćdziesiątym drugim. Rex stracił wiarę. —
Otworzyła oczy. — Ciemno tu.

Nie odsłoniła zasłon, tylko zapaliła jeszcze jedną lampkę na stoliku.

— Teraz lepiej.

Skierowała swoje czarne, matowe oczy na Beth.

— Ja natomiast nigdy nie przestałam wierzyć, doktor Hunter. Nie w
Jezusa Chrystusa. Za to w siebie — owszem. Straciłam wiarę w siebie, kiedy
Rex ode mnie odszedł — gdy się rozwiedliśmy. Sama prowadziłam kościół
przez sześć lat i nieźle mi to wychodziło. Bóg obdarzył mnie zdolnościami
organizacyjnymi. Jednak moje kazania były coraz gorsze. Tak się denerwo-
wałam, że nie zmrużyłam oka z soboty na niedzielę. Później nie mogłam
zasnąć także w piątek. W końcu w ogóle przestałam spać.

Jej dolna warga zaczęła się trząść. Próbowała przytrzymać ją ręką, ale
ona wciąż drżała.

— Czy pani też się tak denerwuje, gdy ma przemawiać, Beth?

— Każdy się denerwuje.

— Ale nie tak jak ja. — Westchnęła.

Beth zdawało się, że minęły wieki, zanim Helen wzięła następny oddech.
Wyraźnie dostarczył potrzebnej jej energii, bo tym razem odezwała się zwa-
wiej.

— Tak więc gdy pojawił się Rory — był wtedy jeszcze w seminarium —
wysłałam za niego. Tak naprawdę to nie jest ode mnie dużo młodszy wbrew
temu, co mówią ludzie. Jak pani myśli, ile mam lat?

— Kiepsko mi idą takie zgadywanki.

- Śmiało. Nie obrażę się.
 - Pięćdziesiąt dziewięć — strzeliła, obniżając wiek Helen, jak tylko mogła, by pochlebstwo nie było zbyt oczywiste.
 - Pięćdziesiąt sześć — skorygowała cicho Helen. — A Rory czterdzieści siedem. Dziewięć lat różnicy. To chyba niedużo? — spytała bez przekonania. Niecelny strzał Beth trochę ją przygnębił.
 - Pewnie, że niedużo.
- Tylko że Rory wyglądał na trzydzieści pięć, a Helen na siedemdziesiątkę.
- Oczywiście, Rory wygląda bardzo młodo — rzekła Helen, czytając w jej myślach. — Jak długo pani z nim rozmawiała?
 - Kilka minut.
 - Co robił?
 - Chyba przygotowywał kazanie.
 - Był sam?
 - Tak.

Cisza.

- Gorąco tu — odezwała się znowu Helen, podciągając rękawy sukienki. Na nadgarstku miała bransoletę identyfikacyjną ze szpitala. — Nie jest pani za ciepło?
- Trochę.
- Wycisnę sok z pomarańczy. Wstała.
- Proszę nie robić sobie kłopotu.
- To żaden kłopot. Poza tym potrzebuję witaminy C. W międzyczasie proszę sobie obejrzeć zdjęcia z Chin. — Otworzyła górną szufladę ciężkiej komody i wyjęła oprawiony w skórę album. — Dadzą pani pewne pojęcie, jak tam było — dodała, wręczając księgę, i wyszła z pokoju.

Beth otworzyła album. Był pełen czarno-białych zdjęć naklejonych na czarnym papierze. Fotografie zdążyły już pożółknąć, lecz wszystkie były podpisane białym atramentem.

Większość z nich nic jej nie mówiła. Na niektórych byli biali ludzie, których nie знаła, na innych Chińczycy, na jeszcze innych ceglany budynek zwieńczony krzyżem. Jedno z ujęć przedstawiało półnagięgo rikszarza, wiozącego przez kościelny plac białego mężczyznę.

Zainteresowały ją trzy zdjęcia.

„Rex i ja, 8 kwietnia 1948.” Rex był przystojniejszy niż Rory, miał jaśniejsze włosy, większe zęby i głębszy rowek w brodzie. Miał na sobie frak, a Helen suknię ślubną. Była szczupła, ale nie chuda, i uśmiechała się szczerze. Rex obejmował ją ramieniem.

„Rex, ja i J. Han, jezioro Tai, 1948.” Siedzieli przy koszyku piknikowym; w tle niewyraźnie majaczyła tafla wody. Helen miała na sobie sukienkę na ramiączkach i apaszkę, zaś Rex białe spodenki i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem; Chińczyk ubrany był w długą szatę. Zdawał się dużo większy od Rexa; miał gęste, czarne włosy i szeroką twarz. Patrzył prosto w obiektyw. Rex mówił coś do niego, a Helen spoglądała na męża z uwielbieniem w oczach.

„Dzieci, Szanghaj, wiosna 1949.” Na zdjęciu w dwóch rzędach ustawiono chińskie maluchy: niższe z przodu, wyższe za nimi. W tle widoczny był budynek z krzyżem. Helen stała pośrodku drugiego rzędu z płaczącym brzdącem na ręku. Na dole fotografii w dwóch linijkach wypisano imiona i nazwiska. Trzymane przez Helen niemowlę było siódmym dzieckiem w górnym rzędzie. Siódme nazwisko w górnej linijce brzmiało *Wu Tun-li*.

— To sieroty — wyjaśniła Helen.

Beth nie słyszała, kiedy weszła.

— Dwadzieścia sześć sierot. A tak naprawdę, to tylko kropla w morzu potrzeb — rzekła, podając jej sok.

Beth wzięła mały łyk i więcej już nie chciała. Helen usiadła po drugiej stronie ławy.

— Zabraliśmy je z Chin kilka miesięcy przed zajęciem przez komunistów Szanghaju. Wywiezienie ich stamtąd było łatwe. Więcej kłopotów nastąpiło wwiezienie do Stanów. Właśnie wtedy odkryłam, że Pan obdarzył mnie zdolnościami organizacyjnymi. — Podniosła do ust szklanekę i wypila swój sok do dna. — Tak bardzo chce mi się pić.

Beth wpatrywała się w nieszczęśliwą twarz Teddy'ego.

— To najlepsza rzecz, jaką zrobiłam w swoim życiu. Bez względu na to, co mówił mój ojciec. W ciągu roku wszystkie dzieci zostały zaadoptowane przez dobre, chrześcijańskie rodziny.

— A co właściwie myślał o tym pani ojciec?

Helen próbowała uśmiechnąć się ironicznie, ale grymas tylko wykrzywił jej twarz.

— Uważał, że powinniśmy zostać w Chinach i kontynuować to, co zaczęliśmy. Niektórzy tak zrobili. I zostali rozstrzelani.

— Może pani ojciec nie był świadom takiego niebezpieczeństwa.

— Właśnie, że był. To tylko utwierdziło go w przekonaniu, że sieroty były jedynie pretekstem do powrotu. Strasznie się z Rexem o to pokłócili. Ojciec oznajmił mu, że nigdy nie pozwoli mu głosić kazań w swoim kościele. Chyba właśnie wtedy Rex stracił wiarę. I odszedł.

— Co się z nim stało? — zapytała najdelikatniej, jak umiała.

Twarz Helen wykrzywiła się jeszcze bardziej.

— Zbił majątek. I to szybko. Kiedyś napisałam do niego, żeby wrócił nie do mnie, lecz do kościoła. Ale było już za późno.

— W jaki sposób doszedł do bogactwa?

— Zajął się winiarstwem. Dorastał na farmie, więc przyszło mu to bez trudu.

Co właściwie robił?

Założył firmę Berryessa Wines. O ile mi wiadomo, wciąż jest jej właścicielem. Piła pani kiedyś ich wina?

— Tak.

— Są dobre? Ja sama nie biorę alkoholu do ust.

Przypomniała sobie butelkę w restauracji. Jak dla niej było trochę za słodkie, ale Teddy'mu podobała się nalepka — wóz załadowany winogronami na tle zachodu słońca.

— Niezłe — odparła. — Ale nie jestem ekspertem.

Obie milczały dłuższą chwilę. Beth spojrzała jeszcze raz na zdjęcie Teddy'ego. Przez jej głowę przepływały myśli, układając się w nowy wzór. Zaczynała rozumieć, dlaczego instynkt podpowiedział jej, by była ostrożna z Helen Brock. To przez te słowa, którymi Teddy zwrócił się do Han Shih, słowa, które nie utkwily jej wtedy w pamięci: „Czy to raczej ja cię znalazłem?”.

— Nie smakuje pani sok?

— Jest pyszny. — Zmusiła się, żeby upić jeszcze trochę.

— Podobno witamina C, spożywana w dużych ilościach, może wyleczyć raka.

To było pytanie, lecz Beth nie знаła na nie odpowiedzi. Chciała tylko wyjść z tego ciemnego, dusznego pomieszczenia. Położyła album na stoliku, odwracając go tak, by Helen widziała zdjęcie z sierotami.

— Wiedza o tym, co stało się z tymi dziećmi, mogłaby mi pomóc w moich badaniach.

Helen spojrzała na nią z uwielbieniem.

— Doskonały pomysł! Mam nazwiska wszystkich przybranych rodziców. Od tego może pani zacząć.

Potaknęła. — Te dzieci są już pewnie dorosłe. Czy widuje pani niektóre z nich?

— Nie. Rodzice dwójki czy trójki należeli kiedyś do naszego kościoła. Ale już dawno zgubiłam ich ślad.

— Czy żadne z nich nigdy pani nie odwiedziło?

— Nie. — Twarz Helen zaczęła się wykrzywiać. — A dlaczego miałby to robić?

— Może z wdzięczności. Weźmy chociażby tego małego chłopca. Wu Tun-li. Trzyma go pani na ręku. Czyż nie byłoby to miłe, gdyby chciał pani podziękować?

Helen spojrzała na zdjęcie. Zamknęła album i położyła go sobie na kolanach. Popatrzyła na Beth i odwróciła wzrok.

— Nie wiem. Jestem trochę zmęczona. Nie myślę jasno. Tak naprawdę, to nie czuję się ostatnio najlepiej.

— Przykro mi.

— Chyba muszę odpocząć.

Beth wstała. — Oczywiście. Trafię do wyjścia. Helen oblizwała wargi. Miała żółty język.

— Nie zapamiętałam, gdzie pani uczy. W Los Angeles czy w Berkeley?

— W Cal.

— Cal? To znaczy Berkeley?

— Tak.

Helen sięgnęła po szklankę, zobaczyła, że jest pusta, i zabrała się za sok swego gościa. Naczynie zadzwoniło o jej zęby.

Beth wyszła. Na zewnątrz panował upał i smog. Głęboko wciągnęła powietrze. Od razu poczuła się lepiej.

15

Mogę być z tobą szczerzy? — spytał Albert Ling.

— Jasne.

— Masz orientalny umysł.

— To znaczy?

— Owijasz wszystko w bawełnę. A trzeba było mówić prosto z mostu, jak Gary Cooper. Wystarczyło tylko powiedzieć, iż wiesz, że z nim rozmawiała, i zapytać, co mu powiedziała.

Zduśiła w sobie złość. — Masz rację.

Sposób, w jaki to rzekła, rozśmieszył go. Ona też się roześmiała.

Albert ponownie napełnił szklanki. Z szafy grającej płynął głos młodego, cynicznego milionera śpiewającego o tym, że chciałby kogoś kochać, ale nie może, bo jego głowa jest pełna zombie.

— To nie muzyka — skomentował Albert, nim Beth zdołała wychwycić, jakie to słowo mogło rymować się z *zombie*. — Smokie to jest muzyka. I Aretha.

Poruszał do rytmu ramionami. Robił to ledwo zauważalnie, jednak Beth już wiedziała, że byłby dobrym tancerzem.

— Czy mam tam pojechać i porozmawiać z nią jeszcze raz?

— Nie warto.

— Ale i tak powinnam porozmawiać z jej pierwszym mężem, prawda?

Albert wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnął się.

— Czemu nie? To nie zaszkodzi. Ja w tym czasie zajmę się czym innym.

— To znaczy czym?

— Za wcześniej, by o tym mówić. Będę w kontakcie.

— Czy jest to coś, co może dać mi nadzieję?

— Już ci mówiłem, że to raczej beznadziejna sprawa.

Albert sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął jakiś papier i rozłożył go.

— Co to jest?

— Dziś rano poszedłem do Chińskiej Biblioteki i wyszukałem artykuł w dalekowschodnim wydaniu *Time'a*. — Położył na stole kserokopię, a obok niej kopię artykułu z wydania amerykańskiego.

— Są identyczne.

— Tak. Żadnej wzmianki o chińskim pochodzeniu doktora Wu. Nie mogli go wyśledzić na podstawie tego artykułu. Tak więc wycinek, który widziałaś, był spreparowany.

Albert zapłacił rachunek. Wyszli. Był wczesny wieczór. Samoloty nurkowały w stronę niedalekiego lotniska. Beth wsiadła do samochodu.

— Jeszcze jedno — powiedział Albert. — Jeśli jutro będziesz miała czas, znajdź sobie nowe mieszkanie, tymczasowo.

— Dlaczego?

— Żebyś się nie przemęczyła przesuwaniem sofy.

Pojechała do domu i zaparkowała na Chestnut Street. Jej okna były ciemne. Pomyślała, że zadzwoni do Alberta i poprosi go o odprowadzenie do własnego mieszkania. Ale nie mogła przecież tego zrobić. Podjechała więc do Verdiego w North Beach i zamówiła pizzę z dostawą do domu. Wróciła na Chestnut Street i zaparkowała w tym samym miejscu. Okna zrobiły się jeszcze ciemniejsze. Siedziała w samochodzie.

Na ulicy pojawiła się niewielka furgonetka z napisem *Pizzeria Verdigo* i z piskiem opon stanęła obok niej. Wsiadł chłopak. W rękę trzymał termoizolacyjną torbę z pizzą. Mógłby być obrońcą w drużynie futbolowej jakiegoś liceum, gdyby nie te purpurowe włosy i po trzy kolczyki w każdym uchu.

Beth wysiadła z samochodu i podeszła do niego. — Możesz to wnieść na górę? W domu mam portfel.

Razem szli po schodach. Po drodze czuła zapach czosnku i cebuli. Chłopak ciężko stąpał po schodach; pod nosem nucił jakąś melodię, która brzmiała jak piosenka o facecie, który ma głowę pełną zombie.

Poczuła się bezpiecznie.

Otworzyła drzwi i usłyszała, jak lodówka zaczyna pracować.

— Obudziliśmy śpiocha — zażartował chłopak.

Beth zapaliła światła i rozejrzała się po mieszkaniu. Nikogo w nim nie było.

— Dziękuję — powiedziała i zapłaciła mu za pizzę, dodając napiwek. Wziął pieniądze i ruszył w dół po schodach.

— Jakie słowo rymuje się z *zombie*? — zapytała jeszcze Beth.

— *Trąbi* — odparł. — A kawałek ma tytuł „Katanga”. Szedł po schodach, wciąż go nuć.

Już miała zamknąć drzwi, gdy usłyszała lżejsze kroki. Na górę wchodził mężczyzna. Nie wyglądał jak kierowca Han Shih; był niski, biały, miał grube okulary i problemy z nadwagą. Tak czy owak, zatrzasnęła drzwi.

— Chwileczkę! — zawołał.

Kroki stały się szybsze. Beth zamknęła drzwi na zasuwę i przysunęła sofę.

Facet zapukał. Ona nie reagowała.

— Proszę, panno Hunter. Chcę tylko porozmawiać. Nazywam się Robert Means. Pracuję dla *New York Timesa*. Próbowałem się z panią skontaktować.

Nie odpowiadała.

— Jeżeli pani sobie tego życzy, to nie będę zapisywał naszej rozmowy. I mam informacje, które pewnie panią zainteresują — dodał.

Nielatwo było go zniechęcić. Ale to jeszcze nie znaczyło, że był tym, za kogo się podawał.

— Kto pisze dowcipy w waszej gazecie? — zapytała.

Zaśmiał się. — Russ Baker. Craig Claiborne zajmuje się kulinariami, Murray Chass sportem, a Al Hirschfeld rysuje karykatury. Zdałem?

Wpuściła go.

— A to moja legitymacja prasowa — dodał, pokazując ją Beth.

Na zdjęciu jego twarz wyglądała lepiej: była szczuplejsza i bardziej opalona. W rzeczywistości był bladej, pulchnej i zmęczony.

— Mówił pan, że ma jakieś informacje — rzekła, oddając mu dokument.

Means rozglądał się dookoła, wężąc. — Coś tu ładnie pachnie.

— Pizza.

— Z czym?

Nie pamiętała. Nie zamierzała jej przecież jeść.

— Proszę się poczęstować.

— Dziękuję. Ale pod warunkiem, że pani zje ze mną.

Położyła pizzę na stole w kuchni i otworzyła dwie butelki piwa.

— Wspaniale — rzekł Means. — Od śniadania nic nie jadłem.

Ona też nie. Rozpakowała pudełko.

— Doskonała — stwierdził, zdejmując marynarkę i wieszając ją na krześle. Miał przepecone pachy. — Czosnek, cebula, pepperoni i pomidor. Taka, jaką lubię.

Wziął kawałek i od razu odgryzł połowę.

Ona też spróbowała. Dotarło do niej, że umiera wprost z głodu. Po pięciu minutach po pizzy nie było nawet śladu. Żadne z nich przez ten czas nie odezwało się ani słowem. Oboje byli głodni.

Means wygrzebał z pudełka ostatnie okruszyny i wepchnął je sobie do buzi.

— Boże, ależ mi się chciało jeść. — Oparł się wygodnie i pił piwo. — Tak naprawdę, to nie nazywam się Means. To znaczy nazywam się Means, ale mój dziadek nazywał się Menalini. A ja jestem Meansem we wszystkim prócz jedzenia. Gdy chodzi o żarcie, zamieniam się w Menaliniego.

Lodówka wyłączyła się. Oboje spojrzeli na nią, ale martwa rzecz nie zrobiła nic, by im pomóc. Skończyła im się pizza i tematy do rozmowy.

— Wspominał pan coś o informacjach.

Means postawił butelkę na stole, jakby chciał w ten sposób zaznaczyć odejście żarłoka Menaliniego. Wyglądał teraz nawet jakoś inaczej, bardziej obojętnie. Za grubymi szklami jego oczy wydawały się tak małe, jakby patrzyło się na nie przez lunetę, tylko z niewłaściwej strony.

— Co pani wie o CIA, panno Hunter?

— Niewiele.

— I o to im chodzi. Nie dlatego, że są organizacją, która strzeże różnych tajemnic, co sami zawsze podkreślają, lecz dlatego, że są po prostu organizacją, kropka. Tajność stanowi dla nich pretekst, by spełniać zachcianki jakichś zafajdanych biurokratów. To najważniejsza rzecz, którą musi pani wiedzieć o CIA. To praca biurowa. Jeśli spojrzeć na to z tej strony, wszystko nabiera sensu. Głównym zajęciem każdego biura jest walka o dominację. Praca, jaką przy tym wykonuje, jest tylko produktem ubocznym, użytecznym jako rodzaj tekstu, gdzie ci, którzy wiedzą, jak to zrobić, mogą wyczytać, kto jeszcze bierze w tej walce udział, a kto już odpadł.

— To bardzo ciekawe, panie Means, ale nie takich informacji oczekiwałam.

— Gada pani jak mój naczelny. — Sięgnął po piwo, ale rozmyślił się. — Chodzi o to, że tekst, który CIA próbuje teraz odczytać, to historia zdrady Theodore'a Wu.

— On wcale nie zdradził.

— Nie? — zapytał, wyciągając przybory do pisania. — To co się z nim stało? — Długopis uniósł się nad czystą kartką notatnika.

Nagle, nie wiedząc skąd, Beth zyskała pewność, że jeśli wszyscy będą wiedzieli o zniknięciu Teddy'ego, nigdy go już nie zobaczy. Celem Meansa było wyjaśnienie, co stało się z Teddym w kategoriach geopolitycznych; celem Lathropa było wykorzystanie tej wiedzy przeciwko wrogom wewnętrznym i zewnętrznym; jej celem było po prostu odnalezienie go i sprowadzenie do domu.

— Co właściwie znaczy, że nie będzie pan zapisywał naszej rozmowy?

— Że nie wydrukuję nic z tego, co pani powie. Potrzebuję tych informacji, żeby stworzyć sobie obraz całości.

— Więc proszę odłożyć notatnik.

— Ale muszę robić jakieś notatki.

— Wobec tego ja nie muszę nic mówić.

Odłożył go. — Co stało się z Theodore'em Wu?

— A skąd pan wie, że coś się z nim stało?

Westchnął. — Już to próbowałem wyjaśnić. Wewnątrz CIA istnieją różne frakcje. W Departamencie Stanu też. I w Białym Domu. Walczą ze sobą we wszystkim. Teraz akurat nie zgadzają się w sprawie Theodore'a Wu. Czasami, kiedy jednej stronie wydaje się, że przegrywa, wyrusza na zewnątrz po posiłki. Wtedy można wykorzystać wolność prasy. Zaczynają się przecieki. Właśnie do mediów.

— I czego się pan dowiedział?

Means założył ręce za głowę i rozsiadł się na krześle. Wcale nie wydawał się zdenerwowany faktem, że to ona zadaje pytania. Nie miał w sobie nic z drapieżności i niecierpliwości reporterów w filmach; po prostu siedzieli sobie przy stole i rozmawiali. Tylko plamy pod jego pachami robiły się coraz większe.

— Dowiedziałem się, że Theodore Wu jest jednym z najlepszych na Zachodzie ekspertów od szyfrów. W piątek, jedenastego, w dniu, kiedy miał się z panią ożenić, zwił do Chińskiej Republiki Ludowej. Nikt nie wydaje się tego kwestionować. Teraz próbują wysledzić na Pacyfiku łódź podwodną, a nie są w tym tak dobrzy, jak im się wydaje. Są jeszcze inne dowody jego zdrady, ale nic o nich nie wiem. Sam ustaliłem, że doktor Wu jest geniuszem matematycznym i ma duży wkład w rozwój kryptografii w USA.

Ustaliłem również, że nikt go od piątku nie widział. Nie wiem nic poza tym. Miałem nadzieję, że pani mi co nieco wyjaśni.

— Wspomniał pan, że nie ma wewnętrznej zgody w sprawie Teddy'ego. Nie objaśnił mi pan tego.

Małe oczy Meansa obserwowały ją zza grubych szkielec.

— Czy nie chciała pani kiedyś zostać dziennikarką, panno Hunter?

Jego pochlebstwo nie zrobiło na niej wrażenia. — Moja obecna praca w pełni mnie zadowala.

Spróbował z innej beczki. — Pisze pani doktorat o pewnym wydarzeniu z czasów inkwizycji, które miało miejsce na jakimś galeonie, i o tym, jakich informacji dostarcza nam ono o życiu szesnastowiecznych marynarzy hiszpańskich. Szef pani wydziału uważa, że to świetny pomysł.

— Tak jest. Ukradłam go koledze po fachu.

Means poddał się.

— Nie ma zgody między prawicowcami i centralistami. Obecnie w Waszyngtonie nie ma lewicy, a centraliści są tam, gdzie kiedyś była prawica. Prawicowcom nie podobają się bliskie stosunki z Chinami. Wciąż są protajwańscy. Zamierzają wykorzystać zdradę doktora Wu jako dowód, że Chińczykom nie można ufać i należy powrócić do czasów, gdy traktowaliśmy ich tak, jak obecnie traktujemy Rosjan — jako odwiecznych wrogów. Zniknięcie doktora Wu to najlepsze, co im się przytrafiło od prania mózgow podczas wojny w Korei. Centraliści też nie lubią Chińczyków, ale uważają, że można ich wykorzystać. Chcą utrzymać Rosjan w izolacji, jednocześnie sprzedając do Chin naszą nadwyżkę produkcji. Jeśli im się uda, chcieliby wyciszyć całą sprawę i dać Chińczykom do zrozumienia, że zdradę doktora Wu uważają za niefortunne, acz niezbyt ważne załamanie na rosnącej krzywej na wykresie naszych wzajemnych stosunków.

— A co, jeśli został porwany?

— To by unicestwiło centralistów — odparł Means i nachylił się. — A to prawda?

— Nie wiem. — Dotarło do niej właśnie, że Lathrop gra w drużynie centralistów.

— Wydaje mi się, że ma pani wyrobione zdanie na ten temat. Co robiła pani dwunastego kwietnia rano w motorówce trzydzieści kilometrów od brzegu?

— Myślałam, że nie dowiedział się pan od CIA niczego innego.

— Bo się nie dowiedziałem. Sam to ustaliłem. — Był z siebie dumny. — Czy wraz z doktorem Wu popłynęła pani tą motorówką na spotkanie z chińską łodzią podwodną?

— Nie.

— Wierzę pani. Gdyby ludzie z CIA uważali, że tak właśnie było, to teraz siedziałyby pani w celi przesłuchań. Wydaje się, że nie jest pani podejrzana. Więc co pani robiła w tej motorówce?

Spojrzała na niego. Siedział zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niej, ale jego oczy były odległe jak biurko naczelnego w Nowym Jorku. Stamtąd wyraźniej widział wzory zdarzeń, w których miał ją umieścić.

— Czy już coś pan o tym napisał?

— Aha. Zaczynam panią rozumieć. Nie chce pani wyjść na idiotkę w prasie. Proszę się nie martwić. Nic jeszcze nie napisałem. Nie znam faktów. Ale nie uda się pani zachować tej historii w tajemnicy.

Wstała. — A niby czemu miałabym wyjść na idiotkę, panie Means? — Jego oczy nie były już tak odległe. — Na idiotkę w miłości? Że facet zmajstrował mi bachora? Że mnie porzucił? To taką historię chce pan napisać?

— Oczywiście, że nie.

— Wcale mnie to nie obchodzi. Teddy i ja byliśmy ponad to. Wciąż jesteśmy. I żadne bzdury, które pan napisze, tego nie zmieniają.

— Nie jestem pani wrogiem, panno Hunter.

— Chce mi pan tylko coś przekazać.

— Sam jestem żonaty i mam dziecko...

— Szczęściarz z pana.

— ...ale na świecie są ważniejsze rzeczy niż ja i moja rodzina. A to, co stało się w piątek jedenastego, jest ważniejsze niż pani i Teddy.

Zastanowiła się nad tym przez chwilę. Stwierdziła, że facet nie ma racji.

— Nie mam już panu nic do powiedzenia, panie Means.

— Już? Jeszcze nic pani nie powiedziała. Czy nie chce pani poznać prawdy?

— To zależy od tego, jaka ona jest.

— A może pani już zna prawdę?

— A pan zna odpowiedź na to pytanie.

— Czyżby?

Znał. Wstał i założył marynarkę. Mokre plamy rozlewały się po jego koszuli.

— Nie rozumiem, o co pani chodzi.

Nie odpowiedziała. Means mógłby jej pomóc, ale nie miał takiego zamiaru: ona była tylko historią na którąś tam stronę, a markę wyrabiałoby się pisząc artykuły na pierwszą.

— Dzięki za pizzę — rzekł, wręczając jej swoją wizytówkę. — Proszę zadzwonić, jeśli będzie chciała pani porozmawiać. To nie jest sprawa, z którą można sobie poradzić samemu.

Wypuściła go. Zamknęła drzwi na zasuwę, przestawiła sofę na jej nowe miejsce. Nie była sama: po swojej stronie miała Y.K. Linga: „Prywatne śledztwa i porady” za sto pięćdziesiąt dolarów dziennie.

Przypomniała sobie, że powinna poszukać nowego lokum. To jednak mogło poczekać do rana. Zgasiła światła i położyła się.

16

Noc zaszała mgłą, którą później rozwiął wiatr. Potem lało jak z cebra. Żywioly gnały po niebie jak w jakiejś slapstickowej komedii.

Beth spakowała walizkę i pojechała do Mission. Wszyscy mówili, że w tej dzielnicy jest lepszy klimat niż w pozostałej części miasta; na dowód tego rosło tam kilka palm. Krople deszczu skapywały z ich błyszczących, śliskich liści.

Hotel Dolores był odrapaną czteropiętrową bryłą, która obniżała wartość nieruchomości na ulicy pełnej odrestaurowanych wiktoriańskich budynków. Szyld w zakurzonej oknie mówił, że pokoje można wynajmować na dni, tygodnie lub miesiące. Recepcjonista zaprowadził ją do pokoju na najwyższym piętrze. Stało w nim zapadnięte łóżko i fioletowa otomana w stylu madame Récamier, tak sfatygowana, jakby pochodziła z jej epoki. Było też dwoje drzwi: jedne prowadziły do małej łazienki, całej urządzonej na biało z wyjątkiem sedesu, który był czerwony; za drugimi znajdowała się garderoba, gdzie czuć było zapach naftaliny.

Pokój był ponury. Smutne oczy recepcjonisty jakby się do niego dostosowały. Beth zaskoczyła go, mówiąc: — Biorę.

Zapłaciła za tydzień z góry — osiemdziesiąt sześć dolarów. Gdy wyszedł, powiesiła swoje ubrania w garderobie i rozejrzała się. Może być. Nie był to dom ani nawet żaden azyl; była to jej kwatera wojenna, miejsce, gdzie zaplanuje kampanię, która zaprowadzi ją do Teddy'ego.

Zadzwoniła do Alberta, żeby powiedzieć mu, gdzie się zatrzymała.

— Nie przez telefon — ostrzegł. — Przyjdź do mnie jutro. I nie mów o tym nikomu.

Zacząło ją to denerwować, że bardziej przejmował się jej ochroną niż znalezieniem Teddy'ego.

— Czy nie wyolbrzymiasz zagrożenia?

— Za to jeszcze nikogo nie sądzono.

— Jednak to trochę tak, jakbyś wywoływał wilka z lasu.

- To nie jest chińskie powiedzenie.
- Czy przez to jest nieprawdziwe?

Albert zaśmiał się. — To w Chinach odwieczne pytanie. Wciąż nie ma zgodności co do odpowiedzi.

Beth wybrała się do biblioteki i w katalogu firm odszukała Berryessa Wines. Dowiedziała się, że to spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, której właścicielem jest Korporacja Berryessa. Na czele całości stał Rex Heidemann. Korporacja należała natomiast do Gladd Group z siedzibą w Nassau na Bahamach. Na jej temat Beth nie znalazła żadnych innych informacji.

Biuro Berryessa Wines znajdowało się w dzielnicy finansów. Wykreśliła numer.

- Berryessa Wines, słucham — odebrała jakaś kobieta.
- Z biurem pana Heidemanna, proszę.
- Chwileczkę. *Biiip, biiip.*
- Biuro pana Heidemanna — usłyszała w słuchawce głos starszej kobiety.
- Poproszę z panem Heidemannem.
- W tej chwili go nie ma. Czy coś przekazać?
- A gdzie go mogę złapać?
- Jeśli poda mi pani swoje nazwisko i numer telefonu, powiem, żeby do pani zadzwonił.
- Problem w tym, że za pięć minut odlatuje mój samolot. A obiecałam, że przekażę panu Heidemannowi wiadomość.
- Z przyjemnością panią wyręcę.
- Niestety, to sprawa osobista. Wiadomość od Helen Heidemann Brock.

Nastąpiła długa cisza.

- W takim razie, panno... przepraszam, nie dosłyszałam pani nazwiska... — Czekala.
- Dolores. Liz Dolores.
- W takim przypadku, panno Dolores, może go pani złapać w naszej winiarni w Napa. Numer telefonu 7684311.

Beth nie zapisała numeru, tylko wsiadła w samochód i pojechała do Napa.

Na wschód od Zatoki deszcz zelżał nieco. Gdziekolwiek słońce odnajdywało małe szparki w chmurach i zsyłało na ziemię złociste smugi. Zanieczyszczenia nad Vallejo wprawdzie ich nie przepuszczały, za to nad drogą do Napa niebo było błękitne. Jechała wśród kołyszanych lekką bryzą, żółtawych

łańców. Opuściła szybę i poczuła na ramieniu ciepło słońca.

Dotarła do Napa w porze lunchu. Wszędzie pełno było autokarów. Turyści mieli tu do wyboru różne kuchnie: zachodnią, nowoczesną francuską, zdrową i szybką. Beth zatrzymała się na stacji, zatankowała i spytała, jak dojechać do Berryessa Wines. Winiarnia znajdowała się przy trasie 121, w połowie drogi nad jezioro Berryessa.

Trasa 121 prowadziła na północny wschód od miasta i zaraz za nim zaczynała się wznosić. Beth poczuła zapach eukaliptusów, potem dębów i sosen. Powietrze stawało się bardziej suche i gorące. Zachciało jej się pić. W Wooden Valley* przed barem „Pod Reno” stały trzy furgonetki, koń i wielki znak: PIWO Z BECZKI — 50 CENTÓW. Nie skusiła się.

* Wooden Valley — dolina w pobliżu San Francisco (z ang. Drewniana Dolina).

Szosa wiała się wschodnią częścią doliny. Beth nie mijala po drodze żadnych samochodów. Po jej prawej stronie zaczęło się ogrodzenie z drutu kolczastego. Strzałka wskazywała na Berryessa Wines. Skręciła w wąską, serpentynową drogę prowadzącą pod górę. Zaparkowała na poboczu i wysiadła z samochodu.

Na wschodzie leżała zielona kotlina. Pośrodku było kilka niewielkich pagórków, zasłaniających jakieś budynki. W oddali grupka innych wzniesień znaczyła horyzont. U stóp jednego z nich biała plama odbijała słoneczny blask: pewnie jakieś zabudowania, ale nie była tego pewna. Jak okiem sięgnąć połyskiwały w słońcu ogrodzenia z drutu kolczastego. Wewnątrz ciągnęły się równe rzędy winorośli, zajmując całe dno doliny i zbocza pagórków. Gdzieś w oddali dostrzegła traktor przemykający pomiędzy rzędami i rozpylający różowe chmurki. Wysoko w górze kołował jastrząb i obserwował. Nie słychać było żadnego dźwięku.

Beth wróciła do samochodu i ruszyła w stronę bramy. Przez otwarte drzwi stojącej obok portierni ktoś wystawił rękę i machnął, by przejechała. Nad bramą dumnie wznosił się łukowaty szyld: BERRYESSA WINES — WITAMY GOŚCI; był też na nim rysunek wozu z winogronami na tle zachodu słońca. Wjechała.

Posuwała się dnem doliny. Młode zielone gałązki nadawały przysadzistym winnym krzewom delikatniejszy wygląd. Pomiędzy dwoma rzędami winorośli siedział na zadnich łapach brązowy królik z postawionymi sztywno długimi uszami. Jastrząb leniwie krążył po niebie.

Droga kończyła się szerokim parkingiem przed budynkami przy pierwszych pagórkach. Kamienne zabudowania przywodziły na myśl misję: biura, szopy na narzędzia i destylarnia — wielka jak kościół i kościół

przypominająca. Brakowało jej tylko dzwonnicy. Przed biurowcem stał czarny rolls-royce, a przed destylarnią skromniejsze samochody. W pobliżu rósł niewielki oliwny gaj; od czasu do czasu, gdy powiał lekki wietrzyk, liście ukazywały swe matowe spody. W cieniu drzew jakaś rodzina urządziła piknik: jedli chleb, ser i popijali wino, oczywiście z tej winnicy.

Gdy Beth zaparkowała, z biura wyszli dwaj mężczyźni. Jednym z nich był wysoki Chińczyk o srebrzystych włosach, nadspodziewanie gęstych jak na osobę w tym wieku. Rozejrzał się dokoła, ogarniając jednym spojrzeniem piknikową rodzinę i siedzącą za kierownicą Beth.

— Co za wspaniały dzień — powiedział.

Ta uwaga chyba zirytowała drugiego mężczyznę.

— Aha — przytaknął, wcale się nie rozglądając. Był grubasem średniego wzrostu, niższym od swego towarzysza.

Chińczyk spojrział na wielki złoty zegarek, otworzył drzwi rollsa i wsiadł. Opuścił boczną szybę.

— Bądź w kontakcie, Rex — polecił.

— Będiesz pierwszym, który się dowie — odpowiedział grubas. I znów Beth usłyszała nutę irytacji w jego głosie.

Chińczyk popatrzył na niego takim wzrokiem, że grubas się odwrócił. Nawet z tej odległości Beth czuła moc tego spojrzenia. Samochód cofnął cicho, wykręcił i odjechał. Mężczyzna nie pomachał na pożegnanie.

Wysiadła ze swojego auta. Grubas usłyszał, jak zatraskuje drzwiczki, i odwrócił się w jej stronę. Przybrał urzędową minę. Beth dostrzegła ślady przystojnego mężczyzny, którego oglądała na starych zdjęciach; teraz jednak piękne rysy prawie całkowicie zarosły tłuszczem.

— Parking dla zwiedzających jest przy winiarni — oznajmił z uśmiechem. — Proszę tam iść, a oni już się panią zajmą.

— Nie przyjechałam tutaj na zwiedzanie, panie Heidemann. Przyjechałam porozmawiać z panem.

Uśmiech szybko zniknął z jego twarzy.

— Czy my się znamy? — spytał, przyglądając się jej dokładniej.

— Nie. — Postanowiła, że zastosuje się do rady Alberta i będzie mówiła prosto z mostu. — Jestem przyjaciółką Theodore'a Wu. Jego chińskie nazwisko to Wu Tun-li.

— Nie sądzę, abym go znał — odpowiedział z marszem zdziwienia na czole.

— Był jedną z sierot, które przywieźliście z żoną z Chin w 1949 roku.

Zdziwienie znikło, mars pozostał. — Rozmawiała pani z moją byłą żoną?

— Tak. Theodore Wu chciał ustalić swoje pochodzenie. Dlatego się z nią skontaktował.

— Ona tak powiedziała?

Przytaknęła. — Wydaje się pan poirytowany.

— Bo jestem poirytowany.

Nie ukrywał swej złości; może nawet wygenerował jej jeszcze więcej. Zastanawiała się, czy zachował umiejętność kontrolowania swojej twarzy z czasów, kiedy był kaznodzieją.

— Jestem bardzo poirytowany — mówił dalej. — Z tej prostej przyczyny, że nic dobrego nie może wymknąć z rozgrzebywania takiej przeszłości. I wielką nieodpowiedzialnością jest zachęcanie kogokolwiek do robienia czegoś podobnego. Helen to wie — a przynajmniej kiedyś wiedziała. Nie mam pojęcia, co jej strzeliło do głowy.

Podniósł wzrok, jak gdyby wypatrując jakiejś wskazówki, ale zobaczył tylko kołującego jastrzębia. Westchnął.

— Teraz, gdy podała mi pani więcej szczegółów, chyba przypominam sobie pani przyjaciela. Ale on nie mówił na siebie Theodore. Mówił, że ma na imię Ted.

— Kiedy go pan widział? — Zrodziła się w niej nadzieja. Nie ta bezpodstawna, którą żyła od piątku, jedenastego, ale bardziej namacalna. Czuli, że jest bliżej Teddy'ego niż kiedykolwiek od chwili, gdy trzymała w ręku kubek z jeszcze ciepłą kawą.

— Nie widziałem go — odparł. — Zadzwoił do mojego biura w San Francisco.

— Kiedy?

Heidemann podniósł rękę jak policjant kierujący ruchem.

— Chwileczkę. Nie wyjaśniła pani, dlaczego się nim interesuje.

— Mówiłam już: jesteśmy przyjaciółmi. — Heidemann pytająco uniósł brwi. — On zniknął. Zgadzam się z panem, że nic dobrego nie może wynikać z rozgrzebywania przeszłości. Właśnie dlatego martwię się o niego. Chciałabym wiedzieć, o czym rozmawialiście.

Spojrzał na zegarek. — Teraz nie mogę z panią porozmawiać. Jestem już spóźniony na spotkanie.

Beth dotknęła jego ramienia i cicho powiedziała: — To ważne.

— Jestem pewien, że tak — odparł, robiąc krok do tyłu. — Dlaczego nie da pani policji zająć się tą sprawą? Zawsze mogą skontaktować się ze mną w mieście.

— Nie podoba mi się ich podejście do sprawy. Poza tym nie wiedzą, że Teddy interesował się swoją przeszłością. Ja sama dopiero niedawno się o tym dowiedziałam.

Mars zdziwienia pojawił się znowu.

— Wyjaśnijmy coś sobie. Facet o nazwisku Wu rozmawia z moją byłą żoną o swojej przeszłości. Ona kieruje go do mnie. Potem gość znika. Czy tak?

— Tak.

— Czy sugeruje pani, że jestem w to zniknięcie zamieszany?

— Absolutnie nie. Ale Teddy mógł dowiedzieć się od pana czegoś, co skłoniło go do wyjazdu.

— Ach, tak. — Przez chwilę obserwował biesiadników pakujących swój koszyk. — Czy to pani własna teoria? — zapytał ze wzrokiem wciąż utkwionym w tamtych ludziach.

— Nie rozumiem.

Wzruszył ramionami. — Po prostu nie mogę uwierzyć, że policja nic w tej sprawie nie robi. Pewnie nawet nie wiedzą, że pani szuka na własną rękę?

— Nie.

— A rodzina i znajomi?

— Też nie.

— Widzę, że jest pani bardzo zdeterminowana. — Spojrzał na nią z podziwem. — Jak dowiedziała się pani, że Ted skontaktował się z Helen?

Opowiedziała mu o rachunku telefonicznym.

— Zdeterminowana, a do tego pomysła.

Piknikowa rodzinika wpakowała koszyk do samochodu i odjechała. Heidemann znowu zerknął na zegarek.

— Wie pani co? Mam do sprawdzenia nowo zaszczerpione winogrona. Są niedaleko, po drodze możemy porozmawiać.

Przeszli przez parking i weszli między oliwne drzewa. Coś błyszczalo w trawie: korkociąg. Tamci zapomnieli go zabrać. Beth podniosła przedmiot.

— Proszę go zatrzymać — rzekł Heidemann. — Powinna pani zobaczyć to miejsce jesienią, gdy przyjeżdżają tu tłumy. Zamieniają zagajnik w wysypisko śmieci.

Był to korkociąg kelnerski — spodobałby się Teddy'emu. Włożyła go do kieszeni.

Przeszli przez gaj i wyszli na plantację. Tu nie było tłumów; właściwie to nie było nikogo. Poprzez lukę między pagórkami mogła dostrzec traktor, ale go nie słyszała. Odległa plama bieli zaczynała przypominać budynki.

— Co tam jest? — spytała.

Popatrzył we wskazanym kierunku. — Baraki. Są zamieszkane tylko w czasie zbiorów.

- Ma pan dużo ziemi.
- To grunty firmy.
- A kto jest właścicielem firmy? Inna firma?

Uśmiechnął się. — Dowcipna z pani osoba. Ale myślałem, że chciała pani rozmawiać o swoim przyjacielu.

- To prawda.

Heidemann przykłąknął na miękkiej ziemi i przyjrzał się krzewowi winorośli.

— Grenache — wyjaśnił. — Wszczepiliśmy nową kalifornijską odmianę w pęd europejski. Będą bardziej urodzajne.

Gumowa opaska wciąż podtrzymywała nową gałązkę, ale szczep się przyjął: na korze pojawiły się małe, zielone pąki.

Wstał i otrząpął z kurzu spodnie. Szli w głąb winnicy.

— O ile sobie dobrze przypominam, pani przyjaciel zadzwonił do mnie na początku lutego. Chciał się dowiedzieć czegoś o swojej przeszłości w Chinach: skąd pochodził, kim byli jego rodzice, czy ma tam jakichś krewnych. Powiedziałem mu, że nigdy nie wiedzieliśmy zbyt wiele o sierotach, a tym bardziej teraz, po tylu latach. — Pochylił się nad krzewem. — Ale zapewniłem go, że rodzice wszystkich dzieci, które zabraliśmy, nie żyli. W jednym czy dwóch przypadkach znaleźliśmy krewnych. Nalegałem, żeby te maluchy zostawić, i tak się stało.

- Czy ktoś się sprzeciwiał?

Heidemann strzepnął z liścia gąsienicę i rozdeptał ją.

- Helen. Była bardziej zaangażowana w tę sprawę niż ja.

— Czy dlatego, że miała więcej wiary? — Wypowiedziała te słowa bez zastanowienia. Wydawało się, że jej umysł musi sobie wszystko poukładać jak należy nawet wtedy, gdy sprawy nie mają nic wspólnego ze zniknięciem Teddy'ego.

— Helen jest kopalnią informacji, nieprawdaż? — rzekł Heidemann, idąc przed siebie. Potem cicho dodał: — To było dawno temu. Teraz nie ma to większego znaczenia.

- Ma znaczenie dla mnie — odparła Beth, idąc za nim.

— Chciałbym pani pomóc, ale powiedziałem już o wszystkim, o czym rozmawiałem z pani przyjacielem. To trwało tylko dwie lub trzy minuty.

- To wszystko?

Przytaknął.

- Jak zareagował na to, co pan mu powiedział?

- Nie było jakiejś szczególnej reakcji.

- Nie wydawał się zawiedziony?

— Jeśli tak, to ja tego nie wyczułem. Nie odniosłem wrażenia, że bardzo mu zależy. To była raczej umiarkowana ciekawość.

— Umiarkowana ciekawość?

— Właśnie.

W jednej chwili uszło z niej powietrze. Nie mogła zrobić ani kroku. List Arthura Mertona, Helen Brock, Heidemann — wszystko to tylko przez umiarkowaną ciekawość.

— Zabrałam już panu dość czasu — rzekła w końcu. — Dziękuję.

— Proszę bardzo.

Zza krzewu wyskoczył brązowy królik i wylądował jakiś metr od niej; może był to ten sam, którego widziała wcześniej. Zobaczył ją i zamarł.

— Aha, wspomniał o jeszcze jednej rzeczy — rzekł Heidemann, odwracając się do niej. — Ale nie wiem, czy to pani pomoże.

— Co takiego?

— Że jedzie w podróż poślubną do Chin.

— Czy to znaczy, że zamierzał szukać tam swoich krewnych?

— Kto wie?

Czy naprawdę planował podróż poślubną, czy była to tylko część spisku? Czy zależało mu na poznaniu swojej przeszłości, czy na dostaniu się do Chin? Heidemann nie będzie znał odpowiedzi na te pytania. Nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Ślepa uliczka. Pora wracać.

Królik poruszył uszami, czym przyciągnął uwagę Heidemanna. Mężczyzna obejrzał się i zobaczył zwierzę. Sięgnął do kieszeni tweedowej marynarki i wyjął pistolet.

— Nie — powiedziała Beth.

— Słucham?

— Niech pan nie strzela do królika.

Parsknął piskliwym śmiechem, od którego zatrzęsł mu się podbródek. Śmiał się i patrzył jej w oczy.

W oliwnym gaju pojawiła się jakaś kobieta. Heidemann ucichł.

— Dzień dobry — krzyknęła z oddali. — Czy ktoś z państwa znalazł może korkociąg?

— Tak — odkrzyknęła Beth.

— Przyjdę po niego.

— Nie. Przyniosę go pani. Już miałam iść. Odwróciła się do niego.

Heidemann zamrugał.

— Do widzenia — powiedziała.

— Do widzenia — odparł. — Przykro mi, że nie mogłem pani bardziej pomóc. — Nacisnął spust.

Usłyszała huk, niezbyt głośny. Królik wierzgnął i znieruchomiał.

- Czy to było konieczne?
- Proszę mi nie mówić, co jest konieczne na mojej ziemi. Króliki podgryzają winogrona.

Schował pistolet do kieszeni i ruszył dalej. Beth poszła do gaju oliwnego i oddała korkociąg.

- To pamiątka — wyjaśniła kobieta z uśmiechem.

Wysoko w górze jastrząb złapał prąd wznoszący i zniknął jej z oczu.

17

Weszła po wytartych, pokrytych linoleum schodach. Drzwi do Fatt & Co. były otwarte, a w środku paliło się światło. Ogromne wypchane pandy leżały na stosie jak ciała w zbiorowym grobie. Były wadliwe, przypomniała sobie. Łatwo było zauważyć, na czym polegał feler: wszystkie miały oboje oczu ściśnięte razem po jednej stronie, jak gdyby maszyna, która je robiła, znalazła się pod zaklęciem Picassa; podobnie jak Helen Brock.

- Maszyny? — prychnął Y.K. Ling, gdy zaprowadzono ją do pokoju, gdzie malował. — Maszyny nie mają z tym nic wspólnego. To wina taniej siły roboczej w Singapurze.

Siedział na swoim wózku przed sztalugą. Beth podeszła zobaczyć, co maluje: kolejne jezioro na tle gór. Mężczyzna przewoził łódką kobietę. Ona siedziała na rufie z podciągniętą sukienką i rozłożonymi nogami, tak że wiosłujący widział jej pochwę. Jej oczy były śmiało utkwione w jego twarzy bez wyrazu, bez rysów, bo Y.K. Ling jeszcze nie zaczął ich malować. Gdy Beth patrzyła na obraz, starzec zanurzył cienki pędzel w czarnym naczyniu i sprawnie namalował łakome oko.

Odeszła od sztalugi. Obraz zbudził w niej uczucia, które drzemały od dnia, gdy zatonął *Pop-Up*.

Na kartce papieru zapisała swój nowy adres i numer telefonu w hotelu Dolores.

- Proszę przekazać to Albertowi — powiedziała.

Y.K. Ling podniósł wzrok. — Co? — Popatrzył nieprzytomnie. Beth powtórzyła swą prośbę. Jego oczy odbyły długą podróż znad cichego jeziora do rzeczywistości. Nagle wycelował w nią swój pędzel.

- Albert chce się z panią zobaczyć.
- Gdzie jest teraz?
- W Ta-Tang Café.

- Gdzie to jest?
- Nie wie pani?
- Nie.
- No to nigdy jej pani nie znajdzie. Proszę wziąć któreś z dzieci, to panią zaprowadzi.

Gdy tylko zamilkł, jego oczy wróciły do obrazu, jak przyciągnięte magnesem.

Beth minęła długi korytarz, skręciła w następny i doszła do kuchni. Zobaczyła tam tyle naczyń, że wystarczyłoby ich dla niewielkiej restauracji. Z dużego miedzianego garnka na piecu buchały kłęby pary. Widok ten hipnotyzował niemowlę, siedzące na podłodze ze smoczkiem w buzi. Dziewczyna, która kazała mówić na siebie Jade, siedziała na długim blacie i malowała na niebiesko paznokcie u nóg. Oboje spojrzeli na Beth, gdy weszła.

— Twój ojciec chce się ze mną spotkać w Ta-Tang Café. Możesz mi powiedzieć, gdzie to jest?

- Nigdy tam pani nie trafi.
- To samo powiedział twój dziadek.

Jade wydawała się rozdrażniona. — Widziała pani ten jego zboczony obraz?

- Wcale nie uważam, że jest zboczony.
- Maluje takie rzeczy, żeby szokować ludzi.
- Jeżeli nawet to prawda, to nie ma w tym nic niezwykłego.

Jade spojrzała na swoje niebieskie paznokcie.

- Jak pani chce, mogę panią zaprowadzić do tej kafejki.

Jade włożyła dziecko do nosidelka, założyła je na plecy, wetknęła walkmana za pasek i poprowadziła Beth po wyłożonych linoleum schodach. Jedna z jej babć szła powoli na górę z torbami pełnymi zakupów. Gdy ją mijali, Jade capnęła jabłko. Staruszka rzuciła coś ostro po chińsku. Jade głośno odgryzła kawałek owocu i wyszła na ulicę.

Było późne popołudnie. Poranny deszcz przeszedł w mżawkę.

- Która to była babcia? — zapytała Beth.

Ale Jade miała już w uszach słuchawki i nie usłyszała jej. Po drodze wyjęła z kurtki okulary przeciwsłoneczne i je założyła. Dziecko spoglądało ponad jej ramieniem swoimi wielkimi, ciemnymi oczami.

Skręciły z Grant Avenue, przeszły kilkadziesiąt metrów i wkroczyły na nieoznakowaną ślepą uliczkę. Stało na niej mnóstwo straganów z warzywami połyskującymi w wilgotnym powietrzu. Nad nimi ciągnęły się sznurki. Na jednym z nich ktoś powiesił ryby do wysuszenia. Nie było żadnych turystów, tylko Chińczycy wyglądający na mniej zamożnych niż ci na Grant Avenue.

Przy końcu uliczki stały dwa opuszczone domy. Okna jednego z nich były zabite deskami. Drzwi do drugiego stały otworem; w środku siedziały w równych rzędach kobiety, pochylone nad maszynami do szycia. Jade poprowadziła Beth wąskim przejściem między budynkami. Wszędzie śmierdziało olejem rycynowym, gnijącymi rybami i moczem.

Za domami wąski przesmyk przeszedł w niewielką uliczkę. Po jego obu stronach stały walące się, odrapane budynki, głównie magazyny i garaże. Beth zauważyła, że dalej zaułek łączy się z jakąś ruchliwą ulicą. Clay? Washington? Nie była pewna. Mniej więcej w jednej trzeciej drogi do tej arterii znajdowała się mała kafejka. Na szybie widniały namalowane czerwoną farbą dwa chińskie znaki.

— To tutaj — oznajmiła Jade.

Weszły do środka. Kawiarenka była ciasna i nieprzytulna. Miała niski sufit, podłogę z surowych desek, chwiejące się stoły i źle dobrane krzesła. Nad ladą wisiała jedyna dekoracja — wyblakłe zdjęcie Chiang Kai-sheka.

Zastały tam tylko jedną ubraną na czerwono kobietę. Stała za kontuarem z paczką w ręku. Obok jej filiżanki usiadła mucha. Zamachnęła się i uderzyła z zadziwiającą siłą, ale nie dość szybko. Owad uciekł. Kobieta śledziła go nienawistnym wzrokiem.

— Przepraszam — odezwała się Beth.

Nie patrząc na nią, kobieta odpowiedziała coś po chińsku.

— Co ona powiedziała? — zwróciła się do Jade.

— Co? — Dziewczyna zdjęła słuchawki.

— Zapytaj ją, czy twój ojciec tu był.

Zapytała. Kobieta odparowała ze złością.

— Co powiedziała?

— Nie jestem pewna. Mówi w jakimś dziwnym dialekcie.

— Poczekajmy parę minut. Chcesz herbaty?

— Dziękuję.

Usiadły przy stoliku koło okna. Jade trzymała dziecko. Stara kobieta przyniosła dwie wyszczerbione filiżanki i dzbanek herbaty *ulung*, gorącej i przejrzystej. Wypiły po filiżance. Kobieta czatowała na muchę. Chłopczyk zaczął się wiercić.

— Chcesz, żebym go pottrzymała? — zapytała Beth. — Chętnie to zrobię.

— Nie trzeba.

Jade zdjęła słuchawki i założyła je na głowę dziecka. Oczy malca wydały się nieobecne, co przypomniało Beth jego dziadka przed sztalugą. Chłopczyk uspokoił się już, lecz ona i tak chciałyby go pottrzymaść.

Po drugiej stronie ulicy stał ceglany budynek. Nad drzwiami widniał chiński znak.

— Co to znaczy? — zapytała Beth.

— Klub Towarzyski Tajpej — odparła Jade.

Ściemniało się. Napis był już ledwie widoczny. Dziewczyna podeszła do telefonu w kącie i zadzwoniła do domu.

— Ojca nie ma — oznajmiła, wracając do stolika. — A ja muszę już iść. Jest pani zaproszona na kolację.

— Zostanę tu jeszcze trochę.

Jade zarzuciła dziecko na plecy. — Wolałabym, żeby tata zajmował się czymś innym.

— Dlaczego?

— Nie wiem. — Zajęta była zakładaniem słuchawek. — Dziadka, na przykład, postrzelono.

— Słyszałam o tym.

— Kto pani powiedział?

— Twój ojciec.

— Czy powiedział pani, co się potem stało?

— Nie.

— Zabił tego faceta, który zranił dziadka. Poderżnął mu gardło. Na środku Grant Avenue. Wszystko widziałam.

Założyła słuchawki, zrobiła głośniejszą muzykę i wyszła z kafejki. Gdy mijała drzwi, dziecko na jej plecach patrzyło na Beth.

W zaułku kładły się cienie. Znak klubu po drugiej stronie zniknął w ciemnościach. Beth zapłaciła za herbatę i zamówiła jeszcze jeden dzbanek. Kobieta wydawała się teraz bardziej rozluźniona. Po przyniesieniu jej naparu wróciła za bar, położyła głowę na ladzie i zasnęła.

Uliczka z wolna budziła się do życia. Jakiś mężczyzna idący od strony ruchliwej arterii zatrzymał się przed Klubem Tajpej i zapukał. Drzwi otworzyły się natychmiast i facet wszedł do środka. Beth zauważyła za nim innego mężczyznę i następne drzwi, ale ciężko było cokolwiek zobaczyć wyraźnie; jedyne światło w okolicy pochodziło z kafejki.

Nadeszli jeszcze dwaj mężczyźni, zapukali i zostali wpuszczeni. Przybywali kolejni goście. Po kilkunastu minutach naliczyła ich około trzydziestu. Były też kobiety. W końcu przestała zwracać uwagę na osoby wchodzące do klubu.

Zadzwoniła do Lingów. Albert jeszcze nie wrócił. Nie pozostało jej nic, jak tylko udać się do ponurego pokoju w hotelu Dolores. Dopiła herbatę z filizanki i już miała wychodzić, gdy zdała sobie sprawę, że mimo iż do klubu

weszło tyle osób, w budynku nie zapaliły się światła. Okna pozostały całkiem ciemne.

Stara kobieta chrapała spokojnie z głową na kontuarze. Mucha usiadła jej na dłoni. Beth tkwiła przy swoim stoliku i obserwowała Klub Towarzyski Tajpej.

Nagle na drugim piętrze rozbłysło światło. Zobaczyła przemykającą sylwetkę. Dołączyły do niej inne. Na najwyższym piętrze również zrobiło się jasno. Na moment okno przesłonił jakiś cień; potem następne. Tańczyły jak szalone. Po chwili zapadła ciemność.

Czas płynął, lecz światła już się nie pojawiły. W budynku panował spokój i mrok. Po dłuższej chwili otworzyły się drzwi i wyszedł z nich mężczyzna. Był wielki. Przez moment stał w żółtym świetle wydostającym się z kafejki. Miał ciało zapaśnika i ogoloną głowę. Zniknął w ciemnościach.

Beth natychmiast ruszyła za nim. W wąskiej uliczce słyszała odgłos kroków; jego sylwetka w biegu rysowała się wyraźnie na tle światła ulicy. Przebierał prędko nogami. Jak na tak potężnego chłopa, poruszał się niezwykle szybko. Dobiegł do skrzyżowania, rzucił się w lewo i zniknął jej z oczu.

Beth dotarła do arterii i obróciła się w lewo. Znajdowała się na ulicy Clay. Panował tam spory ruch. Minęła ją grupa turystów na nocnej wycieczce po Chinatown. Po łysym natomiast nie było ani śladu.

Stała u wylotu uliczki zastanawiając się, co zrobić. Nagle ze sznura samochodów leniwie ciągnących po jezdni odłączyła się mała, czarna ciężarówka i szybko skręciła w zaułek, prawie ją potrącając. Gdy odskoczyła, pojazd przejechał pod latarnią. Światło padło na ogoloną głowę kierowcy.

Wóz zatrzymał się przed ceglany budynek. Usłyszała metaliczny trzask zamykanych drzwi. Nie wiedziała nic o Klubie Towarzyskim Tajpej, nie wiedziała też, dlaczego Albert Ling chciał się z nią spotkać w Ta-Tang Café; wiedziała jedynie, że ten łysol był w samochodzie z Han Shih w Berkeley i że nie wolno jej go teraz zgubić.

Jej samochód stał na parkingu przy Grant Avenue, niedaleko stąd. Rozejrzała się w poszukiwaniu taksówki. Żadna nie nadjechała. Zaczęła biec najszybciej, jak mogła. Z Clay na Grant Avenue i na parking. Wskoczyła do auta i ruszyła z piskiem opon. Przejechała na czerwonym świetle na Sacramento i również z piskiem zahamowała na Clay, kilka metrów od wąskiego zaułka. Zajęło jej to najwyżej dziesięć minut — ale furgonetki już nie było. Nie знаła nawet jej numeru rejestracyjnego.

— Beth! — krzyknęła na siebie z furią.

Przechodząca obok para spojrzała na nią i przyspieszyła kroku.

Beth weszła w zaułek i skierowała się w stronę klubu. Ani tam, ani w kafejce naprzeciwko nie paliło się światło. Minęła obydwa budynki, zatrzymując się przy wąskim przejściu na końcu uliczki. Ukryła się w cieniu domu o zabitych deskami oknach i czekała.

Niebo nad nią było jedynie niewyraźną różową wstęgą o szerokości zaułka. Od czasu do czasu przeleciał samolot, mrugając światełkami. Nie było księżycy ani gwiazd, tylko wilgoć przechodząca w mżawkę, a następnie w deszcz, który zamoczył jej włosy, twarz i ubranie.

Na drugim końcu uliczki dostrzegła reflektory samochodu. Przykucnęła w kącie. Snopy światła musnęły ścianę nad nią, jaśniejac w miarę zbliżania się pojazdu. Silnik zamilkł, lampy zgasły. Podniosła wzrok, ale jej oczy jeszcze nie przystosowały się do ciemności. Usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek. Potem kroki. I pukanie. Otworzyły się i zamknęły drewniane drzwi. Jej źrenice rozszerzyły się. Przed klubem Tajpej stała mała, czarna ciężarówka. Nie było w niej nikogo.

Cicho podeszła do samochodu. Miał tablicę rejestracyjną z Kalifornii. Zapamiętała numery i poszła do swojego auta. Wsiadła i czekała.

Kilka minut później ujrzała w uliczce czerwone światło. Furgonetka wycofała i skręciła w Clay. Za kierownicą siedział łysy atleta. Uruchomiła wóz i ruszyła za nim.

Ruch zelżał i nie sposób było stracić kontakt wzrokowy z furgonetką. Samochód zmierzał na południe; przejechał przez most i skręcił na prowadzący na północ pas autostrady. Beth trzymała się kilkadziesiąt metrów za nim, przyspieszając za każdym razem, gdy pojawiał się zjazd. Ale kierowca Han Shih nie był zainteresowany żadnym z nich. Jechał spokojnie setką, mijając Berkeley, Richmond, San Pablo. Zastanawiała się, czy jedzie do Sacramento. A może do Reno? Podążała za małymi, czerwonymi punktami, mającymi kilkadziesiąt metrów przed nią.

W Vallejo czarna furgonetka zjechała z autostrady i skierowała się do Napa. Beth została nieco w tyle wiedząc, że za bardzo rzucalaby się w oczy bez osłony innych pojazdów. Jednak kierowca Han Shih nie zrobił nic, co by sugerowało, że ją zauważył. Jechał setką, zwalniając do pięćdziesiątki, gdy dotarł do Napa.

Miasteczko było ciemne i ciche. Autokary już odjechały. Smakosze wina spali. Furgonetka mijala puste restauracje — zachodnią, francuską, zdrową, bistro — i skręciła na trasę 121. A Beth za nią.

Droga zaczęła się wznosić. Tutaj niebo było bezchmurne, na zachodzie świecił księżyc. Opuściła szyby, pozwalając lekkiej bryzie wysuszyć jej ubranie. Poczula zapach eukaliptusów, potem dębów i sosen.

Na drodze nie było żadnych innych samochodów. Furgonetka przejechała przez Wooden Valley. Gdy tylko jej światła znikły za zakrętem, Beth wyłączyła swoje, mając nadzieję, że kierowca Han Shih pomyśli, iż dotarła do celu. Jechała dalej w blasku księżyca. Po prawej stronie majaczyły srebrzyste nitki drutu kolczastego.

Zobaczyła strzałkę wskazującą drogę do Berryessa Wines. Auto podążyło za drogowskazem i znikło jej z oczu za niewielkim pagórkiem. Kiedy Beth wjechała na szczyt, zaparkowała w tym samym miejscu co rano. Wyłączyła silnik, wysiadła z samochodu i delikatnie przytknęła drzwi.

Furgonetka dojechała już do bramy i stanęła. Wrota były zamknięte. Światła samochodu padały na portiernię. Wszedł z niej jakiś mężczyzna. W jednej ręce trzymał smycz, na której uwiązany był wielki pies, a w drugiej strzelbę. Nawet z tej odległości słychać było szczekanie.

Portier otworzył bramę. Pies ciągnął go do przodu, próbując zaatakować samochód. Furgonetka przejechała pod łukowatym szyldem: BERRYESSA WINES — WITAMY GOŚCI. Pies nadal czekał zajadle. Strażnik zamknął wrota i zaciągnął zwierzę na portiernię.

Dwa czerwone punkty poruszały się po dnie doliny. Minęły destylarnię i biura, przejeżdżając pomiędzy dwoma niewielkimi pagórkami i znikając Beth z oczu. Kilka chwil później ujrzała je znowu, tym razem bardziej przyćmione. Przemieszczały się w stronę odległego krańca doliny. Druga grupa pagórków stanowiła teraz tylko ciemniejszą plamę na tle nocnego nieba. Nie mogła odszukać białej łaty, którą widziała wcześniej — baraków, jak jej powiedział Rex Heidemann.

Ledwie widziała migoczące hen przed sobą światełka. Nie oddalały się ani nie przybliżały. Furgonetka stanęła.

Gdzieś zahuczała sowa. Księżyc ześlizgiwał się za horyzont.

Nagle czerwone światła znikły.

Ale za chwilę pojawiły się białe. Samochód wracał. Jego przednie reflektory oświetliły dno doliny, znikły za pagórkami, by za chwilę pojawić się w luce pomiędzy nimi. Furgonetka minęła biura, destylarnię i skierowała się ku bramie. Beth słyszała już jej silnik.

Jakieś trzydzieści metrów przed bramą samochód się zatrzymał. Pies ze stróżówki znów zaczął ujadać. Furgonetka zawróciła i ponownie ruszyła w stronę baraków; czerwone światła prawie znikły jej z oczu. Zatrzymały się. Zginęły. Pojawiły się jasne.

Samochód wracał. Zatrzymał się znowu niedaleko wjazdu do winiarni. Pies zawył. Furgonetka jeszcze raz pokonała tę samą trasę — na skraj doliny i pod bramę. Nie jechała ani wolno, ani szybko — poruszała się ze stałą

prędkością, jak podczas długiej podróży. Jeździła sobie w tę i z powrotem po dolinie.

Po pewnym czasie pies przestał reagować. Niebo na wschodzie pojaśniało. Dwa małe, czerwone punkciki zgasły. Beth czekała na jasne światła przednie. Tym razem się nie pojawiły.

18

Niemowlę siedziało na kolanach Y.K. Linga. Starzec przytrzymał ją jedną ręką; w drugiej dzierzył cienki pędzelek i malował liście nenufarów na jeziorze, po którym pływali kochankowie. Wnuczek i dziadek śledzili ruchy pędzla, nie mrużąc w ogóle oczu — ciemnych, głębokich oczu, które dla Beth niczym się nie różniły.

Opadła na fotel, zmęczona znacznie bardziej niż po każdej innej nieprzespanej nocy; bolała ją lewa ręka. Wciąż nie odzyskała pełnej sprawności po wielu godzinach spędzonych w morzu. Mieszając kawę, zastanawiała się nad tym, co przed chwilą powiedział jej Y.K. Ling: Zeszłej nocy Albert nie wrócił do domu i nie zadzwonił.

Chińczyk umoczył pędzel w farbie. — Proszę się nie martwić o Alberta. Umie o siebie zadbać.

— Czy to normalne, że nie dzwoni do domu wiedząc, że nie wróci na noc?

— Co? — spytał; znowu bardziej był zajęty malowaniem niż rozmową.

Beth powtórzyła pytanie.

— Nigdy nie dzwoni, kiedy prowadzi dochodzenie. — Uniósł pędzel, by podkreślić wagę swoich słów. — Trzeba dać się ponieść strumieniowi faktów związanych ze sprawą. Należy unikać rozproszenia. To jest *modus operandi* Alberta. Przejął go ode mnie. A ja od Lao-tze.

Dziecko dotknęło pędzla i zlizowało z paluszka żółto-zieloną farbę. Dziadek niczego nie zauważył.

— *Modus operandi* — powtórzył. — Znaczy *sposób działania*. Wiedziała pani o tym?

— Tak.

Y.K. Ling zmarszczył brwi.

— Gdy Juliusz Cezar przekraczał Rubikon, Wielki Mur miał już dwieście pięćdziesiąt lat.

Włączył swój radar, by zobaczyć, czy Beth rozumie, do czego zmierza. Wielki Mur wciąż trwał, podczas gdy Rzymianie wyginęli lub stali się Włochami. Chińczycy nadal pozostali Chińczykami. Czy o to chodziło?

Była ciekawa, czy niemowlę też ma radar w oczach.

Jej milczenie wydawało się satysfakcjonować starego człowieka. Na liściu namalował żółty kwiat. Nie zainteresował on jednak pary w Łódce. Spojrzenie mężczyzny nadal utkwione było między nogami kobiety; ona zaś wpatrywała się w jego krocze.

Żądza i lilie. Może doszukiwała się ironii, tam gdzie jej w ogóle nie było, patrząc na obraz oczami człowieka Zachodu. Próbowwała spojrzeć nań całościowo: niebieskie góry, spokojna woda, nenufary, para w Łódce. Ironia znikła. To nie oznaczało, że żądza stała się bardziej subtelna; rzecz w tym, że ironia wcale nie była potrzebna, by pejzaż uznać za dzieło artysty. Czyżby tak działał *modus operandi* Alberta w odniesieniu do sztuki? Czy właśnie dała się ponieść strumieniowi faktów związanych z obrazem?

— Podoba mi się ten pański obraz — powiedziała.

— Ma pani dobry gust — odparł Y.K. Ling. — Pochodzi z najdoskonalszego okresu w sztuce chińskiej.

Wskazał książkę na stole. Nie zauważyła jej wcześniej. Spojrzała na otwartą stronę i zobaczyła kolorową reprodukcję obrazu, który malował Y.K. Ling. Przeczytała podpis: „Niebieska Góra, Tang Yin (1470-1523)”. Starzec tworzył więc jedynie kopię. Następnym razem upewni się, czy zna wszystkie fakty, zanim da im się ponieść.

Fakty. Unosiła się w zimnym morzu faktów od chwili zniknięcia Teddy'ego. Ale nie rozumiała ich lepiej, aniżeli makrela rozumie prądy Humboldta. Gdzie znajdował się prąd, który zaniósłby ją do Teddy'ego? Powieki jej opadły, lecz natychmiast się ocknęła. *Nie śpij. Pracuj.*

Starzec przestał malować i spojrzał na nią.

— Niech pani idzie do domu i się prześpi. Albert zadzwoni, jak tylko wróci.

Pokręciła głową. — Czy powiedział panu, o czym chce ze mną porozmawiać?

— Nie.

— Czy to normalne?

— A dlaczego nie?

— Jest pan jego ojcem. Pracował pan w tej samej branży.

Rozważył jej słowa. Odwrócił się do sztalugi i zaczął malować ropuchę.

— Jeśli powiesz coś zbyt wcześnie, nie zostaniesz zrozumiany — rzekł.

— To zależy od tego, do kogo się mówi, nieprawdaż?

Zbadał ją swoim radarem. — Nie rozumiem.

Fakty. — Czy Albert często chodził do Ta-Tang Café?

— Nigdy o tym nie wspominał. To chyba nieciekawe miejsce?

— Raczej nie. Znajduje się naprzeciwko Klubu Towarzyskiego Tajpej. Czy to by go zainteresowało?

— Być może. W Chinatown jest dużo takich klubów. Starsi ludzie chodzą do nich dla zabicia czasu. Może Albert był tam z kimś umówiony.

— Z kimś z Tajpej?

— Niewykluczone. Ale prędzej z kimś, kogo przodkowie stamtąd pochodzili. Teraz to oni głównie uczęszczają do takich klubów.

— Powiedział pan, że Bractwo Zielonego Węża miało siedzibę na Tajwanie.

— To było dawno temu. — Odłożył pędzel. — Takie spekulacje na nic się nie zdadzą. Czy nie lepiej iść do domu?

Nie. Ponieważ dom jest w hotelu i łóżko w nim jest puste. I ponieważ chcę porozmawiać z Albertem o ostatniej nocy, pomyślała. Jednak wstała i ruszyła do drzwi. Malec gryzł pędzel. Y.K. Ling zabrał mu go i wrzucił do słoika z wodą.

Odnalazła drogę wśród korytarzy. Po drodze spotkała pana Chena z talią kart w ręku. Uśmiechnął się do niej, pokazując trzy czy cztery żółte zęby, jakie mu zostały.

Wyszła z budynku, ale nie wróciła do samochodu. Zamiast tego, pokonała drogę, którą szła wczorajszego popołudnia z Jade. Znalazła się przed Ta-Tang Café. Była zamknięta. Naprzeciwko dwie stare kobiety pukały do drzwi klubu. Te otworzyły się i staruszki weszły do środka. Beth podążyła na koniec zaułka.

Gdy znalazła się na ulicy Clay, kupiła notatnik, długopis i słoik rozpuszczalnej kawy. Następnie wróciła pod klub i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej szczupła kobieta w średnim wieku w chustce na głowie i z miotłą w ręku. Za nią stały otworem drugie drzwi, pozwalając Beth zajrzeć do środka. Było to ponure pomieszczenie zapelnione stolikami do gry w karty i stołami do ping-ponga. W dalekim końcu sali stał dwumetrowy ekran. Naprzeciw niego na składanych krzesłach siedzieli starzy mężczyźni. Byli odwróceny do wejścia plecami.

Beth uśmiechnęła się i przemówiła do kobiety: — Dzień dobry. Reprezentuję firmę Aztec Instant Coffee. W ramach promocji rozdajemy naszą kawę. Proszę wziąć i spróbować, jaka jest wyśmienita.

Kobieta bez słowa wzięła kawę, wpatrując się w nalepkę, na której południowoamerykański bóg słońca popijał ciemny płyn z porcelanowej filiżanki.

— Teraz chciałabym zadać pani kilka pytań dotyczących konsumpcji kawy w... — zrobiła krok do tyłu i spojrzała na szyld. — Przepraszam, co tu jest napisane?

— Klub Towarzyski Tajpej — odparła Azjatka.

Jej angielski nie był najlepszy i Beth zastanawiała się, ile z jej gadki naprawdę zrozumiała.

— Dzięki. — Zapisała nazwę w notatniku. — Przejdźmy do pytań.

— Ja nic nie wiedzieć.

— Może kierownik będzie mógł mi pomóc.

— Ja nie wiedzieć. — Wykonała ręką taki ruch, jak gdyby chciała oddać jej kawę.

— Czy mogłaby go pani zawołać? Jestem pewna, że zainteresuje go nasza specjalna oferta.

Kobieta spojrzała na boga słońca na etykiecie.

— Ty czekać — powiedziała, zamykając drzwi.

Beth usłyszała zgrzyt metalu o metal. Do jej uszu nie dotarł jednak dźwięk zamykanego zamka. Szybko wyrwała kartkę z notatnika i napisała na niej: „Przyjdę później — Aztec Coffee”. Pchnęła drzwi.

Szczupłej kobiety, która jej otworzyła, nigdzie nie było widać. Zobaczyła tylko ludzi siedzących tyłem do wejścia przed ekranem, na którym mocno umalowany mężczyzna płynął małą łódeczką z płaskim dnem i śpiewał piosenkę.

Zamknęła drzwi, kładąc na podłodze kartkę w taki sposób, jakby została wsunięta pod spodem. Weszła do środka.

Po jednej stronie pomieszczenia stały automaty z papierosami, a nad nimi wisiały zdjęcia jakichś Chińczyków w garniturach i taki sam portret Chiang Kai-Sheka jak w Ta-Tang Café. Po drugiej stronie wznosiły się pomalowane wapnem, zniszczone drewniane schody. Obok nich znajdowały się zamknięte drzwi. Postawiła już nogę na pierwszym stopniu, gdy na górze usłyszała jakieś głosy. Chwyciła za klamkę i nacisnęła. Drzwi otworzyły się, a za nimi zobaczyła prowadzące w dół nieoświetlone, strome schody. Weszła do środka i zamknęła się.

Zapanowała ciemność.

Beth usłyszała za drzwiami kroki dwóch schodzących osób. Głosy zbliżały się. Ktoś powiedział coś po chińsku; rozpoznała kobietę, która jej otworzyła. Rozmawiał z nią jakiś mężczyzna. Jego głos wydawał się jej znajomy, ale nie mogła sobie przypomnieć, do kogo należał. Kroki i głosy przycichły. Potem na chwilę uniosły się — kobieta była zdziwiona, a facet rozdrażniony. I nastąpiła cisza. Ktoś wszedł po schodach, a następnie Beth doszły odgłosy zamiatania drewnianej podłogi.

Stała i nasłuchiwała. Miotła powoli oddaliła się i ucichła. Śpiew na ekranie też był ledwie słyszalny. Jeden z widzów zakaszał. Inni jakby się od niego zarazili. Gdy zbiorowy kaszel ustał, nie słyszała nic oprócz cichego nucenia. Odwróciła się i zaczęła schodzić.

Stopnie były wytarte na brzegach i skrzypiały. Beth trzymała się blisko ściany, gdzie wydawały się solidniejsze. Miała wrażenie, że prowadzą bardzo daleko. Gdy dotarła już do końca, zauważyła w pewnej odległości krąg światła i ruszyła w jego stronę.

Znalazła się w długim korytarzu. Z łatwością mogła dotknąć ścian po obu jego stronach. Zawadziła ręką o okrągłą klamkę. Przystanęła i nasłuchiwała, lecz nie dobiegł do niej żaden dźwięk. Bardzo powoli przekreśliła gałkę i pchnęła drzwi. Otworzyły się lekko i bez żadnych zgrzytów. W środku panowała jeszcze głębsza ciemność niż na korytarzu. Weszła. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi i znowu nasłuchiwała. Doszedł ją tylko odgłos wody płynącej w rurach gdzieś w górze.

Spowita w ciemność, czekała w bezruchu. Woda przestała płynąć. Potem zaczęła znowu. Beth dotknęła ściany — była dziwnie miękka. Jej palce natknęły się na pstryczek i tam pozostały. Nasłuchiwała. Dolatywał do niej jedynie szum wody w rurach. Nacisnęła włącznik.

Jej nieprzygotowane oczy oślepiło światło odbite od niezliczonej liczby kryształowych powierzchni. Przez przymrużone powieki zobaczyła zwisający z wysokiego sufitu ogromny żyrandol. Gdy jej źrenice zwęziły się, żyrandol przybrał kształt ły, był toporny i tandetny. Podłoga okazała się wypolowanym parkietem. Ściany natomiast wyłożone były szarym zamszem. Nie wypatrzyła żadnych okien. To było bardzo dogodne rozwiązanie: ogromna sala wypełniona była jednorekimi bandytami, stołami do ruletki, do gry w kości i w karty, obitymi zielonym materiałem. W jednej ze ścian widniał tylko mały zakratowany otwór. Podeszła do niego ostrożnie i zajrzała. W środku zobaczyła krzesło, wbudowany w ścianę sejf, stół i maszynę liczącą.

Zgasiła światło i zaczekała, aż jej oczy przywykną do ciemności. Cofnęła się na korytarz i powoli ruszyła w stronę jasnego kręgu, który wcześniej widziała.

Korytarz łączył się z następnym, tworząc literę T. Po prawej stronie panowała ciemność; światło dochodziło z lewej. Tam słyszała również ciche pobrzękiwanie, jakby jakiś olbrzym bawił się wielkimi monetami. Powoli skierowała się właśnie tam.

Po drodze minęła dwoje zamkniętych drzwi po lewej stronie. Teraz już widziała, skąd dochodzi światło. W prawej ścianie znajdował się prostokątny

otwór, szeroki jak boisko do squasha. Pobrząkiwanie stawało się coraz głośniejsze. Na klęczkach podpełzła do krawędzi otworu i zajrzała.

Pomieszczenie przypominało kort tenisowy — było podobnego kształtu i rozmiaru, ale wypełniał je sprzęt kulturystyczny. Dolną połowę ściany naprzeciw Beth zajmowało lustro. Widziała w nim odbicie nagiego mężczyzny. On sam znajdował się poza polem jej widzenia. Na barkach trzymał ogromną sztangę, wygiętą pośrodku przez ciężary zamocowane na obu końcach. Mężczyzna w lustrze powoli robił przysiady: w dół i w górę. Po jego ogromnym ciele spływał pot; żyły powychodziły na wierzch, mięśnie pod skórą wyglądały jak napompowane balony. Jego oczy błyszczały od wysiłku, koncentracji i czegoś jeszcze. Wpatrywały się bez mrugnięcia w swój niewidoczny dla Beth pierwowzór jak oczy kochanka. Mężczyzna miał ogoloną głowę. Był to kierowca Han Shih.

W dół i w górę, w dół i w górę. Bojąc się, że mógłby ją zobaczyć w lustrze, Beth przykucnęła jeszcze niżej, tak że jej oczy ledwie wystawały ponad wysokim progiem. Ale łysy na nic nie zwracał uwagi. W dół i w górę...

Jego penis zaczął powoli rosnąć, wzrok coraz bardziej zachodził mgłą. Zbliżył się do lustra. Beth ujrzała jego plecy. Przestał patrzeć na swoje odbicie i bez najmniejszego wysiłku odłożył sztangę na stojak. Następnie obejrzał swe potężne ciało. Jego wielka ręka zbliżyła się w okolice podbrzusza, dotknęła penisa i potarła jego czubek. Nagle odwrócił się i warknął coś, czego nie zrozumiała. Przestraszona, schowała głowę.

W pomieszczeniu poniżej otworzyły się drzwi. Po kilku chwilach odważyła się spojrzeć. Kierowca Han Shih leżał na brzuchu na wyłożonej dywanami podłodze. Na nim siedziała okrakiem naga dziewczyna i nacierała mu plecy olejkami. Była bardzo młoda: piersi i biodra dopiero zaczynały jej się kształtować. Miała może tyle lat co Jade Ling.

Kierowca Han Shih wymamrotał coś. Dziewczynka wstała, a on przekręcił się na plecy. Zaczęła wcierać olejek w muskularną klatkę piersiową. Jego ręka poruszała się wraz z jej dłonią, aż w końcu dotarła do penisa. Dziewczyna zauważyła to i dotknęła go. Odtrącił ją i wymamrotał coś.

— Nie, Łysy — powiedziała dziewczyna.

Łysy podniósł się i pchnął ją na plecy. Potem, obserwując wszystko w lustrze, kucnął, zniżając ciężkie pośladki na jej twarz. Sam zajął się swoim penisem. Dziewczynka była teraz tylko bladą, bezgłową figurą na podłodze siłowni.

Beth wycofała się. Obraz Y.K. Linga wywołał w niej uniesienie. Na widok tego, co działo się tutaj, zachciało jej się rzygać. Straciła równowagę i upadła do tyłu z głuchym tąpnięciem.

Cisza.

Usłyszała kroki dwóch biegnących osób. I odgłos skrzydła uderzającego o framugę. Podniosła się i rozejrzała gorączkowo. Dwoje drzwi. Otworzyła pierwsze i weszła do środka. Było kompletnie ciemno. Zrobiła krok do przodu i spadła ze schodów.

Wylądowała na zimnym cemencie i podskoczyła na równe nogi, nie czując bólu, świadoma tylko walenia własnego serca i smaku krwi w ustach. Rzuciła się w ciemność i uderzyła w coś dużego i metalowego: piec albo bojler. Po omacku obeszła przedmiot i potknęła się o coś niskiego i ciężkiego. Kocioł do gotowania na parze. Przeciągnęła go po podłodze, aż wałnął w ustawioną pod ścianą stertę powiązanych papierów — może gazet?

Gar był wielki i ciężki, ale nie poczuła nawet jego wagi, gdy chwyciła za rączki i zarzuciła go na stertę papierzysk.

Na górze ktoś otworzył drzwi. Beth jednym skokiem minęła przegrodę z papierów i wcisnęła się w szparę pomiędzy nią a ścianą.

Pomieszczenie zostało zalane jasnym światłem. Ktoś schodził po schodach; słyszała bose stopy na betonowej posadzce. Ktoś przesuwał ciężkie przedmioty. Coś małego spadło, wydając odgłos podobny do toczącego się kołpaka. Gdy dźwięk ucichł, kroki zbliżyły się w jej stronę.

Poczuła nacisk na kocioł. Przyłgnęła bardziej do ściany. Ujrzała ogromną, umięśnioną rękę, sięgającą ponad garem. Na przegubie wytatuowany był zielony wąż z czerwonymi zębami i czerwonym, rozdwojonym językiem. Rozczapierzone palce przeszukiwały przestrzeń kilka centymetrów od jej twarzy. Skuliła się i połknęła powietrze, żeby mężczyzna nie poczuł na dłoni jej oddechu.

Ręka znikła.

Kroki oddaliły się. Ktoś wszedł po schodach. Światło zgasło. Trzasnęły drzwi.

Beth pozostała w ukryciu. Nie ruszała się. Była mokra od potu, a w ustach miała pełno krwi. Otaczała ją ciemność. Gdzieś daleko słyszała płynącą w rurach wodę. Nie dochodziły do niej żadne inne dźwięki.

Czas płynął. Beth pozwoliła, by krew wyciekła jej z ust. Gdzieniedzie czuła ból. Pewnie będzie miała kilka siniaków, nic więcej. Jej serce biło już normalnie.

Znacznie później poczuła senność. Zwalczała ją, jak długo się dało, ale w pomieszczeniu było ciemno i cicho, a ona była bardzo zmęczona. Zasnęła.

Obudziła się nagle. Zmarzła, a ciało jej ścierpło, skulone w małej przestrzeni za stosem gazet. Natychmiast przypomniała sobie, co się wydarzyło. Nasłuchiwała. Nic. Cisza. Wydostała się ze swej kryjówki.

Ostrożnie przeszła po zimnej posadzce do majaczących w ciemności schodów. Gdy weszła na górę, przytknęła ucho do drzwi. Usłyszała ciche pobrzękiwanie monet w dłoni olbrzyma. Zastygła u szczytu schodów z dłońią na klamce i Łysym po drugiej stronie korytarza. Trwała w bezruchu dość długo.

W końcu puściła klamkę.

Pomyślała, że gdzieś tu powinno być okno, zaciemnione, ale szklane i będzie je mogła zbić. Podjęła ryzyko, odnalazła włącznik i zapaliła światło.

Żadnego okna jednak nie było. Znajdowała się w kotłowni zagraconej wypłowiałymi materacami, kartonami, oponami. W ścianie za piecem tkwiły małe czarne drzwiczki, nie większe niż luk ładunkowy. Zsyp do węgla, pomyślała, pewnie długo nieużywany. Ale musiał prowadzić na ulicę. Zgasiła światło i zeszła po schodach.

Metalowe drzwiczki ustąpiły ze zgrzytem. Bez namysłu Beth podciągnęła się. W zsypie znalazły się najpierw jej ramiona, potem tułów i biodra. Coś leżało przed nią: męski but. I jeszcze jeden. Wielkie były. A za nimi jakieś ubrania, lepkie i wilgotne. Przecisnęła się obok.

Zsyp wznosił się pod ostrym kątem. Był śliski i zakurzony. Nic nie widziała. Wciągała się na górę jak jakiś alpinista w górskiej szczelinie.

Jej głowa uderzyła o coś twardego. Wysunęła rękę i dotknęła kwadratu z nieheblowanych desek. Pchnęła go. Pokrywa się uniosła. Chwytnąjąc za krawędź, Beth wciągnęła się na górę i wylądowała w niewielkiej kuchni. Niebieskie światełka migwały przy stojącym w rogu piecu. Dostrzegła drzwi. Otworzyła je i znalazła się za ladą w ciemnym pomieszczeniu. Po drugiej stronie zobaczyła kilka stolików i krzeseł. Ta-Tang Café. Za oknem panowała noc. Zobaczyła majaczący w ciemnościach budynek Klubu Towarzyskiego Tajpej.

Wyszła z kafejki i pobiegła w stronę jasno oświetlonej Clay. Wokół roilo się od ludzi. Byli na randkach, późnych zakupach, w drodze do pracy na nocną zmianę. Była dla nich jakimś stworem, który wypełził z podziemnego świata, o którego istnieniu woleli nie wiedzieć: poznała to po spojrzeniach, jakie jej rzucali. Była obca w swoim mieście.

Wsiadła do samochodu i pojechała do domu — nie do hotelu Dolores, ale do domu na Chestnut Street.

Zaparkowała w garażu za samochodem Teddy'ego i weszła do budynku. Na czerwonej wycieracze przed drzwiami leżały gazety. Podnosząc je, otworzyła drzwi, weszła do środka i zapaliła światło.

Mieszkanie wyglądało tak, jak je zostawiła. Równie dobrze mogła teraz wracać do domu po dniu spędzonym w bibliotece, a Teddy siedziałby w

gabinecie, pisząc te swoje równania, albo moczyłby się w wannie z lampką koniaku w dłoni.

Przesłuchała sekretarkę. Żadnych wiadomości od Alberta, ale dzwoniła Helen Brock i zostawiła swój numer telefonu w Beverly Hills. Beth zadzwoniła. Nikt nie odpowiadał.

Weszła do łazienki i przejrzała się w lustrze: twarz miała pokrytą pyłem węglowym, jej ręce i dłonie oblepione były zakrzepłą krwią. Skąd ta krew? Zdjęła ubranie i weszła pod prysznic. Przez długą chwilę stała pod silnym strumieniem gorącej wody. Potem wyszorowała się i wytarła grubym, ciepłym ręcznikiem.

W szafce z lekarstwami była jej nić dentystyczna, niewoskowana. Obok leżała nić Teddy'ego, pokryta woskiem. Obie miały miętowy smak. Wyczyściła zęby nicią, potem pastą, rozczesła włosy. Spała w kotłowni, ale i tak była potwornie zmęczona. Jeszcze tylko siusiu — i spać.

Uniosła klapę.

W muszli pływała głowa Alberta Linga. Oczy były otwarte.

Beth odplynęła w ciemność.

19

Ocknęła się. Wciąż leżała na posadzce w łazience.

Wstała i pobiegła do pokoju. Ubrała się szybko i wypadła z mieszkania.

Był wczesny ranek. Gazeciarz skręcał w stronę budynku.

— Dzień dobry — powiedział.

Minęła go bez słowa i gnała dalej.

Przebiegła całą drogę do Chinatown: na Grant Avenue 417. Otworzyła przeszklone drzwi, wspięła się po schodach, minęła Fatt & Co. i dysząc stanęła na ostatnim piętrze. Na drzwiach tuż nad tabliczką Y.K. LING: PRYWATNE ŚLEDZTWA I PORADY wisiała nowa akwarela. Góra, spokojne jezioro; żadnych łódek, żadnych ludzi.

Zapukała.

Drzwi otworzyła Jade Ling. Żuła gumę. Dziewczyna Łysego była jednak młodsza.

— Cześć — rzuciła z uśmiechem. — Tak sobie pomyślałam... że ma pani rację. W tamtym obrazie nie ma nic zbereżnego. Zbereżne jest najwyżej to, że dziadek wciąż się takimi rzeczami interesuje. — Roześmiała się.

Beth nie mogła się śmiać. Nie mogła mówić. Dyszała tylko ciężko.

Jade przyjrzała jej się bliżej. — Nie wiedziałam, że uprawia pani jogging. Proszę iść na taras. Jemy właśnie śniadanie. Taty nie ma, ale może pani porozmawiać z dziadkiem.

Było to śniadanie w chińsko-amerykańskim stylu: płatki zbożowe i *dim sum**. Wszyscy siedzieli wokół okrągłego stołu — żona Alberta z niemowlęciem na kolanach, pozostałe dzieci, Y.K. Ling, dwie babcie. Wszyscy podnieśli wzrok, gdy Beth weszła na taras. Y.K. Ling zmarszczył brwi.

* *dim sum* — rodzaj chińskich pasztecików z nadzieniem z mielonego mięsa, warzyw itp, gotowanych na parze lub smażonych.

Słońce świeciło ponad dachami. Wydawało jej się, że świat rozplywa się w jego promieniach. Twarze Lingów przeleciały jej przed oczami. Poczula takie zawroty głowy, jakby miała za chwilę wznieść się w powietrze.

Odezwała się do starca: — Czy mogę z panem chwilę porozmawiać?

Jej głos był teraz gruby, dobywał się z głębi piersi. I brzmiał dla niej obco.

— Proszę mówić. — Y.K. Ling nie lubił płaczkliwych klientów. Beth działała mu na nerwy.

— Na osobności.

Cmoknął, by okazać swe niezadowolenie, odjechał na wózku od stołu i ruszył do drzwi. — Proszę za mną.

Podążyła za nim korytarzami do pokoju, w którym malował. Ustawił się przodem do niej i zapytał: — O co chodzi?

Powiedziała mu tym obco brzmiącym głosem.

Wzdrygnął się i odwrócił wzrok.

Kiedy znów na nią spojrzął, nie mogła z jego twarzy nic wyczytać. Jego oczy pozostały suche. Rzeczowym tonem zadał kilka pytań. Zapewnił ją, że się tym zajmie.

— Jak? — zapytała.

Świdrował ją wzrokiem. — Dowie się pani. — Włączył silniczek swojego wózka. — Teraz proszę odejść. Mam parę spraw do załatwienia.

Odjechał powoli korytarzem prowadzącym na taras. Beth była już na chodniku, gdy wysoko nad sobą usłyszała krzyk kobiety. Trwał i trwał, jak gdyby gdzieś tam w górze wyła syrena.

Szła nieobecna przez miasto. Budynki wzrastały i kurczyły się w promieniach słońca. Chodnik pod jej stopami wznosił się i opadał.

Szła i szła. Nie wiedziała nawet dokąd. Nie chciała się też zatrzymać. Po długim czasie odkryła, że znajduje się przed ładnym dwupiętrowym budynkiem na Chestnut Street. Jej ciało samo trafiło do domu.

Ale nie weszła do środka. Już nigdy tam nie wejdzie. Poszła do garażu. O jej samochód opierał się Lathrop z założonymi rękami.

— Mamy problem — rzucił.

— Czego pan chce?

Spojrzał w niebo: uosobienie Cierpliwości wystawionej na próbę.

— Proszę posłuchać. Przykro mi, że tak panią potraktowaliśmy. Zde-nerwowała się pani. To normalne. Ale to była sytuacja krytyczna również dla nas.

— Wciąż jest.

Lathrop uśmiechnął się. — Może już nie.

Podeszła do niego z rozbudzoną nadzieją. — Czy ma pan na myśli...?

— Co? — zapytał.

— To, że znaleźliście Teddy'ego?

— Nie. Nic z tych rzeczy. Prawdę mówiąc, to coś zupełnie przeciwnego.

Jej nadzieja zgasła. Czekala na następny cios. — Proszę mówić dalej.

— Nie tutaj. Pułkownik chce panią poznać.

— Jaki pułkownik?

— Mój szef.

Pułkownik miał apartament w Standford Court. Lathrop zawiózł tam Beth swoim czarnym samochodem. Portier zachowywał się niezwykle uprzejmie, jednocześnie mierząc ich wzrokiem. Pojechali windą na ostatnie piętro i ruszyli bezgłośnie po grubym dywanie do drzwi na końcu korytarza. Lathrop otworzył je własnym kluczem.

Pułkownikiem była kobieta.

— Jesteście w końcu — powiedziała, wpatrując się w Beth.

Miała na sobie podobny garnitur jak Lathrop, białą koszulę i pojedynczy sznur pereł na szyi. Stała przy oknie i patrzyła na miasto; jej widok obejmował park, Golden Gate, Zatokę.

— Co za bezsensowne miejsce — stwierdziła. Usiadła przy stoliku, na którym stały resztki śniadania. — Wezwij obsługę.

Lathrop podszedł do telefonu. Pani pułkownik zapaliła papierosa i spojrzała na Beth poprzez dym. Była starsza od niej o jakieś dziesięć lat. Widać to było po zmarszczkach wokół oczu i miękkiej linii podbródka, poza którą nie było w niej już nic miękkiego. Nie poprosiła Beth, by usiadła.

— Więc to pani jest tą odważną osobą, która ściga łodzie podwodne — odezwała się, wydychając dym.

Beth milczała. Pani pułkownik ciągle się w nią wpatrywała.

— Chryste — jęknęła, odwracając w końcu wzrok.

Do pokoju wszedł kelner. Sprzątnął ze stołu, a Lathrop rozłożył na nim zdjęcia łodzi podwodnych.

— Proszę się im przyjrzeć.

— Już je oglądałam.

— Proszę spróbować jeszcze raz — polecił.

— Niech pani udaje, że to test na inteligencję — dodała pani pułkownik. — Coś w sam raz dla naukowca.

— A niby dlaczego miałabym to robić?

Pani pułkownik zeszywniała.

— Panna Hunter lubi wyjaśnienia — rzekł Lathrop.

— Gównu mnie obchodzi, co ona lubi.

— Wiem, pani pułkownik. Jednak w tym przypadku to chyba nie zaszkodzi.

— To strata czasu.

Jednak machnęła ręką na podwładnego w geście przyzwolenia.

Lathrop zwrócił się do Beth. — Śledziliśmy pani łódź, gdy płynęła przez Pacyfik. Na początku obrała kurs na Chiny. Potem, kilkaset kilometrów za Midway, skierowała się na północ. Dwa dni temu dopłynęła do bazy marynarki wojennej w Pietropawłowsku na Kamczatce. To była rosyjska łódź podwodna typu Alfa, nazywała się *Timoszenko*. Jak pani wcześniej powiedziałem, nigdy nie wykluczaliśmy z tej gry Rosjan.

— Ty wykluczyłeś — wtrąciła pani pułkownik.

Lathrop zaczerwienił się, ale kontynuował. — Rzecz tylko w tym, że pana Wu na niej nie było.

— Skąd to wiecie?

— Wystarczy, że wiemy.

— Czy ktoś ich obserwował?

— Nie całkiem. To zresztą i tak nie ma znaczenia. Sęk w tym, że...

— To ma znaczenie dla mnie.

Lathrop spojrzał na przełożoną.

— Pokaż jej te pieprzone zdjęcia — rozkazała.

Otworzył aktówkę i wyciągnął stertę czarno-białych fotografii.

— To są zdjęcia wszystkich osób, które zeszyły z pokładu łodzi — wyjaśnił, wręczając jej fotki. — Zostały wykonane przez satelitę.

Każde ujęcie przedstawiało dwóch lub trzech mężczyzn w ciemnych mundurach. Wyglądały, jakby pstryknięto je z wysokiego drzewa: nie były dość ostre, by rozróżnić rysy twarzy, lecz na tyle wyraźne, by rozpoznać rasę. Wśród tych ludzi nie było Chińczyków.

— Przecież to może znaczyć, że Teddy wciąż jest na pokładzie — stwierdziła Beth.

— Raczej nie. Okręt stoi teraz w suchym doku, gdzie roi się od ludzi. Nie zostawiliby go w tak niebezpiecznym miejscu. Pan Wu byłby na pokładzie samolotu do Moskwy w pięć minut po tym, jak zawinęli do portu.

— W takim razie wysiadł gdzieś po drodze.

— Zgadłaś, złotko — rzekła pani pułkownik. — Na Atlantydzie.

Miała cięty język. Beth nie zdążyła z ripostą, ponieważ Lathrop schował zdjęcia do aktówki i powiedział:

— Chodzi o to, że być może namierzyliśmy nie tę łódź. Chcemy, żeby pani jeszcze raz je obejrzała.

Przejrzała zdjęcia i znów wskazała na numer siedemnaście. Pani pułkownik popatrzyła.

— Alfa?— spytała.

Lathrop przytaknął.

— Chryste — jęknęła.

Wziął jakieś inne zdjęcie. — A może ta?

Numer czterdzieści dziewięć. Zapamiętała ją, gdy oglądała zdjęcia po raz pierwszy. Łódź klasy Han. Chińska.

— Nie. Jestem prawie pewna. — Pomyślała przez chwilę. — Czy macie zdjęcie *Timoszenki*?

— To typ Alfa. Wszystkie wyglądają tak samo.

— Macie je?

Lathrop trzymał jedno satelitarne ujęcie w aktówce. *Timoszenko* stał zamocowany w porcie. Ze względu na moc obiektywu widok z góry niewiele różnił się od tego, co ujrzała Beth, gdy ster wyniósł ją na powierzchnię wody.

— Tak. Myślę, że to ta łódź.

— Przed chwilą wyjaśniłem pani, że to niemożliwe — rzekł Lathrop, biorąc od niej fotkę.

— Ona zwyczajnie nie pamięta — wtrąciła pani pułkownik.

— Czy myśli pani, że przypomni sobie więcej szczegółów, gdy będzie pani bardziej rozluźniona, panno Hunter? — zapytał Lathrop.

— Zapamiętałam wszystko najlepiej, jak tylko mogłam. Nie moja wina, że wam się to nie podoba.

Lathrop popatrzył na swoją przełożoną. Ona zaś spojrzała na Beth.

— Spróbuj — poleciła.

Lathrop poszedł do łazienki. Wrócił ze strzykawką.

— To tylko środek relaksujący. Poprawia pamięć.

— Nie ma mowy — powiedziała Beth, wycofując się w stronę drzwi.

Lathrop sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały, srebrny pistolet.

— Proszę nie urządzać scen.

Otworzyła drzwi i wyskoczyła na korytarz. Uszła ledwie dwa kroki, gdy Lathrop dopadł ją i powalił. Zapomniała, jaki był szybki, gdy ją niedawno uderzył w policzek. Teraz mocowali się na grubym dywanie. Był silniejszy i cięższy. Wykorzystał swoją wagę, żeby przewrócić ją na plecy. Próbowwała się wykręcić, ale przycisnął jej szyję przedramieniem.

- Pomocy! — Z jej gardła wydobył się niezbyt głośny krzyk.
- Ucisz ją — rozkazała pani pułkownik.
- Pomocy!

Lathrop uniósł pistolet i uderzył ją kolbą w bok głowy — wystarczająco mocno, by znalazła się na granicy przytomności.

Tup, tup po grubym dywanie; i wieńce z dzwonek na szarym tle. Gdy wchodzili do pokoju, próbowała chwycić futrynę, ale wyślizgnęła się jej. Drzwi się zamknęły. Zasuwa wskoczyła na swoje miejsce. Ktoś uniósł jej sukienkę.

- Każdy miesiąc jest dobry — stwierdził Lathrop.
- Ale ten najlepszy — wycedziła pani pułkownik.

Igła wniknęła głęboko w ciało Beth. Chciała krzyknąć, ale z jej gardła wydobył się tylko cienki pisk. Potem przetoczyła się przez nią fala ciepła i pokój przestał kołować.

Lathrop podniósł ją chrząkając i posadził na krześle. *Co to za odgłos, takie chrząkanie*, pomyślała Beth. *Dowodzi tylko, że pochodzimy od małpy.*

Lathrop i pani pułkownik stali przy krześle i wpatrywali się w nią. Widziała pory na ich twarzach. Pory pani pułkownik przykrywała cienką warstwą pudru, jednak Beth zauważyła, że były większe niż te na twarzy Lathropa. Dostrzegła też, że jeden z jego baczków był dłuższy i że w uchu miał woskowinę.

— Szkoda, że nie jesteście równie nieskazitelni jak wasze garnitury — powiedziała Beth.

- Może dałeś jej za dużą dawkę? — zapytała pani pułkownik.
- Nie — odparł Lathrop. — Ona już taka jest.
- Chryste. — Słowo to było jak tik nerwowy.
- Czy któreś z was jest wierzące? — zapytała Beth.

Pani pułkownik pochyliła się i zajrzała jej w oczy, siejąc woń jabłkowego dezodorantu i słaby zapach potu. Beth zaczęła się śmiać.

- Myślę, że dawka jednak była za duża.
- Dokładnie przestrzegałem zaleceń na opakowaniu.

Ciągle się śmiała. — Smrodliwe Jabłuszko. Dezodorant, który budzi zainteresowanie. Mój ojciec zrobiłby z tego niezły skecz.

Oczy pani pułkownik zwięzły się, a Lathropa zrobiły to samo ułamek sekundy później. Beth spostrzegła, że i bez tego oboje mieli tylko wąskie

szparki i oboje nosili szkła kontaktowe: malutkie plastikowe tarcze, za którymi się kryli. W czasach prehistorycznych zostawiono by ich, żeby po omacku błakali się z nieszczęśliwymi minami wokół jaskini, podczas gdy ona zdobywałaaby świat.

— Gdzie jest twój ojciec? — zapytała pani pułkownik.

— Nie tu.

— A gdzie?

— Nie złapiecie go. Nie figuruje w książce telefonicznej.

Uśmiechnęła się. To był humor w stylu Teddy'ego. Grymas zaczął znikać z jej twarzy.

— Chryste. Zapisz, żeby sprawdzić jej ojca.

— Chcę do Teddy'ego — jęknęła i zaczęła płakać.

— Gdzie on jest?

— W toalecie. Z zielonymi węzami.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

Z oczu płynęły jej łzy. — Nie wiecie?

— Przestań bawić się z nami w kotka i myszkę.

— Wcale się nie bawię. Macie uszy w oceanie i oczy na niebie, a nie wiecie o zielonych węzach.

Lathrop i pani pułkownik spoglądali na nią zza zasłony lez.

— Oboje jesteście twardzi. Dużo twardsi niż ja. Ale tylko tym nade mną górujecie.

— Do diabła z tobą, Lathrop. Spieprzyłeś sprawę. Dziesiątki razy siedziałam na takich przesłuchaniach, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałam.

Lathrop wygrzebał opakowanie po środku relaksującym.

— Tu jest wszystko napisane — trzy centymetry sześcienne dla dorosłej osoby ważącej około siedemdziesięciu kilogramów.

Pani Pułkownik wytrąciła mu opakowanie z ręki. — Dupku. Ona w życiu nie waży siedemdziesiąt kilo.

— Na pewno waży. To duża i silna dziewczynka.

— Chryste.

Beth wciąż płakała. Zsunęła się z krzesła i zwinęła w kłębek na podłodze. Dywan pod jej twarzą zrobił się mokry. Znowu poczuła ostry ból w pośladku.

A potem następną falę ciepła.

I nic.

Beth otworzyła oczy. Zobaczyła małe kwadratowe kafelki, czarno-białe, a tuż przy swojej głowie muszlę klozetową. Zdjął ją strach, ale natychmiast zdała sobie sprawę, że to nie jest jej łazienka, nie jej ubikacja z pływającą głową.

Ciało miała słabe, a myśli powolne. Stała na nogi i przeszła do dużej sypialni. Ogromne łóżko było nie zasłane, pościel po jednej stronie wyglądała jak gniazdko, miękkie i ciepłe. Zwalczyła pokusę, by się w nim zagrzebać, i przeszła przez otwarte drzwi do salonu w apartamencie pani pułkownik w Stanford Court.

Lathropa i jego przełożonej nie było. Nie było też nic, co by wskazywało, że tu wróca.

Zeszła do holu. Przy drzwiach stał już inny portier, zajęty w tej chwili kierowaniem kolejką mercedesów na wąskim podjeździe, ale gdy zobaczył, że Beth zatrzymuje taksówkę, podbiegł do niej, otworzył drzwi i skasował napiwek.

— Dokąd, proszę pani? — zapytał, chcąc przekazać tę informację kierowcy i być może więcej zarobić.

— Do hotelu Dolores.

Jego twarz była bez wyrazu.

— W Mission District — dodała.

Brak wyrazu przeszedł w niechęć; nie oczekiwał już zbyt wiele. Była to okolica, w jakiej on sam mógłby mieszkać. Goście czasami zmieniali Stanford Court na inny hotel, ale nigdy w czasie jego pracy tutaj na Dolores. Nadjechała kolejna taksówka. Wysiadła z niej starsza kobieta, uginająca się pod ciężarem biżuterii. Portier porzucił Beth i podbiegł do niej.

Beth sama zamknęła drzwi. — Hotel Dolores.

Kierowca przytaknął tylko. Taksówkarzom płacono za przewiezienie kogoś z miejsca A do miejsca B; portierom za dobijanie wiary w siebie przedstawicieli klasy średniej.

Gdy znalazła się już w swoim pokoju za osiemdziesiąt sześć dolarów za tydzień, usiadła na nierównym łóżku i wykręciła numer Helen Brock w Beverly Hills. Odczekała dziesięć dzwonek. Wyobraziła sobie kobietę w jej zaciemnionym pokoju, wpatrującą się w telefon, i odczekała następne dziesięć dzwonek, nim odłożyła słuchawkę.

Położyła się na łóżku i przykryła wytartą narzutą. Jej całe ciało, z wyjątkiem bolącego lewego pośladka, pozbawione było wszelkiego uczucia.

Przez brudne okno wpadały promienie słońca. *Wyczyść mnie*, ktoś napisał na szybie, zamiast to zrobić. Zamknęła oczy.

— Niech ci będzie, suko — warknął jakiś mężczyzna.

Poderwała się nagle. Była sama w swoim odrapanym pokoju. Za ścianą usłyszała głos kobiety: — Rzygać mi się chce na twój widok.

— Już niedługo, kotku — odpowiedział facet. — Od teraz będziesz musiała radzić sobie sama.

Trzasnęły drzwi.

— Świnia! — krzyknęła kobieta.

Jakiś twardy przedmiot uderzył w ścianę. Beth usłyszała ciężkie kroki obok drzwi swego pokoju. Oddalały się. Kobieta za ścianą zaczęła płakać, najpierw głośno, by po chwili przejść do zduszonego szlochu. Później nie było słyhać już nic. A po jakimś czasie chrapanie.

Miała wizję hotelu Dolores bez ścian zewnętrznych: w każdym obskurnym pokoju siedziała samotna kobieta.

— Dość tego — rzuciła na głos, siadając na łóżku.

Już i tak wielu było kandydatów do współczucia: Lingowie, Helen, Marty, jej matka — nie licząc jej samej.

Powrót do domu na Chestnut Street był wykluczony. Ale jak mogła pozostać w hotelu Dolores?

Nagle zdała sobie sprawę, czego jej było trzeba. Musiała zdobyć to, co inni już mieli: broń. Pani pułkownik miała strzykawkę, Lathrop miał pistolet, Rex Heidemann też miał pistolet, żeby strzelać do królików. A Łysy miał mięśnie, które wyglądały jak nadmuchane balony.

Jednak Beth nigdy nie strzelała z broni palnej, nigdy jej nawet nie trzymała. Jediną bronią, którą potrafiła się posługiwać, był pistolet strzałkowy. Ale to było dawno temu, kiedy pływała z ojcem, zakotwiczeni na noc, a ona nurkowała po kolację. Siły ledwie jej starczało, żeby naciągnąć cięciwę, a kiedy w polu widzenia pojawiała się ryba, odbezpieczała pistolet, spoglądała przez metalową tulejkę i pociągała za spust, wysyłając przez wodę śmiertelnościnalną stalową strzałę. Ta broń była skuteczna pod wodą. Na lądzie miałyby może dalszy zasięg, ale byłaby mniej celna.

Adresy sklepów ze sprzętem do nurkowania znajdowały się w książce telefonicznej. Jeden był nawet niedaleko od hotelu. Poszła tam i wybrała pistolet strzałkowy, podobny do tego, który miała kiedyś, ale dłuższy. Miał dwucentymetrową gumową cięciwę.

— To spory pistolet jak dla kobiety — powiedział sprzedawca. — Jest pani pewna, że go załaduje?

Kiwnęła głową.

Ale gdy wróciła do swojego pokoju, przekonała się, że nie może naciągnąć gumy. Oparła kolbę pistoletu o brzuch i pociągnęła ją z całej siły. Stalowa zapadka zbliżyła się o dwa centymetry do nacięcia w strzale. Następnie razem były to cztery centymetry, a potem sześć. W końcu usiadła na podłodze i zaklinowała grot strzały pod drzwiami do łazienki. Opierając kolbę o stopy, nachyliła się i pociągnęła gumową cięciwę. Zapadka wskoczyła na miejsce. Beth upewniła się, że pistolet jest zabezpieczony, i schowała go pod łóżko.

Kobieta za ścianą znowu płakała.

Beth zadzwoniła do Helen Brock. Nikt nie odpowiadał. Spróbowała w kościele w Santa Monica. Odebrał Rory.

- Żona chciała z panią porozmawiać — powiedział jej.
- Dzwoniłam już trzy razy. Nikt nie odbiera.
- Nie ma jej w domu. — Przerwa. — Czy może pani tu przyjechać?
- Gdzie ona jest?
- W szpitalu. Zabrali ją wczoraj.
- Co się stało?
- W zasadzie to nic. Helen jest po prostu chora.

Beth przypomniała sobie bransoletkę identyfikacyjną ze szpitala.

- Czy to coś poważnego?
- Tylko Bóg zna odpowiedź na to pytanie.
- Co mówią lekarze?
- Helen już od dawna ma raka. Teraz dał przerzuty...

Beth pognęła do Los Angeles. W terminalu, w taksówce i w szpitalu powietrze było chłodne; na zewnątrz panował upał.

W recepcji podano jej numer pokoju Helen Brock. Pojechała windą z innymi odwiedzającymi, z pielęgniarkami, stażystami, pacjentami i małym chińskim chłopcem na wózku.

Pokój Helen znajdował się w starym skrzydle. W korytarzu czuć było silny zapach środka do dezynfekcji, ale choćby nie wiadomo ile go użyli, i tak nie umieli pozbyć się chorób. Przez otwarte drzwi Beth widziała w salach leżących pod kroplówkami pacjentów; niektórzy podłączeni byli do respiratorów.

Była pośród nich Helen Brock. Miała własny pokój na końcu korytarza. Kiedy Beth tam weszła, leżała z zamkniętymi oczami. Jej pierś unosiła się i opadała ciężko, jak gdyby oddychała głęboko.

Tlenu dostarczała jej metalowe pudło stojące przy łóżku. Powietrze przepływało wężykiem do białej plastikowej rurki przyklejonej plastrem do twarzy. Szpitalna koszula rozchyliła się; Beth zobaczyła, jak żebra rozsuwają się przy każdym wdechu. Były dobrze widoczne, ponieważ Helen nie miała

protezy; w miejscu, gdzie kiedyś była pierś, widniała teraz biała blizna.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Nawet nie spojrzała na Beth ani na pacjentkę. Podeszła tylko do metalowego pudełka, spisała odczyty i odwróciła się, żeby wyjść.

— Czy nie uważa pani, że aparat pompuje zbyt mocno? — spytała Beth po cichu, żeby nie obudzić Helen.

— Pani jest lekarzem? — rzuciła głośno pielęgniarka, chcąc chyba wyrównać poziom hałasu w swoim własnym świecie.

— Nie.

Siostra wyszła bez słowa.

Helen rozchyliła powieki. Rozglądała się przestraszona. Zorientowała się, gdzie jest, i jej oczy znieruchomiały: dwie czarne, apatyczne plamki na żółtym tle białek.

— Helen.

Odwróciła głowę i zobaczyła Beth. Lekko rozchyliła wargi; jej oczy wyrażały jakieś skomplikowane błaganie, ale Beth nie rozumiała. Wreszcie zdała sobie sprawę, że rurka umieszczona w nosie Helen sięga aż do gardła. Kobieta nie mogła mówić.

Uniosła rękę do szyi i bardzo powoli pokręciła głową. Jej palce dotknęły gołej skóry i zaczęły szukać koszuli. Beth pomogła jej. Helen odnalazła jej dłoń, złapała i trzymała mocno: jej ręce były zimne, wilgotne i drżały. Patrzyła błagalnie.

— Czy aparat nie pompuje za mocno? Czy to panią boli?

Helen zaprzeczyła.

— Może jest coś, co mogę dla pani zrobić?

Kiwnęła głową, zapominając o rurce w gardle. Brwi jej się uniosły. Wpiła paznokcie w rękę Beth, która poczuła jej puls, słaby i szybki jak u ptaka. Po chwili zwolnił nieco, ale pozostał słaby.

— Czy zawołać lekarza?

Helen potaknęła prawie niewidocznie.

Beth wstała i powiedziała: — Będzie pani musiała puścić moją dłoń.

Puściła. Beth poszła do pokoju pielęgniarek.

— Pani Brock z 783 potrzebuje lekarza.

Siostra przerwała wypełnianie karty i podniosła wzrok; była to ta sama kobieta, która sprawdzała odczyty.

— Dlaczego? — spytała.

— Nie wiem. Przez ten respirator nie może mówić.

Z wyrazu twarzy pielęgniarki wyczytała: „To skąd pani wie, że potrzebuje lekarza?” Jednak nie stać jej było na taką ripostę. Powiedziała tylko:

— Doktor Mills będzie robił obchód o 17:30. Jeśli to nie jest nagły wypadek, będzie musiała poczekać.

— Nie wiem, czy to jest nagły wypadek, czy nie. Ale wydaje się przerażona.

— To tutaj normalne. — Pielęgniarka powróciła do wypełniania karty. Beth przeszła do pokoju Helen. Ciemne, wystraszone oczy czekały.

— Lekarz wkrótce przyjdzie. Spojrzała na zegarek: 15:45.

Helen wyciągnęła dłoń. Beth wzięła ją i znów poczuła słaby puls. Oczy kobiety mówiły tak wiele, były wręcz do przesady wyraziste, jak gdyby była matką dziecka z jakiegoś gatunku porozumiewającego się za pomocą telepatii.

— Chciała pani ze mną porozmawiać. O Teddym?

Ciemne oczy zaszyły mgłą niepewności.

— O Wu Tun-li.

Potaknęła.

— Zniknął. Poszukuję go.

Skinęła lekko.

— Czy wie pani, gdzie on jest?

Helen przekreśliła głowę raz w jedną stronę, raz w drugą.

— Ale coś pani wie. Teddy widział się z panią.

Niepewność.

— To może rozmawiał z panią przez telefon.

Skinienie.

— Co mówił?

Błagalne spojrzenie. Helen podniosła rękę — tę, do której była podłączona kroplówka — i wykonała ruch naśladujący pisanie.

Beth poszła do pokoju pielęgniarek. Był pusty. Znalazła ołówek, jakiś notatnik i zaniósła je Helen. Przy łóżku stała siostra i mierzyła chorej ciśnienie. Kiedy skończyła, wyjęła strzykawkę i zrobiła jej zastrzyk.

— Co to było?

— Środek przeciwbólowy.

Wyszła z pokoju, nie racząc nawet podać nazwy leku osobie niezwiązanej z medycyną.

Beth podeszła do łóżka i zauważyła, że Helen śpi, oddycha jak długodystansowiec po przekroczeniu linii mety. Przystawiła sobie krzesło.

Jakiś czas później usłyszała głosy na korytarzu. Do pokoju wszedł doktor, a za nim kilku stażystów i pielęgniarka.

Na twarzy lekarza pojawił się uśmiech. Ale gdy zobaczył, że Helen śpi, uśmiech znikł, a zamiast niego pojawił się wyraz zmęczenia.

— Jestem doktor Mills — powiedział. — Czy jest pani krewną pacjentki?

— Znajomą.

Doktor przejrzał kartę Helen, zbadał puls.

— Siostrzo, proszę przygotować zastrzyk atropiny. Podwójna dawka.

Stażyści wymienili spojrzenia. Pielęgniarka wyszła z pokoju.

— Co to jest ta atropina? — zapytała Beth.

— Środek stymulujący — odparł lekarz, wpisując coś do karty. — Jej serce nie pracuje tak, jak powinno.

— Czy właśnie to jej dolega? Problemy z sercem?

— Między innymi.

— Czy dlatego jest podłączona do respiratora?

Pokręcił głową. — To z powodu zapalenia płuc. Nie ma teraz siły sama oddychać.

— Ale ona źle się z tym czuje. Czy nie sądzi pan, że powietrze jest za mocno pompowane?

Zerknął na wskaźniki respiratora. — Nie. Nie spojrzał jednak na klatkę piersiową Helen.

— Jak długo będzie do niego podłączona?

Mills odłożył kartę. — Czy to pani dobra znajoma?

— Nie.

— Dwa lata temu miała raka piersi. Wykryto go za późno. Nastąpiły przerzuty na wątrobę i chyba także na szpik. Nie... — szukał odpowiedniego wyrażenia. — Nie jest z nią dobrze.

Wróciła pielęgniarka i zrobiła Helen zastrzyk. Lekarz zbadał puls; wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale zmieniły się oczy. Opuścił rękę na łóżko. Potem wszyscy — lekarz, stażyści i pielęgniarka — wyszli. Mills odwrócił się jeszcze w drzwiach i spytał: — Czy ona ma jakąś rodzinę?

— Męża.

— To lepiej niech pani do niego zadzwoni i powie, żeby przyjechał.

— Dlaczego?

Pytanie rozdrażniło go; nie lubił, gdy ktoś nie do końca rozumiał jego eufemizmy. Zmęczone oczy rzuciły Beth ostre spojrzenie.

— Bo może nie przeżyć tej nocy.

Z automatu w korytarzu zadzwoniła do kościoła w Santa Monica. Nikt nie odbierał. Zadzwoniła do domu Helen w Beverly Hills.

— Halo — odezwała się jakaś babka.

— Poproszę z Rorym Brockiem.

— Ro — zawołała kobieta. — To do ciebie.

— Zapytaj, kto to, Fabrice — usłyszała w tle głos wielebnego.

Beth wyjaśniła, kim jest. Brock podszedł do telefonu. Przekazała mu, co powiedział lekarz.

— O Boże.

Nastąpiła dłuższa przerwa, pełna niewypowiedzianych emocji — a może Brock zwyczajnie przypalał papierosa?

— Zaraz przyjadę.

Beth wróciła do pokoju Helen i usiadła przy łóżku. Pierś chorej wznosiła się i opadała, rozsuwając koszulę i ukazując jej żebra oraz bliznę. Beth poprawiała ją kilka razy, lecz wkrótce się poddała.

Helen otworzyła oczy. Były pełne lęku. Uniosła rękę, jakby zasłaniała się przed ciosem. Beth ukryła jej dłoń w swoich.

Kobieta odwróciła się do niej. Błagalne, telepatyczne spojrzenie powróciło. Uczyniła gest naśladujący pisanie. Beth podciągnęła ją do półsiadu i podała notatnik i ołówek. Helen nie mogła chwycić obu przedmiotów na raz. Beth przytrzymała notatnik, a ona, ściskając w drżącej dłoni ołówek, przyduсила jego końcówkę do papieru i koślawymi literami, jak u dziecka, napisała: *Wyjmij to*.

— Nie, Helen. Czy nie może pani napisać tego, co chce mi powiedzieć?

Helen wolno pokręciła głową. Potem jeszcze bardziej koślawymi literami dopisała: *Za dużo*.

Spojrzała na Beth i wskazała na słowa w notatniku: *Wyjmij to*. Błagalne spojrzenie. Łzy zebrały się w jej oczach i popłynęły po szarych policzkach. *Wyjmij to*.

Beth wyciągnęła rękę i odlepiała plaster. Potem chwyciła rurkę w dwa palce i delikatnie wysunęła z nosa Helen. Nie dość delikatnie. Grymasy bólu znowu pojawiły się na czole chorej. Ale szybko znikły. Cokolwiek wstrzyknęła jej pielęgniarka, miało silne działanie.

Helen westchnęła z ulgą — cichutki dźwięk na granicy słyszalności. Zamknęła oczy. Falowanie jej piersi ustało. Wydawało się, że jej przepona w ogóle się nie porusza. Beth pochyliła się i przyłożyła policzek do jej nosa. Poczula lekki podmuch powietrza.

— Helen?

Kobieta otworzyła oczy. Nie miały już błagalnego wyrazu, ale nie było go czym zastąpić; były teraz puste i bez wyrazu. Helen rozchyliła usta. Jej język był żółty i spękany.

— Jesteś tak daleko — odezwała się.

Jej głos był nikłym, ledwie słyszalnym, dobywającym się z gardła szmerem.

— Jestem tutaj.

— Tak. Jesteś bardzo dobra. Okłamałaś mnie, ale rozumiem to.

Padło tak niewiele słów, a Helen nie mogła złapać oddechu. Z jej rozchylnych ust dochodziło charczenie. Beth chwyciła rurkę respiratora, ale nie wiedziała, jak ją włożyć z powrotem. Duszność przeszła w kaszel, zbyt słaby, by usunąć blokadę. Na brodzie Helen pojawiła się flegma. Oddychała ciszej, ale wciąż słabo i nieregularnie.

— Czy włożyć to z powrotem? — zapytała Beth, trzymając w ręku rurkę.

Kobieta pokręciła głową.

— Słyszałam, co mówił lekarz. Nie chciałam tylko otworzyć oczu.

Zamknęła je teraz i znowu zaczęła walczyć o powietrze, tym razem jednak jej oddech nie charczał. Duszność minęła.

— Ja umieram.

— Nie.

— Tak. — Otworzyła oczy, jeszcze bardziej puste niż przedtem. — Ale nie boję się. Wierzę w Jezusa Chrystusa. Wierzę w nieśmiertelność duszy. — Jej ciemne oczy rozbliły. Wpatrywała się w Beth. — A ty wierzysz?

— Nie.

— Wierzysz. Czuję to. — Wzięła dłoń Beth w swoją, nieco chłodniejszą. — Jesteś ostatnią istotą ludzką, z którą...

Resztę zdania pochłonął kolejny atak duszności. Kiedy minął, Helen rzekła:

— Chcę wypełnić swą powinność, niezależnie od tego, co mi kazał Rex.

— A co kazał?

— Kazał mi nie mówić. Ale było już za późno. Powiedziałam o wszystkim Tun-li. Poza tym Rex zblądził. Stracił wiarę. Związał się ze złymi ludźmi. Sypiał z innymi kobietami.

Zamknęła oczy. Powiedziała coś, ale Beth jej nie dosłyszała.

Nachyliła się niżej. — Słucham?

Wargi Helen poruszyły się i wydały szept:

— Uważał, że jestem oziębła. — Z jej zamkniętych oczu popłynęły łzy. — Ale tak nie było. Przysięgam na Boga. To Rex był zbyt brutalny. A ja byłam młoda. Nigdy nie dał mi szansy.

Otworzyła oczy i zapatrzyła się w sufit.

— Wiesz co? Rory też był zbyt brutalny. Ale starałam się, jak mogłam, i on o tym wiedział. Dlatego nigdy nie spał z innymi kobietami.

Spojrzała na Beth. A Beth popatrzyła na rurkę respiratora.

— Czy myślisz, że Rory mnie kocha?

— Tak.

Rozejrzała się. — To on nalegał, abym miała osobny pokój. Czyż to nie urocze?

— O, tak.

Helen ścisnęła jej dłoń, ale bardzo słabo; ogień, który tlił się w jej oczach, zgasł. Wpatrywała się w sufit i dyszała.

Na korytarzu dało się słyszeć stukot obcasów. Beth spytała:

— Z jakimi to złymi ludźmi związał się Rex?

Helen milczała tak długo, że Beth pomyślała, iż nie usłyszała jej pytania. W końcu odezwała się, bardzo cicho.

— Nie dosłyszałam — przyznała Beth, zbliżając ucho do ust Helen.

Kobieta wyszeptala coś nie głośniejsze niż przedtem, ale tym razem Beth zrozumiała:

— Z Jimmym Hanem.

— Kim jest Jimmy Han?

Helen zamknęła oczy. — Nie chcę mówić o złych ludziach.

Puściła dłoń Beth i podniosła rękę do gardła. Zaczęła się krztusić, potem kaszleć, słabiej niż poprzednio, za słabo, by pozbyć się flegmy. Beth wstała i chciała iść po pielęgniarkę. Kobieta powstrzymała ją gestem. Atak kaszlu minął. Chora leżała spokojnie na łóżku.

— Czego chciał Tun-li? — zapytała Beth.

Helen spojrzała na nią. — Jesteś tak daleko.

— Jestem tuż przy pani. — Ścisnęła jej dłoń. — Czego chciał Tun-li?

— Pytał o swoją mamkę.

— Mamkę?

— Pei Ming. Ona była niewierząca.

Oczy Helen powędrowały do sufitu i jeszcze gdzieś dalej; ich żółte białka miały czerwoną otoczkę.

— Ale była dobrą kobietą. Uratowała mu życie w domku nad jeziorem. — Jej głos przybrał nieco na sile. — A ja pomogłam. Nie posłuchałam Rory'ego.

— Rory'ego?

Ale Helen nie zdążyła odpowiedzieć. Jej ciałem wstrząsnął atak kaszlu; ścięgni na szyi wyglądały jak wzniesienia z bibuły. Walczyła o oddech.

— Idę po pielęgniarkę — oznajmiła Beth.

Jednak Helen ścisnęła jej rękę z zadziwiającą siłą — siłą, która szybko odpłynęła. Jej ciało uspokoiło się.

— Wierzę w nieśmiertelność duszy. — Po długiej przerwie dodała: — A ty wierzysz?

— Nie. — Ręka Helen była teraz jeszcze zimniejsza i sucha. — Mówiła pani, że nie posłuchała Rory'ego?

— Rory'ego?

— Może Rexa?

Helen przytaknęła. — Związał się ze złymi ludźmi. Jej głos był cichszy nawet od szeptu. Ucho Beth znajdowało się kilka centymetrów od jej spękanych, bezbarwnych warg.

— Co oni robili?

— Wykonywali rozkazy.

— Czyje?

— Rządu.

Helen mówiła teraz tak cicho, że Beth bardziej czuła jej słowa w swoim uchu, niż je słyszała.

— Jakiego rządu?

Kobieta powiedziała coś, ale Beth jej nie usłyszała. Pochyliła się jeszcze bardziej. Spękane wargi dotykały jej ucha.

— Dlaczego nie wierzysz w nieśmiertelność duszy?

Nagle w oczach Helen znowu pojawiło się błaganie, lecz wkrótce znikło. Beth nie miała też pewności, że dusza jest śmiertelna, ale nie przyznała się do tego. Zapytała natomiast:

— Skąd Teddy wiedział o swojej mamce?

Poczuła ruch spękanych warg.

— Nie wiedział. Dopiero ja mu powiedziałam. Ale tego właśnie pragnął się dowiedzieć.

Dodała coś jeszcze, jednak Beth już nie usłyszała.

— Dlaczego?

Patrzyły na siebie. Ich oczy znajdowały się tak blisko, jak oczy kochanków. Helen nie odzywała się. Beth czuła jej słaby oddech na swoim uchu.

— Czy jest pani pewna, że Teddy jest sierotą? — zapytała.

Helen zamknęła oczy i skinęła głową.

— Czy powiedziała mu to pani?

Kobieta zaprzeczyła.

— Dlaczego?

Helen otworzyła oczy; w te kilka sekund zmatowiały jeszcze bardziej.

— Przestraszyłam się. Czy to nie śmieszne?

— Czego się pani przestraszyła?

Usta Helen nie poruszyły się. Wzrok także pozostał nieruchomy. Beth delikatnie uwolniła rękę z uścisku. Chciała iść po pielęgniarkę, lecz przedtem musiała zadać jeszcze jedno pytanie.

— Czy przestraszyła się pani Bractwa Zielonego Węża?

Oczy Helen rozszerzyły się nagle i przepchnęły łękiem. Przez chwilę Beth myślała, że to reakcja na jej pytanie. Ale to nie było to. Helen próbowała usiąść, opadła jednak z powrotem na poduszkę. Z trudem łapała powietrze,

charczała. Po chwili przestała. W jej oczach nie było już lęku. Beth przyłożyła twarz do jej ust, ale nie poczuła oddechu. Złapała szybko przewód respiratora.

— Co tu się, do diabła, dzieje?

W drzwiach stała pielęgniarka. Wbiegła, wyszarpnęła z rąk Beth rurkę i zaczęła wkładać ją do nosa Helen.

Pierś kobiety zaczęła się unosić, falując jak u sportowca, rozsuwając jej zębra. W górę i w dół. Pielęgniarka zbadala tętno. Potem położyła ręce na jej klatce piersiowej i zaczęła uciskać. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Pierś Helen wciąż się unosiła, wdychając i wydychając powietrze z urządzenia. Ale pani Brock była już martwa.

Pielęgniarka wyprostowała się i odwróciła do Beth.

— Dopilnuję, żeby zajął się panią prokurator.

Beth poczuła wzbierający gniew. Nie miał on nic wspólnego z pielęgniarką i starała się, żeby nie było go słychać w jej tonie.

— Proszę tylko spróbować — powiedziała, mimo woli podnosząc głos. — Będzie mógł stwierdzić jedynie samobójstwo. Helen sama wyjęła sobie przewód.

Pielęgniarka zrobiła krok do tyłu. — Nie wierzę pani. — Ale powiedziała to bez przekonania.

Beth jednak nie miała żadnych wątpliwości: wyciągnięcie rurki z nosa Helen na jej własną prośbę nie było zabójstwem. Było nim to, co zrobiono Albertowi Lingowi.

Beth wyszła na korytarz. Zobaczyła Rory'ego z bombonierką w dłoni. Zauważył ją.

— Jak ona się czuje?

— Zmarła kilka minut temu.

— Jezu Chryste. — Rory wyminął ją szybko i wszedł do pokoju. — Co pani mówi? Przecież nadal oddycha.

— Wyłączcie tę pieprzoną maszynę — krzyknęła Beth.

Potem wyszli razem na zewnątrz. Za kierownicą bmw czekała Fabrice. Miała na sobie koszulkę, szorty, a na czole opaskę. Jej ciało było opalone i lśniące.

— Odeszła — oznajmił Rory.

Fabrice wyglądała na zasmuconą. Podobnie jak wielebny Brock.

— Dziękuję, że pani do niej przyjechała. Czy dowiedziała się pani, o czym pragnęła porozmawiać?

Beth przytaknęła. — Chciała, bym wzięła album ze zdjęciami z Chin.

Rory wyglądał na zdziwionego, ale powiedział: — Mogę go pani zaraz dać, jeśli pani chce.

Pojechali w milczeniu do domu w Beverly Hills. Rory zaprowadził kobiety do zaciemnionego salonu. Rozsunął zasłony, wpuszczając ostre światło. Album leżał na ławie. Rory wziął go i podał Beth.

— Czy ktoś chce drinka? — zapytała stojąca w drzwiach Fabrice.

21

Trumna była wykonana z jesionu górskiego. Po bokach miała błyszczące mosiężne uchwyty. Była w sam raz dla nieboszczyka o wzroście Alberta Linga, ale w środku znajdowała się tylko jego głowa. Ciała nie odnaleziono.

Trumnę opuszczono do świeżo wykopanego dołu, a o lakierowane drewno zadudniły grudki ziemi. Tylko matka Alberta załkała, reszta rodziny patrzyła ze spokojem i z suchymi oczami.

Po jednej stronie grobu stało kilkudziesięciu ludzi, wśród których Beth rozpoznała pana Chena. Wszyscy wpatrywali się w skupieniu w dziurę w ziemi, z wyjątkiem przygarbionej staruszki w ciemnych okularach, która dwa razy odwróciła się, by spojrzeć na Beth.

Pierwsza szufla ziemi rzuconej na trumnę oznaczała koniec ceremonii. Jakiś mężczyzna wdrapał się na spychacz, żeby dokończyć dzieła, ale nikt nie został, by na to popatrzeć. Żałobnicy udali się ukwieconą aleją na parking. Gdy szli, Beth poczuła dłoń na swoim ramieniu. Jade Ling. Gdy tylko się odwróciła, dziewczyna cofnęła rękę. Jej oczy nie wyrażały żadnych emocji.

— Mój dziadek chce zamienić z panią słówko.

Y.K. Ling czekał w swoim wózku, otoczony wnukami. Beth zaczęła mówić coś, co wydawało jej się odpowiednie w tej chwili, ale przerwał jej.

— Czy widziała pani to? — zapytał, podając jej wczorajsze wydanie *New York Timesa*, otwarte na stronie dwunastej.

Pod nagłówkiem „Rozdźwięk między Chinami a USA” zamieszczono artykuł na pół kolumny, napisany przez Roberta Meansa:

Ambasador USA w Chińskiej Republice Ludowej, jego rodzina i kilku najbliższych współpracowników udali się wczoraj wieczorem na pokładzie samolotu pasażerskiego w nieplanowaną podróż do USA.

Ta niezapowiedziana wizyta zapoczątkowała spekulacje w kręgach politycznych stolicy Chin, dotyczące możliwego ochłodzenia stosunków

między obydwoma państwami. Z anonimowego źródła wiadomo, że przyczyną domniemanego sporu może być niedawny przypadek wykrycia aktu szpiegostwa, w który byli zamieszani chińscy agenci w USA. Rzecznik prasowy Departamentu Stanu odmówił komentarza w tej sprawie.

— Czy to ma coś wspólnego z Albertem? — zapytała Beth.

— Nie. I o to właśnie chodzi. Mój syn węszył nie tam, gdzie trzeba.

Ale jak to możliwe? pomyślała. Albert poprosił ją o spotkanie w Ta-Tang Café, która była połączona z Klubem Towarzyskim Tajpej; Łysy wybiegł z klubu w noc, kiedy zniknął Albert; Łysy był także w samochodzie z Han Shih, która, według Lathropa, była chińską agentką. Powiedziała więc:

— Myślę, że jednak nie.

— Niech pani nie będzie głupia — prychnął Y.K. Ling. — Chiny nigdy nie poszłyby na współpracę z ludźmi z Tajpej.

Jego głos stracił starczą piskliwość, jak gdyby śmierć Alberta odmłodziła go, a nie załamała. Dotknął dzwignienki przy wózku i podjechał do Beth. Przemówił cicho, tak żeby nikt inny go nie słyszał:

— Mam skrzynkę dynamitu. I wiem, jak go użyć. Czy widziała pani kiedyś, co potrafi zrobić taka ilość tego materiału? — Jego oczy zapłonęły z rozkoszy na myśl o potencjalnej zemście.

— Mówi pan o zsywie węglowym?

Płomień zniknął z jego oczu.

— Bystra z pani kobieta — powiedział. — Na tyle bystra, by przynieść mnie i mojej rodzinie kupę nieszczęść.

Odwróciła się i odeszła. Przygarbiona staruszka w ciemnych okularach obserwowała ją zza kierownicy rdzewiejącego volkswagena.

Beth wsiadła do samochodu. Przez chwilę po prostu w nim siedziała. Potem zaczęła myśleć o Berryessa Wines. Zdążyłaby dojechać tam przed zmrokiem. Ale najpierw musiała porozmawiać z Robertem Meansem.

Pojechała do hotelu Dolores i zadzwoniła do redakcji *New York Timesa*. Przełączono ją do Meansa.

— Dziękuję, że pani oddzwoniła. Trzeba było zrobić to na mój koszt.

Beth usiłowała przypomnieć sobie nagrania z automatycznej sekretarki. Dzwoniła Helen. Czy była też wiadomość od Meansa?

— Czytałam pański artykuł — zaczęła.

— Napisałem go oczywiście przed zapoznaniem się z listem. Tak naprawdę to go jeszcze nie widziałem. O tym, między innymi, chciałem z panią porozmawiać.

— O jakim liście pan mówi?

Nastąpiła długa przerwa wypełniona tylko przebiciami z innych rozmów.

— Czy chce mi pani powiedzieć, że nie wie nic o liście? — wykrztusił w końcu.

— Nie. — Jej głos zabrzmiał ostro i trwożliwie.

Means wziął głęboki oddech. Zabrzmiało to jak odgłos fal rozbijających się o skały.

— Doktor Wu napisał do pani z Chin, wyjaśniając powody swej zdrady. Dlatego odwołano ambasadora. Ich dyplomaci też są już w drodze do Chin. Wszyscy próbują utrzymać to w tajemnicy, ale ta afera spowodowała poruszenie po obu stronach. Nasza administracja się wkurza, bo Chińczycy upublicznili sprawę. Nie dowiedziałem się jeszcze, dlaczego z kolei wściekli się Żółtki. Ale wiem, że się wściekli. Porozumienie w sprawie reaktorów jądrowych już wzięło w łeb, następna będzie pewnie umowa dotycząca ropy.

Serce jej waliło. Tak mocno przyciskała słuchawkę do ucha, że aż ją zabolalo.

— Ale ja nie dostałam żadnego listu od Teddy'ego.

— Pewnie go przechwycili. Chwileczkę.

Usłyszała stłumiony głos jakiegoś mężczyzny i także stłumioną odpowiedź Meansa: „Na Boga, daj mi jeszcze dwie minuty — to nowy aspekt sprawy”. Znowu usłyszała ten drugi głos. „Jezu Chryste”, rzucił Means i wrócił do rozmowy z nią.

— Jest pani jeszcze? Przepraszam. Mam jeszcze kilka pytań, które chciałbym pani zadać, żeby skleić artykuł na czas. Zadzwońię do pani i obgadamy wszystko. — Mówił szybko i gorączkowo jak ktoś z pełnym pęcherzem.

— Do widzenia — powiedziała.

— Nie, proszę poczekać! Gdzie pani jest? Proszę nie odkładać słuchawki!

Ale odłożyła. Wyszła na ulicę i z budki zadzwoniła do Gomeza: do niego, bo stanowił jej jedyne kontakty z Lathropem; z budki, bo nie chciała, by Lathrop znał jej numer w hotelu. Gdy dzwoniła ostatnim razem, facet odzwonił po pięciu minutach. Teraz odezwał się po czterdziestu.

Chwyciła słuchawkę. — Lathrop?

— Witaj, złotko — rzucił radośnie. W tle słychać było pobrzękiwanie lodu, głośne rozmowy i śmiech. — O co chodzi?

— Chcę dostać mój list, gnoju.

— A więc wydało się. Takie są uroki demokracji.

— Chcę dostać mój list.
— Dostaniesz. Będziesz jutro w domu? A jeśli tak, to w którym?
— Chcę go teraz. Należy do mnie. Ukradłeś mi go.
— I tu się właśnie mylisz, słonko. — Jego głos rozbrzmiewał triumfem i nienawiścią; mówił do Beth tonem, o jakim mógł tylko pomarzyć w stosunkach ze swoją panią pułkownik. — Mam nakaz sądowy zezwalający mi na przejmowanie i otwieranie twojej korespondencji. Ale już go dłużej nie będę potrzebował. Nasza misja prawie dobiegła końca. Teraz czas, by politycy pieprzyli sprawę dalej...

Lathrop zgodził się spotkać z nią za godzinę na Union Square.

I spóźnił się.

Beth czekała na ławce. Był wczesny wieczór. Centrum zostało zalane czerwienią zachodzącego słońca. Na podium po zachodniej stronie placu orkiestra wojskowa grała melodie z musicali. Turyści i przechodnie z zakupami przystawali, by posłuchać. Jakiś mężczyzna bez koszuli, który nie kąpał się chyba od czasów Woodstock, tańczył przed podestem. Chciał pewnie zademonstrować wrodzone poczucie rytmu człowieka lat sześćdziesiątych, ale nie za bardzo mu to wychodziło. Ukazał się też klaun z czerwonym nosem i w wielkich butach, zbierający datki dla matek lesbijek. Potem pojawili się Hare Kriszna, ale ich małe dzwonki zostały zagłuszone przez sekcję dętą orkiestry. I tak bez końca. Turyści robili zdjęcia i udawali, że to dla nich niesamowite.

Przyszedł Lathrop. Nie miał garnituru w paski. Miał na sobie jedwabną marynarkę i czerwone spodnie, jak jakiś wieśniak.

— Byłem na przyjęciu — oznajmił, siadając na ławce i wyciągając nogi.

Poznała to po jego oddechu.

— Z jakiej okazji?

Jeśli usłyszał w jej głosie złość, to nie dał tego po sobie poznać.

— Świątuję.

— Co?

— Nie zmuszaj mnie, żebym się chwalił. — Ale po chwili i tak się pochwalił. — Już na samym początku znalazłem dwa kluczowe motywy tej sprawy. To były Żółtki, nie Ruski; i była to zdrada, a nie porwanie. Moi przełożeni doceniają takie rzeczy.

Beth próbowała znaleźć słowa, które by go zraniły, ale nie umiała. Dla Meansa stanowiła nowy aspekt, dla Lathropa szczebel drabiny, po której piął się w górę; służyła im jedynie za wodę na młyn ich karier. Nie miało to nic wspólnego z Teddym. On był tylko tekstem, w którym mogli wyczytać, kto jeszcze walczył, a kto już z walki odpadł, jak to określił Means w swoim

wywodzie o CIA. Nie odniósł tego do własnej sytuacji, ale *New York Times* to też przecież biurokracja.

— Chcę dostać mój list.

— Spokojnie. Mam go. Przyszedł w dniu naszego spotkania w Stanford Court. — Pochylił się, jak gdyby chciał jej wyznać jakiś sekret. Cuchnął whisky. — Gdybyśmy dostali go kilka godzin wcześniej, nie byłoby całej tej zabawy. Ale kiedy okazało się, że to ruska łódź i że nie ma na niej pana Wu, musieliśmy jeszcze raz się z tobą skonsultować. Mam nadzieję, że nie wzięłaś sobie tego za bardzo do serca.

Nie odpowiedziała. Zachodzące słońce zabarwiło twarz Lathropa na czerwono i zapaliło iskry w jego rudawych włosach. Sięgnął do kieszeni marynarki.

— Oto list. Autentyczny. Wszędzie na nim są jego odciski palców. Przeprowadziliśmy też komputerową analizę charakteru pisma. Należy do niego.

Wzięła kopertę. Na znaczku było czerwono-brązowe, spokojne jezioro, podobne do tego, które malował Y.K. Ling, z tym że na pierwszym planie znajdował się maszt radiowy. Nazwisko i adres odbiorcy naniesiono niebieskim atramentem. Nie potrzebowała komputera, by wiedzieć, że to jego pismo. Adresu zwrotnego nie było.

— Tak przy okazji, stempel jest z Szanghaju — dodał Lathrop.

Otworzyła list: pojedyncza kartka białego papieru i niebieskie słowa napisane ręką Teddy'ego. Wiedziała już po pierwszym słowie, że coś jest nie tak.

Najdroższa Beth,

Napisanie tego listu nie jest łatwym zadaniem, ale uważam, że należy Ci się jakieś wyjaśnienie. Nasz związek był zgodny i silny — z obu stron, mam nadzieję! — i nie zakończyłem go bez przemyślenia wszystkiego.

Jednakże są na świecie ważniejsze sprawy niż życie jednostek, włączając w to Ciebie i mnie. Moje miejsce jest przy moim narodzie i wreszcie się z nim połączyłem. Naszym wspólnym celem jest całkowite zwycięstwo nad siłami kapitalistycznego imperializmu. Tej właśnie sprawie poświęcam swe życie!

Ufam, iż ten list da Ci pewne zrozumienie niedawnych wydarzeń. Proszę, nie próbuj się ze mną kontaktować. Twoje wysiłki na nic się nie przydadzą.

*Najlepsze życzenia na przyszłość,
Ted*

Beth zaśmiała się — był to ostry dźwięk, który zaskoczył ją samą i który nie miał nic wspólnego z rozbawieniem.

— Co cię tak rozśmieszyło?

Milczała przez chwilę, odzyskując panowanie nad sobą. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał już spokojnie: — Teddy nie napisał tych bzdur.

— Nie zaczynaj, proszę. Wyjaśniłem już, że nie ma co do tego cienia wątpliwości.

— Zapomnij o swoim komputerze, Lathrop. Teddy tego nie napisał. On nigdy nie użyłby słowa „najdroższa”. Słowa „związek” używał tylko, gdy się z czegoś natrząsał. I dla mnie zawsze był to Teddy, a nie Ted.

Było coś jeszcze: drobna złośliwość („z obu stron, mam nadzieję!”), polityczna sieczka i drętwe zakończenie. Tego nie napisał Teddy: to spłodził ktoś, kto naprawdę średnio zna nasz język.

Ale Lathrop nie słuchał.

— Odwracasz kota ogonem. Chodzi o to, że Teddy, jakiego znałaś, był fałszywy. Ten tu natomiast — postukał palcem w list — jest prawdziwy. Będziesz musiała się z tym pogodzić.

— Dlaczego? Twoja teoria jest pełna luk. Nie wiesz nawet, jak dostał się do Chin.

— To proste. Łodzią podwodną. Namierzyliśmy nie tę, co trzeba.

— Ale ta, którą widziałam, nie była chińska. Była rosyjska.

— Jeszcze chcesz to drążyć? Posłuchaj, było ciemno i mgliście, jak mówiłaś. W takich warunkach nawet fachowiec nie byłby całkowicie pewien. — Uśmiechnął się. — Przestań z tym walczyć.

— Dziękujemy za wysłuchanie — odezwał się dyrygent orkiestry. — Mam nadzieję, że bawiliście się równie dobrze, jak my.

Na koniec zagrali jeszcze „Anchors Aweigh”.

— A co z tymi dwoma mężczyznami, którzy zginęli? — zapytała. — Długowłosey i...

— I twój kolega detektyw? — Lathrop wzruszył ramionami. — Wplątał się w wojnę gangów w Chinatown. A czego się spodziewałaś? Znał się tylko na tym. Jednak to nie miało nic wspólnego z Teddym. Absolutnie nic.

Zszokowana, zdała sobie sprawę, że Lathrop i Y.K. Ling byli w tej kwestii zgodni. Co on wtedy powiedział? „Albert weszyl nie tam, gdzie trzeba.” Lathrop to samo myślał o niej. Ale ona nie dawała za wygraną.

— Ten list nie wyklucza porwania. Mógł zostać napisany pod jakimś naciskiem. Właśnie to Teddy próbuje mi przekazać.

— Zwracając się do ciebie „najdroższa”? Czy zamierzasz oprzeć resztę swojego życia na tym, czego nauczyłaś się na zajęciach z analizy literackiej

na pierwszym roku studiów? Wybij sobie z głowy porwanie. Porwanie oznaczałoby przymus, siłę, przemoc. Nic takiego nie miało miejsca. Chińska agentka skontaktowała się z Wu w waszym mieszkaniu. Weisnęła kit, którego nie lyknełiby nawet miłośnicy telenowel, że jest jego matką. Ale ty uwierzyłaś. To pozwoliło im wymknąć się na randkę na łodzi podwodnej. Zdrada w czystej postaci.

— Nie było przemocy? Zginęło dwóch mężczyzn.

— Nic się nie zdarzyło, dopóki ty nie podjęłaś swojego śledztwa.

Przez chwilę myślała, żeby go uderzyć; ale w tych słowach było trochę prawdy i to ją powstrzymało. Pochyliła głowę i ponownie przeczytała list. *Skąd można wiedzieć, jakie słowa wybierze mężczyzna na pożegnanie, zanim je wypowie?*

Do zobaczenia...

Życzę ci szczęśliwej drogi do domu...

„Anchors Aweigh” doszło do finału. Lathrop spojrział na zegarek.

— Na twoim miejscu wybrałbym się na małą wycieczkę. Spróbuj zająć się czymś innym.

Wstał. Po placu rozniosło się echo ostatniego wykonywanego na cymbałach akordu. Poczula na sobie wzrok Lathropa. Podnosząc głowę, dostrzegła w jego oczach coś nowego.

— Jeśli chcesz, możesz ze mną wrócić na to przyjęcie. Byłby to dobry sposób, żeby zacząć od nowa.

Zapraszał ją na ceremonię świętowania swojego zwycięstwa.

— Spadaj — odparła, czekając, aż się wkurzy.

Ale się nie wkurzył. — A może pójdziemy na kolację, tylko my dwoje. Znam miłą knajpkę w Polk. Takie małe bistro.

— Spadaj.

— W porządku.

Żadne jej słowa nie były teraz w stanie wytrącić go z równowagi. Szykował mu się pewnie szybki awans, jeżeli już go nie dostał — teraz może to pani pułkownik będzie jego podwładną. Wyciągnął rękę i zabrał jej list.

— Chcę go zatrzymać — powiedziała, chwytając kartkę.

— Przyniosłem ci kopię. — Sięgnął do kieszeni. Skserował też kopertę. — Oryginał zostanie w naszych aktach.

Odszedł. Orkiestra spakowała instrumenty, załadowała je na ciężarówkę i odjechała. Ludzie dnia znikli. Pojawili się ludzie nocy. Pozostał tylko starszejący się hipis; stał przy podium dla orkiestry i grał na nieistniejącej gitarze.

Beth siedziała na ławce z kopią listu Teddy'ego na kolanach. Pismo było jego. Może rzeczywiście sam wymyślił te słowa. Może stwierdził, że w liście

pożegnalnym „Ted” zabrzmiał lepiej niż „Teddy”. Ale co z tym, czego *nie* napisał?

Nie wspomniał nawet o dziecku.

Czyżby aż tak bardzo się co do niego pomyliła?

Czytała list w kółko od nowa, aż kształty liter stały się obce i pełne zakodowanych znaczeń. Ted. Zaczynała nienawidzić Teda. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby to Ted okazał się prawdziwy. I o to przecież chodziło od samego początku. Czas przestać się oszukiwać.

— Hej!

Zauważył ją bezgłośnie gitarzysta. Zbliżył się, zawieszając niewidzialny instrument na plecach. Beth wstała i odeszła.

— Hej! — zawołał za nią, po namyśle dodając: — Kotku!

Przeszła przez plac na południe, w kierunku Market i hotelu Dolores. To będzie jej ostatnia spędzona tam noc. Lathrop zalecił jej wycieczkę. Może i dobrze radził. Miała kilkaset dolarów gotówką, karty kredytowe, niewykorzystany bilet lotniczy i ważną wizę do Chin: wszystko, czego potrzebowała.

Jeśli Teddy zdradził, to chciała, żeby powiedział jej prosto w twarz to, co napisał w liście. Jeżeli zaś został porwany, to list był wołaniem o pomoc. Tak czy owak, zrobiłaby to samo. Szanghaj nie leżał na księżycu. Czekał na nią po drugiej stronie oceanu.

Z hotelowego pokoju zadzwoniła do linii lotniczych i zarezerwowała miejsce na poranny lot do Szanghaju. Potem otworzyła ciemną, śmierdzącą naftaliną szafę. Wyjęła ubrania i spakowała je do walizki. Włożyła też papierową teczkę z dowodami i album ze zdjęciami z Chin. W recepcji uregulowała rachunek, kupiła pastę do zębów, mydło i Tampaxy. Potem wróciła do pokoju, rozebrała się i położyła do łóżka.

Mężczyzna zza ściany powrócił. Para zaczęła się klócić. Później próbowali się kochać, ale nic im z tego nie wyszło. Znowu wybuchła awantura. Jakiś płyn zabulgotał w butelce. Potem fłaszka potoczyła się po podłodze.

Po długim czasie nadszedł sen. Znowu była w zsywie węglowym, który zdawał się nie mieć końca. Dotarła wreszcie do czarnych, okrągłych drzwi. Otworzyła je. Poczula zapach naftaliny.

Usiadła na łóżku. Poruszył się jakiś cień. Zapaliła nocną lampkę.

Przy otwartych drzwiach szafy stał nagi Łysy z długim nożem w dłoni.

— O Boże.

Łysy posłał jej szeroki uśmiech psychopaty i ruszył naprzód. Beth sięgnęła pod łóżko i odnalazła pistolet strzałkowy. Wycelowała w jego głowę. — Nie ruszaj się.

Pistolet drżał jej w dłoni. Łysy drgnął. Nacisnęła spust. I nic. Łysy uśmiechał się dalej. Jego penis zaczął rosnać.

To zabezpieczenie. Odbezpieczyła pistolet kciukiem.

— Nie ruszaj się. — Głos jej się trząsał. Ręka dygotała.

Łysy posuwał się naprzód. Bez pośpiechu wyciągnął umięśnioną łapę, by wytrącić jej broń.

Nacisnęła spust.

Pistolet odskoczył. Uderzył ją w głowę i powalił. Podniosła się. Łysy stał plecami do szafy. Strzała tkwiła głęboko w jego barku. Nóż leżał na podłodze. W jego oczach znać było zdumienie, które przeszło w szal. Chciał ruszyć na Beth, ale nie mógł. Strzała przeszła mu bark i utkwiała w drzwiach szafy.

Beth przebiegła obok niego. Jej walizka stała przy wyjściu. Chwyliła ją, otworzyła drzwi i wybiegła.

Łysy zaryczał. Doszedł ją głośny trzask. Obejrzała się. Olbrzym szedł za nią tymi swoimi drobnymi kroczkami. Na plecach miał przygwożdżone strzałą, wyrwane z zawiasów drzwi szafy.

Chciał wyjść z pokoju, ale nie mógł: drzwi mebla nie mieściły się w futrynie. Łysy wyteżał się, chcąc się uwolnić. Mięśnie mu się naprężyły, wyszły żyły i ścięgna. Z rany w barku pociekła po piersi strużka krwi. Nie mógł się poruszyć.

Beth zbiegła po schodach. Na dole otworzyła walizkę i zarzuciła coś na siebie. Z góry dochodził ryk Łysego. Weszła do holu. Nikogo tam nie było.

Na ulicy zobaczyła rdzewiejącego volkswagena zaparkowanego niedaleko hotelu. Za kierownicą spała przygarbiona staruszka, czekając, aż Łysy skończy gwałcić i mordować.

Nadjechała taksówka. Beth zatrzymała ją i pojechała na lotnisko.

22

Stalowe ściany przestały buceć. Torebka z pomarańczami znieruchomiała.

Tak po prostu. To go przestraszyło. Było mu zimno i drżał.

Spróbował usiąść. Nie mógł. Spróbował podnieść głowę. Też nie mógł.

Ale wciąż czuł. Czuł, że jest słaby. Potrzebował jedzenia. Porządnego jedzenia, nie kroplówki. Plastikowa torebka huštała się nad jego głową, do połowy wypełniona przezroczystym płynem. Był na niej jakiś napis, dla

niego niezrozumiały, bo chiński. Nie wiedział więc, co mu podają. Uderzył się w głowę i musieli go leczyć. Jednak czy wiedzieli, co robią?

— Lepiej zabierzcie mnie do kliniki uniwersyteckiej — poprosił ich kiedyś. Ale kiedy?

— To nie jest aż tak poważne — odparł wtedy Jimmy. — Poza tym nie widziałeś się jeszcze z ojcem.

— A kiedy się z nim zobaczę?

— Wkrótce.

— Jest już 10:15?

Ale 10:15 minęła już dawno temu.

Och, Beth.

No tak, list. On na pewno pomoże. W tym liście napisał coś bardzo przebiegle. Co to było?

To się zdarzyło dawno temu, kiedy był jeszcze mądry. Teraz zgłupiał. Nic nie pamiętał.

Grube stalowe drzwi otworzyły się z sykiem. Usłyszał kroki. Pojawił się nad nim Jimmy, wielki, gładkolicy, srebrnowłosey.

— Co się stało z pomarańczami, ojczu?

— Nie jestem twoim ojcem.

— Ale co się stało z pomarańczami?

— Na moje, wszystko z nimi w porządku.

— Nie huśtają się.

Jimmy uśmiechnął się. — Nie huśtają się, bo stoimy w doku. Dopłynęliśmy do celu.

— A gdzie jesteśmy?

— W bazie wojskowej w Szanghaju.

— Czy mój ojciec jest tutaj?

— Był zbyt zajęty, żeby przyjść.

— Ale miał być. — *A może nie?* — Miał też być na łodzi.

— Był zbyt zajęty. Spotka się z nami w domku lotniskowym na wsi.

Twoja matka już tam jest.

— Czy Pei Ming jest z nią?

— Znowu bredzisz.

Chiny. Czuł to w powietrzu. Chińskie powietrze, pachnące dębem i sosną. Bardziej sosną. Wziął kilka głębokich wdechów. Zakręciło mu się w głowie, więc zamknął oczy. Nagle poczuł ukłucie w ramię.

— Nie! Dlaczego mnie ciągle kłujesz?

Brak odpowiedzi.

Ciemność. Poczul imbir.

Bęc, bęc, bęc. Drogi w Chinach nie były najlepsze. Leżał sam na tyle ciężarówce, przypięty pasami do noszy. Żadnych okien ani prześwitów. Na pewno jest noc. Poczul jej chłód. Czul też igłę wbitą w swoją rękę. Nie bolała go głowa. Ale przecież coś mu się w nią stało.

Bęc, bęc, bęc. Złe drogi mieli w tych Chinach. Ale za to mieli psy — od czasu do czasu słyszał szczekanie. A dlaczego mieliby ich nie mieć? Wyhodowali w końcu pekińczyka, nieprawdaż?

Bęc, bęc, bęc. Droga ciągnęła się w nieskończoność. Przez szpary w drzwiach zakradły się wąskie promyki światła. Wnętrze ciężarówce stało się widoczne. Oprócz niego, noszy i kroplówki niczego tam nie było.

Samochód stanął. Silnik zgasł, ale chłodnica wciąż chodziła.

Otworzyły się drzwi. Ktoś podniósł nosze. Na tle bezchmurnego nieba widział twarze Chińczyków. Nie były ciekawe. Niebo za to owszem: niebieska kopuła jaśniejsza na brzegach, ciemniejsza w górze. Można było zatopić się w niej na zawsze. To właśnie robił jastrząb. Więc w Chinach były jastrzębie. A czemu by nie?

Nieśli go pod niebieską kopułą. *Bęc, bęc, bęc.* Mieli białe fartuchy, jak sanitariusze w szpitalu. Widział odbite w kącikach ich oczu czubki sosen i odległe zielone pagórki. Zastanawiał się, czy znajdowały się na nich pola ryżowe, ale leżąc na plecach, nie mógł tego stwierdzić. Zawsze chciał coś takiego zobaczyć.

Przeszli pod białym kamiennym łukiem. Były na nim dwa chińskie znaki, namalowane złotą farbą, i plakat Mao. Za łukiem wznosiła się trzypiętrowa pagoda, a każda jej kondygnacja spoczywała na ogromnych głowach przysadzistych gargulców. Dach był zielony, a jego brzegi przyozdobione czerwonymi gałkami.

Stopy noszowych stukwały o kamienie. Słyszał tryskającą fontannę, czuł zapach kwitnących drzew. Noszowi zatrzymali się przy ozdobnych, zielonych drzwiach, pokrytych czerwonymi, rzeźbionymi motylami. Drzwi się otworzyły. Wnieśli go do białego pokoju i położyli na łóżku, po czym wyszli.

Był to prosty pokój o białych ścianach, białym suficie i czerwonych framugach. Przez okno widział kwitnącą śliwę, a w oddali wysoki biały mur. Za nim wznosiły się zielone wzgórza.

Na ścianie wisały dwa obrazy: chmury na górze, w środku góry, na dole jezioro. W kącie pokoju znajdowało się bambusowe biurko i fotel. Na biurku stał pękaty słoń — pływały w nim dwie rybki: jedna złota, druga czerwona.

Łóżko też było zrobione z bambusa. Było miękkie i wygodne. Czul się zmęczony.

Otworzyły się drzwi. Do środka weszła kobieta. Han Shih, jego matka. Zaczął płakać, a ona zbliżyła się do niego.

— Przytul mnie — poprosił.

Pogłaskała go po głowie. Nie był to ciepły gest. — Jak się czujesz?

— Coś jest ze mną nie tak.

— Wyglądasz dobrze.

— Przynieś mi lusterko.

— Tu nie ma luster. Ale wyglądasz nieźle.

— Muszę się porządnie najeść.

— Lekarz wie lepiej.

— Przytul mnie.

Pochyliła się i przytuliła go na krótko. Zapłakał. Puściła go i wyprostowała się.

— Gdzie jest ojciec?

— Przyjedzie tu, jak tylko będzie mógł. Jest teraz bardzo zajęty.

— Zawsze jest zajęty. Czy nie chce się ze mną zobaczyć?

— Chce, i to bardzo.

— Źle wymawiasz „r”, mamó. Chyba nie gniewasz się, że to powiedziałem?

— Nie. — Lecz po jej oczach widać było, że się gniewa.

— Martwię się, mamó.

— Niepotrzebnie.

— Przytul mnie.

Objęła go, tym razem na dłużej. Rozluźnił się i zasnął. Kiedy się zbudził, siedziała przy łóżku w bambusowym fotelu. Na kolanach trzymała notatnik.

— Czy tata już tu jest?

— Jeszcze nie. Ale jak ty się czujesz?

Z „sz” też miała problemy. Jednak tym razem jej nie skrytykował. Zamiast tego odparł: — Lepiej.

— To dobrze. — Otworzyła notes. Jego strony pokryte były chińskimi znakami i cyframi arabskimi. — Może więc porozmawiamy trochę o założeniu Mordella.

W drzwiach za nią otworzyła się mała dziurka w kształcie motyla. Obserwowało ich przez nią błękitne oko.

CZEŚĆ TRZECIA

23

Grubas siedzący na miejscu przy przejściu podniósł wzrok znad gazety.

— Czy wie pani, o co w tym wszystkim chodzi?

— Nie — odparła Beth, odwracając się od okna, za którym nie było nic prócz błękitu. Minęło sześć godzin. Zostało drugie tyle. — Nie wiem.

— Nasz zakichany rząd — ciągnął facet, uderzając w gazetę włochatymi palcami. — Muszą sprzedawać broń na Tajwan. Za te marne pięćset czy sześćset tysięcy rocznie chcą pozbawić nas dostępu do największego rynku w historii. Mówimy o miliardzie konsumentów.

Przyszła stewardesa z parującymi, białymi ręcznikami; za chwilę przejście będzie zablokowane wózkami z apéritifami, wózkami z obiadem i wózkami z drinkami na deser. Mężczyzna położył ręcznik na pulchnej twarzy i jęknął. Beth przeszła nad jego kolanami i poszła do toalety.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Na czole miała dwie pionowe linie zamyślenia, choć o niczym nie myślała. Spróbowała je wygładzić. Nie znikły.

Wróciła na swoje miejsce. Powietrze w samolocie było suche. Palacze wypełnili je dymem. Pasażerowie popijali Krwawą Mary, szkocką, szampana, w zależności od tego, jaka według nich była pora dnia. Skórę mieli szorstką, oczy czerwone. Z nosów wyrastały włosy, na policzkach było pełno wągrów. Era odrzutowców.

Mężczyzna ręcznikiem czyścił swoje wielkie, miękkie uszy. Podjął dyskusję, już w spokojniejszym tonie.

— Chińczycy są cierpliwi, ale mają swoją dumę. Nigdy nie zapomną tego, co powiedział Mao pierwszego października 1949.

— A co takiego powiedział?

Złożył ręcznik w równy prostokąt, zdążyła jednak dojrzeć woskowinę na jednym rogu. Nie wyglądał jak ekspert od stosunków chińsko-amerykańskich. Wyglądał jak Mark Fishbein, jej dentysta.

— Wygłosił najważniejszą w dwudziestym wieku deklarację: „Chińczycy powstałi”. — Począł, aż dotrze do niej sens jego słów, po czym dodał: — Na niczym nie znam się tak jak na Chińczykach. Robię z nimi interesy od dwunastu lat, a interesy to tak naprawdę jedyna droga do po, znania kogo-kolwiek.

— Jak długo uczył się pan ich języka?

— Nie znam nawet słowa po chińsku. To wcale nie jest potrzebne. Oni wynajmują tłumaczy na swój koszt.

— Jakie interesy pan z nimi robi?

— Osobliwe.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął garść małych figurek z kości słoniowej. Upłynęła dobra chwila, nim Beth zorientowała się, że są splecione w różnych pozycjach erotycznych.

— Fajne, nie? Proszę sobie jedną wziąć.

— Nie, dziękuję.

— Ależ proszę. One nie gryzą.

— Naprawdę, ja...

— O, ta jest ładna — stwierdził, wybierając jedną: uśmiechnięta szeroko para w pozycji „od tyłu”.

Położył figurkę na jej dłoni i zacisnął jej palce.

— Proszę bardzo — rzekł, wkładając resztę do kieszeni. — W zasadzie to one nie są z Chin. Sprowadzam je z Hongkongu. Ale próbuję przekonać Chińczyków, żeby je dla mnie produkowali. Mogliby to robić za jedną piątą ceny, jaką muszę zapłacić w Hongkongu, i jeszcze na tym nieźle zarobić. Ja dostarczyłbym materiał i zajął się dystrybucją. Mam w Mombasie magazyn pełen kości słoniowej i dwuletni kontrakt z siecią niemieckich sex shopów. — Westchnął. — Powinienem być w siódmym niebie.

— A nie jest pan?

— W tym cały problem. Chińczykom nie podobają się same figurki, a nie warunki umowy.

— Dlaczego? — zapytała, zastanawiając się, czy Chińczykom nie podoba się ich infantylność, kiepskie wykonanie czy związana z ich produkcją rzeź słoni.

— Proszę posłuchać — rzekł, zniżając głos. — Kocham Chińczyków. To wspaniali ludzie. Mówię poważnie. Wytępili muchy. I wróble. Wiedziała pani o tym? To wszystko było częścią „Wielkiego Skoku”. Wspaniały naród. Ale jedna rzecz mnie wkurza: są świętoszkowaci. — Popatrzył na figurkę w

ręku Beth, potem dłużej na nią samą. — To pani pierwsza podróż do Chin?

— Tak.

— To proszę się przygotować na rok 1956. Tak teraz jest w Chinach, zupełnie jak wtedy.

— Ja się wtedy urodziłam.

— Jezu.

Podano jedzenie. Mężczyzna gadał z pełną buzią.

— Z pruderią jakoś sobie poradzę. To nie jest jeszcze najgorsze. Ale nie wiem, jak poradzić sobie z tym — rzekł, uderzając w gazetę.

Nagłówek głosił: „Rozdźwięk między USA i ChRL”.

— Jak tu teraz robić z nimi interesy?

Zapadła noc. Facet od figurek oglądał jakiś film i ssał landrynki. Beth spała. Gdy się obudziła, w dole świeciły światła, nieliczne i przyćmione.

— Szanghaj — oznajmił mężczyzna.

Spojrzała w dół. Zaniepokoiło ją słabe jak na dwunastomilionowe miasto oświetlenie. Istniało wiele ciemnych miejsc, gdzie mogli ukryć Teddy'ego i jego dawną mamkę, Pei Ming, jeżeli jeszcze żyła.

Pei Ming była wszystkim, co wiedziała o przeszłości Teddy'ego — o przeszłości, którą chciał zbadać, zbadać nagle, całkiem niedawno, nie mówiąc jej nic, chociaż to jeszcze nie czyniło jego ciekawości podejrzaną. Taka chęć poznania mogła zbudzić się w nim całkiem naturalnie, biorąc pod uwagę jego pochodzenie, zbliżający się ślub, dziecko, które miało się narodzić.

Lecz on nie zjawił się na ślubie. A ona straciła dziecko. Przyjechała Han Shih ze swoimi kłamstwami. To uczyniło z Teddy'ego zdrajcę w oczach Lathropa. Ale czy ktoś, kto chciał uciec, przejmowałby się wizami?

Albo: dlaczego ktoś, kto załatwił sobie wizy, uciekł? Może właśnie tak należało postawić to pytanie? Może długowłosa przyszedł ukraść paszporty, zanim ktokolwiek zaczął o nie pytać? Może zrobiła źle, nie mówiąc o nich Lathropowi? Ale wtedy wiedziała, że oni przypięli sprawie łatkę zdrady. Teraz miała nadzieję, że zmienią zdanie.

Jednak było już za późno, żeby powiedzieć Lathropowi. Miał przyznanie się do winy spisane ręką Teddy'ego. Nie zainteresowałyby go paszporty ani Pei Ming. Sprawa była zamknięta. Trwała tylko w głowie Beth.

Gdy samolot zniżał lot, otworzyła przewodnik turystyczny grubasa i spojrzała na fragment dotyczący religii w Chinach.

Zorganizowane religie zachodnie, chociaż coraz popularniejsze, wciąż zajmują bardzo niewiele miejsca w życiu Chińczyków. Duchowy aspekt

życia Chin przejawia się w zachowaniach ludzi: ich przyzwoitości, uprzejmości, ciepłe życia rodzinnego. Mimo to turyści, którym bardzo zależy na odnalezieniu śladów chrześcijaństwa w tym kraju, powinni wiedzieć, że po rewolucji kulturalnej ponownie otwarto niektóre kościoły, na przykład kościół metodystyczny znany kiedyś pod nazwą Moore Memorial Methodist Church (Mu En Tang) przy ulicy 316 Xicangzhonglu w Szanghaju.

Był to jedyny kościół wymieniony z nazwy.

Samolot wylądował twardo i podkołował w stronę budynku lotniska, słabo oświetlonego i nie większego niż terminal stutysięcznego miasta w Ameryce.

— W którym hotelu się pani zatrzyma? — zapytał mężczyzna.

— Jeszcze nie wiem.

— Hotel „Pokój” jest najlepszy, jeśli chce pani poznać smak starego Szanghaju. Noël Coward napisał w nim „Związki rodzinne”. Możemy pojechać tam razem. Jeśli uda nam się złapać jakąś taksówkę.

— Dobrze. — Musiała się przecież gdzieś zatrzymać.

Projektanci terminala nie usiłowali nikogo przekonać, że podróże samolotem to przyjemność. Nigdy chyba nie słyszeli o dyskretnym oświetleniu, plastikowych krzeselkach, kolorowych chodnikach znaczących drogę do wyjścia. Światło było ostre, a żarówki nieosłonięte. Stało tam tylko kilka drewnianych ławek do siedzenia i nie było żadnych chodników. Ogromne muchy czekały, aż ktoś otworzy drzwi męskiej toalety.

Młoda kobieta w zielonym mundurze przejrzała jej dokumenty. Miała splekane usta i gęste, lśniące włosy częściowo schowane pod wyblakłą wojskową czapkę. Wstawiła do paszportu pieczętkę — czerwoną gwiazdę.

— Jej marynarka miała cztery kieszenie — zauważył mężczyzna, gdy szli w stronę odprawy celnej. — Po tym można poznać oficera. Inni mają tylko dwie.

Kobieta przy odprawie celnej też miała cztery kieszenie. Bez sprawdzania przepuściła mężczyznę, ale Beth zatrzymała i kazała otworzyć walizkę i torebkę.

— Poszukam taksówki — powiedział grubas.

Celniczka była w średnim wieku. Miała zmęczoną twarz i takie same ascetyczne oprawki okularów jak Jiang Qing, ostatnia żona Mao i przywódczyni Bandy Czworoga. Szczupłe ręce przeszukały walizkę i torebkę. Na dnie tej drugiej znalazły figurkę z kości słoniowej. Kobieta zerknęła na nią i już prawie wrzuciła z powrotem do torebki. Przyjrzała się jednak bliżej. Jej oczy za grubymi, porysowanymi szklami zwięzły się. Wymachnęła figurką w kierunku Beth i rzuciła coś ostro po chińsku.

— Przykro mi, ale nie rozumiem.

Kobieta powtórzyła podniesionym głosem.

— Nie mówię po chińsku.

Nie zdejmując wzroku z Beth, zapukała w znajdujące się za nią drzwi ze sklejki. Wszedł mężczyzna w niebieskim mundurze. Ziewał i przecierał oczy. Kobieta dała mu figurkę i wskazała na Beth. Popatrzył przez chwilę na przedmiot, a potem na nią.

— Proszę ze mną — rzekł, biorąc jej paszport. Jego ton był uprzejmy, a oczy bez wyrazu.

Beth rozejrzała się w poszukiwaniu swojego współpasażera, ale zniknął już dawno w drzwiach prowadzących do głównej części terminalu. Celniczka chwyciła ją za rękaw.

— Proszę mnie puścić — zbuntowała się Beth, próbując wyszarpnąć rękę.

Narastała w niej złość: złość na celniczkę, na grubasa od figurek i na siebie samą za to, że postąpiła nieostrożnie, jak ktoś, kto nie przeszedł przez wszystko, co zdarzyło się od tamtego poranka w ratuszu.

Celniczka spojrzała na nią zdziwiona, jak gdyby Beth robiła coś niewłaściwego przy obiedzie, na przykład wsypywała sobie cukier do zupy; a może było to tylko spojrzenie zarezerwowane dla przebrzydłych Amerykanów. Nie puściła. Była dużo niższa od Beth, ale jej chwyt był silny.

— Proszę ze mną — powtórzył mężczyzna w niebieskim mundurze takim samym tonem jak poprzednio.

Beth ruszyła w jego stronę. Celniczka puściła rękaw. Mężczyzna otworzył drzwi i wprowadził ją do środka.

Było to niewielkie pomieszczenie o niewykończonych drewnianych ścianach, bez sufitu, nie licząc sklepienia nad terminalem, bez żadnych okien, dekoracji, dywanów: tylko metalowe biurko, dwa metalowe krzesła i wąska metalowa ławka. Spał na niej drugi mężczyzna w niebieskim mundurze. Ręce trzymał między udami i odwrócony był twarzą do ściany.

Urzędnik, który ją wprowadził, usiadł za biurkiem, otworzył szufladę i wyjął grubą, czarną księgę. Popatrzył przez chwilę na paszport Beth, po czym otworzył tomisko w miejscu, gdzie pewnie byłoby „H”, gdyby jej zawartość uporządkowano według alfabety, a nie spisano w chińszczyźnie, w której system, według jakiego można by cokolwiek ułożyć, w ogóle nie istniał. Zaczęła pocić się pod pachami. Państwo, którego łódź podwodna umknęła systemowi SIND i które szkoliło takich agentów jak Han Shih, prawdopodobnie dysponowało środkami, by złapać ją na granicy. Dotarł do niej zapach własnego potu i zastanawiała się, czy mężczyzna za biurkiem też go czuje.

Przewrócił kilka stron, a jego brązowe oczy przeczeszały je pospiesznie od góry od dołu. Następnie zamknął księgę i schował ją do szuflady. Spojrzał na zdjęcie w paszporcie i na Beth.

— Oczy niebieskie — powiedział. — Włosy blond.

Położył na biurku paszport, a na nim figurkę. Wskazał na drugie metalowe krzesło. Beth usiadła naprzeciwko niego. Zauważyła, że ma tylko dwie kieszenie przy kurtce, ale to mogło nic nie znaczyć; jego mundur był niebieski, a nie zielony. Na czapce widniała czerwona naszywka z jedną dużą złotą gwiazdą i czterema małymi. Była to tylko chińska flaga, lecz po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że flagi narodowe to coś więcej niż tylko kawałek materiału, który ładnie wygląda, gdy się nim wymachuje.

Spojrzała mu w twarz i dostrzegła, że on obserwuje ją tak samo, jak ona jego — i być może podobnie jak ona, nie dochodząc do żadnych konkretnych wniosków. Ciekawe, jak wyglądała w jego oczach, ubrana w zamszową marynarkę, czarną jedwabną bluzkę, dżinsy i adidasy?

Ich spojrzenia się spotkały.

— Jaki jest cel pani wizyty w Chinach? — zapytał.

Mężczyzna na ławeczce chrząknął przez sen.

— Chiny zawsze mnie interesowały.

Pokiwał głową. — Dlaczego nie jest pani z wycieczką?

— Czy to konieczne?

— Nie. Ma pani indywidualną wizę. — Otworzył jej paszport i przejechał palcem po stronie z pozwoleniem na wjazd. — Ale jak się pani dogada?

— Z panem mi się udaje.

— Słucham?

— Nie, nic. Ma pan chyba rację. Jeśli będę miała problemy, wynajmę przewodnika. — Zrobiła przerwę. — Jeśli mnie wpuścicie, oczywiście.

Popatrzył na nią przez chwilę, zanim znów się odezwał.

— Przywożenie materiałów pornograficznych do Chin jest zabronione. To obraza dla naszego narodu.

Beth pomyślała o obrazie Y.K. Linga, ale powiedziała: — Zgadzam się. Znalazłam tę rzecz w samolocie. Moim jedynym celem było przekazanie jej odpowiednim władzom. Będę szczęśliwa, mogąc ją panu zostawić.

Mężczyzna się zaczerwienił. — To nie jest możliwe.

— Nie panu osobiście — dodała. *szczęśliwa* nie było odpowiednim słowem. — Oficjalnie. Gdyby rząd potrzebował jej jako dowodu.

— Nie rząd. Naród.

— Oczywiście.

Mężczyzna spojrział na figurkę i pokręcił głową.

— To także nie jest możliwe. — Wyciągnął rękę w stronę przedmiotu, ale szybko ją cofnął. Podniósł słuchawkę, wykręcił jakiś numer i rzucił: — *Wei?* — Słuchał przez chwilę. — *Wei?* — powtórzył jeszcze cztery czy pięć razy i wydał krótkie polecenie.

Kilka minut później do pokoju weszła starsza kobieta z kubłem. Miała rzadkie, siwe włosy i wyblakłe oczy. Mężczyzna wręczył jej pornograficzne znalezisko. Położyła je ostrożnie na podłodze, po czym z kubła wyjęła młotek i rozbiła figurkę w drobny mak. Mężczyzna z ławki podskoczył jak oparzony. Kobieta zmiotła z podłogi okruchy i wyszła z pokoju.

Urzędnik zza biurka wstał. Wyciągnął rękę z paszportem i powiedział:

— Może pani iść.

Beth wzięła dokument. Mężczyzna uklonił się grzecznie, ale jego oczy pozostały bez wyrazu. Gdy wychodziła, usiadł i zaczął wypełniać jakiś szary formularz.

Opuściła terminal. Noc pachniała palonym węglem, a dookoła rozciągały się pola, ginąc w ciemności. Od lotniska prowadziła szeroka aleja wysadzana drzewami o rozszerzających się koronach i oświetlona gdzieś tam pomarańczową lampą. Na drodze nie było żadnych samochodów, żadnych autobusów ani taksówek czekających przed terminalem. Nie było też jej współpasażera.

Może to ze zmęczenia, a może z powodu tego, co zrobiła Łysemu i on próbował zrobić jej, może dlatego, że w czasie pierwszych minut pobytu w Chinach prawie zaprzepaściła szansę odnalezienia Teddy'ego; niezależnie od powodu poczuła, jak drży jej dolna warga. Zaskoczyło ją to. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że wpływa na bardzo głębokie wody. Po chwili zaczęła szlochać, sama na chodniku przed lotniskiem, z walizką w jednej dłoni, torebką w drugiej. *Jadę do Chin, mam, odnaleźć mojego mężczyznę*, drwił głos w jej głowie.

— A niech cię diabli, Teddy! — krzyknęła i usłyszała gardłowy, przepełniony bólem dźwięk.

To przywróciło jej zimną krew. Rękawem wytarła nos. Było bardzo cicho. Gwiazdy świeciły zimno na czarnym niebie. Czy w Szanghaju nie powinny wyglądać tak samo jak w San Francisco? Nie mogła odnaleźć Oriona ścigającego swą ofiarę w kosmosie.

Usłyszała zbliżający się aleją pojazd. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy, ale nie dojrzała samochodu, dopóki nie znalazł się tuż przy niej: jechał bez świateł. Było to małe, brudne auto, w ogóle nieoznakowane. Zatrzymało się przed nią. Kierowca wychylił się przez okno i zapytał:

— Taxi?

Beth spojrzała na niego. Miał na sobie czarną koszulę z podniesionym kołnierzem, srebrną marynarkę z jakiegoś błyszczącego materiału i ciemne okulary.

— Taxi? — powtórzył, naśladując ruchy kierownicy, w razie gdyby nie zrozumiała.

Wrzuciła bagaż na tylne siedzenie i wsiadła. Zapalając papierosa, szofer obserwował ją we wstecznym lusterku. Niebieski dym pełzał wokół jego okularów.

— Hotel? — zapytał.

— Hotel „Pokój” — odparła.

Chrząknął i przekręcił kluczyk. Gdy samochód ruszał, kierowca wymacał coś na podłodze. Plastik puknął o plastik. Nagle coś jakby wskoczyło na miejsce i wewnątrz samochodu wypełnił chiński rock. Głos wokalistki był w sam raz odpowiedni dla myszy z kreskówki. Kierowca rytmicznie stuknął palcami o kierownicę, ale wkrótce przestał.

Skierował się na wschód, w stronę miasta. Nie zapalił przednich świateł. Jechali aleją, a wokół nich ziała czarna otchłań. Beth stopniowo przyzwyczajała się do ciemności. Między drzewami rozpoznała nawodnione pola, srebrzyste i spokojne. Przysadziste konstrukcje, które uznała za zabudowania gospodarskie, wyglądały jak zakotwiczone barki.

Drzewa migały po obu stronach samochodu. Pojawiły się domy, nie większe jednak niż szopy na narzędzia. Domyśliła się, że to domy, tylko po sterczących z dachów antenach telewizyjnych.

— Czy wszyscy mają TV? — zapytała. Ciemne okulary w lusterku spoglądały na nią, ale kierowca nie odpowiedział. — Telewizję — wyjaśniła.

— Nie bardzo rozumieć.

Cztero- i pięciopiętrowe bloki zastąpiły szopy. Zapach węgla stał się bardziej intensywny. Beth poczuła ucisk za lewym okiem, narastający do bólu całej głowy w sposób, w jaki burza tropikalna staje się huraganem. To nie był rok 1956. To był dziewiętnasty wiek w Allentown* w Pensylwanii albo w Birmingham w Anglii.

* Allentown — stutysięczne miasto we wschodniej Pensylwanii, ośrodek przemysłu metalurgicznego.

Przed nimi zamajaczył jakiś ciemny kształt. Kierowca zatrał. Kształt rósł. W ostatniej chwili szofer skręcił i minęli autobus, również jadący bez świateł. Potem zatrał ktoś za nimi i kolejny nieoświetlony pojazd wyprzedził ich, ostro przed nimi skręcając. W odzwieczu taksówkarz błysnął mu reflektorami.

Przez moment, gdy mignęły światła, Beth dojrzała niekończący się sznur autobusów przedzierających się przez morze rowerów. Światła zgasły i widziała już tylko pojazdy jadące przed nimi, za nimi i kilku rowerzystów po obu stronach. Jeden z nich miał na twarzy maskę chirurgiczną: jakiś spóźniony na operację lekarz albo obywatel, który nie znosił wdychania czadu. Zegar na tablicy rozdzielczej samochodu wskazywał szóstą rano.

Beth wyglądała przez okno. Nosiła niedawno półchińskie dziecko w swoim łonie, kochała się z Chińczykiem, bywała w chińskich domach, jak ten Lingów, ale niewyraźny świat, który majaczył za szybą — Chiny — nie wydawał się realny. Czy mogła w tym świecie działać z jakimś wymiernym skutkiem, czy też dane jej było tylko patrzeć i nic nie rozumieć? Może nie rozumiała też Teddy'ego. Może za krótko prowadzili ten wspólny interes...

— Proszę poczekać — powiedziała do kierowcy.

Wkrótce nastanie dzień. Nie znajdzie odpowiedzi na swoje pytanie, śpiąc w pokoju w ulubionym hotelu Noëla Cowarda.

— Nie chcę jechać do hotelu. Nie teraz. Proszę mnie zawieźć na Xicangzhonglu 316.

— Nie hotel „Pokój”? — zapytał ostrym tonem.

— Nie. Xicangzhonglu 316.

W lusterku mignęły ciemne okulary. Kierowca jeszcze raz powtórzył pytanie.

— Xicangzhonglu 316. — Beth wciąż miała przewodnik grubasa. Trzymając go blisko oczu, znalazła część z liczbami. Trzy jeden sześć. *San yi liu*. — *San yi liu* — odczytała głośno.

— *San y i liu?*

— Tak. Xicangzhonglu *san yi liu*.

Znowu wydał pytający dźwięk. Beth próbowała wymówić nazwę ulicy na kilka sposobów.

— Nie bardzo rozumieć — powiedział kierowca.

— Jezu Chryste — westchnęła Beth, zdając sobie sprawę, że odpowiedź na jej pytanie była oczywista, jeśli nie potrafiła wytłumaczyć taksówkarzowi, żeby zawiózł ją tam, gdzie chciała.

Nagle przypomniała sobie chińską nazwę kościoła.

— *Mu En Tang*.

— *Mu En Tang?* — zapytał piskliwym głosem.

— Tak.

— Jest zamknięty.

— Nie. Jest otwarty.

Pokręcił głową. — Nie jechać tam.

— Proszę. *Mu En Tang*. — Sprawdziła, jak jest po chińsku „proszę”. — *Ching. Mu En Tang*.

— Zamknięty.

Sięgnęła do torby. Kupiła od stewardesy dziesięć juańów. Wyciągnęła je — trochę więcej niż cztery dolary — i powtórzyła: — *Mu En Tang*.

Kierowca rozejrzał się. Kiedy zobaczył pieniądze, warknął gniewnie i odrzucił je. Banknoty upadły na podłogę. Beth oparła się i poczuła, jak się czerwieni. Miała sporo do nauczenia, jeśli chodziło o interesy w Chinach.

Kierowca przyspieszył. Skręcił ostro kilka razy i zahamował nagle. Beth rozejrzała się. Byli w wąskiej, ciemnej, bocznej uliczce.

— Gdzie jesteście?

Kierowca machnął niecierpliwie ręką. — *Mu En Tang*.

Po drugiej stronie ulicy stał budynek bardzo różniący się od chat i betonowych bloków: masywna, kamienna budowla, która pasowałaby raczej do Oksfordu czy Edynburga. Miała dwa ogromne skrzydła oddzielone wąskim dziedzińcem. Na szczycie jednego ze skrzydeł płonęło w wielodzietnym oknie pojedyncze światło. Jedyne wejście prowadziło przez stalowe drzwi w kamiennym murze.

— *Mu En Tang* — powtórzył kierowca głośniejszym głosem niż poprzednio i machnął na nią, żeby wysiadła.

— Ile jestem panu winna?

— Iść. *Mu En Tang* — powtarzał. — Iść.

Zostawiając pieniądze na podłodze, wysiadła. Odjechał szybko.

Przeszła przez ulicę i stanęła przed stalowymi drzwiami. Bywała w Oksfordzie i Edynburgu; może poradzi sobie i z tym budynkiem.

Nie było ani dzwonek, ani domofonu. Zapukała. Cisza. Żółte światło wciąż paliło się w oknie na górze, ale pozostała część *Mu En Tang* nadal była ciemna. Zapukała mocniej. Budynek pozostał cichy.

— Halo! — zawołała i walnęła w drzwi, aż zabolęła ją ręka.

W bloku naprzeciwko zapaliło się światło. Beth pamiętała, co Han Shih mówiła o komitetach ulicznych. Wzniosła dłoń, żeby walnąć raz jeszcze. Bez najmniejszego szmeru drzwi otworzyły się.

Wyjrzał z nich młody rozczochrany Chińczyk. Miał na sobie spodnie od pizamy i podkoszulek. Jego twarz była blada, a zbladła jeszcze bardziej, gdy zobaczył Beth.

— Przepraszam bardzo, że niepokoję — zaczęła — ale muszę porozmawiać z wielebnym.

Młody Chińczyk zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

Beth nasłuchiwała kroków oddalającego się mężczyzny, ale nic nie usłyszała. Nie znaczyło to, że stał po drugiej stronie drzwi: nie słyszała przecież także, gdy przyszedł.

Cofnęła się na chodnik i rozejrzała. Powietrze wypełnił odór ekskrementów. Z cienia wyłoniła się jakaś postać poruszająca się, jakby została wtopiona w ciemność. Był to mężczyzna ciągnący wózek, na którym stała wielka metalowa bańka. Gdy tylko skręcił w wąską uliczkę, z okna na parterze wychyliła się jakaś kobieta i opróżniła do beczki wiadro. Człowiek odszedł w mrok. Zapach znikł.

Gwiazdy już zgasły, ale niebo wciąż było ciemne. Beth przeszła kilka metrów do rogu szerokiej ulicy. Na wschodzie zobaczyła lunę. Gdy patrzyła, światło rozprzestrzeniało się po kopule nieba, jak gdyby pracownik planetarium poruszał jakimś pokrętłem. Świtało. Szeroka ulica zapełniła się ludźmi — idącymi, jadącymi na rowerach, stłoczonymi w autobusach. W swoich workowatych spodniach i szarych koszulach przytłoczyli ją bardziej niż tłum w garniturach i trenczach. Wróciła do stalowych drzwi i walnęła w nie nie dlatego, że miała nadzieję, iż błąd Chińczyk powróci, ale dlatego, że po prostu musiała w coś uderzyć.

Drzwi otworzyły się. Młodzieniec wytknął głowę i krzyknął na nią.

— Muszę zobaczyć się z wielbny — powtórzyła. — Przyjechałam z daleka.

Chłopak odszczeknął coś krótko i zaczął zamykać.

— Do diabła — rzuciła głośno. Całym swym ciałem oparła się teraz o skrzydło. — Nie udawaj, że nie rozumiesz po angielsku. Widzę to w twoich oczach.

Nie odezwał się, lecz Beth poczuła, że podpira drzwi już z mniejszą siłą. Zniżyła głos.

— Jeżeli w ogóle jesteś metodystą, to mówisz po angielsku. Metodizm przybył tu z Anglii.

Miejsce bladeści zajęły na jego twarzy rumieńce.

— Możliwe — rzekł, tryskając śliną. — Ale Jezus Chrystus był Azjatą.

— Podyskutujemy o tym w środku. — Przepięła się obok niego i weszła na dziedziniec.

— Tak nie wolno — powiedział, ale zamknął drzwi.

Nim zdążyły się domknąć, Beth dostrzegła w oknie bloku naprzeciwko kobietę, która obserwowała całe zdarzenie.

— Czego pani chce? — zapytał bladolicy z wściekłością.
— Już mówiłam. Porozmawiać z wielbnym. Macie tu chyba jakiegoś pastora, prawda?

— O, tak, mamy. Jesteśmy bardzo cywilizowani.

Odwrócił się od niej, przeszedł przez dziedziniec i otworzył niskie drewniane drzwiczki. Chuda łopatką podskoczyła pod podkoszulkiem, gdy naciskał klamkę. Poszła za nim wiedząc, że jest tak samo przebrzydłą Amerykanką jak ten golfiarz, który chciał gubić piłki w chińskiej dżungli.

Blady młodzieniec wszedł szybko po stromych, drewnianych schodach, na których pachniało zbutwiałymi książkami i kurzem. Potem skierował się na koniec ciemnego, pozbawionego wszelkich ozdób korytarza, gdzie czuć było stęchliznę.

Zapukał w drzwi. Z wnętrza dobiegł stary, piskliwy głos. Bladolicy otworzył drzwi. Weszli do środka.

Pokój był mały i pełen książek. Stało w nim połowe łóżko, biurko i krzesło, z sufitu zwisała nieosłonięta żółta żarówka, a w jednej ze ścian tkwiło wielodzielne okno. Przy biurku, pochylony nad książką, siedział mężczyzna. Był łysy, nie licząc niewielkich kępek siwych włosów nad uszami. Jego twarz pokrywały zmarszczki. Jedno oko było przesłonięte perlową kataraktą; drugie patrzyło czujnie i przenikliwie. Widząc Beth, wstał od biurka, lecz wciąż się pochylał; jego plecy były zaokrąglone jak nawias.

Młody mężczyzna mówił coś do niego tonem pełnym skargi, raz czy dwa wskazując kciukiem na Beth. Zdrowe oko starca obserwowało go; potem skierowało się na nią.

— Jestem tutaj pastorem — oznajmił. Jego głos był słaby i suchy jak pustynny piasek. — Dzisiaj nie ma nabożeństwa. Co panią sprowadza?

— Chcę z panem porozmawiać. Przyjechałam z daleka.

— To właśnie powiedział Winston. Można wiedzieć skąd?

— Z San Francisco. — Gdy wielbny nie zareagował, dodała: — Ze Stanów Zjednoczonych.

— Znam San Francisco.

— Był pan tam?

— Owszem. Zawiodły mnie tam książki.

Spojrzała na półki. — Ma pan wspaniałą bibliotekę.

— Nie jest moja. Należy do kościoła. To znaczy, do ludu. — Nie usłyszała w jego głosie ironii. — Dlaczego chciała się pani ze mną spotkać? Czy to sprawa natury religijnej?

— Nie. Potrzebuję pana pomocy.

— Mojej?

— Może niekoniecznie pańskiej. Potrzebuję kogoś, kto działał aktywnie w kościele protestanckim w latach czterdziestych.

— A po co to pani?

— Zniknął pewien człowiek — powiedziała, nie mogąc wymyślić żadnej historyjki, która usprawiedliwiłaby walenie w drzwi o świecie. — Próbuję go odnaleźć.

Wielebny spojrział na nią. Nawet bez garbu byłby niewysoki; teraz miał około metra pięćdziesięciu.

— Pracuje pani dla amerykańskiego rządu? — spytał.

— Nie.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do czubka głowy. — To co pani robi?

— Uczę historii.

— Gdzie?

— Na uniwersytecie.

— Którym?

— Kalifornijskim.

— Na którym kampusie?

— Berkeley.

— Aha.

Ponownie spojrział na nią swoim jedynym zdrowym okiem, szukając być może czegoś, czego nie zauważył wcześniej. Zastanawiała się, czy nie została właśnie poddana testowi podobnemu do tego, jaki zafundowała Robertowi Meansowi.

Wielebny wrócił za biurko i usiadł. — A jakim okresem się pani zajmuje, jeśli wolno spytać?

— Czasami inkwizycji.

Spojrzał na książkę, którą czytał. Beth nie widziała tytułu, ale rozpoznała oprawę. Podniósł ją. *Montaillou: Village Occitan de 1294 à 1324* napisana przez Emmanuela Le Roy Ladurie.

— W takim razie zna pani tę książkę?

— Tak. W zeszłym roku napisałam nawet o niej artykuł do czasopisma *Annales*.

— Naprawdę? Niestety, nie jestem jego prenumeratorem. W Chinach jest bardzo niewiele materiałów do badań. Mam szczęście, że są jeszcze te książki. Tyle ich przepadło bezpowrotnie w czasie rewolucji kulturalnej.

— A pańskie dlaczego nie przepadły?

W oku starca pojawiła się iskra. — Zakopałem je.

Blady młodzieniec powiedział coś do wielebnego. Starzec odparł mu spokojnie, kręcąc głową. Chłopak już otwierał usta, by się z nim nie zgodzić, ale odwrócił się tylko i wyszedł.

— No cóż, panno...
— Beth Hunter. Skłonił się uprzejmie.
— Jestem wielebny Huang. Proszę usiąść, panno Hunter — rzekł, wskazując na składane łóżko.

Prycza była niewygodna i twarda, ale gdy tylko jej dotknęła, przelała się przez nią fala zmęczenia, wprawiając jej ciało w odrętwienie.

— Chciałbym poznać pani analizę inkwizycji.
— Analizę? — powtórzyła, myśląc o wszystkich tych głupich pracach, które sprawdzała. — Prawdę mówiąc, niedokładnie tym się zajmuję. Korzystam tylko ze źródeł z czasów inkwizycji jako swego rodzaju narzędzia do studiów demograficznych nad siłą roboczą w handlu morskim w szesnastowiecznej Hiszpanii.

Wielebny Huang popatrzył na nią przez chwilę, zanim się odezwał.

— Wykorzystuje pani inkwizycję jako narzędzie? — Zamknął książkę na biurku i odłożył ją. — Ja sam dopiero od kilku lat poważnie zajmuję się tym tematem. Od...

Zamilkł. Światło w jego sprawnym oku zgasło na moment.

— Uważam, że to pouczające — podjął temat. — Sposób myślenia charakterystyczny dla inkwizycji nie jest powiązany z żadnym społeczeństwem czy epoką. Ma przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Nastąpiła cisza. Potem wielebny Huang pochylił się w jej stronę.

— Czy zgadza się pani ze mną, panno Hunter?

— Nie wiem. — Westchnęła. Nie przejechała takiego szmatu drogi, żeby wplątywać się w zawile i długie dysputy. — Nie jestem pewna, czy tak szeroki system represji duchowych mógłby być tak skutecznie wprowadzony we współczesne...

— Nie jest pani pewna? — przerwał jej wielebny.

Jego jedyne oko wyrażało zdumienie; w drugim odbijało się wpadające przez okno szare światło. Po chwili zdumienie ustąpiło miejsca czujności. Drugie oko nie zmieniło się.

— Zniknął człowiek... — powiedział w końcu.

— Tak.

— Co za człowiek?

Opowiedziała mu o Teddym i liście z Szanghaju.

— Więc myśli pani, że on gdzieś tu jest.

— Niekoniecznie w Szanghaju. Ale gdzieś w Chinach.

— Gdzieś w Chinach — powtórzył wielebny neutralnym głosem. — A pani rząd uważa, że on zdradził.

— Tak, ale...

— I mój rząd miałby być w to wplątany.

— Tak.

Kiedy wielebny odezwał się ponownie, do jego głosu powrócił początkowy chłód, który stopniał podczas rozmowy o inkwizycji.

— Więc czego pani ode mnie oczekuje, panno Hunter? W Chinach znika wielu ludzi. Ja sam kiedyś zniknąłem.

— Co pan ma na myśli?

— Nieważne.

— Ale jest pan teraz tutaj.

— Niby tak.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wszedł bladym młodzieniec, niosąc dzbanek z herbatą i dwie szklanki.

— Dziękuję, Winstonie — rzekł wielebny.

Nie patrząc ani na niego, ani na Beth, bladolicy napełnił szklanki i wyszedł. Beth spróbowała herbaty. Smakowała jak mydło. Postawiła szklankę na biurku.

— Właśnie dlatego uważam, że mógłby mi pan pomóc. Mój... Doktor Wu urodził się w Chinach. Został przywieziony do Stanów jako dziecko przez misjonarzy protestanckich działających w Szanghaju. Trzy miesiące temu zaczął interesować się tymi wydarzeniami. Myślę, że jego zniknięcie jest jakoś powiązane z wczesnym dzieciństwem w Chinach albo ze sposobem, w jaki go stąd wywieziono.

Nawet mówiąc to, zastanawiała się: *Czy tylko ja tak uważam? A co z założeniem Mordella? A co z rosyjską łodzią podwodną?* Nie podzieliła się swoimi wątpliwościami z wielebny.

— Czy wie pani, z jakiego kościoła byli ci misjonarze?

— Z Kościoła Świętego Ducha.

Wielebny Huang zeszytniał jak postać z pantomimy. — Nie mogę pani pomóc — powiedział.

— Czy to znaczy, że nie słyszał pan o tym kościele?

— Lepiej będzie, jak już pani pójdzie.

— Coś było nie tak z Kościołem Świętego Ducha, prawda? Proszę mi powiedzieć.

Wielebny podniósł nieco głos, który był jednak tak słaby, że załamał się po kilku słowach i stał się tylko zachrypłym szeptem. — Nie powiedziałem, że było z nim coś nie tak.

— Wcale pan nie musiał.

Na chwilkę w jego zdrowym oku zagościła złość. Gdy minęła, palcem wskazującym potarł to chore.

— Nie będę narażał mojego kościoła — oznajmił potem cicho, lecz stanowczo.

— Nie rozumiem.

— Jak historyk może tego nie rozumieć? Wie pani na pewno, że po rewolucji nastąpiły ciężkie czasy dla chrześcijaństwa w Chinach.

— Tak.

— Więc powinna pani zrozumieć, dlaczego chcę oszczędzić mojemu kościołowi dalszych kłopotów.

Pastor wstał i podszedł do okna. Miał zadartą do góry głowę, jakby chciał w ten sposób nadrobić za wykrzywiony tułów. Wyrzwał na zewnątrz.

— *Mu En Tang* zawsze był samowystarczalny, samorządny i sam zdobywał wiernych. — Odwrócił się do niej. — To znaczy, tutaj, w Chinach. Inni nie wysilali się tak bardzo. Dlatego byliśmy uważani za agentów obcego kościoła. I obcych rządów.

Helen Brock powiedziała jej, że Rex Heidemann związał się ze złymi ludźmi. Jednym z nich był Jimmy Han. Ale oni tylko wykonywali rozkazy. Rozkazy rządu. Którego rządu? Beth była zbyt zmęczona, by przypomnieć sobie dokładnie słowa umierającej kobiety.

— A Kościół Świętego Ducha był takim właśnie agentem?

Wielebny zastanawiał się tak długo, że myślała już, iż nie odpowie na jej pytanie. Jednak odpowiedział: — Tak.

— Ale dlaczego do tej pory robią wam problemy? Minęło już tyle lat.

— Lepiej niech już pani pójdzie, panno Hunter.

— Proszę, pastorze. Jeszcze tylko kilka minut.

— Przykro mi. Nie mam już nic do powiedzenia.

Ruszył w stronę drzwi. Beth zeskoczyła z pryczy, wyciągnęła z walizki album Helen i przerzuciła kartki. Dobiegła do niego, gdy był już na korytarzu, i podsunęła mu album pod nos. Otwarty był na stronie ze zdjęciem, pod którym widniał napis: „Rex i ja, 8 kwietnia 1948”.

Wielebny Huang prychnął ze złości, ale spojrzał na zdjęcie.

— To ten mężczyzna — rzekł niechętnie. — Amerykanin. Nie pamiętam nazwiska.

— Rex Heidemann.

Przytaknął. Zanim zrobił następny krok, przewróciła kartkę na zdjęcie „Rex, ja i J. Han, jezioro Tai, 1948”.

— Zna go pan? — zapytała, wskazując na J. Hana.

— Nie.

Wielebny odsunął się. Beth zastąpiła mu drogę, trzymając mu przed nosem ostatnie zdjęcie: „Dzieci, Szanghaj, wiosna 1949”.

— To był ich kościół — powiedział wielebny, wskazując na budynek w tle. — Teraz jest tam fabryka włókiennicza. — Szedł dalej.

Beth kroczyła przed nim tyłem, przygarbiona, by trzymać zdjęcia na poziomie jego oczu.

— Nieważne, co jest na drugim planie — powiedziała, wskazując na płaczące dziecko na pierwszym. — To ten mały chłopczyk.

Wielebny zatrzymał się. Przybliżył swoje zdrowe oko do zdjęcia.

— Ten, który zniknął? — zapytał w końcu.

— Tak.

Poczuła, że jego mozolne parcie naprzód słabnie. Okręcił się i wrócił powoli do gabinetu. Weszła za nim, zamykając drzwi. Usiadł za biurkiem i patrzył, jak Beth kładzie przed nim otwarty album, po czym siada na pryczy.

— No i?

Beth pochyliła się. — Miał mamkę. Jestem prawie pewna, że chciał ją odnaleźć. Nazywała się Pei Ming. Nic o niej nie wiem poza tym, że ocaliła mu życie. W domu nad jeziorem.

— Czy ten dom znajdował się nad Taihu?

— Taihu?

— Nad jeziorem Tai. „Hu” znaczy „jezioro”. Taihu to jezioro Tai. — Słychać było zniecierpliwienie w jego głosie.

— Nie wiem. Myślę, że tak.

— To bardzo duży zbiornik.

Czekał, aż Beth coś powie. — Mam nadzieję, że jeszcze tam gdzieś mieszka.

— Nadzieja... Proszę mi wybaczyć, ale nie wydaje mi się, żeby mówiła pani po chińsku czy wiedziała o Chinach cokolwiek. Jak ją pani znajdzie?

Poczuła, że jej twarz robi się gorąca, ale kontrolowała swój głos.

— Pei Ming uratowała Teddy'emu życie w domu nad jeziorem i oddała go w ręce Kościoła Świętego Ducha. Heidemannowie byli wtedy nad jeziorem Tai. Może to był ich dom. W każdym razie ktoś, kto tam mieszka, na pewno pamięta Amerykanów i ten przybytek. Jacyś starsi ludzie. Zwłaszcza ci, którzy nadal mają związki z chrześcijaństwem.

Nastąpiła długa przerwa. Kąciki ust wielebnego uniosły się w uśmiechu.

— Więc jest to jednak sprawa religijna.

— Jeżeli tak pan to woli widzieć...

— A pani?

Nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się, jaką cenę będzie kazał jej zapłacić. Czy jego następne pytanie będzie dotyczyło nieśmiertelności duszy? W końcu wyznała: — Ja go kocham, pastora Huang.

Wielebny wpatrywał się w jej twarz. Nagle roześmiał się — radosnym śmiechem, który przypomniawszy jej babcię.

— No to się zgadzamy: sprawa jest natury religijnej. A w takim razie moim obowiązkiem jest pani pomóc.

Przepełniła ją wdzięczność. Miała łącznika w Chinach; może jednak nie wypłynęła na zbyt głęboką wodę. Łzy napłynęły jej do oczu. Chciała mu podziękować, ale zanim zdołała cokolwiek wykrztusić, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Usiadła na pryczy i popatrzyła na książki. Tytuły widziała jak przez mgłę. Podciągnęła nogi na łóżko. Głowa opadła jej na sztywne płótno. Nieodparta grawitacja ściągnęła w dół powieki.

Wilgotna dłoń ścisnęła jej ramię. Otworzyła oczy. W pokoju było ciemno. Za oknem zdążyła zapaść noc. Ziemia wykonała kolejny obrót, gdy spała.

Spoglądał na nią blady młodzieniec. Winston. — Już się pani obudziła?

— Tak.

Powietrze było gorące. Czuć było zapach palonego węgla. Czuła, jak powietrze wysusza wilgotną plamę na jej ramieniu.

— To proszę iść ze mną. Wielebny Huang znalazł kogoś, kto zabierze panią do Wuxi.

— Wuxi?

Winston zdziwiony uniósł brwi, jak gdyby Beth zdumiała się, słysząc o Chicago. — Do miasta nad Taihu.

Beth usiadła na łóżku, starając się przypomnieć sobie, kto już wspominał tę nazwę. Zaszło jej w ustach. Na biurku stała szklanka herbaty, tak jak ją wcześniej zostawiła. Wciąż miała mydlany smak; teraz była na dodatek zimna. Ale wypila ją.

— Czy wystarczy mi czasu na szybki prysznic?

— Prysznic?

— Albo kąpiel?

— Nie mamy tu wanny. Jest tylko umywalka. Wstała. — Mam zabrać walizkę czy jeszcze wrócimy?

— Proszę ją zabrać.

Poszła za Winstonem przez korytarz. W ciągu tej doby albo jej bagaż zrobił się cięższy, albo ona osłabła.

— Chciałabym się pożegnać z wielbnym Huangiem.

Winston nie odpowiedział. Doszli do drzwi przy schodach.

— Tu jest umywalka — powiedział Winston.

Weszła i zapaliła światło. Pomieszczenie było nie większe niż wnętrze szafy. W środku znajdował się metalowy zlew z jednym kranem, lustro i plastikowe wiadro do połowy wypełnione moczem. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Twarz miała jakby szczuplejszą, bruzdy na czole pogłębiły się, plamy pod oczami stały się ciemniejsze. Zwilżyła zimną wodą twarz i kark. Zdumiała się, widząc własne spojrzenie. Nie odzwierciedlało zmęczenia i lęku, które czuła; było stanowcze i zimne jak arktyczne niebo. To nie były jej oczy; jej miały wyglądać jak odległe góry na obrazie Giorgione.

Winston czekał na nią na dziedzińcu, sam. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakichś śladów obecności wielebnego. W *Mu En Tang* nie paliły się żadne światła. Winston otworzył stalowe drzwi i wyszli.

Doszli do rogu i skręcili w szeroką ulicę. Na przystanku autobusowym stała długa kolejka ludzi. Przyłączyli się do nich. Wszyscy wpatrywali się w okno wystawowe sklepu, w którym nie było nic prócz białej lodówki, nie większej niż ta, którą Beth miała na swoim jachcie. Nie mogli oderwać od niej oczu.

Przyjechał autobus, ciągnąc za sobą ogon czarnych spalin. Był pełen, ale wszyscy wsiedli. Ruszył ciężko naprzód. Beth straciła równowagę, lecz nie miała gdzie upaść. Stłoczone ludzkie ciała utrzymały ją na nogach. Ich ciepło sprawiło, że po plecach zaczął spływać jej pot. Ludzkie płuca wysysały z powietrza cały tlen. Nikt się nie odzywał. Kilka osób popatrzyło na nią, ale nie wytrzymały długo. Wszyscy byli zbyt pochłonięci znoszeniem trudów podróży.

Autobus stanął.

— To tutaj — rzekł Winston.

Ciała wokół niej ścisnęły się. Ledwo wygramoliła się na chodnik.

— Gdzie jest pani bagaż? — zapytał chłopak.

— Chryste.

Winston zaczerwienił się. Autobus już ruszył. Z otwartych drzwi wyleciała jednak walizka i odbiła się od chodnika. Beth zdążyła ją chwycić, zanim najechał na nią następny pojazd.

— Nie należy wzywać Jego imienia nadaremnie — skarcił ją Winston.

— To nie było nadaremne. Była to tylko wypowiedziana na głos część cichej modlitwy. Która zresztą została wysłuchana.

Winston wiedział, że to żart, którego on nie rozumiał, co czyniło jej bluźnierstwo jeszcze gorszym.

— Zostawię panią tutaj — oznajmił chłodno.

— Gdzie?

— Tam — pokazał głową na budynek po drugiej stronie ulicy — to jest hotel „Pokój”.

Zobaczyła czternastopiętrowy blok z brudnego kamienia, z rzędem łukowych okien na parterze. Gdyby nie czerwono-zielona kopuła dachu, równie dobrze mógłby stać w jakimś zapyziałym miasteczku Europy. Winston podążył za jej wzrokiem.

— Kiedyś nazywał się Cathal. W dawnych czasach.

— To znaczy wtedy, gdy mieszkał w nim Noël Coward?

— To nazwisko nic mi nie mówi.

Przeszli przez ulicę. W hotelu nie było odźwiernego. Hol był słabo oświetlony i pusty.

— Do widzenia — rzekł Winston.

— Nie wejdzie pan ze mną?

Chłopak obejrzał się przez ramię, jak gdyby czuł, że jest obserwowany. Ale nie był. To nie powstrzymało go jednak od nerwowego dreptania w miejscu; jego stopy nie mogły się doczekać, żeby już z tym skończył.

— Nie — odpowiedział. — Proszę iść do kawiarni. Ktoś się tam z panią spotka.

— Kto?

— Po prostu proszę tam iść. — Odwrócił się, żeby odejść.

— Niech pan zaczeka. Zatrzymał się. — O co chodzi?

— Dziękuję. I proszę podziękować wielebnemu Huangowi.

— Wielebny Huang jest bardzo nierozważnym człowiekiem. — Odszedł szybko.

25

Usłyszała bas syreny statku. Odwróciła się. Ulica, na której stała, dochodziła do szerokiego bulwaru — wiedziała, że to musi być nabrzeże. Wzdłuż niego sunął prom pasażerski — pięć pokładów jaskrawego światła na tle ciemnej wody.

Weszła do hotelu. W holu była marmurowa podłoga, którą przydałoby się umyć, kiosk z pamiątkami, przy którym nie było żadnych klientów, i ziewający recepcjonista. Z antresoli powyżej dochodziła rozmowa jakichś Australijczyków i odgłosy zderzających się kul bilardowych. Beth nie czuła

się już jak w zapyziałym europejskim mieście; nie była również pewna, czy jeszcze jest w Chinach.

Przeszła holem do drzwi, na których było napisane: KAWIARNIA. Pod spodem wisiała kartka: *Obsługujemy tylko cudzoziemców i Chińczyków z zagranicy. Dziękujemy za współpracę.* Winston nie mógł z nią wejść, nawet gdyby chciał: kawiarnia objęta była kwarantanną przed takimi jak on. Ale drzwi nie były dźwiękoszczelne: buntowniczo sączyły się przez nie taktę „Muskrat Ramble”.

Weszła do środka. Znalazła się w jasno oświetlonej prostokątnej sali z niskim sufitem. Stało tam około pięćdziesięciu stolików. Arabowie siedzieli z Arabami, Afrykanie z Afrykanami, Japończycy z Japończykami, Europejczycy z Europejczykami. Było też kilku Chińczyków, ale pewnie mieszkali gdzieś zagranicą: mieli na sobie jedwabne garnitury i zegarki, jakie przydałyby im się, gdyby chcieli wpław pokonać kilka stref czasowych.

Beth znalazła w głębi sali wolny stolik, częściowo zasłonięty przez filar. Usiadła. Orkiestra grała jazz. Przy fortepianie siedziała kobieta w średnim wieku; na pozostałych instrumentach — perkusji, basie, trąbce, saksofonie, skrzypcach — grali starsi panowie. Nie mieli jedwabnych garniturów. Ubrani byli jak ludzie, których widziała w autobusie.

Skrzypek był z nich najstarszy. Miał rzadkie włosy i krzaczaste, śnieżnobiałe brwi. Grał właśnie solo, które przeszło w wysoki pisk i doprowadziło do ostatniego akordu „Muskrat Ramble”. Kiedy piosenka się skończyła, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając brązowe zęby. Szalony aplauz przy jednym z arabskich stolików zagłuszył reakcję reszty słuchaczy.

Muzycy naradzili się krótko, zagraли kilka nut różnych piosenek i zaczęli „Satin Doll”. Jakiś cień padł na stolik Beth.

— Znowu się spotykamy.

Podniosła wzrok i ujrzała przekrwione oczy handlarza figurkami. Najpierw pomyślała, że przysłał go wielebny Huang. Była to jednak bezsensowna myśl i porzuciła ją od razu, ale cisza, która nastąpiła, zaniepokoiła mężczyznę. Zamrugał.

— Pamięta mnie pani?

— Oczywiście. Nie czekał pan na lotnisku zbyt długo.

— Tak mi przykro. Wynagrodzę to pani, jeśli wie pani, co mam na myśli...

— Nie wiem.

Oparł się nieco chwiejnie o jej stolik.

— Wyzwolenie kobiet — powiedział. — Najlepsza rzecz od czasów darmowego piwa. Mówię poważnie. A pani wygląda mi na kobietę wyzwoloną. Więc uszanuję to, waląc prosto z mostu.

Nic jednak nie powiedział. Zamiast tego uraczył ją uwodzicielskim w jego mniemaniu spojrzeniem przekrwionych oczu. W końcu odezwał się chrapliwie:

— Chodźmy do mojego pokoju.

— Nie, dziękuję.

Zakołysał się lekko. — To znaczy, że muszę przejść najpierw przez całą tę gadkę-szmatkę i stawianie drinków? To nie w stylu kobiet wyzwolonych.

— Niech pan już idzie.

Wyglądał na zranionego. Potem na wściekłego. — Może nie jest pani tak wyzwolona, jak pani sobie wyobraża.

— Dobranoc.

— Jak pani chce. — Nachylił się nad stolikiem; jego oddech cuchnął. — Ale ta figurka podrajcowała panią, co? Dlaczego pani tego nie przyzna? Proszę się wyluzować. Wsłuchać się we własne uczucia.

— Jest pan pijany.

— Wiem, ile mogę wypić — wybełkotał dumnie.

Czerwone oczy znów próbowały ją hipnotyzować. Po chwili zwyczajnie zmętniały. Odwrócił się i wyszedł z kawiarni, na szczęście o nic po drodze nie zawadzając.

Beth rozejrzała się. Nikt nie zauważył tej małej scenki z wyjątkiem mężczyzny, który siedział sam przy stoliku przy drzwiach. Był Chińczykiem, ale nie miał ani jedwabnego garnituru, ani bajeranckiego zegarka. Ubrany był w wyblakłą niebieską kurtkę w stylu Mao i takie same spodnie. W ogóle nie miał zegarka. Nie wyglądał też na dobrze prosperującego Chińczyka z zagranicy. Miał zapadnięte policzki, wysokie czoło i długie, rozszerzające się na końcach palce, podobne do tych, jakimi potulnie czynili gesty malowani przez El Greca święci na swej drodze przez mękę. Ale jego oczy, które przez moment napotkały spojrzenie Beth, należały już do innej klasy świętych. Był w nich ogień. Mężczyzna palił papierosa. Jego policzki zapadały się jeszcze bardziej, gdy się zaciągał.

Podszedł kelner. Beth zamówiła kawę. Była lurowata i ledwie letnia. Upiła tylko dwa łyki. Kiedy znów spojrzała na stolik przy drzwiach, mężczyzny już nie było.

O jedenastej orkiestra skończyła grać „We Ain't Got a Barrel of Money” i spakowała instrumenty. Stoliki opustoszały. Goście wyszli, a kelner zabrał filiżankę z jej stolika i powiedział:

— Zamykamy.

W kawiarni nie było nikogo prócz niego i skrzypka z orkiestry, który gwizdał sobie „Do You Know What It Means to Miss New Orleans?”

nacierając jednocześnie smyczek kalafonią. Schował go do futerału, zamknął, zszedł lekko z podestu i podszedł do jej stolika.

— Jak się miewa wielebny? — zapytał.

Beth zawahała się przez chwilę.

Roześmiał się. Zobaczyła, że ma na języku cukierek pomarańczowy.

— Zaskoczona, co? — powiedział.

— Tak.

Usiadł przy stoliku.

— *Shi fu* — zawołał. Kelner podszedł do nich powoli. — Szeef interesu — wyjaśnił jej szeptem. — Lubią być tak nazywani. Przedtem mówiono na nich *tong chi*. *Tong chi* to, *tong chi* tamto.

— *Tong chi?*

— Towarzyszu.

Skrzypek zamówił herbatę.

— Nazywam się An — oznajmił po pierwszym łyku. — Moja jednostka pracy zezwoliła mi na wyjazd jutro do Wuxi w celu odwiedzenia chorego brata. Czy zechciałaby pani ze mną pojechać? — Patrzył na nią wyczekująco, jak gdyby musiał się upewnić, że nie wzięła tego za dowcip.

— Tak.

Klasnął w dłonie. — Doskonale. I znowu się roześmiał.

Beth zastanawiała się, czy przypadkiem nie jest trochę szalony.

— Spotkamy się o szóstej rano na dworcu kolejowym.

— Czy mam tu spędzić noc?

— Czemu nie? To najlepszy hotel w Szanghaju.

Przypomniała sobie, że to samo mówił jej współpasażer w samolocie.

— Złożę się, że ma też najlepszy zespół jazzowy w Szanghaju.

Jego uśmiech zgasł. — *Ma jedyny* zespół jazzowy w Szanghaju. Jedyny w Chinach. — Dopił herbatę. — Dobranoc.

Wstał od stolika i odszedł ze sfatygowanym futerałem na skrzypce w dłoni. Zostawił za sobą zapach miodu i pomarańczy.

Beth przeszła do holu. Było w nim bardzo cicho. Z antresoli nie dochodziły już żadne hałasy, a recepcjonista spał z głową w ramionach na kontuarze. Obudziła go i wynajęła pokój na jedną noc.

Może i był to kiedyś pokój w stylu Noëla Cowarda. Ale teraz twarde perkalowe fotele były poplamione, kwiecisty dywan cienki i wyblakły, łóżko zapadnięte. Stało w nim też poobijane lakierowane biurko, na którym pisarz nie wydrapał swoich inicjałów, i telefon, który byłby doskonałym rekwizytem w jednej z jego sztuk. Dodano tylko kolorowy telewizor; a usunięto Biblię Gedeona.

Wykąpała się w stojącej na czterech łapach wannie i weszła do łóżka. Było gorąco. I robiło się coraz goręcej. W pokoju nad nią zaskrzypiały sprężyny. Po chwili jeszcze raz. Może jakiś grubas o przekrwionych oczach nie mógł zasnąć. Wstała i otworzyła okno. Po drugiej stronie ulicy wzdłuż rzeki ciągnął się wąski park. Jakaś para obejmowała się w cieniu drzewa. Za nimi ciemne kształty barek zmierzały do morza. Gdzieś niedaleko usłyszała syrenę statku. Wróciła do łóżka. Wsluchiwała się w odgłosy rur. I skrzypiące sprężyny. Po głowie ciągle jej chodziła piosenka „Do You Know What It Means to Miss New Orleans?”. W końcu zaczęły opadać jej powieki.

Za późno. Noc już szarzała. Ktoś zaczął krzyżeć. Wstała i podeszła do okna. Na chodniku było jakieś zamieszanie. Dwóch Chińczyków ubranych w proletariackie niebieskie stroje ciągnęło w stronę szarego samochodu mężczyzną. Opierał się. Był większy od nich, ale słabszy. W czasie szamotaniny rozwiązał mu się krótki frottowy szlafrok i ujrzała białe cielsko: jej współpasażer z samolotu. Wcisnęli go na tylne siedzenie i wsiedli sami. Silnik już chodził. Auto odjechało szybko, ale zdołała dostrzec pasażera z przodu, a raczej jego zamazany cień. Jediną rzeczą, jaką widziała wyraźnie, była wystająca przez otwarte okno dłoń, która wyglądała jak ręka świętego.

Cofnęła się. Zrazu pomyślała, że handlarz figurkami został aresztowany przez oddział do zwalczania pornografii. Potem przyszło jej do głowy, że to może nieprawda. Na tę myśl szybko narzuciła na siebie ubranie, chwyciła walizkę i podeszła do wyjścia. Stała z walącym sercem. Złapała za klamkę i wolno ją nacisnęła. Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wyjrzała. Na korytarzu nie było nikogo.

Minęła szybko windę i zeszła po schodach. Zamiast do głównego holu, weszła na antresolę, minęła stół bilardowy i wyjrzała ponad balustradą.

Na krześle naprzeciw windy siedział mężczyzna w niebieskiej kurtce i workowatych spodniach. Drugi, podobnie ubrany, stał blisko drzwi wyjściowych. Schowała głowę.

Wróciła na schody. Pomyślała o powrocie do swojego pokoju, żeby zadzwonić po pomoc. Ale do kogo? Do kierownika hotelu? Do wielebnego? Do konsulatu? Żadna z tych możliwości nie wydawała się sensowna.

Nie poszła do pokoju. Ruszyła w dół, minęła wejście do holu i zeszła jeszcze niżej.

Dotarła do wilgotnej, nieoświetlonej klatki schodowej, w której śmierzdziało ściekami. Strzepnęła z twarzy pajęczynę i poczekała, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności. Po chwili dostrzegła cienkie, przekrzywione drzwi w glinianej ścianie. Otwierały się na zakurzone schody, prowadzące do góry. Wspięła się po nich.

U szczytu znalazła następne drzwi. Nacisnęła klamkę. Nie ustąpiły. Gdy próbowała po omacku znaleźć zamek, coś otarło się o jej stopy. Spojrzała w dół i zobaczyła ogromnego, przemykającego w cieniu szczura. Nigdy przedtem nie bała się gryzoni. Teraz kopnęła go wściekle i napała ramieniem na drzwi. Poddały się, a ona wyleciała na wąską uliczkę.

Po drugiej stronie jezdni stała taksówka. Kierowca polerował przednie światła i mruczał coś pod nosem. Podeszła do niego. „Proszę mnie zawieźć na lotnisko”, zamierzała powiedzieć. Ale może mężczyzna w holu nie miał z nią nic wspólnego. W końcu co ona wiedziała o Chinach? Za kilka godzin może się znaleźć nad jeziorem Tai, gdzie Pei Ming uratowała życie Teddy'emu. Powiedziała więc:

— Na dworzec kolejowy, proszę.

Kierowca odrzekł coś po chińsku.

— Pociąg — tłumaczyła. — Proszę zabrać mnie na pociąg.

Wzruszył ramionami i wrócił do pucowania świateł.

— Jezu Chryste — westchnęła. — Pociąg, do cholery — *ciuch, ciuch, ciuch, uuu-uuuuu!*

Kierowca odwrócił się nagle do niej, zaskoczony. Potem zaczął się śmiać.

— *Huochezhan* — powiedział. — *Huochezhan*.

Wrzucił jej walizkę na przedni fotel, otworzył tylne drzwi i sam wskoczył za kierownicę, wciąż chichocząc. Beth obejrzała się. Nikt jej nie śledził.

Ale gdy taksówka dojechała do dworca, zobaczyła szlabany, przy których żołnierze sprawdzali dokumenty podróżnych.

— Proszę zaczekać — powiedziała, łapiąc za siedzenie kierowcy i podciągając się do przodu. — Proszę się tu zatrzymać. Nie chcę jechać na dworzec. Proszę mnie zawieźć na lotnisko.

Odwracając się do niej, kierowca kiwnął głową. — *Ciuch, ciuch* — powiedział.

— Nie! — krzyknęła. — Lotnisko! Cholera.

Kierowca zaśmiał się. — *Ciuch, ciuch, uu-uuu.*

Podjechał do najbliższego szlabanu i zatrąbił. Do samochodu podszedł wojskowy. Beth sięgnęła do klamki, ale nim zdążyła otworzyć, żołnierz wsadził głowę przez okno po stronie kierowcy. Szofer wskazał kciukiem na Beth, która wciąż mocowała się z klamką. Wojskowy skinął głową i podniósł szlaban. Taksówkarz wjechał i zaparkował przy wejściu na dworzec.

— *Ciuch, ciuch* — powiedział, gdy w końcu otworzyła drzwiczki i wysiadła, zderzając się prawie z mężczyzną niosącym na barkach prosiaka.

Wielebny Huang miał rację: nie wiedziała o Chinach zupełnie nic.

— Dzień dobry — odezwał się ktoś za nią.

Odwróciła się błyskawicznie. Był to pan An. Miał na sobie dokładnie to samo co zeszłej nocy — stary sweter z zapiętymi wszystkimi guzikami, ciemnoszare spodnie do kostek, zdarte buty z brązowej skóry — ale w rękę zamiast futerału na skrzypce trzymał torbę Japońskich Linii Lotniczych. Spojrzał na zegarek.

— Punktualnie co do sekundy — rzekł, spoglądając na nią spod krzaczystych brwi. — To w chińskim stylu.

— Punktualność jest cnotą królów — odparła bez zastanowienia.

Było to ulubione powiedzenie w jej rodzinie od czasu, kiedy to Sam Goldwyn przez cały wieczór podobno chodził za jej ojcem, by mu je objaśnił.

— Czy to powiedzenie?

— Tak.

— Ale chyba nie chińskie.

— Raczej nie.

— *Wcale* nie chińskie. — An zamyślił się. — Ale podoba mi się.

Kupili bilety w „miękkiej” klasie na pociąg o 6:27 do Wuxi. Na podłodze wagonu leżało pełno łupin od słonecznika, cienko wyściełane siedzenia obite były skórą, a z głośników płynęła muzyka wojskowa. Usiedli przy rozkładanym stoliku przykrytym poplamionym obrusem.

Dziewczyna z brudem za paznokciami postawiła przed nimi dwa kubki z gorącą wodą. Beth czekała, aż przyniesie torebeczki z herbatą. Nie przyniosła.

W wagonie nie było innych osób. Punktualnie o 6:27 pociąg ruszył. Pan An spojrzał na zegarek.

— Co do sekundy — powiedział. — Zawsze zaczynamy pracę na czas. Co prawda, za wiele tam nie robimy, ale nigdy się nie spóźniamy.

Zaśmiał się trochę za długo i za głośno. Powietrze wypełnił zapach miodu i pomarańczy. Beth po raz kolejny zastanowiła się, czy nie jest trochę szalony, i odkryła, że jej też niewiele do tego stanu brakuje.

An wcisnął swoją torbę pod siedzenie i zapytał: — Dobrze pani spała?

— Raczej nie.

Był zaskoczony. — Przecież to dobry hotel. Mieszkał w nim kiedyś Noël Coward.

Czekał na jej wyjaśnienie. Ponieważ się nie odezwała, oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

— Podoba się pani jego twórczość?

— Nie za bardzo.

— Nie?

— A panu się podoba? — spytała zastanawiając się, co An wiedział o pisarstwie Cowarda.

Czas płynął. Gdy spojrziała na niego znowu, spał.

Sączyła gorącą wodę. Tuż przy dnie kubka zawisła podejrzana chmurka czerwonych drobin. Przestała pić, kiedy się do nich zbliżyła.

Pociąg przejechał przez miasto przypominające dziewiętnastowieczne Allentown w brzydki dzień. Niebo było szare, choć nie było na nim ani jednej chmurki. Gdzieniedzie między stalowymi torami a betonowymi chodnikami pojawiały się małe ogródki warzywne.

Stopniowo obszary zieleni zaczęły się powiększać, a betonowa dżungla kurczyć. Znaleźli się na wsi. Niebo stało się błękitne, a teren dokoła — płaski i bezdrzewny — zielony. Wzdłuż torów ciągnęły się poletka ryżowe. Tu i ówdzie zamajaczała grupa niskich budynków. Czasami Beth widziała proste jak droga przez prerię kanały, które niknęły na horyzoncie. Raz zobaczyła mężczyznę w kapeluszu z szerokim rondem, płynącego sampanem; na dziobie stała koza. Potem ujrzała kobietę samotnie ćwiczącą tai chi na polu. Nie licząc wojskowej muzyki, było tak spokojnie, że prawie zapomniała o handlarzu figurkami.

Pociąg zatrzymał się na małej stacji. Stała tam tablica z nazwą, ale napis był po chińsku. Do ich wagonu wsiadło dwóch żołnierzy. Poczula nagły przypływ adrenaliny. Przeniosła ciężar ciała na stopy, ale żołnierze nie zwracali na nią uwagi. Jeden usiadł, a drugi poszedł na koniec wagonu i pstryknął przełącznikiem w ścianie. Muzyka zamilkła.

An obudził się. Sięgnął do swojej torby i wyciągnął tutkę z pakowego papieru. W środku były pomarańczowe landrynki. Poczęstował Beth, sam też wziął jedną.

— Czy pana brat w Wuxi jest bardzo chory? — zapytała.

Uśmiechnął się.

— Wcale nie jest chory. I nie mieszka w Wuxi. — Pochylił się. — Ale sekretarka mojego *danwei* ma siostrę w Wuxi. A ona ma stary rower, którego już nie potrzebuje. Rower w sam raz odpowiedni dla syna sekretarki. Jadę właśnie po ten rower. — Przerwał, z wyrazem oczekiwania na twarzy.

— Ale najpierw musi pan odwiedzić brata.

— Otóż to! — Roześmiał się i klasnął w dłonie. — Zaczyna pani rozumieć Chiny.

Żołnierze spojrzeli na niego. Nie zauważył.

Gdy pociąg ruszył ze stacji, dziewczyna z obsługi zabrała ich kubki i znowu włączyła muzykę. Pociąg minął długi szereg mężczyzn i kobiet kąpiących rów przy torach. Był głęboki, więc pracowali na dwóch poziomach. Ci z dołu

wrzucali ziemię na bambusową platformę, ci z platformy — na górę. Dwukrotnie przerzucali ten sam ciężar. Nigdzie nie było widać żadnych maszyn.

Pana Ana to nie interesowało. Ssał cukierka. Jego oczy zaczęły się zamykać.

— Do kogo mnie pan zabiera? — zapytała.

— Nie wiem. To jakiś znajomy wielebnego. Chrześcijanin.

Jeden z żołnierzy wstał i wyłączył muzykę.

— A czy pan jest chrześcijaninem?

— Nie. Krzyż wywołuje u mnie poczucie winy.

Pociąg nabrał prędkości, a koła wystukiwały równy rytm. Panu Anowi opadły powieki. Beth pomyślała, że zasnął. On jednak, nie otwierając oczu, powiedział: — Jestem jazzmanem.

— Tego dowiedziałam się wczoraj wieczorem.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się.

— Coś pani pokażę.

Z kieszeni marynarki wyjął wytarty portfel, a z niego położył wycinek z gazety. Artykuł zatytułowany był „*Satchmo à la Boîte Rouge*”. Było też zdjęcie Louisa Armstronga, bardzo młodego i szykownego. Śmiał się, przy czym nie był to jeden z jego słynnych uśmiechów z wylupiastymi oczami; ten był szczery, taki, jaki zagubił pewnie gdzieś w późniejszych latach swojej kariery. W jednej ręce trzymał trąbkę, drugą obejmował młodego mężczyznę, jeszcze pewnie nastolatka. Młodzieniec trzymał w ręku skrzypce. Był Chińczykiem.

— Grał pan z Louistem Armstrongiem?

Przytaknął. — Pewnego lata w Paryżu. A potem w Berlinie. Jego oczy zwilgotniały. Otarł je rękawem.

— Nie widziałem go od 1932 roku. Chciałbym się jeszcze kiedyś z nim spotkać. — Wpatrywał się w wycinek.

Beth popatrzyła na niego. — Czy nie wie pan, że on już nie żyje? — zapytała w końcu.

An podniósł wzrok. — Kto go zabił?

— Nikt. Po prostu umarł.

— Kiedy?

— Nie pamiętam. Jakies dziesięć czy dwanaście lat temu.

— Nie pamięta pani?

— Niedokładnie. Dziwne, że nie pisali o tym w waszych gazetach.

— Pewnie pisali — odparł starszek i schował wycinek. — Byłem w tym czasie nieobecny.

— Był pan poza krajem? Na występach?

Uśmiechnął się, ale nie tak jak przedtem. Był to tylko grymas ukazujący brązowe zęby.

- Zniknąłem z tego świata.
- Co pan ma na myśli?
- Byłem w prowincji Qinghai.
- Gdzie to jest?

Spojrzał na nią zaskoczony. — Ta prowincja jest większa od Francji — powiedział, po czym się roześmiał. — Ale nie tak sławna. Leży w zachodnich Chinach, na północ od Tybetu. Było tam mnóstwo obozów pracy. Może zresztą nadal są. Czerwona Gwardia zesłała mnie do jednego z nich.

- Dlaczego?
- Bo byłem jazzmanem — znowu pokazał w uśmiechu spróchniałe zęby.
- Co pan tam robił?
- Budowałem drogi. Przez cztery lata. To nie był długi wyrok. Wielebny dostał dziesięć lat.
- Wielebny Huang?
- Tam go poznałem.
- Czy znalazł się w obozie, bo był duchownym?

An kiwnął głową. — Przez dwa lata trzymali go w celi, która była za mała, by w niej stanąć. Albo się położyć. Dlatego jest teraz taki garbaty. Za oknem mignął jej drugi rząd robotników.

— Obecnie jest lepiej — ciągnął starzec. — Nie miałem skrzypiec w rękach przez dwadzieścia lat. Teraz znowu gram. — Uśmiechnął się i włożył do ust następnego cukierka.

Na zewnątrz pojawiły się budynki. Były coraz większe. Pociąg wjechał na stację.

- Wuxi — oznajmił pan An wstając.
- Jak daleko jest stąd do jeziora Tai?
- Niedaleko. Pojedziemy autobusem numer jedenaście.

Ruszyła za nim do drzwi. Po drodze spojrzała na żołnierzy. Nie wyglądało na to, żeby mieli wysiąść. Dziewczyna z obsługi przeszła przez wagon, łuskając ziarna słonecznika. Włączyła muzykę. Żołnierze wpatrywali się w jej plecy, ale już nie wstali. Wiedzieli, że zostali pokonani.

*Ale nie wielebny Huang, pomyślała Beth. I nie pan An.
I nie ja.*

Na brudnej od sadzy ścianie za przystankiem autobusowym wisiały cztery plakaty. Pierwszy ukazywał ponurego mężczyznę w średnim wieku. Drugi: stosik dolarów z Hongkongu. Trzeci: szufladę pełną zegarków. Czwarty: tego samego ponurego mężczyznę w średnim wieku, tyle że z ogoloną głową, kłęczącego na płycie stadionu, z zawieszoną na szyi planszą z chińskimi napisami. Za nim stał żołnierz. Widzowie obserwowali wszystko z trybun na drugim planie.

Pan An zapytał: — Czy jest to dla pani zrozumiałe, bez napisów? — W jego głosie nie było ironii, tylko ciekawość.

— Mężczyzna nielegalnie nabył dolary z Hongkongu. Za nie kupił zegarki, prawdopodobnie, żeby je sprzedać na czarnym rynku — odpowiedziała.

An zachwycony klasnął w dłonie.

— Bardzo dobrze. Bardzo, bardzo dobrze. Przez chwilę myślała, że poklepie ją po plecach.

— A co się potem stało? — zapytała.

Wyglądał na zaskoczonego i trochę zawiedzionego, jak gdyby przecen» jej inteligencję.

— Chodzi pani o czwarty plakat?

— Tak.

— Żołnierz zastrzelił go oczywiście. Czy nie widzi pani pistoletu przy pasie?

— Myślałam, że to może jakiś proces.

— Był proces. Najpierw proces, potem egzekucja. — Zachichotał.

Przyjechała jedenastka. Bileterką była piękna dziewczyna o włosach jak surowy, czarny jedwab. Zbadała wzrokiem każdy centymetr ubrania Beth. Autobus skręcił w czteropasmową drogę i przejechał po małym garbatym mostku. Przepływała pod nim mętna woda.

— Wielki Kanał — wyjaśnił pan An. Stojący na mostku żołnierz wydymuchał do niego nos.

Droga wybiegła za miasto i prowadziła teraz nad błękitnym jeziorem. Beth zauważyła siatki na ostrygi, a w oddali dżonkę z kwadratowym brązowym żaglem. Drugi brzeg leżał za horyzontem.

Autobus zatrzymał się przy jakiejś bramie. Tuż za nią zaczynał się mostek, najwyżej trzy, czterometrowy, łączący brzeg z zieloną, płaską wyspą. Dachówki skośnych dachów lśniły w słońcu. Beth obróciła się do swego przewodnika. Chińczyk spał.

— Panie An.

Otworzył oczy. Zasnęły je ciemne chmury. Mrugnął kilka razy i chmury znikły.

— Wyspa Żółwia Głowa — powiedział.

— Żółwia Głowa? — Ta nazwa z czymś jej się kojarzyła.

Pan An uraczył ją swym zdumionym spojrzeniem. Znowu przecenił poziom jej inteligencji.

— Nie widzi pani podobieństwa?

Wysiedli z autobusu i podeszli do wejścia na mostek. Bilety kosztowały jedną dziesiątą juana, równowartość pięciu centów. Minęli bramę. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzeni, był pełen wdzięku pawilon górujący nad jeziorem. Zgromadzono w nim mnóstwo pamiątek i upominków.

— Spodziewam się, że lubi pani cloisonné? — zapytał ponuro. Jego francuski akcent brzmiał równie dobrze jak Yvesa Montanda.

— Nie bardzo.

Minęli sklep z pamiątkami, przeszli przez garbaty mostek, potem następny. Wszędzie były kwitnące śliwy, skalne ogródki, filigranowe pawilony, ścieżki, które skręcały wtedy, gdy nie musiały, i dżonki na jeziorze. Żółwia Głowa była taoistycznym Disneylandem.

Dróżka zaprowadziła ich do małej, różowej latarni morskiej z dachem jak pagoda. Stała na samym brzegu jeziora. Przy latarni krzątał się mężczyzna z osadzoną na bambusie szczotką. Zmiał do wiklinowego kosza płatki śliwowego kwiecia.

— To pewnie on — powiedział pan An. — Proszę tu zaczekać.

Podszedł do mężczyzny i zaczął coś do niego mówić. Ten słuchał, od czasu do czasu spoglądając na Beth. Stożkowy kapelusz ze słomy rzucał na niego cień, więc nie widziała wyrazu jego twarzy. Powiedział coś wysokim głosem. Pan An odpowiedział zbyt cicho, by mogła go usłyszeć. Mężczyzna nie odzywał się już. Pan An skinął na nią, żeby podeszła.

— To jest pan Lao — powiedział.

Pan Lao sięgał jej ledwie do ramienia. Natychmiast zauważyła jego dłoń — grube i żyłaste. Resztę ciała można było wykorzystać podczas lekcji anatomii. Spod słomkowego kapelusza błyskały w stronę Beth jego oczy.

— Czy mówi pan po angielsku? — zapytała.

— Trochę. — Rzekł to tak niewyraźnie, że ledwie go zrozumiała.

— Czy zna pan Pei Ming?

Odwrócił wzrok. — Przykro.

— Co to ma znaczyć?

— Przepraszam.

— On nie rozumie — wyjaśnił pan An i zwrócił się do niego po chińsku, z czego Beth rozróżniła tylko dwa słowa: Pei Ming.

Pan Lao przytaknął niechętnie.

— Zna ją — rzekł An.

Beth podeszła bliżej do małego mężczyzny, jak gdyby poniosła ją jakaś fala.

— Gdzie ona teraz jest? Czy mogę się z nią zobaczyć?

Lao cofnął się i zaczął kręcić głową, jeszcze zanim do końca wysłuchał tłumaczenia.

— Dlaczego?

An przekazał jej pytanie. Lao odpowiedział. An spytał o coś jeszcze, a tamten znowu odpowiedział. Rozgadali się na dobre. Lao wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Na opakowaniu była panda. Poczestował Ana i sam wziął jednego. Pan An przypalił papierosy i wrzucił zapalnik do jeziora. Beth patrzyła na ich oczy, uważała na każdą zmianę intonacji, przerwy w rozmowie, język ciała. Nie zrozumiała jednak ani słowa.

W końcu An odwrócił się do niej i powiedział: — Ta kobieta wyjechała.

— Dokąd?

— Mówi, że nie wie.

— Kiedy?

— Piętnaście lat temu. W czasie rewolucji kulturalnej. Oskarżono ją o zadawanie się ze złym elementem.

— Więc została aresztowana?

— Została zabrana.

— Czy ma gdzieś tutaj rodzinę?

An chciał przetłumaczyć, ale nim zdążył się odezwać, Lao pokręcił głową. Zrozumiał pytanie Beth. Potem powiedział coś do Ana, który przełożył:

— Całą rodzinę oskarżono o zadawanie się ze złym elementem.

Spojrzała na jezioro, myśląc, o co jeszcze zapytać. Po wodzie sunęły trzy duże dżonki z wysokimi, kwadratowymi rufami. Poczula na sobie wzrok mężczyzn.

— Czy pan Lao także był aresztowany w czasie rewolucji?

An przetłumaczył pytanie. Oczy Lao zwięzły się. Pokręcił głową.

— Dlaczego, skoro jest chrześcijaninem?

An popatrzył na nią przez chwilę, po czym się roześmiał.

— Nie mogli aresztować wszystkich. To najważniejsze, co należy wiedzieć o Chinach. Jest nas ponad miliard.

Kilkunastoosobowa grupka białych przeszła przez mostek za swoim przewodnikiem. Spojrzeli na Beth, a ona poczuła szalone pragnienie, żeby

do nich podbiec i porozmawiać — o baseballu, problemach z szukaniem mieszkania, o czymkolwiek. Nagle ujrzeli dżonki.

— Zobaczcie, prawdziwe chińskie dżonki.

Minęli latarnię.

— O, chińska latarnia morska.

Przeszli wokół ogródka skalnego i zniknęli jej z pola widzenia. Za nimi przyczłapała stara kobieta ze szczotką. Zamiatała. Na głowie miała opadającą na oczy chustę. Kiedy zobaczyła Beth i obu mężczyzn, stanęła i odezwała się ze złością.

Lao odpowiedział, czym rozsierdził ją jeszcze bardziej. Podeszła bliżej i pomachała mu miotłą przed nosem, podnosząc głos. An wszedł między nich i rzekł coś łagodnie. Beth usłyszała słowo *Huang*.

Kobieta umilkła. Spojrzała na Beth. Następnie charknęła, splunęła i odeszła w stronę ogródka skalnego, schylając się po drodze po papierek od cukierka, który wygładziła i schowała do kieszeni.

— O co tu poszło? — Beth spytała Ana.

— To żona pana Lao — odparł tylko.

— Ale dlaczego była taka zła?

An wyglądał na zakłopotanego.

— Niedaleko jest restauracja. Może zjemy lunch. Potem wrócimy do miasta. O trzeciej jest pociąg do Szanghaju. — Przerwał. — Przykro mi, że wycieczka nie okazała się bardziej owocna.

W te delikatne słowa ubrał niezaprzeczną prawdę: nie znajdzie tutaj Pei Ming. Teraz musiałaby uzyskać dostęp do danych dotyczących aresztowań w czasie rewolucji — jeżeli takowe w ogóle istniały. Dostęp, uświadomiła sobie nagle, który na pewno uzyskalby bardzo ważny zdrajca. Zemdlilo ją, gdy spytała:

— Czy ktoś inny szukał Pei Ming?

An zapytał Lao.

— Nie.

Poczuła się lepiej. Stała jak wryta, jakby czekając na pomysł lub przypływ energii, by móc się ruszyć. An spojrzał na zegarek.

— No cóż, w takim razie...

— Jeszcze tylko jedno.

Wyjęła z kieszeni zdjęcie — Rex Heidemann, Helen Brock i J. Han, jezioro Tai, 1948 — i pokazała je panu Lao.

— Proszę spytać, czy znał kogoś z tego zdjęcia.

Nim skończyła mówić, zobaczyła odpowiedź w oczach starca. Wskazywał palcem na fotkę i mówił coś gorączkowo. Wszyscy troje zbliżyli się do siebie.

— Bardzo dobrze pamięta tych cudzoziemców — wyjaśnił An. — Szczególnie mężczyznę. Był misjonarzem. Pan Lao często chodził na jego msze. Pracował też u niego w ogrodzie.

— Gdzie?

— Tutaj. Nad jeziorem Tai. Cudzoziemcy mieli tutaj domek letniskowy.

Beth zadała pytanie, od którego powinna była zacząć: — Czy znał wtedy Pei Ming?

An przetłumaczył pytanie.

— Tak. Pracowała w tamtym czasie w innym domku, niedaleko stąd.

Pan Lao powiedział coś do Ana, nie odrywając wzroku od zdjęcia. Może przypomniało mu o latach młodości, może nie widział wcześniej wielu fotografii.

— Pyta, czy zna pani tych cudzoziemców.

— Znam. — Coś się w niej obudziło i zajęło miejsce odrętwienia. — To oni dali mi to zdjęcie i poprosili, bym pozdrowiła wszystkich ich dawnych znajomych, których spotkam.

An przetłumaczył. Twarz pana Lao pojaśniała, gdy usłyszał te słowa. Wskazując ręką gdzieś za ogródek skalny, przemówił do Ana.

— Twierdzi, że domku cudzoziemców już nie ma, ale stoi jeszcze ten, w którym pracowała Pei Ming, i może nas tam zaprowadzić, jeśli pani chce.

— Bardzo bym chciała. Czy to daleko?

— Niedaleko. Dom jest tutaj, na wyspie. W dawnych czasach było to miejsce, gdzie latem przyjeżdżali bogaci ludzie.

Poprowadził ich koło ogródka, pod górkę. Wciąż trzymał w dłoni zdjęcie.

— Proszę go zapytać, czy znał tego Chińczyka.

An przetłumaczył. Lao odpowiedział, marszcząc brwi.

— Widział go raz — przekazał An.

— Czy to jego dom zobaczymy? Czy to u niego pracowała Pei Ming?

An powtórzył jej pytania. Lao zatrzymał się i popatrzył na Beth, a dopiero odpowiedział.

— Mówi, że nie. Pyta, dlaczego chce pani wiedzieć to wszystko.

Spojrzała w ukryte pod słomkowym kapeluszem oczy. — Proszę mu powiedzieć, że wyświadczam przysługę wielbnemu Huangowi.

An spojrzał na nią i przemówił do Lao. Tamten wyznał coś cicho.

— Co powiedział?

— Że wielbny Huang to wspaniały człowiek — odparł An, obserwując ją.

Beth nie odzywała się już.

Dotarli na szczyt niewielkiego wzniesienia. Ujrzeni zatoczkę utworzoną przez dwa pasy łądy wcinające się w jezioro. Na tym bardziej odległym stał duży żółty dom ze skośnym dachem, pokrytym zielonymi dachówkami. Obydwa cyple połączone były ścieżką biegnącą przez wiśniowy sad i mały mostek. Na bliższym pasie łądy stał czerwony pawilon.

Pan Lao wskazał na duży dom.

— Tam właśnie pracowała Pei Ming — wyjaśnił An. Przyjrzał się brzegowi. — Szczęśliwe ułożenie elementów. Według chińskich wierzeń.

Beth zeszła po pagórku w stronę pawilonu. Miał czerwony dach o zadartych w górę brzegach, podtrzymywany przez cienkie kolumny w tym samym kolorze; dookoła biegła wysoka ażurowa balustrada. Beth otworzyła drzwi i weszła do środka.

Po drewnianej podłodze wały się zeschnięte liście. Pośrodku znajdowała się kłapa z zardzewiałym rygłem. Schyliła się i spróbowała go odsunąć. Skutek był taki, że wyrwała zasuwę.

Wyszła z pawilonu. Dwaj mężczyźni obserwowali ją ze szczytu pagórka. Podeszła do nich i powiedziała:

— Chciałabym dowiedzieć się czegoś o tym, jak pan Lao spotkał tego Chińczyka ze zdjęcia.

Lao przez chwilę wpatrywał się w fotografię, zanim zaczął mówić. Rozprawiał długo. Raz wskazał na strumień i wykonał swymi wielkimi palcami ruch naśladujący bieganie. Kiedy skończył, An zapytał go o coś ostrym tonem. Lao chrząknął ze złością. An też chrząknął i zwrócił się do Beth.

— Pan Lao widział go tylko raz, tak jak mówił. Było to wiosną 1949 roku. Nie pamięta dokładnej daty, ale łatwo będzie ją ustalić, bo było to dzień przed wyzwoleniem Wuxi. Stały tu wtedy dwa domy — ten żółty z pawilonem i dom cudzoziemców przy strumieniu, za tymi małymi drzewkami. Nie znam ich angielskiej nazwy.

— Palmetto.

— Palmetto. Dziękuję. Człowiek nigdy nie skończy uczyć się angielskiego. Z chińskim zresztą jest tak samo. — Pomyślał chwilę. — Różnica jest tylko taka, że wszystkie chińskie słowa brzmią po chińsku. A w angielskim czasami nie wiadomo. *Palmetto...*

Zaśmiał się trochę za głośno i za długo. Potem znowu zatopił się w myślach. Z wody wyskoczyła srebrna ryba i spadła do niej z pluskiem. To jakby zdjęło z niego czar.

— Dom cudzoziemców w tym czasie stał pusty. Jeszcze nie przyjechali z Szanghaju. Pan Lao przygotowywał ogród na ich przybycie. Tamtego wieczora położył się wcześniej, tuż po zachodzie słońca. Spał w szopie na

narzędzia niedaleko domu. W nocy coś go zbudziło. Zobaczył światła w oknach. Bał się, bo myślał, że to żołnierze Chiang Kai-sheka albo jacyś bandyci. Został w szopie. Potem zaczął się martwić, że jeśli coś zniszczą, to wszystko będzie na niego. Wstał więc i podpełzł do domu. Zajrzał przez okno. W środku było wielu mężczyzn. Tuzin, może więcej. Wyglądali na bandziorów. Potem stało się coś, co go zbiło z tropu. W polu widzenia pojawiło się jeszcze dwóch ludzi. Jednym z nich był misjonarz, do którego należał dom. — An wskazał na Rexa Heidemanna na zdjęciu. — Drugim był on. — Pokazał Chińczyka. — Pan Lao nie wiedział, co myśleć. Był członkiem kościoła białego człowieka, ale pozostali wyglądali jak bandyci. Wrócił więc do szopy, ale nie mógł spać. Tuż przed świtem usłyszał, jak w stronę jeziora biegają jacyś ludzie. Pozostał w składziku do południa. Potem poszedł do domu. Stał pusty. Nigdy już nie zobaczył żadnego z tych mężczyzn.

— Nawet cudzoziemca?

— Nie. Tego dnia Armia Ludowa zajęła Wuxi. Cudzoziemiec nigdy nie powrócił.

— A co z Pei Ming?

— Pan Lao mówi, że po południu poszedł do żółtego domu. Stał pusty, chociaż wiedział, że jego mieszkańcy byli w nim jeszcze poprzedniego dnia. A drzwi były wylamane. Pan Lao czekał, aż przyjedzie policja, ale nie przyjechała. Po wojnie zesłano go na północ w celu reedukacji w związku z jego kontaktami z białym pastorem. Trzy lata później mógł wrócić na Żółwią Głowę. Przypisano go do komuny ludowej. Właśnie wtedy zobaczył znowu Pei Ming — pracowała w tym samym gospodarstwie. Po rewolucji kulturalnej komunę rozwiązano, a pan Lao otrzymał swoją obecną pracę — opiekuna tego parku.

— A ludzie, dla których pracowała Pei Ming, ci z żółtego domu, czy też ich potem spotkał?

An przetłumaczył pytanie.

— Nie.

— Kim oni byli?

An przekazał jej odpowiedź Lao. — To była bogata rodzina z Szanghaju. Mężczyzna, kobieta i dziecko, którym opiekowała się Pei Ming.

— Jak się nazywali?

An przetłumaczył pytanie.

— Wu — odparł Lao.

Prąd przebiegł przez jej ciało, jak gdyby zamknięto obwód elektryczny.

— Proszę go spytać, co jeszcze o nich wie.

An zapytał. Lao odpowiedział ze zniecierpliwieniem.

— Twierdzi, że nic.
— Nic? Przecież gdy pracował z Pei Ming w jednej komunie, to chyba rozmawiali o tym dniu, kiedy wszyscy zniknęli?

Lao prychnął, gdy usłyszał tłumaczenie jej słów.

— Co to znaczy?

— Mówienie o przeszłości to nie był wtedy najlepszy pomysł.

Lao rozglądał się dookoła. Nazwisko wielbnego Huanga straciło swą moc.

— Kto mieszka teraz w żółtym domu?

— Latem przyjeżdżają tu wysoko postawieni urzędnicy. Teraz nikogo w nim nie ma.

Popatrzyła na dom, w którym mieszkał kiedyś Wu Tun-li; zobaczyła jego odbicie w spokojnych wodach jeziora. Potem odwróciła się do Lao i wyciągnęła dłoń.

Ujął ją niechętnie. Jego ręka była twarda, szorstka, jakby martwa. Ścisnął jej dłoń i momentalnie puścił. Odwrócił się i skierował na drogę, którą tu przyszli, idąc w cieniu swego wielkiego kapelusza.

Beth i An zeszli z pagórka inną drogą i skierowali się na parking. Turyści robili sobie zdjęcia przed autokarem.

— Uśmiech proszę!

Autobusu numer jedenaście jeszcze nie było.

— Mam nadzieję, że zaraz przyjedzie — powiedział An.

Czekali. Na plac wjechały dwa małe czarne samochody i zaparkowały przy bramie. Z jednego z nich wysiadł mężczyzna. Był wysoki i nosił garnitur w zachodnim stylu. Zza kiosku z biletami wyszła jakaś kobieta i zaczęła z nim rozmawiać. Żona pana Lao.

Podjechał autobus. Wsiadli. W środku poza nimi, kierowcą i bileterką nie było nikogo. Autobus wykręcił i skierował się na drogę do Wuxi.

Przez stojące przy drodze topole prześwitywało słońce. Wyprzedzili parę jadącą obok siebie na rowerach. Mężczyzna obejmował kobietę. Beth zamknęła oczy.

— Proszę mi wybaczyć, że pytam, ale dlaczego szuka pani tej Pei Ming?

— Wielbny Huang panu nie powiedział?

— Nie. — Zrobił przerwę. — Ludzie wyrabiają w sobie nawyki ostrożności.

Właściwie czemu nie miałyby mu powiedzieć? Przecież i tak wracała do Stanów. Cóż więcej mogła zdziałać w Chinach? Zatoczyła krąg i choć nie zyskała wiele, to przynajmniej nie tkwiła już w ślepej uliczce. Po pierwsze wiedziała, że Teddy nie przyjechał nad jezioro Tai. Po drugie chciała raz jeszcze porozmawiać z Rexem Heidemannem.

An przyglądał się jej uważnie. I Beth pewnie opowiedziałaby mu o wszystkim, gdyby nie miała świeżo w pamięci jego uwagi o nawykach ostrożności. Odezwała się wreszcie:

— Był pan dla mnie bardzo dobry, panie An. Nie chciałabym pana urazić, ale czy jest coś, co mogłabym panu przysłać ze Stanów?

Nastąpiła długa cisza. W końcu powiedział: — Bardzo bym chciał mieć walkmana.

Roześmiała się i położyła mu rękę na kolanie. Odwrócił się do niej. W jego oczach zobaczyła troskę.

— Może to nie jest dobry pomysł. I tak otworzą paczkę.

— Znam kogoś, kto puszcza w radiu jazz. Ta osoba prześle panu walkmana, na paczce nie będzie mojego nazwiska. Taka specyficzna wymiana kulturalna.

Westchnął. — Nie. To na pewno nie jest dobry pomysł.

Zastanawiała się, czy przyjąłby zamiast tego pieniądze. Wciąż nad tym myślała, gdy wyminęły ich dwa małe, czarne samochody. Kierowca drugiego z nich wystawił rękę i kazał im się zatrzymać. Autobus zjechał na pobocze.

— Co się dzieje? — zapytała.

Czarne wozy stanęły pośrodku drogi. Z jednego wysiadł mężczyzna w zachodnim garniturze i podszedł do autobusu. Dwóch innych wysiadło z drugiego auta i szło za nim. Mieli niebieskie mundury, a w dłoniach trzymali karabiny automatyczne o krótkich lufach.

— *Gong An Ju* — wyszeptał An tak cicho, że ledwie go usłyszała.

— Co?

— Biuro Bezpieczeństwa Publicznego.

Pan An znieruchomiał. Patrzył, jak mężczyzna w garniturze zmierza do autobusu. Wydawało się, że prawie nie oddycha. Elegant wszedł do środka i powiedział coś do Ana: tylko jedno słowo. Ten wstał jak automat i ruszył w jego stronę.

— Panie An!

Zdawało się, że w ogóle jej nie słyszy. Mężczyzna w garniturze popatrzył i skinął na nią. Beth rozejrzała się. Kierowca i bileterka unikali jej wzroku. Kiwnął raz jeszcze. Wstała i wyszła za Anem z autobusu.

Elegant czekał przy schodach. Miał szczupłą twarz i długi wąski nos z dość wydatnym mostkiem jak na Chińczyka. Skierował ich do aut.

An już na niego nie patrzył. Patrzył na prześwitujące przez drzewa słońce. I nagle rzucił się do biegu — przez drogę, między drzewa, na pole, które ciągnęło się aż do jeziora. Biegł jak staruszek, którym przecież był — małymi, sztywnymi kroczkami.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn ruszył za nim.

— Nie! — krzyknęła Beth, ruszając naprzód. — Zostawcie go w spokoju! On niczego nie zrobił.

Drugi uzbrojony mężczyzna zagroził jej drogę, trzymając karabin na piersi.

Ten, który pobiegł za Anem, doganiał go. Starzec słyszał pewnie, że ktoś go ściga, ale się nie oglądał. Biegł przed siebie. Nie był szybki, ale też szybko się nie męczył. Był już prawie w połowie drogi do jeziora, gdy tamten dopędził go, uniósł karabin i uderzył kolbą w głowę. An padł do przodu, na kolana. Zaczął jak w amoku iść na czworakach. Wciąż się nie oglądał. Człowiek z bronią pozwolił mu tak ujść kawałek, po czym walnął go znowu. Beth straciła starca z oczu; upadł w wysoką po kolana trawę. Uzbrojony mężczyzna stał nad nim.

Beth zwróciła się do faceta w garniturze z krzykiem: — Co mu robicie? To przecież starzec.

Zignorował ją. Uczynił gest w stronę kierowcy autobusu, który zapalił silnik i odjechał ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Potem kiwnął na nią, żeby wsiadła do samochodu.

— Nigdzie nie muszę z wami jechać.

Uzbrojony mężczyzna uniósł wyżej swój karabin. Facet w garniturze znowu na nią skinął.

Autobus zniknął za zakrętem. Było bardzo cicho. Stali sami na zalanej słońcem drodze — ona, elegant i człowiek z bronią. W powietrzu czuć było wiosnę. Mogło się zdarzyć wszystko i nikt by się o niczym nie dowiedział.

Podeszła do samochodu. Ten z karabinem otworzył drzwi. Wsiadła. Drzwi się zamknęły.

27

Pomieszczenie było tak prymitywne, jak to tylko możliwe. Cztery betonowe ściany, betonowa podłoga, betonowy sufit. Żadnej farby, żadnych mebli, żadnego oświetlenia. Tylko jedno okno, wychodzące na mur z cegły. I jedne drzwi. Ale to nie prostota pomieszczenia budziła jej sprzeciw. Budziły go kraty w oknie i fakt, że drzwi były zamknięte na klucz od zewnątrz. Nikt nie oskarżył jej o żadne przestępstwo. Nikt nie odczytał jej praw. Nikt nie przyniósł jedzenia. Wsadzili ją zwyczajnie do tej celi i zamknęli drzwi.

Widziała jedynie ceglany mur. Słyszała tylko odgłosy ruchu na ulicy, zbyt daleko. Raz ktoś głośno powiedział: „Proszę o uśmiech”.

Nikt się nie zjawił, gdy waliła w drzwi. W jednym rogu stał dzban z wodą, teraz prawie pusty. Drugiego kąta musiała w końcu użyć jako toalety.

Spała na podłodze. W dzień chodziła po celi w tę i z powrotem lub opierała się o kraty w nadziei, że powieje wiatr. Ale mur nie dopuszczał do jej okna żadnego podmuchu, a powietrze było przesycone czadem.

Panika nadeszła, gdy nagle zbudziła się w środku nocy z walącym sercem. Próbowała się uspokoić, mówiąc sobie:

— Co z tobą? Nikt cię nie bije, nikt nie razi prądem. Nie czujesz już nawet zmęczenia. Jesteś tylko trochę głodna, to wszystko. Spędziłaś kiedyś noc w zimnej wodzie. Teraz to nic. Musisz jedynie poczekać. Więc czekaj.

Ale nie uspokoiła się, słysząc ton swego głosu. Chodziła po celi i wpatrywała się w mur z cegły. Siedziała, obejmując rękoma kolana. Leżała z dłońmi między udami. Czuła się jak jedna drobina z miliarda.

Drzwi otworzyły się czwartego dnia rano. Do celi wszedł mężczyzna w garniturze, ten, który ją aresztował. Miał na sobie to samo ubranie co wtedy: brązowy poliester, brak guzika przy rękawie.

Wstała z podłogi. On spojrzał na nią i zmarszczył swój długi nos.

Otworzył skoroszyt i wyciągnął z niego jakieś kartki. Nim go zamknął, zdążyła dostrzec swoje akta — zawierały zdjęcia od Helen Brock, wycinek z *Chronicle*, paszport Teddy'ego, list z Szanghaju.

— Śledztwo się kończy — oznajmił, podając jej papiery. — Jutro proces.

Beth przejrzała dokumenty: kolumny chińskiego pisma, u dołu każdej strony czerwona pieczęć.

— O co jestem oskarżona?

— Jutro proces — powtórzył. — Dziś przyznać się do winy.

Wyciągnął długopis i nad papierami w jej dłoni wykonał ruchy naśladowające pisanie.

— Podpisać zeznania — polecił.

— Jakie zeznania? Przecież jeszcze nie byłam przesłuchiwana.

Wypowiedziała to zbyt szybko i mężczyzna nie zrozumiał.

— Podpisać zeznania — powtórzył, wymachując jej przed nosem długopisem.

Wzięła go. Człowiek zbliżył się i pokazał jej, gdzie ma złożyć podpis. Zmarszczył przy tym nos.

— Jeśli śmierdę, to jest to tylko wasza pieprzona wina. — Cisnęła długopisem o ścianę.

Na jego szyi pokazały się ściegna. — Szpieg! — krzyknął.

— Gówno prawda! Jeżeli przeglądaliście moje akta, to sami wiecie.

Chwyliła teczkę i wyjęła swoje dokumenty. Jej palce gorączkowo szukały listu Teddy'ego.

— Macie Teddy'ego. Porwaliście go. Teraz porwaliście też mnie. I takie jest moje zeznanie!

Facet w garniturze chciał wyrwać jej skoroszyt i papiery. Wszystko, łącznie z niepodpisanym zeznaniem, upadło i rozsypało się po podłodze. Facet ruszył w pogoń za kartkami, schylając się i chwytając je jak jakiś robotnik rolny podczas zawodów w zwózce zboża. Drzwi były otwarte, ale Beth patrzyła tylko, jak Chińczyk sięga po dokumenty. Spojrzał na nią wściekle kilka razy. Kiedy już je pozbierał, wcisnął teczkę pod pachę, zrobił krok w jej stronę i uderzył ją pięścią w twarz. Upadła. Mężczyzna w garniturze wyszedł, kopniakiem zamykając drzwi.

Po chwili Beth wstała i do nich podeszła. Nie były zamknięte na klucz. Nasłuchiwała. Wszędzie panowała cisza.

Uchyliła je. Wyszła na korytarz, który kończył się szaroniebieską ścianą. Zaczęła biec.

Była już w połowie korytarza. Nagle przed nią otworzyły się drzwi. Wyszedł z nich mężczyzna w niebieskim mundurze. Zapinał właśnie spodnie. Gdy ją zobaczył, krzyknął i wyciągnął pistolet. Usłyszała trzask. Zatrzymała się i podniosła ręce do góry. Mężczyzna szturchnął ją pistoletem w pierś. Wycofała się pod ścianę.

Przybiegli inni ludzie. Odprowadzili ją do celi, położyli twarzą w dół na betonowej posadzce i skuli jej kajdankami ręce i nogi. Czuli, że chętnie by ją sprali, czekali tylko na jakiś pretekst. Nie dała im go. Wyszli i zamknęli drzwi.

Nie mogła wstać ani usiąść. Mogła się tylko toczyć. Zrobiła kilka obrotów. Nie było to łatwe i sprawiało ból w barkach, więc dała sobie spokój. Mur z cegły za oknem zaczął tracić kolor. Stawał się niewyraźny, potem zniknął zupełnie.

Nie spała. Myślała o Anie. „Jutro proces”, oznajmił jej mężczyzna w garniturze. „Najpierw proces”, mówił An. „Potem egzekucja.”

Zapadła noc. Odgłosy ulicy ucichły. Wuxi było bardzo spokojne jak na miasto, w którym mieszkało — ile to ludzi? Nie miała już ze sobą książki faceta z samolotu. Nie miała swoich dowodów, torebki, paszportu. Nie miała Teddy'ego. Ani wolności. Straciła ją, będąc w Chinach niecałe dwa dni. Nie osiągnęła nic poza jednym — śmiercią Alberta Linga.

Długowłosy chłopak w Berkeley też zginął. Próbowali zabić i ją: najpierw na morzu, potem w hotelu Dolores; jutro pewnie spróbują w jakimś obскурnym budynku, w którym urzęduje *Gong An Ju*.

Po długim czasie mur z cegły oddzielił się od nocy jak obraz na ekranie telewizora, gdy ustawia się ostrość. Najpierw był to tylko szary cień, lecz stawał się coraz wyraźniejszy. Pojawiały się kolory — brązowy, żółty i w końcu czerwony. Przez chwilę mur był dla niej równie interesujący, jak fasada katedry w Rouen dla Moneta. Potem znów stał się tylko murem.

Od tych więzów wszystko ją bolało. Próbowwała leżeć na prawym boku, na lewym, na plecach. Żadna pozycja nie była wygodna i tylko ból stał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Ale mogło być jeszcze gorzej; to już wiedziała. Mogli zostawić ją spętaną, aż zaczęłaby wyglądać jak wielebny Huang. Starła się o tym nie myśleć. Im właśnie o to chodziło: żeby nawiedzały ją takie myśli.

Drzwi się otworzyły. Beth leżała twarzą w dół. Odwróciła głowę i zobaczyła, że do celi weszła jakaś kobieta. Niosła mopa i wiadro. Nie patrząc nawet na nią, sprzątnęła nieczystości z kąta.

Za kilka minut wróciła z tacą z jedzeniem: dzbanek herbaty, filiżanka, miseczka ryżu, pałeczki. Postawiła tacę na podłodze przy prawie pustym dzbanie z wodą i wyszła.

Zapach ryżu wypełnił celę. Tłumił smród czadu, odchodów i jej własny zapach. Czy oczekiwali, że przetoczy się do tacy i zanurzy twarz w misce ryżu? Czy to miała być tortura?

Nie, to tylko brak organizacji. Drzwi otworzyły się znowu i kobieta wróciła, brzęcząc kluczami. Ucisk kajdan nagle ustąpił. Drzwi się zamknęły.

Beth poruszyła rękoma i nogami. Wracało jej czucie, ale wracało jako ból. Wstała. Zakręciło się jej w głowie, więc usiadła.

Kilka minut później spróbowała raz jeszcze. Zataczając się, podeszła do kąta, gdzie stał dzban z wodą. Woda była ciepła i mętna. Wypiła wszystko.

Spojrzała na ryż: był rozgotowany i tkwiły w nim jakieś szare grudki, które mogły być kawałkami ryby. Nie tknęła go.

Naląła sobie herbaty. Była jeszcze dość ciepła, by nagrzać wyszczerbioną filiżankę. Usiadła przy ścianie, obejmując dłońmi naczynie i popijając od czasu do czasu. Herbata rozeszła się po jej ciele jak środek uśmierzający ból.

Otworzyły się drzwi. Wszedł mężczyzna w garniturze. To samo ubranie bez guzika. Ten sam człowiek, ten sam nos — zbyt kościsty jak na Chińczyka, prawie zdeformowany. Na jego twarzy gościł szeroki, niespokojny uśmiech, który też wyglądał jak deformacja.

— Herbata dobra? — zapytał. — Herbata dobra? — Zobaczył nietknięty ryż. — Ryż nie lubić? — podszedł do tacy, wziął pałeczki i wykonał gest jedzenia. — Ryż dobry. Tak?

Był jak brat, który terroryzował swoją młodszą siostrę przez cały dzień do chwili, gdy rodzice wrócą z pracy. Zastanawiała się, czy sędzia, jeżeli w ogóle jakiś będzie, sprawdzi, czy nie była maltretowana. Z tego, co mówił An, nie było to raczej prawdopodobne.

Mężczyzna odłożył pałeczki.

— Herbata dobra? — zapytał po raz kolejny z mniejszym entuzjazmem w głosie, za to większym niepokojem w uśmiechu.

Beth to pasowało. Odstawiła filiżankę na tacę. Spojrzał na nią, nieszczęśliwy. Jego oczy i całe ciało wyrażały perswazję i zachętę, których nie umiał wyrazić po angielsku.

Kołysał się przed nią jeszcze kilka chwil. Potem podciągnął rękaw marynarki i pokazał swój zegarek. Jej zabrano wraz z innymi rzeczami. Była za dziesięć ósma.

— Iść teraz — powiedział.

— Na proces?

Zaśmiał się, jakby opowiedziała świetny dowcip.

— Nie, nie, nie. Beijing.

— Do Pekinu?

To go rozśmieszyło jeszcze bardziej. — Do Pekin. Tak, tak. Iść.

— Czy proces odbędzie się w Pekinie?

— Ha, ha, ha. Przepraszać, przepraszać.

Wyszli korytarzem na zewnątrz. Czekał już na nich jeep. Obok kierowcy siedział żołnierz. Ona i mężczyzna w garniturze usiedli z tyłu. Na podłodze leżały jej walizka i torebka.

Spojrzała jeszcze na budynek, w którym spędziła cztery dni. Była to prosta czteropiętrowa konstrukcja z betonu z płaskim dachem — normalka w ChRL. Przed wejściem przechadzało się kilku żołnierzy. Może mieli wartę, a może czekali na autobus.

Ulica też była normalną chińską ulicą. Ludzie chodzili pieszo, jeździli rowerami, autobusami. Nikt nie interesował się prostym betonowym budynkiem. Przekuśtykał obok niego staruszek z białym ptakiem w bambusowej klatce. Jakiś mężczyzna w podartych tenisówkach ciągnął ciężki wózek załadowany szmatami. Nikt nie interesował się także nimi.

Kierowca zatrąbił i wyjechał na ulicę. Beth zauważyła dwie idące nią cudzoziemki. Miały na sobie jedwabne watowane kurtki z haftowanymi czerwonymi feniksami. Kurtki wyglądały na chińskie, ale dla Chińczyków pewnie były za drogie. Kobiety zauważyły ją. Myślała, żeby zawołać do nich o

pomoc, wykrzyknąć tylko swoje nazwisko i narodowość; wciąż się nad tym zastanawiała, gdy przed nimi skręcił gwałtownie stalowoszary samochód i z piskiem opon stanął przed siedzibą *Gong An Ju*. Zdawało się, że w jeepie nikt poza nią nawet tego nie zauważył. Zobaczyła, jak z samochodu wysiada mężczyzna i szybkim krokiem zmierza do budynku. Miał wysokie czoło, zapadnięte policzki i zapalonego papierosa, którego trzymał pomiędzy palcami długimi jak u świętego z obrazu *El Greca*.

Krew zadudniła jej w uszach, zagłuszając hałas ulicy, ale mężczyźni z nią jadący wydawali się nieświadomi zmiany, jaka w niej zaszła. Jeep jechał dalej i wkrótce znalazł się na wsi na południowy zachód od miasta. Pomiedzy drzewami migotało jezioro *Tai*. Po chwili droga oddaliła się od niego i poprowadziła przez pola ryżowe. Beth wciąż oglądała się za siebie. Jezdnia była pusta. Gdzieś tam stały czaple, wyglądając jak białe wykrzykniki na tle zielonej opowieści.

Jeep wjechał na bezdrzewne wzniesienie. Przed nimi ciągnęło się niewielkie lądowisko: czerwony rękaw wskazujący kierunek wiatru, dwa myśliwce odrzutowe z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach i stary samolot śmigłowy. Kierowca zaparkował przy tym ostatnim.

Mężczyzna w garniturze wziął torebkę i walizkę i zaprowadził ją do samolotu. Żołnierz zamknął za nią drzwi od zewnątrz. W środku znajdowały się trzy rzędy metalowych siedzeń, po dwa krzesła w każdym. Kabina była pusta. Mężczyzna w garniturze usiadł w pierwszym rzędzie, a Beth w ostatnim, byle jak najdalej od niego. Nie zaprotestował.

Trzęsąc się jak w ataku padaczki, samolot ruszył po pasie startowym i uniósł się nad ziemię. Z ledwością wzbił się i wyrównał lot. Wyjrzała przez okno. Nie byli jeszcze na dużej wysokości, więc bez trudu mogła odróżnić drogę przecinającą pola ryżowe od *Wuxi* do lądowiska. W okolicach miasta panował niewielki ruch; na drugim końcu szosy zobaczyła tylko jeden samochód, maleńki szary prostokąt jadący w stronę lotniska.

Samolot wzbił się wyżej. Szary prostokąt zniknął, potem znikła też droga. Wkrótce słyszała już tylko szum silnika, widziała białe chmury i czuła twarde, zimne siedzenie. Zasnęła.

Bum.

Otworzyła oczy i rozejrzała się. Samolot kołował tuż nad ziemią po próbie lądowania. Wspiął się lekko. I po chwili znowu opadł.

Bum.

Pilot pozwolił, by samolot odbił się od ziemi jeszcze kilka razy, aż w końcu się zatrzymał. Otworzyły się drzwi. Mężczyzna w garniturze wyprowadził ją na zewnątrz.

Stali na końcu długiego pasa startowego. W oddali wznosił się budynek terminalu. Okolica była płaska. Z północy wiał silny wiatr, niosący pył.

Nieopodal czekał czarny samochód. Był większy niż te, które widziała dotąd w Chinach, i wyglądał na nowiusieńki. Pewnie miał być najwyższej klasy limuzyną. Mógłby nawet zostać za taką uznany jakieś czterdzieści lat wcześniej.

Z auta wysiadł mężczyzna. Ubrany był w czarną, jedwabną tunikę i czarne spodnie. Miał gęste, także czarne włosy i skórę gładką jak u dziecka. Na jego wiek mogły wskazywać jedynie wąsy, bielutkie jak czaple na polach ryżowych. Zbliżył się. Wpatrywał się w nią chciwie, jak gdyby była obrazem, o którym wiele czytał, lecz jeszcze go nie widział. Miał mądre oczy cesarza z chińskiej opery.

Beth spojrzała na mężczyznę w garniturze. Promieniał jak jeden z apostołów. Niewiele mu to pomogło. Mężczyzna w czerni w ogóle go nie zauważył. Patrzył tylko na nią.

Wyciągnął dłoń. — Panna Hunter? — powiedział doskonałą angielszczyzną. — Miło mi panią poznać. Jestem generał Ma.

— Czy jest pan sędzią?

— Sędzią?

— Na moim procesie.

Spojrzał na mężczyznę w garniturze, który stał teraz ze wzrokiem wbitym w ziemię.

— Nie będzie żadnego procesu. Jest pani moim gościem — wyjaśnił generał.

Ucisnęła jego dłoń. Była ciepła i sucha, i mądra jak jego oczy.

28

Może wybierzemy się na małą przejażdżkę? — zaproponował generał.

— A mam jakiś wybór? — zapytała.

— Oczywiście. Może pani nas opuścić, kiedy pani zechce.

Ze wschodu nadleciał jakiś samolot i kołował w stronę terminalu.

— Dokąd mogę jechać?

— Gdzie tylko pani chce — odparł. — Choćby do domu.

— Niech pan to powie swojemu terroryście.

— Mojemu terroryście?

Spojrzała na mężczyznę w garniturze.

— Ach — powiedział generał — panu z Biura Bezpieczeństwa.

Elegant przyglądał im się uważnie, wyłapując wszystkie zrozumiałe dla siebie słowa.

— Tak naprawdę to nie jest mój człowiek. Ja reprezentuję inny wydział.

— Ma pan na myśli wojsko?

Generał Ma uśmiechnął się, pokazując zęby, ale efekt tego był taki, że najbardziej przypominał nim Monę Lisę: nie było w jego grymasie niejednoznacznego.

— Niezupełnie — odpowiedział.

— Więc co to za wydział?

— Jego nazwy nie da się dokładnie przetłumaczyć. Czy wystarczy, gdy powiem pani, że jest to organizacja bardziej elastyczna niż *Gong An Ju*?

Beth popatrzyła na samochód i kierowcę. Nie miał munduru ani żadnej broni.

— No to jedźmy — powiedziała.

Generał znowu się uśmiechnął. — Uwielbiam, gdy Amerykanki mówią w ojczystym języku. Czuję się wtedy jak w kinie.

Wsiadli do limuzyny. Mężczyzna w garniturze stał na zewnątrz z ręką opartą o nadwozie. Samochód ruszył z lekkim zrywem, przyspieszył i minął bramę na końcu pasa startowego.

Tylne siedzenie było wyściełane czerwonym pluszem. Pozostałe zresztą też. Beth pomyślała, że resory również muszą być pluszowe, bo nie czuła najmniejszych wstrząsów, gdy zmierzali drogą na północ. Nie było innych samochodów, wyminęli tylko kilku pieszych i mężczyznę na wozie ciągniętym przez konia. Generał zauważył, że Beth im się przygląda.

— Ten samochód oczywiście nie jest moją prywatną własnością. Należy do ludu.

— Zapamiętam to.

Generał znowu się uśmiechnął. — Komunizm nie sprzeciwia się posiadaniu rzeczy materialnych. Wymaga tylko, aby były równo rozdzielone.

— Znam tę teorię — powiedziała.

— Tak? Musimy kiedyś o tym podyskutować.

Spojrzała mu w oczy, szukając w nich jakiejś wskazówki, co mogło znaczyć to „kiedyś”; ujrzała w nich wiele, ale nie to, czego oczekiwała. Dopiero po dłuższej chwili — Beth nie wiedziała, jak dłużej — zdała sobie sprawę, że się sobie przyglądają. Odwróciła wzrok.

— Czy chciałaby pani zobaczyć Wielki Mur, panno Hunter? Nasza przejażdżka będzie wówczas miała jakiś cel.

— To zależy.

Znowu się uśmiechnął. — W dwóch słowach dokładnie ujęła pani to, co sędzę o Wielkim Murze. I o wszystkim, co pozostało z dawnych czasów: Zakazanym Mieście, Pałacu Letnim, świątyniach, pagodach. To zależy. — Zamilkł na chwilę. — Czy zna pani „Ozymandiasa” Shelleya?

— Tak.

— No to wie pani, o czym mówię.

— Nie bardzo.

— Nie? — Jego oczy wwierteły się w nią, jak gdyby tworząc połączenie między ich mózgami. — Cóż, to i tak nie ma znaczenia. Ale liczy się fakt, że Wielki Mur to wspaniałe miejsce na piknik. Czy wie pani, że nie byłem w życiu na żadnym pikniku aż do zeszłego roku? Znałem je tylko z angielskich książek. Od tamtej pory byliśmy już na trzech. Ten będzie czwarty.

— Kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”?

— Mój bratanek i ja — powiedział wskazując brodą na kierowcę.

— Tylko wy dwaj?

— Tak. Znaleźliśmy miejsce, które nie jest dostępne dla zwiedzających.

Beth zastanowiła się nad tym. Ta myśl zaprowadziła ją do następnej. Serce zaczęło jej bić szybciej.

— Czy Teddy tam będzie? Czy to chce mi pan powiedzieć?

— Teddy?

— Theodore Wu. Czy wiecie mnie pan do niego? O to w tym wszystkim chodzi?

Generał nie odpowiedział od razu. Otworzył aktówkę, która leżała na podłodze, i wyjął niebieską teczkę. Jej teczkę. Nie widziała, by mężczyzna w garniturze mu ją przekazywał; to znaczyło, że została przesłana do Pekinu wcześniej. Odwrócił się do niej.

— Doktora Wu, matematyka, nie ma w Chinach, panno Hunter.

— Nie wierzę panu. Przesłał mi list z Szanghaju.

Generał otworzył teczkę. — Tak. List z Szanghaju. — Wyciągnął kopię. — Stempel wygląda na autentyczny. Pismo też może być autentyczne — musimy mieć próbkę, aby to zweryfikować. Ale list może być napisany gdziekolwiek, wysłany skądkolwiek przez kogokolwiek. Jedno, co wiemy na pewno, to że jego treść jest kompletnie nieprawdziwa. Doktor Wu nie zdradził.

— Też to wiem. Porwaliście go.

W oczach zapłonął mu ogień, ale szybko zgasł.

— Nie porwaliśmy go, panno Hunter. Nie wiedzieliśmy nawet o jego istnieniu aż do chwili, gdy Waszyngton zaczął się dziwnie zachowywać.

— Jak może pan mówić coś takiego? Ja tam byłam. Widziałam łódź podwodną.

Jego grzebiące w teczce palce znieruchomiały. — Łódź podwodną?

— Tak. Tę, która zabrała Teddy'ego u wybrzeży Kalifornii.

Generał patrzył jej w oczy i czekał.

— Jakie luki ma łódź klasy Han, kwadratowe czy okrągłe? — spytała.

— Okrągłe — odparł natychmiast. — A macie jakieś łodzie o kwadratowych lukach?

— Może. Ale żadna chińska łódź — klasy Han czy jakakolwiek inna — nigdy nie znalazła się w pobliżu Kalifornii.

— Rząd amerykański ma na ten temat inne zdanie.

— Ale?

— Jakie „ale”?

— Słyszałem w pani głosie „ale”.

Milczała przez chwilę. Potem przytaknęła. — Ma pan rację.

Starła się znaleźć powody, dla których powinna zataić przed generałem swoje informacje. Nic nie przyszło jej do głowy. Jeśli kłamał, to i tak nie znajdzie sposobu, żeby wydobyć z niego prawdę. Jeśli nie kłamał, nie miała nic do stracenia. Więc powiedziała mu o zdjęciach łodzi podwodnych, o *Timosence*, o tym, co widziała we mgle na wodzie.

Generał milczał przez jakiś czas. Minęli parę kłócącą się na drodze. Kobieta uderzyła mężczyznę w twarz plecioną torbą.

Odwrócił się do niej. — Czy interesuje się pani historią, panno Hunter?

— Tak — odparła, myśląc, że gdyby Chińczycy byli zamieszani w zniknięcie Teddy'ego, to generał znalazłby odpowiedź na swoje pytanie.

— W takim razie rozumie pani pewnie, że jest to taki typ incydentu, który może wprawić w ruch ogromne siły międzynarodowe — podobnie jak zabójstwo arcyksięcia Ferdynanda doprowadziło do pierwszej wojny światowej. Wtedy nikt nie potrafił przewidzieć skutków. Jednak teraz spokoju nie daję mi myśl, że komuś od samego początku zależało na rozruszaniu tych sił.

— Jakich sił?

— Na przykład pani.

Przerwał. Złożył ręce na teczce i kontynuował:

— Chiny są teraz w środku walki o władzę. Toczą ją zresztą od roku 1949. Spierają się ze sobą ci, którzy stawiają ideologię na pierwszym miejscu,

z tymi, co stawiają ją na drugim. Na *drugim*. Nie na czwartym, dziesiątym czy dziewięćdziesiątym dziewiątym, jak wyobrażają to sobie ludzie z Zachodu, którzy myślą, że zrobią z nas gigantyczny Hongkong. Tacy ludzie jak ja, którzy stawiają ideologię na drugim miejscu, uważają, że priorytetem powinien być rozwój Chin. Jesteśmy u władzy od czasu upadku Bandy Czwojga. Ale walka się jeszcze nie skończyła. Wciąż trwa. Trwa nawet w moim własnym biurze, panno Hunter. A to, co się dzieje teraz, pasuje tym, którzy stawiają ideologię na pierwszym miejscu i chcą, aby było po staremu. Zniknięcie doktora Wu zapoczątkowało reakcję łańcuchową. Nastawiło do nas wrogo Waszyngton — czemu trudno się dziwić, skoro oni tam uważają, że skradliśmy im jednego z najlepszych kryptologów. Zaś nasi lewicowcy mówią: „Widzicie? Amerykanom nie można ufać. Nic nie wiemy o żadnym doktorze Wu. Jest to zatem jakaś ich niebezpieczna zagrywka”. Zamierzeniem tych działań jest odseparowanie obu państw. A na dłuższą metę bez ekonomicznej współpracy z USA modernizacja Chin nie może się powieść.

Chiny za oknami samochodu były zielono-brązową, niewyraźną plamą. Beth sunęła przez nią w pluszowej kapsule. Nie docierały do niej żadne wrażenia fizyczne z wyjątkiem tych z jej żołądka: czuła się, jakby miała w nim kosz pełen węży. Wzięła głęboki oddech, żeby je przepędzić.

— Czy sugeruje pan, że lewicowcy z waszego rządu porwali Teddy'ego na własną rękę?

General pomógł na nią — w jej oczy: było to spojrzenie, które wniknęło głębiej i trwało dłużej, niż się spodziewała. Nie przeszkadzało jej to jednak.

— Jest pani osobą bardzo inteligentną, panno Hunter. To samo pytanie zadaję sobie, odkąd tylko dowiedziałem się o zniknięciu doktora Wu. Nie znam na nie odpowiedzi.

— Lecz jeśli nie oni go porwali, to kto?

— Na to pytanie też nie umiem odpowiedzieć. Jeszcze nie. Ale z pani pomocą może mi się to uda.

— Z moją pomocą?

— Tak. I z pomocą mojego stałego przewodnika.

— Kto nim jest?

— *Cui bono**

* *Cui bono* (łac.) — po co to? komu to ma przynieść pożytek?

Przez chwilę Beth wydawało się, że to po chińsku. Potem się uśmiechnęła.

— Co mogę dla pana zrobić?

General otworzył niebieską teczkę.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć: dlaczego szuka pani tej Pei Ming, kim są ludzie ze zdjęć, wszystko, co pani wie o zniknięciu doktora Wu. I dlaczego interesuje się pani naszymi kucharzami na wycieczce po Stanach.

— Dobrze. Ale przedtem chciałabym wiedzieć, co się stanie z panem Anem.

— Kim jest pan An?

Wyjaśniła mu, nie wspominając nazwiska wielbnego Huanga. General myślał przez chwilę. Nie zapytał, jak go poznała, a mimo to powiedział: — Ta kawiarnia to nie najlepsze miejsce.

— Co pan ma na myśli?

— Nic. Pan An zostanie uwolniony, oczywiście.

General zwrócił się do swojego bratanka, który spod deski rozdzielczej wyciągnął radiotelefon i powiedział coś po chińsku.

— Myślałam, że to nie pański departament.

— Współpracujemy.

Tak jak Lathrop, przypomniała sobie, współpracujący ze Strażą Przybrzeżną. General wręczył jej teczkę.

— Teraz proszę mi powiedzieć, co pani wie.

Opowiedziała mu o Pei Ming, Reksie Heidemannie, Helen Brock. Opowiedziała mu też o Han Shih, o Klubie Towarzyskim Tajpej i Łysym. O długowłosym mężczyźnie z zielonym węzem na nadgarstku. O Lingach. O Lathropie i pani pułkownik.

General słuchał w milczeniu. Zadał tylko jedno pytanie: — Jak nazywa się ta pułkownik?

— Nie wiem — odparła.

Wziął od niej teczkę i sam przeglądał powoli jej zawartość. Beth wyglądała przez okno. Samochód wspiął się na zielone wzgórza i skręcił w trochę szerszą drogę, która wiła się skrajem urwiska. W dole szalał wartki potok; jakieś kobiety prały w nim ubrania, a mężczyźni łowili ryby na trzymane w rękę żyłki. Dzieci się pluskały. Na zboczach stały przypominające geologiczne odkrywkami kamienne chaty.

General zauważył, że im się przygląda.

— *Pingfang* — wyjaśnił. — Czyli „płaskie domy”. Wszystkie zostały zbudowane z kamieni z Wielkiego Muru. Czy teraz pani rozumie, o co mi chodziło z „Ozymandiasem”?

— Niezupełnie.

Czekała na jakieś wyjaśnienie; nie doczekała się. Kręta droga zappełniła się autokarami turystycznymi, które albo hałaśliwie wspinały się pod górę,

albo pędziły na złamanie karku w dół. Bratanek generała trzymał rękę na klaksonie, który miał dziwnie głębokie brzmienie, jak jakiś potężny instrument dęty. Autobusy ustępowały z drogi. Białe twarze pojawiały się w oknach, by zobaczyć przejeżdżającą limuzynę. Niektóre były ciekawe, inne znudzone.

Samochód wspinał się na wzgórze większe od innych. W oddali zobaczyła Mur — „wil się jak wąż”, jak określono to w przewodniku jej współpasażera z samolotu, od wzgórze do wzgórze, jak okiem sięgnąć. W jego stronę również wila się jak wąż długa kolejka autokarów. Oba gady spotykały się w nakrapianym morzu czerwieni, błękitu, zieleni i żółci, jakby ktoś wychlapał farby z puszek malarza.

Byli w połowie drogi do Muru, gdy kierowca skręcił nagle w zarośniętą zielskiem polną drogę, prawie niewidoczną z szosy głównej. Samochód pokonał stromy podjazd i zjechał z górki po drugiej stronie. U podnóża pagórka stał przy wąskim strumieniu *pingfang*. Bratanek generała zaparkował i wszedł do niego przez ciężkie, drewniane drzwi.

Ma wysiadł z samochodu. — Proszę za mną.

Wysiadła. Generał otworzył bagażnik. W środku był pięknie wykonany kosz piknikowy. Beth podziwiała kunsztowną robotę.

— Czy to z Pekinu?

— Z Fauchon.

Generał wyciągnął koszyk z bagażnika. Chociaż nie był od niej wyższy, a kosz wyglądał na ciężki, zrobił to bez najmniejszego wysiłku. Jego bratanek wyszedł z domu, niosąc termos. Po raz pierwszy miała okazję dobrze mu się przyjrzeć. Był wysoki i dobrze zbudowany. Miał najdłuższe włosy, jakie widziała u mężczyzny w Chinach. Ubrany był w dżinsy z naszywką *Calvin Klein* z tyłu i w koszulkę polo. Miał też gęste, czarne wąsy. Mogłaby zderzyć się z nim w jakimś ogródku piwnym na Nob Hill i nie poznać, że jest Chińczykiem — zakładając, że w ogóle by do takiego baru poszła.

Generał wziął od niego termos.

— Herbata — powiedział, wkładając go do koszyka.

Bratanek wrócił do domu. Generał zdjął buty i skarpetki i podciągnął spodnie do kolan.

— Nie jest głęboko — rzekł, podnosząc koszyk i ruszając w stronę strumienia. Jego łydki były silne i żylaste.

Beth również zdjęła buty i skarpetki, podwinęła dżinsy i przeszła za nim przez potok. Woda była czysta i zimna. Zwilżyła twarz, kark i włosy. Zmooczyła całą głowę. Zmyła cztery noce w betonowej celi w Wuxi.

Generał obserwował ją z drugiego brzegu.

— Na tym polega piękno pikników — rzekł. — Kontakt z naturą.

Ruszyli wśród wysokiej trawy. Małe kwiatki, żółte i niebieskie, odginały się na bok, gdy stawiali stopy. Weszli na niewielkie wzniesienie, a po drugiej stronie zobaczyli Mur: pokruszona szarobrazowa skała, sypiące się blanki, rozdlubane otwory strzelnicze. Gdzieniegdzie ze splekanych głazów wyrastały kępki trawy.

— To moja ulubiona część Muru. Nie została odnowiona.

Na szczyt prowadziły zniszczone stopnie. Wyślizgiwały się spod stóp Beth, gdy się po nich wspinała.

Na górze Mur wyglądał jak rzymska droga po trzęsieniu ziemi: pozostało go jednak wystarczająco dużo, by dowieść, że kiedyś był to cud budownictwa. Generał otworzył koszyk, wyjął gruby czerwony koc i rozłożył go. Beth wyjrzała nad balustradą ku północy: rozciągała się przed nią pylista równina.

— Wygląda tak samo aż do pustyni Gobi — powiedział generał. — Stamtąd zawsze nadciągali barbarzyńcy.

— A teraz przylatują Boeingami 747.

Generał roześmiał się. Śmiech dochodził z głębi jego piersi i gulgotał w gardle jak strumyk, zanim się wydostał. Był równie skomplikowany jak jego uśmiech.

— Czy lubi pani wino? — zapytał, podnosząc butelkę. — A może to zależy?

— Lubię wino.

Generał zagłębił w korku końcówkę korkociągu. Przerwał na chwilę i spojrzał na nią. — Bez względu na to, co się później stanie, chciałbym, aby wiedziała pani, jak bardzo mi pomogła.

— A jak panu pomogłam?

Wkręcił korkociąg do końca. — Uspokoila mnie pani.

— Jak?

— Poprzez dowiedzenie, że lewicowcy nie mieli z tym nic wspólnego. Łódź podwodna była oczywiście rosyjska, a lewicowcy nigdy nie poszliby z nimi na współpracę. Nienawidzą Rosjan bardziej niż nas. I nie zaryzykowałyby włączenia agenta do oficjalnej wycieczki. Poza tym Zielone Węże, bzdurne załączniki, takie jak głowa w sedesie i pokój pełen kwiatów — to nie pasuje do ich...

— *Modus operandi?*

Generał się uśmiechnął. — Właśnie. Ale nie znaczy to, że nie będą próbowali wykorzystać całej sytuacji — już próbują. To jedynie oznacza, że Chiny nie miały nic wspólnego ze zniknięciem doktora Wu, chociaż dołożono wielu starań, aby tak wyglądało.

— Kto się o to postarał?
— Nie wiem. Ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby odnalazła pani Teddy'ego.

— Dlaczego?

— Bo leży to w interesie mojej partii i mojego kraju.

I z innych powodów, dopowiedziały jego oczy.

— Pani i ja jesteśmy ofiarami tego samego przestępstwa. Dochodziliśmy do rozwikłania jego zagadki z dwóch przeciwnych końców. — Zrobił pauzę. — To spotkanie może przynieść nam szczęście.

— Moje szczęście polega na tym, że w ogóle żyję.

Generał znowu się uśmiechnął. — To prawda.

Beth studiowała jego promienną twarz. Nie wyglądał na ofiarę.

— Czym pan w zasadzie się zajmuje, generale?

— Stosunkami międzynarodowymi.

— To znaczy wywiadem? Tak jak CIA?

— Bardziej współpracą — odparł, wyciągając korek. — Mam nadzieję, że lubi pani burgunda.

Zauważyła nalepkę. *Romanée-Conti, 1968*. — Skąd pan go ma?

— Mamy teraz w Pekinie Maxima.

— A Fauchon?

— Jeszcze nie. Koszyk kupiłem w Paryżu.

— Często pan tam jeździ?

— Czasami.

Generał rozłożył na kocu jedzenie: brie, ser kozi, dwie bagietki, szynkę, pieczoną wołowinę, musztardę dijon, zielone jabłka, czerwone winogrona. Wlał wino do zwykłych szklanek. Zawładnął nią aromat Francji; miała szmerek w głowie, jeszcze nim wypła choć kropelkę.

— Czy myśli pani, że wino już dość odetchnęło? — zapytał.

— Nieważne.

Napila się. Alkohol przelał się przez nią jak fala świeżej, ciepłej krwi.

Siedzieli na kocu ze skrzyżowanymi nogami. Żyłaste łydki generała opaliły się na słońcu. Sączyli wino. Lekki wiatr niósł ze sobą woń kwiatów. Na balustradzie wylądował niebieski ptak z czarnym ogonem, zaśpiewał kilka nutek i odleciał. Zjedli wszystko. Beth połknęła tyle, że nie mogła już więcej zmieścić. I piła, dopóki wino się nie skończyło.

Generał położył jej rękę na kolanie. Nie kazała mu jej zabrać.

Legli wśród resztek po pikniku w zachodnim stylu. Pomimo swych rozumnych oczu i dłoni, był prosty i bezpośredni jak nastolatek. Tego właśnie jej było trzeba. Słońce przygrzewało.

Później powiedział: — My, Chińczycy, uchodzimy za purytan. Mimo że jest nas tak dużo. Czy jedno drugiemu nie przeczy?

Uderzyła ją pewna myśl: w Stanach kobieta i mężczyzna często szli ze sobą do łóżka nie znając nawet swoich nazwisk; gdy do czegoś podobnego dochodziło tutaj, nazwiska były jedyną rzeczą, jaką o sobie wiedzieli. Więc powiedziała: — To zależy.

Generał się roześmiał. Nad nimi leniwie przelatował jednosilnikowy samolot.

29

Od pikniku minęło zaledwie kilka godzin, ale generał zdążył zgłodnieć. Pałeczkami podnosił kawałki lśniącego mięsa i szybkimi, mechanicznymi ruchami wkładał je do ust.

— Kaczka po pekińsku — mówił z pełnymi ustami. — Czy wie pani, że po raz pierwszy przygotowano ją w tej właśnie restauracji? — Zauważył, że Beth nie je. — Nie smakuje pani?

— Smakuje, ale nie jestem głodna.

— Nie?

Przy kredensie stał kelner i kroił pulchnego ptaka na cienkie jak papier paski. Generał zwrócił się do niego i po chwili na ich stoliku znalazła się miseczka z sosem z czarnej fasoli.

— Proszę w tym zanurzyć mięso — poradził generał.

Wzięła kawałek i umoczyła w sosie. Nie miała ochoty na jedzenie i zmusiła się, żeby połknąć ten jeden kawałek.

— Bardzo sprawnie posługuje się pani pałeczkami. Większość turystów tego nie umie.

— W szkole średniej chodziłam na wiele tanich randek.

— Randek?

— Nieważne.

Czuła, jak zapada się w krzesło przy okrągłym stole dla dziesięciu osób, przy którym siedziała sama z generałem. Dostali prywatną jadalnię tylko dla siebie. Nie było to duże pomieszczenie ani zbyt radosne; ściany były seledynowe, nic na nich nie wisiało, a lampa pod sufitem świeciła zbyt jasno.

— Dobrze? — spytał generał, gdy zjadła kawałek. — Teraz proszę spróbować ze szczypiorkiem. Jest jeszcze lepsze.

Zrobiła, jak jej poradził.

— Miałem rację?

— Tak.

— A może coś do picia? Chińskie wino, którego osobiście nie polecam, czy piwo?

— Piwo.

— *Pijiu* — zwrócił się do kelnera, który wrócił z dwoma butelkami piwa Qingdao.

Generał nie żałował sobie jedzenia ani picia. Beth wyczuła, że jest tak w całym killkupiętrowym budynku, w którym się znajdowali. Słyszała stukot pałeczek i brzęk kieliszków. Wszędzie unosiły się wspaniałe zapachy, które jednak nie zaostrzyły jej apetytu. Zęby generała gryzły soczyste kawałki kaczk. Przyglądała się temu przez chwilę; potem padła na stół, z głową w ramionach.

Cisza. Kelner przestał kroić; generał przestał jeść.

— Co się stało? — zapytał. — Niedobrze pani?

— Nie.

— Nie... Płacze pani?

— Nie. — W środku czuła się tak, jakby zaraz miała zacząć szlochać, jednak łzy nie pociekły. — Po prostu myślałam, że odnajdę w Chinach Teddy'ego albo chociaż jakiś prowadzący do niego ślad. To wszystko.

Generał dotknął jej ramienia, ale szybko zabrał rękę.

— Głowa do góry. I tak zrobiła pani duże postępy.

Usiadła. — Jak to?

Generał powiedział coś do kelnera, który szybko opuścił pomieszczenie.

— Odkryła pani, że w tej sprawie są dwa tropy, fałszywy i prawdziwy. Wszystkie znaki na fałszywym wskazują na to, że doktor Wu jest w Chinach; ten trop możemy zignorować. Teraz pozostaje zidentyfikować ślady na prawdziwym tropie i zobaczyć, dokąd nas zaprowadzą.

— A co to za ślady?

Generał wepchnął do ust kawał tłustej kaczej skórki i odpowiedział:

— Po pierwsze, łódź podwodna. Nikt nie miał jej widzieć. Więc musi być częścią prawdziwego tropu.

— Ale ja nigdy nie byłam pewna, co to za łódź. Widoczność była bardzo zła; wszystko działo się tak...

— Nie pomyliła się pani — przerwał jej. — Wiemy, że nie była to chińska łódź, tak więc pewne jest, że okręt namierzony przez wasze służby wywiadowcze był tym właściwym.

— Więc dlaczego upierają się, że tak nie jest? Dlaczego wciąż twierdzą, że należał do was?

— Ponieważ wszystko inne zostało zaaranżowane tak, aby wskazywało na Chiny. I ponieważ ta interpretacja pasuje pewnym ludziom w Waszyngtonie.

— Czy chce pan powiedzieć, że jakaś zakonspirowana pravicowa organizacja amerykańska porwała Teddy'ego i zaaranżowała to wszystko?

Uśmiechnął się. — Amerykanie zawsze są podejrzliwi w stosunku do swojego rządu. Bardzo wątpię, czy było tak, jak pani mówi. Mocarstwa takie jak USA nie muszą używać długich dźwigni, by poruszyć ciężkie sprawy. To jest robota jakiejś niewielkiej grupy — bardzo sprytnej — która potrzebuje długiej dźwigni.

— Jak może pan mówić coś takiego, skoro łódź była rosyjska?

— Mogę. Nie znamy jeszcze wszystkich faktów.

— A kiedy je poznamy?

— Nigdy. Nie będą nam potrzebne. Musimy tylko osiągnąć masę krytyczną; wtedy odpowiedzi zaczną pojawiać się same.

Przypomniała sobie taoistyczny *modus operandi* Y.K. Linga. Czy to ten sam sposób?

— Chodzi o to, że daje się pan ponieść strumieniowi faktów?

— Nie — roześmiał się generał. — Nie jestem mistykiem. — Przestał się śmiać i odłożył pałeczki. — Jestem psychologiem. Staram się stanąć w położeniu uczestników zdarzeń i ustalić najbardziej podstawowe motywy działania. — Uśmiechnął się. Miał między zębami kawałek kaczki.

Wrócił kelner. Za nim zjawił się pulchny mężczyzna w poplamionym białym fartuchu. Nie wyglądał na szczęśliwego. Podszedł ostrożnie do ich stołka. Jego twarz lśniła od potu albo tłuszczu, a może od jednego i drugiego.

— Czy rozpoznaje pani tego mężczyznę? — zapytał ją generał.

Kucharz spojrział na nią nerwowo.

— Nie — odparła.

— Zaskoczyła mnie pani.

Generał położył na stole niebieską teczkę i coś z niej wyjął. Pochyliła się, by zobaczyć, co to jest. Ich głowy się zetknęły. Oboje się trochę odsunęli.

Był to wycinek z *Chronicle* o kucharzach. Znowu ujrzała Han Shih patrzącą jej prosto w oczy. To spojrzenie rozproszyło napięcie powierzchniowe wywołane bliskością generała. Przyjrzała się zdjęciu. W drugim rzędzie stał pulchny mężczyzna. Wyglądał spokojniej niż teraz.

— Zlokalizowano tych ośmiu kucharzy — powiedział generał. — I przesłuchano ich dziś po południu. Pięciu z nich nie pamięta kobiety, którą nazywa pani Han Shih. Ten pamięta.

Generał odwrócił się do niego, ale się nie odezwał. Po paru sekundach milczenia kucharz zapytał o coś piskliwym głosem i wskazał na kaczkę. Generał machnął ręką na jego pytanie. Twarz kuchty pojaśniała nieco.

— Śmieszny człowiek — stwierdził generał. — Moim zdaniem zbyt nieodpowiedzialny jak na taką wycieczkę.

Skinął na kucharza, który zbliżył się niechętnie. Pokazał mu zdjęcie i wskazał na Han Shih. Podczas gdy grubas oglądał fotkę, generał przypatrywał się jego twarzy, lśniącej teraz jak kaczka, którą jedli. Kucharz wyprostował się.

— O co powinniśmy go zapytać? — spytał generał.

— Chyba o to, co o niej pamięta. To pan jest ekspertem.

Generał spojrzął na nią i dopiero zadał pytanie. Pulchny mężczyzna odpowiedział. To była długa wypowiedź. Generał słuchał uważnie. Beth też. Wyłowila jedno słowo — *pjiu*.

Generał Ma przetłumaczył: — Mówi, że mieszkali w hotelu. Nie pamięta nazwy. Łóżko było za miękkie. Po lunchu zebrali się, żeby zrobić sobie zdjęcie. Fotografem była młoda Amerykanka — twierdzi, że była do pani podobna. Ustawiła ich w dwuszeregu. Gdy już miała wcisnąć migawkę, do drugiego rzędu wsunęła się jakaś Chinka. Zdjęcie zostało zrobione, a kobieta odeszła.

— Czy mówiła coś?

— Nie.

— Czy ktoś ją o coś pytał?

— Nie.

— Dlaczego?

Generał zwrócił się do kucharza.

— Myśleć, że jest powód — odparł zapytany.

— Jaki?

Kucharz nie odpowiedział.

— A co z fotografką? Przecież musiała widzieć Han Shih w obiektywie. Na to grubas też nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami.

— Fotografka też pewnie pomyślała, że jest jakiś powód — wyjaśnił jej generał. Spojrzął na kuchnię niezadowolony, co sprawiło, że twarz biedaka jeszcze bardziej oblała się potem. — Czy chciałaby pani zapytać go o coś więcej?

— Co powiedział o piwie?

— Piwie?

— *Pjju*.

General się roześmiał.

— To nie było istotne. I niezbyt wytworne.

— Zniosę to.

— Powiedział, że do lunchu podano amerykańskie piwo. Smakowało jak kocie siki.

Kucharz odszedł. Zjawił się kelner z herbatą. Napili się.

— Ma pani dzisiaj smutną minę. Szkoda, że nie wesolej.

— Nie mam dziś ochoty robić wesolej miny.

General zapiął górny guzik swojej czarnej tuniki. — Rozumiem — rzekł.

Ponownie napełnił filiżanki. Napili się jeszcze trochę — on siedział wyprostowany, ze złączonymi stopami, jak wzorowy uczeń w jednoizbowej szkółce. Beth rozwalila się na krześle. Nastąpiła długa cisza. Potem general się odezwał:

— Urodziłem się podczas Długiego Marszu*. Wiedziała pani o tym?

* Długi Marsz — operacja przymusowego przegrupowania w latach 1934-35 stutysięcznej armii chińskich komunistów na odległe tereny (ok. 12.500 km).

— Nie.

— To prawda. Były tam też kobiety. Urodziłem się dwa dni przed przekroczeniem mostu na rzece Tatù. Matka mnie przeniosła. — Zapatrzył się się w swoją filiżankę. — Zawsze myślałem, że to dlatego Mao tak mnie lubił.

— Byliście przyjaciółmi?

General zdawał się nie słyszeć jej pytania. Dalej wpatrywał się w filiżankę. — Kiedyś powiedział do mnie: „Gdyby bogowie mieli uczucia, niebo także by się postarzało”.

Podniósł spojrzenie i wbił je w jej oczy tak, jak robił to na pluszowym siedzeniu swojego samochodu.

Odwróciła wzrok. Długi Marsz zakończył się w 1935 roku, ale jego wiek mogły zdradzać jedynie białe wąsy.

— O czym rozmawialiście, gdy to powiedział? — zapytała.

W jego oczach zapłonęła iskierka gniewu. Tliła się jeszcze, gdy uśmiechnął się i rzekł:

— Niektórzy zapominają, że Mao był nie tylko wielkim rewolucjonistą, ale i poetą. Jest to coś, czego ludzie pochodzący z kraju zawodowych polityków, tak jak pani, nie potrafią zrozumieć. Były takie czasy, kiedy miało się wrażenie, jakby rządził nami T.S. Eliot.

— Ten tekst o bogach brzmiał bardziej w stylu Roda McKuena*.

* Rod McKuen — poeta, piosenkarz pokolenia lat 60.

— Przykro mi, ale nie znam jego twórczości.

Zawstydziła się. Chciała się na kimś wyładować, ale obrała sobie zły cel.

— To był tylko żart.

W jego oczach znowu pojawił się ogień. — Jest czas na żarty i czas na powagę — rzucił ostrym tonem.

Czegoś takiego Teddy nigdy by nie powiedział. Różnica między oboma mężczyznami zaczęła się krystalizować. Teddy był równie inteligentny jak generał, ale nigdy nie perorował; nie krył się bynajmniej ze swoimi poglądami ze względu na ostrożność czy przebiegłość. Teddy nie był przebiegły. Był najmniej przebiegłą osobą, jaką znała. I nigdy nie kochała go bardziej niż w tej chwili. Może to przez to porównanie. Poczwała pulsowanie w kroczu, jak gdyby jej świadomość się tam właśnie przeniosła.

— Przepraszam — rzekła. — Ma pan rację.

Przytaknął. — Nie mamy czasu do stracenia. — Ogień w jego oczach przygasł. — Jeszcze herbaty?

— Poproszę. Nalał i pili oboje.

— Dobra herbata — pochwalił.

— Tak.

Opróżnił swoją filiżankę i wykonał nią kilka ruchów na stoliku, po czym spytał:

— Dobrze się pani bawiła na naszym pikniku?

— Tak.

— Może go kiedyś powtórzymy?

— Nie sądzę.

— Nie. — Przestał obracać filiżankę. — Nie — powtórzył cicho. —

Oczywiście, że nie.

Do pokoju wszedł jego bratanek. Miał na sobie zamszową marynarkę i spodnie z zakładkami. Podał mu kartkę gęsto pokrytą chińskimi znakami. Generał wodził po niej oczami z góry na dół. Potem zapalił zapalną i przytawił ją do papieru, który najpierw położył, a potem buchnął z niego płomień. Wtedy generał rzucił płonąca kartkę na swój talerz. Spaliła się doszczętnie.

— Co to było? — zapytała Beth.

— Raport od starego przyjaciela. Matematyka. Jednego z najlepszych, jakich mamy. Poprosiłem go, by przyjrzał się pracy doktora Wu nad

założeniem Mordella. Chciałem, żeby ocenił, w jakim stopniu jego odkrycia byłyby dla nas użyteczne.

— Dlaczego, skoro i tak nie ma go w Chinach?

Popatrzył na nią dłuższą chwilę, po czym podjął:

— Mój przyjaciel twierdzi, że doktor Wu jest wielkim matematykiem. Nawet zanim zaczął pracować nad założeniem Mordella, mój przyjaciel uważał go za jednego z dwóch najlepszych teoretyków w USA. A teraz...

— Kto jest tym drugim?

Generał patrzył na popiół na swoim talerzu. Ale tylko przez chwilę — miał dobrą pamięć.

— Doktor Kesselman, również z Berkeley.

— Marty? Nie wiedziałam.

— Zna pani doktora Kesselmana?

— Tak.

Bratanek generała spojrział na zegarek i powiedział coś po chińsku. Generał kiwnął głową.

— Mój przyjaciel twierdzi, że odkrycia doktora Wu, choć interesujące z teoretycznego punktu widzenia, nie mają dla nas praktycznego znaczenia. I przez wiele lat tak pozostanie. Brakuje nam sprzętu, żeby założyć pełną sieć przechwytyjącą, i technologii do wyprodukowania maszyn dekodujących, które wykorzystywałyby odkrycia doktora Wu.

Ale czy Marty nie powiedział, że Chińczycy chcieliby znać wyniki badań Teddy'ego — nawet bardziej niż Rosjanie?

— Czy coś jest nie tak, panno Hunter?

— Nie. Myślałam tylko, komu mogą się przydać wyniki badań Teddy'ego.

Generał się uśmiechnął. — *Cui bono?*

— *Cui bono.*

— Jest tylko jedna odpowiedź.

— Ale jeśli Teddy jest w Rosji, to dlaczego nie wysiadł z łodzi w Pietropawłowsku?

— Nie wiem. Powiedziałem już, że potrzebujemy więcej faktów. Teraz, jeśli się pospieszymy, może poznamy kilka.

— Dokąd jedziemy?

— Sprawdzić jeden z pani tropów. Spotkamy się z Pei Ming.

— Odnalazł ją pan? — Skoczyła na równe nogi.

— Tak.

— Gdzie jest?

— W bezpiecznym miejscu.

Gdy wychodzili, bratanek generała zebrał popiół z talerza i schował do kieszeni.

— Dlaczego spalił pan ten raport? — zapytała.

Westchnął. — Mówiłem pani, że ten matematyk jest moim starym przyjacielem. A ja cenię przyjaźń.

Przez tę jego zagadkowość tym bardziej straciła cierpliwość.

— Co pan ma na myśli? Czy coś panu grozi?

Jego ton zabrzmiał ostro: — Czy świadomie udaje pani głupią? Czy nie wspominałem już, że jesteśmy zaangażowani w walkę o władzę? Czekał na jej odpowiedź. Beth się nie odezwała.

— Może nie — powiedział i kontynuował łagodniejszym tonem. — Walka nasila się z powodu doktora Wu. Jeśli go nie znajdziemy, wkrótce osiągnie moment krytyczny. A wtedy pewnie nie będę mógł korzystać z władzy, jaką daje mi mój urząd.

Drgnął mu policzek; Beth wyczuła napięcie, nad którym starał się zapanować.

— A lewicowcy nie chcą, żeby on się znalazł. Nie daje im spokoju już sama myśl, że może do tego dojść. W pani kraju też istnieje frakcja, która nie chce, by się odnalazł, w Rosji prawdopodobnie również. No i z pewnością na Tajwanie.

Nagle zdała sobie sprawę z dystansu dzielącego ich światy: nie chodziło o różnicę między Chinami a USA, chociaż o to też, ale głównie o życie jego i jej.

Gdy wsiadali do samochodu, zapytała: — Czy pańscy... przeciwnicy wiedzą, że tu jestem?

— Nareszcie mówi pani jak ta bystra osoba, którą poznałem na lotnisku. — Na jego twarzy pojawił się przelotny uśmiech. — Odpowiem tak: nie mam żadnych dowodów, które świadczyłyby, że w ogóle są świadomi pani istnienia.

— Ale w każdej chwili mogą się tego dowiedzieć. Pan się dowiedział.

— Ja mam dostęp do aparatu informacyjnego państwa. I dobrego człowieka w *Gong An Ju*.

— Nie aż tak dobrego. Spędziłam w ich celi cztery dni.

Generał znowu się uśmiechnął. Tym razem dłużej.

— Chiny to kraj Trzeciego Świata. Proszę nie spodziewać się tutaj tej samej bezwzględnej skuteczności działania, jaką macie u siebie.

Beth również się uśmiechnęła. Jego cesarskie oczy załśniły. W jedynej chińskiej operze, którą widziała, cesarza otruto w ostatnim akcie.

Na zachód. Zawsze poruszała się na zachód, jak statek na łasce wiatru. Poszukiwanie Teddy'ego oznaczało wędrówkę w tym właśnie kierunku: najpierw sporo mil przez morze, potem samolotem za ocean, a teraz jeszcze dalej. Ale nie znalazła go. Równie dobrze mogła brnąć w tę stronę, aż z powrotem dotrze do San Francisco. Czekają tam na nią puste mieszkania.

Teraz miała do pomocy generała Ma. Wcześniej miała Alberta Linga. Jej pomocnicy kiepsko wychodzili na tej znajomości.

A może generał wcale nie będzie mógł jej pomóc? Wówczas będzie potrzebny nowy plan. W czasie lotu miała dość czasu, by go sobie obmyślić. I obmyślała.

Samolot leciał na zachód nad kłębiastym morzem złota. Był podobny do tego, którym przyleciała do Pekinu z Wuxi: stary i kanciasty, z kilkoma rzędami siedzeń i pustą przestrzenią ładunkową. Beth była jedyną pasażerką. Generał poszedł do kabiny pilota. Może chciał skorzystać z radia, a może pobawić się w pilota. Albo zwyczajnie skończyły im się tematy do rozmowy.

Zamknęła oczy, ale nie spała. Godziny mijały. Pomyślała o wysłaniu matce pocztówki z pandą, Zakazanym Miastem albo Wielkim Murem. „Droga Mamo, Uściski, Beth.” Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Niektórzy ludzie umieli napisać pozdrowienia w jedną chwilę. Na przykład Teddy. Pamiętała jego pocztówkę z Waszyngtonu, to, co pisał o Giorgione i barwie jej oczu. Przypomniała sobie zdjęcie pandy. Z waszyngtońskiego zoo, oczywiście. Zupełnie naturalny wybór, lecz jej nie dawał teraz spokoju. Przywiódł jej na myśl słowa Marty'ego Kesselmana: „Czy to Teddy ci ją podsunął?” — kiedy mówił o herbacie nasączonej chloroformem.

Otworzyła oczy. Generał stał w drzwiach kabiny pilota i przyglądał się jej.

— Trzydzieści minut — zakomunikował i wrócił na swoje miejsce.

Zmienił się odgłos silników. Dziób samolotu obniżył się i zatopił w chmurach, zaś wewnątrz wypełniło się mglistym, złotawym światłem, jak w krainie czarów. Grawitacja ściągała ich w dół.

Samolot przebił się przez chmury i ołowiane niebo. Pod nimi leżał jałowy kraj: brunatne wzgórza, wijące się brązowe doliny, ponure, zakurzone kotliny. Prowincja Qinghai, gdzie An poznał wielbego Huanga, region obozów pracy.

Samolot przeleciał nad szaroburym miastem i wylądował na nieutwardzonym pasie. Beth i generał wysiedli. W twarzę powiał im niosący tumany pyłu wiatr.

— Latem jest tu bardzo gorąco, a zimą okropnie zimno — krzyknął generał między podmuchami. — Teraz jest najlepsza pora w roku.

— Pod warunkiem, że w ogóle trzeba tu być.

Mówienie pozbawiło ją tchu. Powietrze było niezwykle rozrzedzone.

Generał usłyszał ją, ale nic nie odpowiedział. Widocznie nie był to czas na żarty.

Podjechał do nich pobijany, rdzewiejący jeep prowadzony przez nastolatka w zielonym mundurze. Chłopak powiedział coś z szacunkiem do generała, który usiadł obok niego. Beth wsiadła do tyłu. Siedzenie było podarte i pokryte kurzem. Pod jej nogami walał się kanister. Przesuwając go, zauważyła, że chłopak przygląda się jej we wstecznym lusterku.

Generał też to spostrzegł. Powiedział coś do chłopaka po cichu, trzy czy cztery słowa. Ten pochylił się nad kierownicą i zapalił silnik. Na wierzchu dłoni wyskoczyła mu niebieska żyła.

Żołnierz powiózł ich przez kraj niemuśnięty chyba żadnym z kolorów tęczy. Wszędzie wirowały tumany pyłu, przypominające wędrownie kokony. Jechali wyboistą drogą na zachód od miasta.

Po godzinie samochód wspiał się po zboczach nierównego, usianego kamieniami wzgórza i zjechał na drugą stronę. W najgłębszych kotlinach pomiędzy wzniesieniami widziała plamy, które pod słonecznym niebem byłyby może zielone.

— Wiosna — rzekł generał, patrząc na nią spod przymrużonych powiek. Na jego wąsach osiadł kurz.

Grupki mężczyzn pochylały się nad czymś, co zdołało wyrosnąć w tej ziemi, dziobiąc to motykami. Nie byli Chińczykami. Byli od nich drobniejsi, ale silniejsi, a ich skóra miała barwę hawańskich cygar. Niektórzy nosili na głowach poszarpane turbany, inni jarmułki haftowane w mozaikowe wzory. Podnieśli wzrok, gdy samochód przejeżdżał obok nich, i znieruchomieli, gdy zobaczyli Beth.

Przed nimi rozciągała się brązowa równina. Gdyby popatrzeć na nią z góry, może wyglądałaby jak kraina rzek i migoczących jezior. Ale gdy przez nią jechali, jeziora okazywały się wysuszonymi złożami soli, a rzeki pasmami wygładzonego kamienia. Zwierzę przypominające świstaka pokręciło nosem, gdy je mijali.

W oddali podrygiwał jakiś kształt. Rósł powoli, stając się w końcu mężczyzną na koniu, który też zmierzał na zachód. Wkrótce Beth zdołała

również rozpoznać drugiego człowieka, który szedł za nim z założonymi do tyłu rękoma niczym filozof na długim spacerze.

Jeep wyminął ich i stanął. Cała trójka pokryta była kurzem. Jeździec miał na sobie zielony mundur, tak jak ich kierowca, ale wyglądał na starszego i twardszego. Na jego ramieniu wisiał pistolet maszynowy. Koń niedawno musiał się bardzo zmęczyć — na sierści lśniły żyłki soli. Piechur szedł boso i miał postrzępione ubranie, a na nadgarstkach stalowe kajdany. Przy jednym uchu widać było smużki zakrzepłej krwi. Na szyi miał brązową plamę w kształcie pajęczyny.

Jeździec powiedział coś do kierowcy. Chłopak wyciągnął spod siedzenia manierkę i podał mu ją. Tamten odchylił głowę do tyłu i pił; jego gardło pracowało jak pompa. Oddał manierkę szoferowi. Filozof tylko wodził za nią wzrokiem. Ruszyli dalej.

— Czasami uciekają — wyjaśnił generał. — Ale w tej prowincji nie ma dokąd uciec.

Beth obejrzała się za siebie. Dostrzegła jedynie cienie w chmurze pyłu.

— Generale?

— Tak.

— W Szanghaju wydarzyło się coś, o czym myślę, że powinnam panu powiedzieć.

Odwrócił się. — Co takiego?

Opowiedziała mu o aresztowaniu handlarza figurkami.

— Proszę się nie martwić. To nie miało z panią nic wspólnego.

— Ale widziałam go ponownie w Wuxi.

— Kogo? — zapytał niecierpliwie.

Opisała mu mężczyznę o dłoniach jak u świętego. Niecierpliwosc z twarzy generała znikła. Teraz patrzył na nią agresywnie.

— Dlaczego wcześniej nie powiedziała mi pani o tym?

— Nie wiedziałam, do czego to odnieść.

— Tym bardziej powinna pani powiedzieć.

— Co takiego się stało? Zna pan tego mężczyznę?

— Oczywiście, że go znam.

Czekała, aż będzie mówił dalej. Gdy milczał, zapytała: — Kim on jest?

— Asystentem dyrektora mojego departamentu. — Przerwał. — W czasach Mao był dyrektorem.

— A kto jest nim teraz?

— Ja.

— Nie rozumiem. Czy on z panem współpracuje w tej sprawie?

General podniósł głos.

— Działa przeciwko mnie. Ile razy jeszcze będę musiał pani tłumaczyć? Mężczyzna, którego pani widziała, jest jednym z najaktywniejszych lewicowców w partii.

Odwrócił się od niej i zapatrzył w dal.

— Jak on się nazywa?

— Jego nazwisko nic pani nie powie.

Zduśla w sobie złośliwą odpowiedź. Zamiast tego zapytała: — Jeśli jest pan dyrektorem, to czy nie może się pan go pozbyć?

General zaśmiał się gorzko, ale nie odpowiedział. Po chwili na horyzoncie pojawiły się niskie wzgórza, a niebo pociemniało. Spojrzała na zegarek; dochodziła jedenasta.

— Która jest godzina?

— Dziesiąta pięćdziesiąt trzy.

— Nie w Pekinie. Czasu miejscowego.

— Dziesiąta pięćdziesiąt trzy. W całym kraju jest taki czas jak w Pekinie.

Wyprostował się, jakby spodziewał się kolejnego żartu. Ale Beth nie była w nastroju do żartów.

Zmrok nie zapadł jeszcze do końca, gdy dojechali do wzgórz. U ich podnóża stały rzędy lepierek, ciągnące się w obie strony jak okiem sięgnąć. Równoległe do nich biegły ogrodzenia z poskręcanego jak węże drutu kolczastego.

Chłopak podjechał do bramy. Przed sobą zobaczyli ciężarówkę pełną stojących ludzi, głównie mężczyzn, tak poupychanych, że w ogóle nie mogli się ruszyć. Z wyjątkiem białek oczu, cali byli czarni jak węgiel. Na wieżycze przy bramie stał strażnik i ich liczył. Machnął ręką i ciężarówka przejechała. Po chwili zza bramy wyjechała inna, też załadowana ludźmi, tylko że czystymi.

— Górnicy — wyjaśnił general. — Zmiana szycoty.

Jeep wjechał przez bramę i zatrzymał się przed lepianką tylko trochę wyższą od pozostałych. General wszedł do środka. Beth przyglądała się mijającym ją pobrudzonym górnikom. Wszyscy byli wychudzeni. Zniekształcone dłonie zwisały po bokach jak jakieś ciężary. Jeden czy dwóch dostrzegło ją; ich oczy nic jej nie powiedziały.

Z budynku wyszedł general z żołnierzem przy boku. Wydawał się nie zauważać idących kilka metrów dalej robotników. Beth uświadomiła sobie, że piorunuje go wzrokiem, lecz tego też jakby nie widział. Wsiadł do jeepa. Żołnierz oparł się o maskę i kazał kierowcy jechać do chaty z blaszanym kominem.

Przed wejściem przesuwała się kolejka górników — każdy z metalową miską w dłoni. W drzwiach, przy stole na kozłach, stała kobieta w wyblakłym niebieskim mundurze. Przed sobą miała dwa duże garnki. W jednym był ryż; w drugim rzadka brązowa ciecz. Kobieta nakładała każdemu po jednej wazówce ryżu i brązowego płynu. Nie patrzyła na górników. Jej oczy przesuwały się tylko z jednej miski na drugą.

Robotnicy nie mieli pałeczek ani krzeseł, na których mogliby usiąść. Podnosili miski do twarzy i chleptali prosto z nich tam, gdzie stali. Potem odchodzili gdzieś pomiędzy lepianki z pustymi naczyniami w dłoniach. Paru obejrzało się jeszcze na wielkie kotły.

Kiedy odszedł ostatni górnik, kobieta wciągnęła stół do środka. Chwilę później wyszła z osadzoną na bambusie miotłą i sprzątnęła wszystkie śmieci przed budynkiem. Taką samą miotłę miał pan Lao.

Żołnierz wskazał brodą na kobietę.

— Pei Ming — powiedział do generała.

Ten odwrócił się do Beth.

— Zrozumiałam go — rzekła, nim zdążył się odezwać.

Generał porozmawiał przez chwilę z kierowcą. Chłopak kiwnął głową.

— Chodźmy — powiedział w końcu.

Wysiedli z jeeпа, który zaraz odjechał, i podeszli do kobiety.

Pei Ming podniosła wzrok. Była niska i przysadzista, miała masywny tułów, grube kończyny i toporną twarz. Była zbudowana tak, by móc oprzeć się zmianom. Ale podchodząc bliżej, Beth zauważyła, że zmiany już odcisnęły na niej swoje piętno. Jej włosy były białe i pozlepiane, gdzieniegdzie prześwitywała przez nie goła skóra. Miała podpuchnięte powieki i mgliste oczy oraz bladą bliznę na szyi. Skuliła się za miotłą, spodziewając się kłopotów.

— Pei Ming? — zapytał generał.

Kobieta odpowiedziała gardłowym, płaczkliwym głosem. Zamiast zębów miała tylko brązowe pieńki.

Ma powiedział coś do niej. Beth wylapała tylko Taihu i Wu Tun-li.

Kobieta z płaczem padła na kolana i uczepiła się skraj tuniki generała. Jej dłonie były podobne do dłoni górników. Generał próbował się cofnąć, ale ona trzymała tkaninę, pełnząc za nim jak jakiś artysta w obłąkanym tańcu i spoglądając na jego pełną obrzydzenia twarz swoimi zamglonymi oczami.

— Co się stało? — spytała Beth.

Generał w końcu się uwolnił. Pei Ming zawodziła i charczała, tłukąc czołem w ziemię.

— Myśli, że będzie jeszcze raz sądzona.

Pei Ming dalej waliła głową w ziemię. Beth podeszła do niej i położyła rękę na jej plecach; poczuła kościste, żylaste ciało. Pei Ming nie reagowała na jej dotyk. Beth cofnęła dłoń.

Ma zwrócił się do niej ze złością. Kobieta wydała pytający dźwięk. Generał coś odpowiedział. Pei Ming odezwała się cichym, pełnym niedowierzania głosem i niezgrabnie wstała na nogi. Spojrzała na generała, na Beth i na niebo.

Beth także podniosła wzrok. Zdążyła już zapaść noc. Chmury się rozprzeczły i gwiazdy mrugały, przypominając ludziom o ich małości. Pei Ming raczej nie potrzebowała gwiazd, żeby o tym pamiętać.

Weszli do ciemnej chaty. Beth zatrzymała się w drzwiach. Słyszała, jak Pei Ming człapie po podłodze. Trzasnęła zapalka i w lampie naftowej zapłonął ognek. Migoczące światło zepchnęło ciemności w kąt, oświetlając pomieszczenie: poczerniały piec, stół na kozłach, taboret i przykrytą kocem pryczę.

Stali wszyscy wokół lampy. Generał sięgnął pod tunikę, wyciągnął paczkę herbaty i podał ją Pei Ming. Zanim podeszła do pieca, powąchała ją, głęboko wciągając zapach. Napełniła czajnik wodą ze stojącego na podłodze wiadra i postawiła na piecu. Kiedy woda się zagotowała, wrzuciła do niej trzy szczypty herbaty, ostrożnie zamknęła i odłożyła paczkę. Wlała napój do trzech metalowych kubków i postawiła je na stole. Herbata parowała i na chwilę jej woń stłumiła inne zapachy — nafty, przypalonego ryżu i potu.

Pei Ming zaczekała, aż generał weźmie swój kubek. Dopiero wtedy sięgnęła po swój, uniosła go do ust i upiła trochę. Westchnęła i przytuliła naczynie do piersi jak dziecko.

Beth też wzięła łyk. Herbata była słaba, a kubek parzył, więc odstawiła go na stół. Pei Ming wydawała się nie czuć gorąca metalu. Podobnie jak generał.

Ma skończył swoją herbatę. Pei Ming dolala mu, ale generał już nie pił. Spojrzał tylko na nią przez stół i rzekł: — Wu Tun-li.

Pei Ming nadal tuliła swój kubek, ale nic nie powiedziała.

— Wu Tun-li — powtórzył generał ostrzejszym tonem.

Kubek w dłoniach kobiety zaczął się trząść. Herbata wylała jej się na pierś.

— Wu Tun-li — powiedziała tak cicho, że Beth ledwie ją usłyszała.

Generał pochylił się do przodu w krąg światła, które odbijało się w jego cesarskich oczach. Czekał na więcej, ale kobieta milczała. W chacie panowała absolutna cisza. Z obozu też nie dochodziły żadne dźwięki. Zdawać by się mogło, że to najspokojniejsze miejsce na ziemi.

Beth wzięła czajnik i obeszła stół. Pei Ming skuliła się. Napełniła jej kubek. Zwróciły się na nią zamglone oczy. Gdzieś w głębi coś w nich błysnęło, jak ryba pod powierzchnią wody.

— Niech nam pani opowie o Wu Tun-li — poprosiła łagodnie. — O Wu Tun-li i o Taihu.

Pei Ming otworzyła usta. Beth tak pilnie nastawiała uszu, że słyszała skwierczący w lampie knot. Ale zamiast słów, z gardła Pei Ming wydobył się chrypiący szloch. A za nim kolejne dźwięki, które mogły uchodzić za słowa.

— Co ona mówi?

Generał cofnął się od stołu. Na twarzy miał ten sam wyraz co wtedy, gdy Pei Ming uczepiła się jego ubrania.

— Mówi, że nie chciała go zabić.

— Ale przecież go nie zabiła. — Potem przysłała jej do głowy myśl, od której zdrętwiała. — Czy on tutaj był? Czy zabili go w kopalniach?

Podeszła do generała i ledwie nad sobą zapanowała, żeby nie chwycić go za tunikę.

Zrobił krok do tyłu. — Spokojnie, bez paniki. Ona mówi o dawnych czasach.

Szloch Pei Ming powoli ustały. Potem zaczęła mówić tak szybko, jakby puściła w niej jakąś blokadę. Oczy generała utkwione były w twarzy starej Chinki. Odbijało się w nich złociste światło lampy.

Po kilku minutach zamilkła i otarła rękawem łzy. Generał odwrócił się do Beth. — Tej kobiecie wszystko się pomieszało.

— Co powiedziała?

— Trudno to powtórzyć.

— Co powiedziała?

— Że nie chciała go zabić. Wydaje się, że mówi o swoich zamiarach, a nie faktycznych wydarzeniach. Co się naprawdę stało, tego nie wiemy. Powtarza ciągle, że bogowie jej nie uwierzyli. Sądzi, że chciała go udusić tam, pod pawilonem. Uważa, że właśnie dlatego tu jest — że to kara bogów. To bardzo ciemna kobieta.

Pei Ming słuchała, jak generał mówi. Jej mgliste oczy skierowały się na Beth. Powiedziała coś cichym, niskim głosem.

— Mówi, że nigdy nikogo nie zabiła. Ani dziecka, ani innych.

— Jakich innych?

— Kto wie? To tylko jakiś bełkot.

— Proszę ją zapytać.

Generał popatrzył chłodno, ale zadał pytanie.

— *Shan-chu* — wyszeptwała Pei Ming.

Oczy generała wyzbyły się nagle wszelkich emocji, stając się wyłącznie narządem wzroku.

— Pan Góry — przetłumaczył również szeptem.

Pei Ming potarła swoją niekształtną dłonią ramię Beth, jakby myślała, że coś ją boli. Dodała jeszcze kilka słów.

— I jego żona — rzekł generał. — Oboje zostali zabici w domu nad jeziorem.

— O co jej chodzi z tym Panem Góry?

Generał wpatrywał się w płonący knot. — To tytuł nadawany w tajnych stowarzyszeniach. Pan Góry to przywódca.

— W stowarzyszeniach takich jak Bractwo Zielonego Węża?

Generał przytaknął. Zastygł w bezruchu z oczami utkwionymi w knocie.

Beth także się zamyśliła. Dumiała o ojcu Teddy'ego. Nietrudno jej było uwierzyć, że był przywódcą Bractwa Zielonego Węża. W mrocznej chacie w obozie pracy łatwo było uwierzyć w cokolwiek: w to, że Rex Heidemann i Jimmy Han zamordowali Pana Góry; że Pei Ming przyniosła osieroczone dziecko do Helen Brock, a ona przywozła je do Stanów. Dużo trudniej było uwierzyć w to, co widziała tu na miejscu, w obozie.

Generał popatrzył na nią. — Czas już jechać.

— Jechać? Ale musimy dowiedzieć się jeszcze tyłu rzeczy.

— Na przykład czego?

— Na przykład, dlaczego ich zabito.

Generał uśmiechnął się. W migotliwym świetle lampy nie było w tym nic skomplikowanego. Wyglądał dziko: dziki uśmiech na cywilizowanej twarzy. — To jest dobre pytanie — rzekł. — Ale ta kobieta nie będzie znała na nie odpowiedzi.

— Proszę ją zapytać mimo wszystko.

Generał przestał się uśmiechać. Zwrócił się do Pei Ming, a gdy ta odpowiedziała, Ma jakby się zmieszał.

— Czy Lao wspominał, że widział jakąś kobietę w dniu zabójstwa?

— Nie. Widział tylko Rexa Heidemanna, Jimmy'ego Hana i jakichś innych mężczyzn. Dlaczego?

— Ona twierdzi, że Pan Góry i jego żona zostali zabici przez konkubinę Pana, która nienawidziła jego żony.

— Przez konkubinę?

— Podobno Pan miał kochankę w Szanghaju.

— Jak się nazywała?

Pei Ming nie wiedziała. Nie pamiętała nawet, jak wyglądała. Nie miała też żadnej pewności, czy kobieta była nad jeziorem w dniu mordu.

— To jak może mówić, że ich zabiła?

— Nie wiem — odparł generał. — Ale to prawdopodobnie nie ma znaczenia. A przynajmniej teraz mam coś, nad czym mogę popracować.

Przysunął się do lampy, żeby Pei Ming go lepiej widziała, i powiedział coś do niej. Kobieta stanowczo przytaknęła. Generał odwrócił się do Beth i powiedział: — Idziemy.

I wyszedł z chaty.

Pei Ming nadal lekko kiwała głową. Beth wyciągnęła rękę przez stół. Z początku Chinka nie wiedziała, co począć; wpatrywała się w nią, tuląc swój kubek. Potem bardzo powoli wyciągnęła swoją i uściśniła dłoń Beth, leciutko i tylko na chwilę. Skóra Pei Ming była w dotyku jak kamień.

— Dowidzenia — powiedziała Beth.

Kobieta nie odpowiedziała. Wzięła tylko swoją miotłę na bambusowym kiju i zaczęła zamiatać. Beth wyszła.

Wszedł księżyc w pełni. Wyglądał jak twarz na zdjęciu zanurzonej w wywoływaczu w ciemni fotograficznej. Generał wpatrywał się w niego.

— Co pan jej powiedział?

— Zapewniłem ją, że ta rozmowa pozostanie tylko między nami.

— Jak pan to zrobił?

Generał nic nie odrzekł. Patrzył na księżyc.

— To pan Lao doniósł na mnie i pana Ana, czy tak?

— Prawdę mówiąc, to była jego żona. Myślałem, że pani wie.

— A niby skąd miałam wiedzieć?

— Nie było to oczywiste?

— Może dla pana było.

Generał nadal wpatrywał się w księżyc.

— Chyba weszło jej to w nawyk. Według naszych akt to ona zadenuncjowała Pei Ming w czasie rewolucji kulturalnej.

Beth czuła, że brak jej tchu. Głęboko wciągnęła pełne kurzu powietrze.

— Na jakiej podstawie?

— Coś związanego z zadawaniem się z nieodpowiednimi ludźmi. Zapisy są niejasne.

Przestał patrzeć na księżyc i odwrócił się do niej.

— Nie jesteśmy jeszcze dostatecznie skomputeryzowani. W każdym razie jej kara skończyła się kilka lat temu.

— To co tu jeszcze robi?

— Wielu ekswieźniów zostaje tu w charakterze płatnych robotników.

— Z własnego wyboru?

— Wyboru? — Podjechał jeep. — Ona przebywa tu już zbyt długo, by móc żyć gdzieś indziej.

Wsiedli do jeepa i wyjechali z obozu. Nigdzie nie było widać żadnych świateł, tylko księżyc słał swe promienie na lepianki i migotał na kolczastym drucie.

— Jakiego sprzętu używacie w kopalniach? — zapytała.

— W Chinach wciąż brakuje maszyn. Nie możemy przydzielić ich zbyt wiele do resocjalizacyjnych obozów pracy.

My. Zmroziło ją to słowo. Zatrzęsła się. Generał także zadrzał.

Jechali po równinie. Wiał silny, zimny wiatr. Beth skuliła się na tylnym siedzeniu, ale po około piętnastu minutach usiadła i przekrzyzczyła wicher:

— Niech pan zatrzyma. Chcę tam wrócić.

— Wrócić?

— Chcę jej opisać Han Shih i zobaczyć, co powie.

Generał zastanowił się chwilę. — Dobrze.

Pojechali z powrotem, wzdłuż ogrodzenia z drutu, przez bramę, koło lepianek. Chłopak zaparkował przy chacie z blaszonym kominem. Beth i generał wysiedli. Zapukała w liche drzwi, lecz nikt nie odpowiadał. Generał otworzył je i weszli do środka.

Lampa już nie płonęła. Generał zapalił zapalną. W jej słabym świetle ujrzeli Pei Ming na pryczy. W chacie było zimno, ale nie przykryła się kocem; leżał zmięty na podłodze.

Generał zawołał coś do niej. Jej oczy pozostały zamknięte. Zawołał jeszcze raz, głośniej, ale Pei Ming się nie obudziła. Generał klepnął kobietę w ramię. Nagle schylił się i ją odwrócił.

Tył głowy Pei Ming był roztrzaskany.

— Szybko — krzyknął i pędem ruszył do drzwi.

W chacie zapanował mrok. Beth stała w bezruchu i wpatrywała się w plamę ciemności, gdzie spoczywała zakrwawiona głowa Pei Ming. Generał chwycił ją za ramię i wyciągnął za drzwi. W jego dłoni ujrziała pistolet, poczuła, jak wpycha ją do jeepa, usłyszała, że krzyczy coś do kierowcy.

Samochód wystrzelił do przodu. Beth leżała na podłodze. Nad nią, na siedzeniu klęczał generał, wzrokiem omiatając ciemności.

Wiatr wył, kurz przesłaniał księżyc i gwiazdy, jeep pędził po równinie. Beth nie mogła opanować drżenia.

Dojechali do pasa startowego. Samolot już na nich czekał. Generał wbiegł po schodkach, ciągnąc ją za sobą. Żelazny ptak wystartował, zanim zdążyli usiąść.

Beth trzęsła się przez całą drogę do Pekinu.

Gdy samolot zbliżał się do stolicy, generał zajął do Beth. Cały lot przesiedział w kabinie pilota, rozmawiając przez radio. Na początku mówił krótkimi, ostrymi zdaniem, które brzmiały jak pytania, potem tonem spokojnym, oznajmującym, a na końcu zwięzłymi frazami, jakby wydawał rozkazy.

— Spała pani? — zapytał.

— Nie.

— Dobry żołnierz śpi, kiedy tylko ma po temu okazję.

Nie odpowiedziała. Generał wyglądał przez okno; omiatał wszystko metodycznym spojrzeniem, jak gdyby lotnisko naniesiono na mapę, a jego oczy były skanerami.

— Czego pan szuka?

— Niczego konkretnego. — Jednak patrzył aż do chwili, gdy koła dotknęły ziemi.

W Pekinie było cieplej niż w prowincji Qinghai. Słońce prześwitywało przez mgiełkę kurzu, niezwykle delikatnie przypominając o wiośnie. Mimo to Beth nadal drżała.

Na końcu pasa czekał już na nich samochód generała. Jego bratanek miał na sobie skórzane mokasyny, flanelowe spodnie, koszulę i bezrękawnik z rozpiętymi na dole guzikami. Przygryzał dolną wargę. Gdy podeszli, wręczył wujowi plik dokumentów.

Beth zatopila się w czerwonym pluszu, lecz wcale nie było jej przez to cieplej. Ma usiadł obok niej, przeglądając papiery, a samochód ruszył.

— Co to? — zapytała.

Generał wziął różową, pokrytą chińskim pismem kartkę i czytał. Nie odpowiedział jej. Potem wziął niebieski arkusz i jeszcze jeden różowy.

— Jaka właściwie była reakcja Rexa Heidemanna, gdy go pani wypytywała? — spytał, nie podnosząc wzroku.

— Z początku chyba się zirytował. Uważał, że nic dobrego nie może wyniknąć z rozgrzebywania przeszłości. Ale opowiedział mi o swojej rozmowie z Teddym. Teddy mówił mu, że chce dotrzeć do swoich korzeni. Heidemann tłumaczył, że wszystkie dzieci, które przywieźli, były sierotami i że nie mogli znaleźć żadnych krewnych, tak więc dotarcie do korzeni będzie niemożliwe.

— Nie złościł się? Nie straszyl pani?

— Nie. Dlaczego? Co jest w tych dokumentach?

— Korzenie doktora Wu. Ma bardzo interesujące pochodzenie, w sensie politycznym.

— Proszę mi opowiedzieć.

— Nie teraz. Trzeba jeszcze trochę poszperać, a mam czas tylko do czternastej trzydzieści.

— A co będzie o czternastej trzydzieści?

— Spotkam się z premierem.

— Ale czy wie pan, gdzie jest Teddy? Proszę mi powiedzieć tylko to.

— Jeszcze nie wiem, lecz wkrótce się dowiem. Potrzebuję więcej dokumentów.

— A wie pan, gdzie ich szukać?

— Owszem. Jeśli nie zostały zniszczone.

Dojechali do skrzyżowania dwóch szerokich ulic. Policjant kierujący ruchem podniósł dłoń, ale bratanek generała zatrąbił i przejechał.

— Czy dlatego właśnie zabito Pei Ming? — zapytała. — Czy to w ramach niszczenia dowodów?

Generał podniósł wzrok znad papierów. — Oczywiście. Ale ja byłem jeden krok przed nimi.

Było jej zimniej niż kiedykolwiek przedtem, nie licząc nocy spędzonej w wodzie. Zaczęła ją boleć dłoń. Ma wysadził ją w centrum, na placu Tian'anmen.

— Niech się pani nie martwi — powiedział. — Proszę pozwiedzać trochę. Mój bratanek przyjedzie po panią o piętnastej.

Wahała się.

— Tutaj jest pełno turystów — dodał. — Będzie pani bezpieczna. Zresztą o piętnastej wszyscy będziemy bezpieczni.

Wysiadła z samochodu. Generał miał już zamknąć drzwi, ale zdążyła chwycić klamkę. — Czy pan An został uwolniony?

— Pan An? — powtórzył niecierpliwie.

— Ten skrzypek.

Bratanek generała coś mu wyjaśnił.

— Jeszcze go nie zlokalizowaliśmy — odparł generał.

— Jak to?

— Nie mam teraz czasu o tym rozmawiać. O trzeciej. Tutaj, przy bramie.

I zamknął drzwi. Bratanek wcisnął pedał gazu, zapinając jednocześnie guzik przy kołnierzyku.

Generał miał rację: na placu Tian'anmen pełno było turystów. Ale nie czuła się dzięki temu bezpieczniej. Na tak wielkiej przestrzeni wszyscy oni wyglądali jak nomadowie płaczący się bez celu po Saharze. Ona też snuła

się, nie wiedząc, dokąd iść. Przeszła przez plac raz czy dwa. Nie zauważyła, by ktoś się nią interesował. Przyjrzała się ogromnym budynkom rządowym, które stały dokoła. Wiedziała, że jeden z nich nazywa się Wielka Sala Ludu, ale nie zwiódło jej to. Plac Tian'anmen w kamieniu i betonie ukazywał relacje i proporcje między państwem a jego obywatelami.

Przez jakiś czas dołączała to do jednej wycieczki, to znów do innej, ale nie mogła się skupić na słowach przewodników. Ruszyła w stronę południowej części placu, minęła kilka autokarów i wyszła na ruchliwą ulicę Z wózka przy jezdni jakaś kobieta sprzedawała napoje w butelkach. Zbliżała się właśnie do niej, gdy obok przejechała eskortowana przez motocykle limuzyna. Odwróciła się, by zobaczyć, czy jest w niej generał Ma. Nie było go jednak. Z tyłu siedziało dwóch mężczyzn: premier i człowiek z zapadniętymi policzkami, palący akurat papierosa. Podnosił go do ust w długich palcach jak na obrazach El Greca.

Wyjrzał przez okno. Wzrokiem omiół stragan z napojami, sprzedawczynię, Beth. Na moment ich oczy spotkały się. Wtedy samochód przemknął obok. Znajdował się już jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, gdy mężczyzna przekreślił głowę, by spojrzeć na nią raz jeszcze.

Beth odwróciła się i ledwo zapanowała nad chęcią ucieczki. Nachyliła się nad straganem udając, że wybiera coś do picia. Kobieta czekała, aż się zdecyduje. Beth rozejrzała się, lecz limuzyna już zniknęła jej z pola widzenia. Szybkim krokiem ruszyła na plac, czując na sobie wzrok straganiarki.

Znalazła dużą grupę turystów i wmieszała się pomiędzy nich.

— Po lewej stronie — mówił przewodnik — znajduje się Pomnik Bohaterów Ludu. Ma trzydzieści sześć metrów wysokości. Kamień węgielny został wmurowany przez samego Mao, a napis na cokole odwzorowuje jego charakter pisma.

— A jaka jest treść tego napisu? — ktoś zawołał.

— Słucham?

— Napis. Co mówi?

— „Bohaterowie Ludu są nieśmiertelni”.

— Aha.

Beth spojrzała na zegarek. 14:20. Generał miał się spotkać z premierem za dziesięć minut. Ale premier jechał teraz limuzyną z człowiekiem o zapadniętych policzkach.

Turyści ruszyli do autokaru. Beth przeszła kawałek z nimi i usiadła na ławce. Turyści wsiedli, autobus odjechał, pozostawiając przed nią puste miejsce. Miała dobry widok na plac.

Maszerowała nim grupa żołnierzy. Byli to potężni mężczyźni z północnych Chin, o szerokich torsach i mocnych kończynach. Czują wywołane ich

marszem wibrowanie ziemi. Minęli ją krokiem już nie marszowym, ale i nie spacerkiem. Szli zwyczajnie z oczami utkwionymi przed siebie. Na kolana upadła jej koperta.

Otworzyła ją. W środku była kartka, a na niej napisane czarnym atramentem cztery słowa: *Proszę iść do pingfangu*. Podniosła wzrok. Żołnierze oddalali się ulicą.

Generał powiedział jej, że *pingfang* to tradycyjny chiński „płaski dom”. Znała tylko jeden taki. Spojrzała na zegarek. 14:33. Pod notką nie było żadnego podpisu, niczego, co wskazywałoby na nadawcę. Zdecydowała, że jeszcze poczeka.

Czekała więc. Widziała turystów, przewodników, żołnierzy. Nie wydawało się, by ktoś zwracał na nią szczególną uwagę, a mimo to czuła się obserwowana. O 14:55 poszła pod bramę. Przejechała limuzyna; prowadził jakiś żołnierz, ale poza nim nikogo w niej nie było. 15:00. 15:05. 15:10. O 15:15 zaczęła rozglądać się za taksówką, ale żadnej nie znalazła.

Opuściła plac i wyszła na ulicę. Była bardzo ruchliwa, roilo się na niej od autobusów, rowerzystów, ciężarówek i pieszych. Przejechało też kilka prywatnych samochodów, lecz ani jedna taksówka. Po pewnym czasie doszła do ogromnego budynku, czy raczej trzech budynków połączonych w jeden. Napis głosił: HOTEL PEKIN. Prowadziły do niego trzy wejścia. Beth wybrała środkowe.

Weszła do wyłożonego fioletowym dywanem holu. Kilkunastu Afrykańczyków stało w jednym końcu i piło piwo. Podeszła do recepcjonisty za kontuarem.

- Chciałabym taksówkę — powiedziała.
- Tak? A dokąd?
- Do Wielkiego Muru.

Recepcjonista spojrzał na zegarek. Sprawdził jeszcze z zegarem na ścianie. Była 15:58.

- Ale to już niemożliwe — rzekł w końcu.
- Dlaczego? Zacisnął usta.
- Wkrótce będzie bardzo późno. — Pokazał jej swój zegarek. — Noc. Za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Dużo lepiej jechać rano. Rano jest autobus, nie taki drogi.

- Ale ja zawsze chciałam zobaczyć Wielki Mur o zachodzie słońca. Człowiek zamrugnął.

- I przejechałam taki kawał drogi — dodała.

Westchnął. — Spróbuję. — Podniósł słuchawkę. — Wei — powiedział. — Wei, wei, wei.

Potem dodał coś jeszcze. Wysłuchał odpowiedzi, odłożył słuchawkę i pokręcił głową. — On mówi, że to niemożliwe.

— Kto?

— Mężczyzna z *danwei* taksówkarzy.

Rozważała, czy nie poprosić go o bezpośrednią rozmowę z tym człowiekiem i nie odegrać jeszcze raz swojego przedstawienia. Ale możliwe, że nie znał angielskiego, a gdyby nawet znał, to czuła, że miała marne szanse. Podziękowała recepcjonistce i wyszła.

Przy wejściu stało kilka taksówek. Wróciła do recepcji, gdzie widziała stosik broszurek. Człowiek za kontuarem zachęcił ją uśmiechem. Znalazła ulotkę ze zdjęciem Wielkiego Muru i wzięła ze sobą.

Pokazała ją taksówkarzom. Pierwszych trzech spojrzęło na nią z niedowierzaniem i pokręciło głowami. Czwarty spał. Beth puknęła w przednią szybę. Obudził się. Wskazała na broszurę i wykonała ruchy naśladujące jazdę samochodem.

— Wielki Mur? — powiedział. — Bardzo drogo.

— Ile?

— Trzydzieści dwa juany.

Znalazła pieniądze i dała mu. Kierowca wypełnił rachunek i wręczył go Beth. Wsiadła do taksówki. Szofer zapalił silnik i włączył się do ruchu. Roweryści zaczęli brzęczeć wściekle swoimi dzwonekami.

— Dobrze pan zna angielski — pochwaliła.

— Tak, tak — przyznał, lecz bynajmniej nie miał ochoty go używać. Taksówka wjechała na drogę biegnącą na północ od Pekinu. Po jakimś czasie wspięła się na zielone wzgórza i posuwała grzbietem jednego z nich. W dolinie poniżej Beth zobaczyła wartki strumień; teraz, gdy zachodziło słońce, tonął w półmroku. Ukryta w cieniu kobieta prała w nim ubrania. Ukryci w cieniu mężczyźni łowili ryby na trzymane w dłoniach żyłki. Domy zbudowane z kamieni wyrwanych Wielkiemu Murowi rzucały na zbocza nieregularne, ciemne plamy.

Słońce znikło za horyzontem. W czasie interregnum między dniem a nocą rozszalały się barwy na niebie. Doliny pod nim pociemniały. Beth zaczęła się martwić, że przegapi zarośniętą polną drogę.

— Proszę trochę zwolnić — zwróciła się do kierowcy. Wydawał się jej nie słyszeć. — Proszę zwolnić.

— Tak, tak. — Jednak wcale nie zwolnił.

Taksówka wspięła się po stromym zboczcu. Z jego szczytu widać było Mur. W ostatnich promieniach słońca blanki wyglądały jak zęby gigantycznej piły. Beth opuściła szybę i dojrzała nieutwardzony szlak.

— Proszę się zatrzymać!

Kierowca jechał dalej.

— Proszę się tu zatrzymać! — Powtórzyła to tak głośno, że taksówkarz zjechał na pobocze i odwrócił się do niej.

— Coś się stało?

— Muszę wysiąść. Proszę tu zaczekać.

— Nie bardzo rozumiem.

— Toaleta. Muszę skorzystać z toalety.

— Aha.

Biorąc torebkę, wysiadła z samochodu i skierowała się na polną drogę. Obejrzała się. Taksówka już zlewała się z otoczeniem, a kierowca był tylko cieniem w jej wnętrzu. Jednak po ułożeniu jego sylwetki poznała, że ją obserwuje. Wspięła się na szczyt pagórka i zeszła w dół.

Usłyszała wąski strumień, płynący w swym skalistym korycie. Potem pojawił się *pingfang*, majacząc u stóp wzgórza jak ciemniejsza łata na tle zarośli. Nie było żadnych świateł. Obejrzała się jeszcze raz. Dostrzegła tylko ciemny kształt wznoszącego się za nią pagórka.

Podeszła do *pingfangu*. Trawa chrzęściła pod jej stopami. Stała przed drzwiami i słuchała, lecz doszedł ją tylko szum potoku. Zapukała lekko.

Drzwi otworzyły się. Stał w nich wysoki mężczyzna. Przez chwilę zdawało się jej, że to Teddy. Po chwili rozpoznała go — bratanek generała.

Zmienił się: obciął krótko włosy i zgolił wąsy. Miał na sobie robocze ubranie, a nie flanelowe spodnie i koszulę. Spojrzał gdzieś za nią, w ciemność.

— Czy ktoś panią śledził? — Jego głos brzmiał wysoko i słabo.

— Myślę, że nie. Co się stało?

— Jak pani się tu dostała?

— Taksówką.

— Gdzie jest teraz?

— Czeka przy drodze. Dlaczego? Co się stało?

— Mój wujek...

— Tak?

— Został aresztowany. — Głos mu się trząśł. — Gdyby tylko przyjechała pani wcześniej.

— Przyjechałam najszybciej, jak mogłam.

— Nie dzisiaj. Gdyby przyjechała pani wcześniej do Chin... — Gardło miał tak ściśnięte, że ledwie go rozumiała.

— Kto go aresztował?

— Nie rozumiem pani pytania.

— No dobrze, ale dlaczego go aresztowano?

— Miał za mało czasu.
— To żaden... — Nie dokończyła. — Czy jest coś, co mogę zrobić?
Wydał z siebie ostry, piskliwy dźwięk. Nie wiedziała, co miał oznaczać.
— Nie. Nic nie może pani zrobić. Powiedział mi, żebym to pani dał. —
Wcisnął jej w dłoń kopertę.
Zaczęła ją rozdzierać. — Czy jest tu światło?
— Nie teraz — rzekł. — Nie ma czasu. Musi pani natychmiast opuścić Chiny.
— Kiedy?
— Teraz. Dziś w nocy. O północy jest samolot do Hongkongu. Niech pani jedzie prosto na lotnisko.
— Czy jest tu wasz samochód? Zostawiłam w nim walizkę.
— Walizkę? — Słowo odfrunęło w ciemność jak spłoszony ptak. — Samochodu nie ma. — Mówił chrypiącym szeptem. — Został skonfiskowany.
— Zastanowił się chwilę. — Czy był w niej pani paszport?
Jego głos był pełen lęku. Beth jakby się od niego zaraziła.
— Nie, mam go tutaj. Ale czy nie będą czekali na mnie na lotnisku?
— Jeszcze nie. — Lęk w jego głosie brzmiał wyraźniej niż słowa.
— A co z panem?
Milczał.
— Czy ma pan zamiar się tu ukrywać?
Z jego gardła znów wydobył się dziwny pisk. — W Chinach nie ma się gdzie ukryć.
I po tych słowach zamknął jej drzwi przed nosem.
Stała na zewnątrz. Położyła dłoń na drzwiach, ale natychmiast ją cofnęła. Ruszyła w stronę szosy. Księżyc już wszedł i świecił, prawie w pełni. Wyssoko po niebie płynęły cumulusy, a ich cienie przesuwały się po ziemi niczym potężne promienie po dnie oceanu. Już nie szła — biegła, potykając się ciągle. Wspięła się na wzgórze i dotarła do drogi.
Taksówki już tam nie było.

32

Noc była cicha. Beth nie słyszała nic poza własnym oddechem. Zasysała powietrze przez nozdrza, po czym wydychała je głośno ustami. Rozejrzała się we wszystkie strony. Nic się nie poruszyło, nie licząc promieni ścigających się po wzgórzach.

Była półtorej godziny drogi od Pekinu. Zakładając, że jedzie się samochodem. W dodatku nie wiedziała, gdzie się skierować.

Pobiegła z powrotem do *pingfangu* i zapukała. Żadnej odpowiedzi. Zapukała jeszcze kilka razy, potem nacisnęła klamkę. Drzwi były otwarte.

— Halo? — wyszeptła.

Żadnej odpowiedzi. Było ciemno jak w kopalni.

— Halo?

Wpatrywała się w ciemność, słuchając. Nie odniosła wrażenia, by ktoś tu spał. Był to raczej pokój, który ktoś właśnie opuścił.

Weszła po omacku do środka. Znalazła stół, krzesła, palnik gazowy, naczynia na półce i miejsce do spania w rogu. Ale nie namacała żadnego włącznika światła. Kierowała się właśnie do wyjścia, gdy poczuła muśnięcie na twarzy. Sznureczek. Pociągnęła go i zrobiło się jasno.

Pingfang wyglądał jak domek letniskowy. Miał drewnianą podłogę, tkane chodniki, a w kątach pełno kurzu. Usiadła i otworzyła kopertę.

W środku znalazła list i czarno-białą fotkę. Została wykonana z powietrza, a przedstawiała mężczyznę i kobietę leżących półnago na kocu rozłożonym na kamiennym murze. Jakość była lepsza niż w przypadku zdjęcia satelitarnego. Można było rozpoznać nie tylko rasę — białą czy żółtą — lecz także dokładne rysy twarzy. Kobieta się uśmiechała.

Beth przypomniała sobie mały samolot, lecący wolno nad ich głowami. Ktoś widział, jak wylądowała na lotnisku pod Pekinem, i śledził samochód generała aż do Wielkiego Muru. Ale skąd ktokolwiek wiedział, że przyleciała samolotem z Wuxi? Była tylko jedna odpowiedź: przyszła jej na myśl wraz z pojawieniem się w jej głowie obrazu stalowoszarego samochodu.

Generał powiedział jej, żeby nie oczekiwała bezwzględnej sprawności działania. Ale taką właśnie przejawiał mężczyzna o zapadłych policzkach. Domyśliła się powiązań — rozbita figurka, szary formularz wypełniony przy wjeździe, handlarz — to wszystko doprowadziło go do niej. Żona pana Lao ocaliła ją, dzwoniąc do *Gong An Ju*. A mimo to prawie złapał ją w Wuxi. Teraz miał pole do popisu wyłącznie dla siebie.

Trochę niepewnie rozłożyła list. Był napisany równym charakterem, czarnym atramentem, bez daty czy jakiegokolwiek nagłówka.

Jeżeli trzyma Pani w ręku ten list, to jest Pani w niebezpieczeństwie. Proszę natychmiast wyjechać.

Załączone zdjęcie otrzymałem anonimowo godzinę temu. Jest to zachęta do samobójstwa. Innymi słowy, zostało przysłane przez przyjaciela,

który wiedział, że będzie ono wzięte za niepodważalny dowód współpracy z amerykańskim szpiegiem.

Nie mam czasu, by podać wszystkie fakty, ale musi Pani...

Światło zgasło.

Siedziała bez ruchu z listem generała w dłoni. Słyszała tylko odgłosy stygnącego włókna żarówki. Możliwe, że się przepaliła. Albo że była to zwyyczajna awaria prądu. A może generator wyłączano na noc. Wszystko to było prawdopodobne. Jednak Beth wstała i cicho podeszła do drzwi.

Dobiegł do niej jedynie szum płynącej wody, nic więcej. Wyszła na zewnątrz. Noc była spokojna. Zbliżyła się do strumienia, zdjęła buty i przeszła na drugą stronę. Za pierwszym razem woda wydała się jej zimna; teraz w ogóle tego nie poczuła. Przebrnęła przez wysoką do kolan trawę i wspięła się na stromy pagórek. Za nim znajdował się ulubiony fragment Muru generała. Teraz skrywała go noc. Odwróciła się do niego tyłem i położyła na brzuchu.

Ze swego miejsca widziała potok, srebrzący się w poświacie księżyca, ciemną bryłę *pingfangu* i prowadzącą do szosy zarośniętą drogę.

Leżała w wysokiej trawie, a księżyc ślizgał się w dół po kopule nieba. Po ciemniało. Kilka razy oczy same zaczęły jej się zamykać.

Księżyc prawie zaszedł za wzgórze, gdy usłyszała warkot motoru. Cofnęła się w zagłębienie i obserwowała przeciwległe wzgórze.

Hałas silnika stawał się głośniejszy. Beth wsłuchiwała się w rytm i doszła do wniosku, że może to być więcej niż jeden samochód. Po chwili ujrzała cztery snopy światła, które wzniosły się ku niebu, następnie szybko opadły i zaświeciły jej prosto w oczy: dwie pary reflektorów wspinały się po wzgórzu.

Przywarła do ziemi, czując, jak wali jej serce. Światła podskakiwały na zboczu, pozostawiając ją w ciemności. Najpierw jedna para reflektorów odnalazła *pingfang*, a za moment druga. I wtedy przestały skakać, rzucając na domek jednostajny blask

Usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwiczek pojazdów. Uzbrojone cienie zmierzały w stronę domku. Drewniane drzwi otworzyły się z trzaskiem. Sylwetki zniknęły, a ciężkie buty zastukały o podłogę. Cisza. Następnie cienie powróciły, migając jej w snopach światła. Usłyszała niższe głosy. Reflektory zgasły. Zamiast nich ujrzała niewielkie promyki.

Poruszały się wokół domku. Jeden powędrował w stronę strumienia. Przez chwilę oświetlał płynącą wodę, potem ślizgał się po wysokiej do kolan trawie w górę stoku, metodycznie przeczesując obszar i zbliżając się do miejsca, gdzie leżała Beth. Przez chwilę światło zatrzymało się na krzaku niecały metr od niej. Potem ześlizgnęło się w dół zbocza.

Małe światełka poruszały się razem jak łączące się w konstelacje gwiazdy. Wreszcie zgasły. Zapłonęły reflektory, zawróciły i wspięły się po przeciwnym zboczu. Dotarły do szczytu i znikły. Odgłos silników zamierał.

Beth została tam, gdzie była. Niebo zaczynało tracić swą czerń. Przez kilka chwil jakby w ogóle go nie było. Potem zrobiło się purpurowe, z pasmami żółci i zieleni, i luną pożaru na wschodzie. Słońce weszło i przywróciło porządek.

Czekała. Rosa pokryła trawę, w której leżała, mocząc jej ubranie. Usiadła i rozejrzała się. Drzwi do domku stały otworem. Niebo przecinał wielki kruk. Nic więcej się nie poruszało.

Usłyszała silnik. Dźwięk przybliżał się, ale żaden pojazd nie pojawił się na przeciwnym zboczu. Odgłos zamilkł całkowicie. Cisza została przerwana przez następny silnik, potem kolejny, a w końcu cały chór: autokary z wycieczkami w drodze do Wielkiego Muru.

Rozłożyła list od generała.

...musi Pani jechać na Tajwan. Jestem pewien, że doktor Wu tam jest.

Dokumenty, które przejrzałem, zawierają informacje na temat dwóch wydarzeń – emigracji doktora Wu do USA i jego późniejszego zniknięcia. Tak jak się Pani domyślała, oba te wydarzenia są ze sobą powiązane.

Bractwo Zielonego Węża datuje się od początku dziewiętnastego wieku. Nie było wtedy jedynie organizacją przestępczą, tak jak obecnie. W latach dwudziestych naszego wieku popierało Kuomintang. Mniej więcej w tym samym czasie Partia przeniknęła do jego szeregów, więc mamy szczególne dokumenty dotyczące działalności Bractwa przed Wyzwoleniem.

Stowarzyszenie popierało Kuomintang prawie do końca walk. Ale w grudniu 1948 ich przywódca – Pan Góry – potajemnie zwrócił się do Partii, by zaoferować jej swoje poparcie w zamian za pewne ustępstwa po naszym zwycięstwie. Przyjęto jego propozycję, tak jak wszystkie podobne w owym czasie. Z tajnymi stowarzyszeniami rozprawiono się po Wyzwoleniu.

Zanim doszło do formalnego porozumienia, przywódca Bractwa zniknął. Władzę przejął jego zastępca, zaś porozumienie zostało zerwane. Przywódca, jak Pani wie, nazywał się Wu. Jego zastępca natomiast Han Jimin.

W raportach naszego agenta z tamtego okresu nie pada nazwisko Rexa Heidemanna. Jednak widnieje ono w innych dokumentach z zimy 1947. Dokumenty te są oznaczone: „Znani lub domniemani agenci obcych państw”.

Han Jimin wciąż jest szefem Bractwa, a jednocześnie legalnie działającym biznesmenem w Tajpej. Stowarzyszenie ma swoją siedzibę właśnie

tam i pomimo nielegalności dobrze prosperuje, co może znaczyć, że wciąż utrzymuje związek z Kuomintangiem.

Dociekania doktora Wu mogłyby doprowadzić do ujawnienia tej informacji. Jednak nie został on tak po prostu zabity. Został wykorzystany – aby zaognić spór pomiędzy Chinami a USA. Plan ten opierał się na założeniu, że Amerykanie uwierzą, iż doktor znajduje się w Chinach. Co mnie niepokoi, to fakt, że dowody na jego obecność tutaj nie wydają się dość solidne. Nie mogę oprzeć się myśli, że pojawią się jakieś bardziej konkretne dowody. Dlatego jestem przekonany, że doktor Wu żyje, jednak w jakim państwie przebywa, tego nie wiem.

Cui bono? Tajwan, oczywiście, ale też Rosja. Nawet gdyby nie widziała Pani tej łodzi podwodnej, można by wydedukować, że był to okręt radziecki. ZSRR korzysta na każdym nieporozumieniu między Chinami a USA. Sowieci wiedzą także, jak wykorzystać matematyczne odkrycia doktora Wu. Jednak doktora nie było na łodzi, gdy dotarła ona do Rosji. Tak więc zabrano go gdzieś indziej. W związku z tym najpierw na morzu musiała się odbyć jakaś przesiadka, zaś to mogło mieć miejsce tylko na Tajwanie.

Jak Rosja może współpracować z Tajwanem? Cóż, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Han Jimin ma siedzibę swojej firmy w budynku Han Corporation na Nanking Road w Tajpej. Po drugiej stronie ulicy jest restauracja o nazwie Mała Perła. Proszę udać się tam w piątek w południe. Ktoś się z Panią spotka. Jeżeli ta osoba nie przyjdzie, proszę iść tam nazajutrz o tej samej porze. Niech nie kontaktuje się Pani ze swoim rządem. W Waszyngtonie, podobnie jak tutaj, są ludzie, którym obecna sytuacja jest bardzo na rękę.

Niech Pani nie robi nic na własną rękę. Byłoby to ryzykowne, a co gorsza, bezużyteczne.

Podpisu nie było.

Przeczytała jeszcze raz zdanie: w jakim państwie przebywa, tego nie wiem. I wstała. Generał zakładał, że uda jej się dotrzeć na Tajwan do piątkowego południa. Dzisiaj był piątek. To był Problem Numer Jeden. Problem Numer Dwa: pamiętała, jak Lathrop mówił, że Timoszenko był zanurzony od chwili, gdy zaczęli go śledzić, do momentu dopłynięcia do Pietropawłowska. To nasunęło jej dwa pytania, które chętnie zadałaby generałowi. Czy Teddy mógł być przekazany na morzu bez wynurzenia? A jeśli nie, to jakim sposobem miał znaleźć się na Tajwanie?

Zeszła po zboczu i zaczęła brodzić w strumieniu. Będąc w jego połowie przystanąła, podarła list i zdjęcie na drobne kawałki i wrzuciła je do wody.

Następnie ruszyła połą drogą po zboczach, dotarła do szosy i skierowała się na północ, w stronę części Muru odwiedzanej przez turystów.

Nie uszła daleko, gdy napotkała dziewczynę dźwigającą na nosidle dwa wiadra wody. Młoda Chinka uśmiechnęła się. Beth próbowała odpowiedzieć tym samym, ale mięśnie jej twarzy były zbyt napięte. Dziewczyna poszła dalej.

Beth przyspieszyła kroku. Była cudzoziemką. I nie przyjechała z wycieczką. Ktoś — jak choćby ta dziewczyna z wodą — mógł powiedzieć o niej komuś innemu. Jeżeli bratanek generała nie miał się gdzie w Chinach ukryć, to gdzie ona miała się schować? Dotarła na parking przy Murze, biegnąc co tchu w piersiach.

Przy kramie z pamiątkami stało zaparkowanych pięć autokarów. Gdy wpadła na parking, ze sklepu wysypali się turyści i ruszyli w stronę jasnoniebieskiego pojazdu. Było ich około trzydziestu. Nieśli koszulki z Murem, ręczniki z Murem, długopisy z Murem i popielniczki, także z Murem.

Przestała biec. Przeszła przez plac normalnym, jak jej się zdawało, krokiem i zmieszała się z wycieczką. Ludzie wydawali się jej powolni, na wół żywi, jak naćpani. Beth dyszała głośno i chrapliwie. Usiłowała nad tym zapanować

Turyści wchodzili do autokaru. Trwało to wieki. Beth wsiadła razem z nimi. Chiński kierowca czytał jakiś komiks. Nie podniósł nawet wzroku. Znalazła miejsce przy przejściu pośrodku pojazdu.

Przewodniczka, niezbyt ładna kobieta w okularach o grubych szklach, wsiadła do pojazdu i spytała: — Czy wszyscy już są?

- No — odpowiedział ktoś z tyłu.
- Mam nadzieję, że podobał się państwu Wielki Mur?
- No.
- To dobrze. Teraz lunch.
- Gdzie?
- W hotelu.
- Znowu?

Przewodniczka zaczerwieniła się.

Kierowca schował komiks i włączył silnik. Ruszyli. Obok Beth siedziała pulchna kobieta, mniej więcej w jej wieku. Miała kręcone blond włosy i zapas batoników w torbie. Poczęstowała ją jednym. — Dobrze, nie?

- Bardzo.
- Masz trawę we włosach.
- Dzięki. — Strzepnęła ją.
- Jak ci się podobał Mur?

— Interesujący.

— Tak? Hm, tak między nami, ja mam już dosyć zwiedzania. Kiedy zabiorą nas na zakupy? Uwielbiam to ich cloisonné.

Autokar wspiął się na wzgórze, minął polną drogę prowadzącą do domku generała, przejechał obok strumienia, gdzie kobiety prały, a mężczyźni łowili ryby. Beth i jej towarzyszka zjadły jeszcze po dwa batony. Połykała właśnie ostatni kęs, gdy autokar zwolnił. Wychyliła się i zobaczyła, że kilkaset metrów przed nimi jezdnię blokują dwa jeepy.

Stanęli. Z samochodów wysiedli żołnierze w niebieskich mundurach i zbliżyli się do autobusu. Tylko jeden z nich nie miał broni — był to mężczyzna o zapadniętych policzkach i palcach jak u El Greca. Kiwnął jednym z nich. Kierowca i przewodniczka wysiedli natychmiast i stanęli przed nim. Znowu poruszył palcem. Wyjęli swoje dokumenty. Mężczyzna przejrzał je i ruszył do autokaru.

Wszyscy pasażerowie przyglądali się całej scenie przez okna. Beth wstała i poszła do toalety. Jej nogi znowu rwały się do biegu; tym razem zakazała im tego.

Przekręciła kluczyk w drzwiach do pomieszczenia wielkości szafy. Znajdowały się w nim zlew i sedes. I lustro: oczy miała dzikie i ogromne.

W przejściu zadudniły kroki. W toalecie nie było nawet kosza na śmieci, za którym mogłaby się ukryć. Usłyszała przewodniczkę:

— Proszę przygotować paszporty. To tylko rutynowa kontrola.

Ton jej głosu mówił co innego, ale nikt z pasażerów zdawał się tego nie zauważać. Usłyszała, jak wszyscy posłusznie wyjmują dokumenty. Uznali to za część zabawy.

Kroki powoli się przybliżały. W oknie toalety wisiały foliowe zasłonki. Rozsunęła je lekko i wyjrzała. Zobaczyła tylko rów i ciągnące się pola, ale żadnych żołnierzy. Wszyscy stali po drugiej stronie autokaru.

Szybko przekręciła kluczyk w drzwiach i uniosła do góry okno. Wyszła, zostawiając je otwarte, ale zasuwając za sobą zasłonki. Wczołgała się pod pojazd i położyła.

Przy wejściu do autokaru widziała buty; przed autobusem było ich jeszcze więcej. Usłyszała nad sobą kroki. Drzwi do toalety otworzyły się. Cisza. I znowu kroki, po których rozsunęły się zasłonki. I znów cisza, która teraz potrwiała nieco dłużej.

Dokoła było bardzo spokojnie, gdzieś w oddali śpiewał tylko ptak. Zasłonki zasunęły się, zadudniły obute stopy, stuknęły drzwi toalety. Kroki zaczęły zmierzać do wyjścia. Ujrzała skórzane buty, które opuściły autobus i oddaliły się. Pozostałe również.

Zawarczał silnik. I jeszcze raz. Autokar nad nią drgnął. Wyczołgała się spod niego i wciągnęła przez okno do toalety. Chwilę później pojazd zaczął się toczyć.

Odczekała kilka minut, zanim otworzyła drzwi. Nikt jej nie zauważył. Kierowca wpatrywał się w drogę, przewodniczka siedziała z przodu z rękoma złożonymi na kolanach. Beth wróciła na swoje miejsce.

— Jak było? — spytała pulchna kobieta.

— Słucham?

— W kiblu. No wiesz. Jest syfiasty?

— Nie.

— Nie trzeba kucać? Nienawidzę takich, gdzie trzeba kucać — zawsze tracę równowagę.

— Nie, to normalna toaleta.

— Fajnie. — Pulchna kobieta wstała. — Od tej herbaty, którą nam ciągle serwują, mam już nalot na zębach. — Przepchnęła się obok Beth i skierowała na tył autokaru.

Jej torebka pozostała, otwarta, na siedzeniu. Na wierzchu leżał batonik. I paszport. Beth pomyślała o nocnym locie do Hongkongu. Bratanek generała mówił, że będzie bezpieczna, jednak w jego głosie nie było pewności. Teraz wątpliwości były tym bardziej uzasadnione.

Wyciągnęła paszport i otworzyła go. Nancy Johnson. Na zdjęciu była szczuplejsza — widać zrobiono je o kilkaset batoników wcześniej — i miała proste włosy. To i tak nie czyniło z nich bliźniaczek, ale będzie musiało wystarczyć: paszport Nancy Johnson już raz pozytywnie przeszedł kontrolę. Beth wrzuciła go do swojej torby.

— Przepraszam — rzekła Nancy, stając w przejściu.

Beth podniosła się, żeby ją przepuścić. Nancy odsunęła torebkę i ciężko opadła na siedzenie.

— Od razu lepiej — powiedziała. — A może jeszcze jednego batonika? Na osłodę.

— Nie, dziękuję.

Jednak pulchna dłoń już grzebała w torebce. Wyciągnęła batonik.

— W takim razie będę musiała uporać się z nimi sama — zachichotała. — Jestem nieznośna, co?

Autokar dojechał do stolicy. Zaparkował przed hotelem Pekin.

— Teraz lunch — oznajmiła przewodniczka. — Spotykamy się tutaj o pierwszej trzydzieści.

— Co jest zaplanowane na popołudnie?

— Świątynia Niebios.

Ktoś jęknął. Przewodniczka znowu się zaczerwieniła.

— Nie przypuszczałam, że kiedyś to powiem — odezwała się Nancy — ale mam już dość chińskiego jedzenia. Życie bym dała za hamburgera. Z frytkami. — Wszyscy wysiedli z autokaru. — A może szybkie piwko? — spytała wtedy Nancy.

— Zobaczmy się w środku — odpowiedziała jej Beth.

Czekała, aż kobieta wejdzie do hotelu, po czym udała się na postój taksówek. Zajrzała do pierwszej i upewniła się, że nie jest to ta, którą jechała do Wielkiego Muru.

— Lotnisko? — spytała.

— Lotnisko — powtórzył szczęśliwy kierowca.

Wsiadła i odjechali.

Terminal w Pekinie podobny był do tego w Szanghaju: mały i spokojny. Za godzinę startował samolot do Hongkongu.

Podeszła do kasy. Stała i patrzyła, jak urzędnik wypisuje bilety dla trzech Japończyków. Gdy skończył, zbliżyła się i poprosiła o miejsce na lot do Hongkongu.

Oczy urzędnika zwięzły się. — Nie ma pani biletu powrotnego?

Beth chrząknęła. — Mam, ale jedno z moich dzieci zachorowało i natychmiast muszę wracać do domu. A nie mogę zmienić rezerwacji. To lot czarterowy.

Popatrzył na nią przez chwilę. — Paszport proszę.

Podala mu dokument Nancy Johnson. Jej palce zostawiły na okładce wilgotną plamę.

Nie spojrzał nawet, czy wygląda jak kobieta na zdjęciu. Wpisał tylko nazwisko na pustym bilecie i oddał paszport.

Oficer straży granicznej spojrzał na bilet i paszport, ale nie na nią. Otworzył grubą, czarną księgę pełną nazwisk. Nie figurowała w niej Nancy Johnson. Przepuścił ją: Chiny były państwem Trzeciego Świata.

Godzinę później Beth była już w powietrzu.

33

Chiny były piękne. Przynajmniej ta ich część, którą mógł podziwiać przez okno swojego pokoju w białym domu. Widział kwitnącą śliwę, a za nią wysoki biały mur o fakturze kinowego ekranu. Za murem wznosił się stromo zielony pagórek. Niebo było błękitne, a słońce przygrzewało, każdego ranka zasypując kolorami firmament nad wzgórzem.

W niektóre poranki przychodził wieśniak w szerokim słomkowym kapełuszu i zmiatał bambusową miotłą opadłe z drzewa kwiaty. Wynosił je potem w wiklinowym koszu

Dokąd? Co robili z kwiatami śliwy? Jak miło byłoby mieć taki kosz kwiecica, włożyć do niego dojrzałe fioletowe śliwki, butelkę wina i podarować jej to wszystko!

Oczy zaszyły mu mgłą. Zawsze tak się działo, gdy o niej myślał. A czasem także wtedy, gdy w ogóle nie myślał. Pewnie dlatego, że był słaby i głodny. Może to przez tę słabość i przez ten głód Chiny wydawały mu się takie piękne.

— W jakiej części Chin jesteśmy? — zapytał kiedyś Jimmy'ego.

— Na południu. To najładniejszy region.

— Ale gdzie na południu?

— W pobliżu małego miasteczka. Jego nazwa nic ci nie powie.

— Potrzebuję normalnego jedzenia, Jimmy.

— My też mamy swoje potrzeby.

— Do niczego nie dojdę, jeśli będziecie mnie faszzerować narkotykami.

Już to mówiłem. Muszę mieć czysty umysł.

— Nikt cię niczym nie faszzeruje. Dostajesz tylko środki przeciwbólowe.

— Ale mnie nic nie boli.

— Właśnie dlatego, że dostajesz te środki.

Leżał na swoim bambusowym łóżku — zbyt słaby, by wstać, a poza tym i tak był podłączony do kroplówki — i marzył o koszu śliwowego kwiecica. Może do fioletowych owoców dorzuciłby parę czerwonych. A co z winem? Starał się przypomnieć sobie, jakie wina lubił, ale wszystkie te francuskie nazwy mu umknęły. Jego pamięć nie była w najlepszej kondycji. Zastanawiał się, czy będzie w stanie dopracować równania, gdy przestaną go szprycować narkotykami. Pomyślał przez chwilę. Liczby wróciły, zawieszony jak klejnoty na pięknym naszyjniku — naszyjniku zamkniętym w szkatułce jego mózgu.

Sądził, że z równaniami postąpił równie sprytnie jak z listem. List ich zmylił, jednak liczby nie. Zdumiał się, jak szybko dostrzegli fałszerstwa — nie doszukali się wszystkich, ale większości. Czy był w Chinach ktoś tak dobry jak on? Nie. Z pewnością nie Han Shih. Wszystkie jej pytania były przez kogoś przygotowane. Zauważył, że jego odpowiedzi nic jej nie mówiły. Kto je oceniał?

W myślach sporządził listę osób, które znał i które mogłyby ocenić efekty jego pracy. Do głowy przyszły mu dwa rosyjskie nazwiska, trzy czy cztery

amerykańskie, jedno angielskie, może jedno fińskie i jedno egipskie. Żaden Chińczyk wśród nich się nie znalazł.

Potem pomyślał o niebieskim oku, które widział przez dziurkę w kształcie motyla pierwszego dnia w tym domu.

W jego żołądku pojawiła się bańka nudności i spuchła jak balon. Wił się w torsjach, ale nic nie wymiotował. Jak zwykle.

Poczuł się jeszcze słabiej. Położył się na plecach i dyszał ciężko. Nad jego głową wisiała torebka kroplówki, do połowy wypełniona przezroczystym płynem. Teraz już nie robili mu zastrzyków, więc narkotyk musiał znajdować się w torebce.

Próbował wyciągnąć igłę, ale był za słaby. Stanowczo za słaby. Spojrzał na swoją rękę: skóra, ścięgna, kości; żadnych mięśni.

Otworzyły się drzwi z motylami i wszedł Jimmy. Pokój się skurczył. Ubrany był w szarą kurtkę Mao i obszerne spodnie w tym samym kolorze: strój bardzo proletariacki, nie licząc złotego zegarka. Przyszła z nim Han Shih. W niej nie było nic proletariackiego. Miała na sobie czarne jedwabie i brylantowe kolczyki. Jej oczy wydawały się twardsze niż diamenty w uszach, dopóki nie zauważyła, że się jej przygląda. Wtedy popatrzyła nadzwyczaj łagodnie.

— Lepiej się dzisiaj czujesz?

Nie odpowiedział.

Jimmy przerwał ciszę.

— Rozmawialiśmy z lekarzem.

— Ona nie jest moją matką.

— Oczywiście, że jest.

— Moja matka nie traktowałaby mnie w ten sposób.

— Nie mów tak. Bardzo ją ranisz.

Jej oczy wypełniły się łzami. Jego też. W zamazanym polu widzenia pojawił się Jimmy. Z kolei jego oczy i usta wydawały się wielkie — zwłaszcza usta.

— Lekarz uważa, że powinieneś dostawać normalne jedzenie. — Wargi Jimmy'ego wykrzywiły się w ogromnym uśmiechu. — I co ty na to?

— Też je będziecie szprycowali narkotykami?

— Oczywiście, że nie. Chcemy, żebyś był silny i zdrowy. Jak twoja głowa?

— Dobrze. — To była prawda. Głowa przestała go boleć.

— To świetnie. Może więc dokładniej przypomnisz sobie założenie Mordella.

— A kiedy zobaczę ojca?

Han Shih mlasnęła językiem. Jimmy westchnął.

— Tyle razy już ci mówiłem. Twój ojciec jest na ciebie zły. Bardzo zły. Nie przyjedzie, dopóki nie zadowolą go nasza matematyczna dysputa.

Krzyknął do Han Shih: — Chce się z nim zobaczyć! Mówiliście, że będzie na tej pieprzonej łodzi podwodnej! — Patrzyli na niego w milczeniu. Zniżył głos: — Gdzie on jest?

— W stolicy — odparł Jimmy.

— W Pekinie?

— Tak.

— Kim jest?

— Kimś bardzo ważnym.

— Nie wierzę.

Jimmy zbliżył się. — Nie?

Położył mu rękę na czole, jakby chciał zmierzyć temperaturę. Ale nie to było jego prawdziwym zamiarem. Naciskał zbyt mocno. Jego dłoń była ogromna, gorąca i wilgotna.

— Nie? Czy myślisz, że bylibyśmy tacy cierpliwi, gdyby nie był kimś ważnym?

Nie odpowiadał. Przez cały czas czuł na czole dłoń. Naciskała coraz mocniej. Tak bardzo chciał zobaczyć ojca. W końcu się odezwał: — Nie. Jimmy zabrał rękę.

— Są inne metody — powiedział. — Twój ojciec to bardzo dobry człowiek, ale przede wszystkim patriota. Wie, jak ważne są te równania dla ojczyzny. Dla *twojej* ojczyzny.

— Próbowaliśmy wam je podać, ale bolała mnie głowa. I narkotyki mnie rozkojarzyły.

— Narkotyki?

— Sam wiesz.

— Dostawałeś tylko środki przeciwbólowe.

Nastąpiła długa cisza. Starał się zrozumieć, dlaczego nie użyto innych metod. Może Han Shih rzeczywiście była jego matką i miał w stolicy wpływowego ojca, który go chronił. Albo domyślali się, że użycie przemocy nastawi go do nich wrogo i wówczas poda im fałszywe równania. I tak to zrobił. A oni go przyłapali. Chyba naprawdę uwierzyli, że to przez osłabienie i narkotyki.

— Postaram się — powiedział do Jimmy'ego.

— Dobrze. Będiesz miał tu wspaniałe życie.

— Czy dostanę paszport i będę mógł podróżować, gdzie zechcę?

— Oczywiście.

Ale czy to mogła być prawda? Jakie znaczenie dla jego przyszłości będzie mieć poprawność czy niepoprawność jego równań? Zamyślił się nad

przyszłością. Zależała ona od istnienia jego ojca. Albo, co było teraz tylko marzeniem ściętej głowy, od listu. Tak czy owak, miał tylko jedno wyjście: grać na zwłokę.

Na zwłokę. „Nie mamy wiele czasu” — wyszeptwała Han Shih w jadalni w jego domu w San Francisco. „Twój ojciec jest na łodzi podwodnej. Chce się z tobą zobaczyć.”

Wypłynął więc *Pop-Upem*.

Bańka nudności znów urosła mu w żołądku. Zwijął się w torsjach, potem leżał i dyszał na bambusowym łóżku, zlany zimnym potem.

Po jakimś czasie odłączyli mu kroplówkę. Han Shih przyniosła herbatę i miskę ryżu.

— Będę potrzebował widelca — powiedział.

Zabrała pałeczki i przyniosła widelec. Pomogła mu usiąść. Jadł i pił bardzo powoli. Ciepła senność rozlała się po jego ciele. Han Shih stała u wezłowania łóżka i patrzyła.

— Jak się czujesz? — zapytała, gdy skończył.

— Lepiej.

— Czy dość dobrze, by podyskutować o równaniach?

— Jeszcze nie, proszę.

— A kiedy?

— Wkrótce.

— Jutro?

— Nie wiem. Jestem bardzo zmęczony. — Ich oczy się spotkały. — Udowodnij, że jesteś moją matką.

— Żadna matka nie powinna być nigdy do tego zmuszona. Jesteś bardzo okrutny.

Oczy zaszły mu mgłą, ale zauważył, że ona nie zavraca już sobie głowy łagodnym, matczynym spojrzeniem, i mgła się rozwiała.

Han Shih pochylała się nad nim i zimnymi wargami musnęła jego czoło. — Wkrótce poczujesz się lepiej — zapewniła. — Twój lekarz to bardzo mądry człowiek. Wiedziałeś o tym?

— Nie. Poznam go?

Han Shih spojrziała na śliwę, wysoki biały mur i ostatnie czerwone promienie migoczące na stoku. — Może — odpowiedziała. — Zajmuje się neurochirurgią.

Słońce zaszło. Niebo zapłonęło czerwienią i zielenią.

Siedzibą Korporacji Han był oszklony, trzydziesto- lub czterdziestopiętrowy budynek. Tajpej odbijało się w jego szybach jak film na ogromnej liczbie ekranów — wysokobudżetowa produkcja zupełnie nieznaną w Chinach. Grał w niej przechodzący szybko mężczyzna w kurtce Dodgersów, przerzucający niebieskie banknoty błyskawicznie jak kasjer. Dwóch policjantów przechadzało się w czarnych mundurach i białych hełmach i nawet na niego nie spojrzęło — zbyt byli zajęci strojeniem min twardej. Wszędzie roilo się od kolorowych taksówek i samochodów. Wystawy sklepowe były podobne do amerykańskich — pełno w nich było klejnotów, zegarków, perfum, koniaku, magnetofonów, aparatów fotograficznych, futer, jedwabiu, kryształów. Wszędzie reklamowano Diora, Piageta, Mercedesa, Courvoisier. W Tajpej były to szlagiery.

Beth siedziała w restauracji Mała Perła. Też grała w tym filmie. Ponad sznurem pojazdów widziała swoje odbicie w lewym dolnym rogu budynku Korporacji: biała plama za przyciemnianą szybą.

Sobota. Drugi termin spotkania z człowiekiem generała. Pora lunchu. Wypiła herbatę i zjadła rybę. Ludzie wchodzili, niektórzy ją zauważali, inni nie. Konsumowali coś i wychodzili. Nikt nie próbował jej zagadnąć. Kelnerzy zmyli podłogę, po czym rozdzielili między siebie napiwki i poszli do domu, zostawiając ją sam na sam z kasjerką. Zapłaciła rachunek i wyszła.

Generał Ma zawiódł. Zaś każde działanie, jakie podejmie sama, będzie głupim ryzykiem. A czym będzie niepodejmowanie działań w ogóle?

Przeszła przez jezdnię. Jej sylwetka, odbita w budynku Korporacji, urosła. Przez chwilę nie rozpoznała się — jej ciało było takie chude, a twarz zacięta. Wspięła się po marmurowych schodach, otworzyła wysokie, szklane drzwi i weszła do środka.

Podłoga w holu wyłożona była zielonym marmurem, a pośrodku stała fontanna też z marmuru, tylko że czarnego. Stało przy niej dwóch uzbrojonych strażników. W wodzie pływała tłusta złota rybka. Nie była to fontanna, do której ludzie wrzucaliby pieniądze na szczęście — gdy nikt nie patrzył, mogliby je wyłowić strażnicy.

Podeszła do wind. Na ścianie nad nimi wisiały cyfrowe zegary pokazujące czas we wszystkich najważniejszych stolicach świata, tylko nie w Pekinie. Była tam także tablica informacyjna. Gabinety dyrektorów mieściły się na najwyższym piętrze. Nacisnęła guzik przy windach. Czekając, przyjrzała się tablicy nieco bliżej. Korporacja Han miała wiele oddziałów. Jednym z nich była Gladd Group.

Drzwi windy rozsunęły się i wysiadło dwóch mężczyzn. Jeden był Chińczykiem, miał grube okulary i lekarską torbę w ręku. Miał też brudne włosy. Towarzyszył mu biały. Kiedyś mógł być przystojny, lecz teraz piękne rysy prawie całkowicie zarosły tłuszczem. Był to Rex Heidemann. Przeszli obok, nawet na nią nie spoglądając.

Może jej twarz nic nie wyrażała; może wyglądała jak normalna osoba czekająca na windę. Jednak w środku krew z niej odpłynęła, a świat stał się nagle całkiem bezbarwny.

Mężczyźni byli już na zewnątrz i schodzili po marmurowych schodach, gdy doszła wreszcie do siebie. Pobiegła za nimi. Przy krawężniku stanął zielony rolls-royce. Rex Heidemann otworzył tylne drzwi i zaczął gramolić się do środka.

— Gdzie się spotkamy? — zapytał go Chińczyk po angielsku.

— Tutaj. Za godzinę.

— To niewiele czasu — jęknął.

— Bo nie mamy go wiele — warknął Heidemann.

Co nie powstrzymało Chińczyka od dalszego zrzędzenia.

— To tak długo trwało...

— No i co? Pękł w końcu, prawda?

Rex zatrzasnął drzwi. Samochód ruszył, skręcił za róg i zniknął z pola widzenia.

Chińczyk westchnął i ruszył w przeciwną stronę niż samochód. Poszła za nim. Nawet się za bardzo nie kryła; chciała po prostu trzymać się blisko niego.

Człowiek z medyczną torbą minął kilka przecznic i skręcił w wąską uliczkę. Minął sklep zoologiczny i wszedł do czarnego budynku bez okien. HOT CLUB, głosił szyld nad drzwiami.

Beth zawahała się. Usłyszała skrobanie. To małpa gryzła pręty klatki stojącej przed sklepem ze zwierzakami. Przestała, gdy zauważyła, że Beth się jej przygląda, i popatrzyła szklistymi, brązowymi oczami, które zdawały się tak wiele mówić.

Na małpiej klatce stały niewielkie akwaria. Wiły się w nich grube węże: brązowe, czerwone, zielone. Beth otworzyła drzwi do klubu i weszła.

Było ciemno. Zatrzymała się w drzwiach, pozwalając oczom przyzwyczaić się do półmroku. Pomieszczenie było długie i wąskie. Po jednej stronie stał bar, a po drugiej boksy ze stolikami. Zwisająca z sufitu lampa z koralikowym abażurem rzucała słabe, żółte światło — akurat tyle, by oświetlić przebywające tam dwie osoby: kobietę za barem w obcisłej sukni z rozcięciem aż do biodra i siedzącego na stołku mężczyznę z czarną torbą. Barmanka nalewała mu właśnie brandy; klient przyglądał się jej. Gdy tylko

skończyła, chwycił kieliszek i opróżnił. Kobieta napełniła go znowu.

Beth podeszła i usiadła obok mężczyzny.

Popatrzył na nią zaskoczony i się odwrócił. Zabrał się za swoją brandy, tym razem upił tylko pół kieliszka i spojrzał na nią kątem oka. Kobieta za barem też się jej przyglądała. Pod tuszem, pudrem, niebieskim cieniem i sztucznymi rzęsami kryły się znudzone oczy, których nie mogło zaszokować nic, co przynosi pieniądze; czaiło się w nich tylko jedno pytanie: kto je teraz zarobi?

— Ja też napiję się brandy — odezwała się Beth.

Był to obiecujący początek. Kobieta odwróciła się i zdjęła z półki najdroższy trunek. Wlała brązowy płyn do kieliszka i przesunęła go w stronę Beth. Wyglądał i pachniał jak każda inna brandy.

— Czteryście dolarów. — Przelicznik wynosił czterdzieści tajwańskich dolarów do jednego amerykańskiego.

Beth zapłaciła i przysunęła się bliżej mężczyzny. Nadszedł czas na czarymary. Podniosła kieliszek, uważając, by jej środkowy palec dotykał nóżki, a kciuk i palec wskazujący brzegu — tak jak pokazał jej Y.K. Ling.

— Zdrówko — rzekła i uniosła kieliszek tuż pod jego nosem, żeby zauważył, w jaki sposób go trzyma.

No i zauważył. Oczy mu się rozszerzyły. — Co jest? Coś poszło nie tak?

Przytaknęła.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale spojrzał na barmankę i wlał do gardła zawartość swojego kieliszka. Skrzywił się.

— Chodźmy tam — powiedział i poprowadził ją do boksu na końcu pomieszczenia.

Usiadła naprzeciwko niego. W grubych okularach odbijało się światło lampy. Nie widziała przez nie jego oczu, nawet gdy pochylił się w jej stronę przez lekki stół, wyginając się jak znak zapytania.

— Co się stało? — zapytał chrapliwym szeptem. Mówił bez śladu chińskiego akcentu; był Amerykaninem.

— Ty mi to powiedz.

Ze strachu odezwał się bardziej piskliwie. — O co ci chodzi? Powiedziałem, że to zrobię. Wylatuję dziś wieczorem. Czy on jeszcze o tym nie wie? Heidemann nie dzwonił do niego?

— O kim mówisz?

Cofnął się trochę. — O Jimmym, oczywiście. — Odsunął się bardziej do tyłu, w cień. Beth widziała tylko dwie żółte lampki w miejscu, gdzie powinny być oczy. — Nie przyjechałaś prosto od niego?

— Nie bezpośrednio. Gdzie on teraz jest?

Cisza. Malutkie lampki nie poruszały się. — Pokaż mi swój nadgarstek.

— To ty mi pokaż swój — odparła, nachylając się przez stół.

Ale on już się zerwał i rzucił do wyjścia, zanim go dosięgnęła.

Wybiegła za nim z klubu na jasną ulicę. Uciekał w stronę Nanking Road. W pędzie zawadził torbą o jedno z akwariów ustawionych na klatce. Wszystkie spadły, roztrzaskując się na chodniku. Węże wiły się wśród rozbitego szkła. Jeden przecisnął łeb między prętami i zatopił kły w ciele małpy. Zwierzę zawyło. Beth przebiegła slalomem między gadami i skierowała się na Nanking Road.

Mężczyzna z torbą lekarską wsiadał do taksówki po drugiej stronie jezdni. Beth rzuciła się przez ulicę, nie zważając na samochody. Wszystkie na nią trąbiły. Taksówka ruszyła i wtopiła się w sznur pojazdów. Beth gonila ją przez kilka metrów, potem stanęła. Ludzie patrzyli na nią, zdziwieni. Nie zwracała na nich uwagi. Zatrzymała pierwsze wolne taxi.

— Do Hertza.

— Hertza?

— Wynajem samochodów. Do diabła...

— Aha — załapał kierowca. — Do Budgeta.

Pięć minut później wynajmowała już auto. Oznaczało to, że musiała okazać własny paszport na terytorium Jimmy'ego Hana, ale nie miała wyboru: nie ukradła przecież karty kredytowej Nancy Johnson.

Pojechała na Nanking Road i zaparkowała przed restauracją Mała Perła. Spojrzała na zegarek. Już prawie pora.

Po kilku minutach przed budynkiem Korporacji Han pojawił się zielony rolls-royce. Z tyłu siedział Rex Heidemann i rozglądał się nerwowo. Beth odwróciła się.

Równoległe do rollsa zatrzymała się taksówka. Wysiadł z niej mężczyzna z czarną torbą lekarską. Teraz miał jeszcze walizkę z podobnego materiału. Szofer schował ją do bagażnika, a mężczyzna usiadł z tyłu obok Heidemanna. Natychmiast zaczęli o czymś rozmawiać. Szofer wsiadł za kierownicę i włączył się do ruchu.

Podążyła za nimi. Widziała Heidemanna i Chińczyka przez tylną szybę. Nie odwracali się — zbyt byli pochłonięci darciem się na siebie nawzajem.

Zielony rolls-royce skręcił z Nanking Road na autostradę, wzdłuż której poustawiane były filmowe billboardy. Panował tu duży ruch. Beth skuliła się za kierownicą. Inne samochody próbowały wcisnąć się między nią a zielonego rollsa. Po bokach migwały jej chińskie gwiazdy filmowe, całowały się

i zabijały na krzykliwych plakatach. Trzymała się tuż za zielonym samochodem.

Rolls zjechał na drogę prowadzącą na lotnisko. Ale nie dotarł tam. Skręcił w wąską szosę, która wiodła przez tunel, po czym wspinała się na wzgórze leżące na północny wschód od miasta. Ruch był tu dużo mniejszy. Beth zwolniła, pozwalając, by rolls-royce oddalił się trochę.

Droga wiała się stromo wśród soczyste zielonych wzgórz, pokrytych gdziegdzie polami ryżowymi na terasach. W stawie poniżej tarzał się tłusty bawół. Powietrze ochłodziło się. Od czasu do czasu Beth widziała położone niżej, zatłoczone Tajpej, nad którym unosiła się chmura brązowego smogu. Na tych wzgórzach przyjemnie byłoby zamieszkać.

I paru szczęśliwców rzeczywiście tu mieszkało. Ich wielkie domy tuliły się do zboczy. Było tu mnóstwo miejsca; na każdy pagórek przypadają nie więcej niż dwa, trzy zabudowania. W oddali ujrzała najwyższe ze wzniesień. Stał na nim tylko jeden dom: rozległa biała budowla, otoczona również białym murem. Błyszczała w słońcu.

Droga wznosiła się w stronę tego domu, wijąc się wśród zieleni. Beth widziała jedynie zapalające się światła stopu rolls-royce'a, gdy wchodził w kolejne zakręty. Miała przy tym nadzieję, że oni w ogóle jej nie widzą.

Im droga wznosiła się wyżej, tym więcej było roślinności: ciemnozielone krzewy udekorowane niebieskimi i żółtymi kwiatami i rozłożyste palmy. Straciła z oczu śledzone auto. I nagle minęła je: stało zaparkowane przy wrotach w wysokim, białym murze. Szofer szedł w ich stronę z kluczem w rękę. Za bramą do białego domu prowadził długi podjazd.

Przejechała nie zwalniając. Za następnym zakrętem zatrzymała się i wjechała w zarośla najgłębiej, jak się dało. Potem przeszła przez ulicę i zaczęła wspinać się na wzgórze.

Było późne popołudnie, ale nadal utrzymywała się wysoka temperatura i Beth oblała się potem, przedzierając się przez wysokie do ramion krzewy. Panowała cisza, nie licząc trzeszczenia wilgotnej ziemi pod jej stopami i haczenia cierni o jej ubranie. Starła się nie myśleć o węzłach.

Dotarła do zarośniętej ścieżki i idąc nią, znalazła się na małej polance na około dwóch trzecich wysokości wzgórza. Przez skórzaste liście karłowatej palmy rosnącej na jej skraju spojrzała w dół.

Znajdowała się na tyłach białego domu, sporo ponad nim. Budynek miał zielony dach w kształcie smoczego ogona i przylegały do niego dwa długie skrzydła wkomponowane w stok. Był otoczony wysokim, białym murem, na wierzchu którego błyszczało w słońcu tłuczone szkło. Na tyłach domu rosły na trawie kwitnące drzewa owocowe: śliwy albo jabłonie, z tej odległości nie mogła ich rozpoznać. Był to cichy, odizolowany dom, w którym można by

kogoś ukryć i nikt by o tym nie wiedział. Beth przycupnęła za karłowatą palmą i czekała na zapadnięcie zmroku.

Wzgórze przesłoniło zachód słońca. Jego cień zbliżał się do białego domu jak fala czarnego przypływu. Nie było jeszcze wcale ciemno, gdy zdarzyło się coś, co zmusiło ją do zmiany planu.

Najpierw usłyszała odgłos zamykanych drzwi. Potem przed domem pojawił się szofer z walizkami. Zapakował je do bagażnika i otworzył tylne drzwiczki. Do samochodu wsiedli Rex Heidemann i mężczyzna z torbą lekarską. Pojazd wytoczył się na drogę do Tajpej i zniknął jej z oczu.

Zbiegła ze zbocza, przedzierając się przez krzaki i paprocie. Gdy dotarła do muru, zdjęła dżinsy i zarzuciła je na górę; mocny materiał zaczepił się o kawałki ostrego szkła. Potem znalazła kamień i schowała go do kieszeni kurtki.

Cofnęła się trochę, żeby ułatwić sobie skok. Wzięła rozbieg i podskoczyła najwyżej, jak mogła. Chwyliła spodnie. Gdy próbowała się podciągnąć, lewa ręka zaczęła tracić uchwyt. Oparła jednak nogę o mur i jakoś się dźwignęła. Ostry odłamek szkła przedziurawił dżins i wbił się jej w pierś. Wyjęła z kurtki kamień i zaczęła kruszyć stłuczkę pod spodniami. Odgarnęła odłamki na boki, wciągnęła się na mur, zeskoczyła po drugiej stronie i założyła dżinsy.

Panowała cisza. Pomiędzy drzewkami — teraz widziała, że to jabłonie — przemknęła do najbliższego skrzydła. Do pomieszczenia, które się tam znajdowało, prowadziły rozsuwane szklane drzwi. Był to składzik, zagracony w połowie meblami ogrodowymi. Spróbowała rozsunąć drzwi.

Ustąpiły.

Weszła do środka. Odległe pobrzękiwanie, które mogło wydawać jakies urządzenie domowe, przypominało jej coś, lecz nie mogła sobie przypomnieć co. Nie dochodziły jej żadne inne dźwięki. Dom wydawał się opuszczony. Teddy mógł tu być, choć w głębi serca wiedziała, że to nieprawda. Nie żywy. Mimo to zaczęła szukać.

Drzwi składziku otwierały się na długi, wyłożony grubym dywanem hol. Prowadził do wielu pomieszczeń. Ze strachem otwierała je po kolei, jednak nie odkryła nic poza pokojami z pustymi łózkami.

Korytarz prowadził do środkowej części domu. Salon był wysoki na dwa piętra i odbijał się w nim echem każdy krok. Na marmurowej posadzce leżało sześć starych chińskich dywaników. Stały tam też ławy, stoły, gabloty i tyle ciężkich kwiecistych mebli, że wystarczyłoby ich do wypełnienia hali wystawowej.

Obrazy na ścianach przedstawiały kwiaty, z wyjątkiem dwóch wiszących nad kamiennym paleniskiem. Były to portrety olejne, namalowane

w zachodnim stylu, przedstawiające mężczyznę i kobietę. Mężczyzna miał duże, muskularne ciało, szeroką twarz i gęste, siwiejące włosy. Patrzył wprost na artystę, tak samo jak patrzył w obiektyw aparatu nad jeziorem Tai w 1948 roku. J. Han. Han Jimin. Jimmy Han. Na obrazie był o dziesięć, może piętnaście lat starszy niż na zdjęciu. Nagle zdała sobie sprawę, że już go kiedyś widziała: potężny mężczyzna o gęstych, siwych włosach, który wyszedł z biura Berryessa Wines z Rexem Heidemannem i odjechał dużym, czarnym samochodem, rolls-royce'em, przypomniała sobie. A właścicielem Berryessa Wines była Gladd Group, która wchodziła w skład Korporacji Han.

Beth знаła też kobietę z obrazu: Han Shih. Pani z rodziny Han. Na portrecie była znacznie młodsza i bardzo piękna. Na jej twarzy tak wyraźnie i otwarcie malowała się zmysłowość, że Beth zdziwiła się, iż zdecydowano się zawiesić ten obraz w salonie. Powróciła myślą do baraku w Qinghai, w którym Pei Ming powiedziała, że konkubina Pana była odpowiedzialna za morderstwa w domu nad jeziorem: nienawidziła żony Pana.

Czy Han Shih była konkubiną ojca Teddy'ego — nienawidzącą żony Pana i być może także jej dziecka? Nie wiedziała tego, ale wiedziała już, dlaczego Chinka nie mogła oderwać wzroku od portretów wiszących nad kominkiem w ich domu na Telegraph Hill.

Stała przed obrazami, a kawałki łamigłówek układały się jej w głowie. Nie musiała przeszukiwać reszty domu Jimmy'ego Hana. Nie miała nawet na to czasu. Łódź wynurzyła się bez Teddy'ego. Nie było go więc w Rosji. Nie było go też na Tajwanie. Generał Ma miał rację: Teddy musiał zostać przekazany gdzieś na morzu. Ale nie zdawał sobie sprawy, że nastąpiło to, zanim Lathrop zaczął śledzić łódź — wciąż u wybrzeży Kalifornii.

Musiała dogonić Rexa Heidemanna i tego drugiego mężczyznę. Wyprzedzili ją, ale wiedziała, dokąd zmierzają.

Gdy odwróciła się, by wyjść, dotarło do niej, że pobrzękiwanie ustało. Pobrzękiwanie. Jak dzwonięcie monet w dłoni olbrzyma.

Rzuciła się w stronę korytarza, ale po kilku susach usłyszała dochodzący z naprzeciwka odgłos bosych stóp. Zamarła.

Do salonu wszedł mężczyzna tylko w wilgotnych szortach. Miał masywny tors, oszczędny jedynie świeżą blizną na barku. Rozpoznał ją, a na jego twarzy zagościł taki wyraz, jakby właśnie spełniły się jego najdziksze sny. Był to Łysy.

Beth odwróciła się i przebiegła przez pokój. Potrąciła stolik. Coś rozbiło się na podłodze. Skręciła w korytarz prowadzący do drugiego skrzydła i pędziła dalej. Słyszała za sobą kroki Łysego. Doganiał ją.

Korytarz kończył się pomieszczeniem zawalonym sprzętem kulturowym. Szklane rozsuwane drzwi prowadzące na dwór były otwarte. Wybiegła przez nie na trawnik, kierując się w stronę muru. Łysy był tuż za nią. Z jej gardła wydobyło się skomlenie, które sprawiło, że Łysy zawarczał jak doberman. Przyspieszyła.

Gdy biegła wśród jabłoni, stwierdziła, że kroki za nią przycichły. Obejrzała się. Łysy zwolnił trochę, ale nie dlatego, że się męczył. Wiedział, że Beth jest w pułapce.

Nie zastanawiając się długo, ruszyła do miejsca, które oczyściła ze szkła. Podskoczyła, chwyciła się muru, podciągnęła i zeskoczyła po drugiej stronie. Ochraniana chwilowo przez wysoką ścianę, oczyściła umysł z paniki i zdała sobie sprawę, że w terenie Łysego nie prześcignie. Więc zamiast biec, kucnęła w cieniu.

Usłyszała go po drugiej stronie. Zatrzymał się i warknął. Jego łapy chwyciły się muru. Wciągnął się sprawnie i zeskoczył na drugą stronę, lądując pewnie na szeroko rozstawionych nogach. Nawet jej nie zauważył. Beth wyprostowała się nagle, celując pięścią w jego krocze.

Cios pozbawił go tchu. Powietrze uszło z niego chrapliwie i runął na nią. Zwalili się na ziemię i Beth znalazła się pod spodem. Jego ciało było bezwładne, ale bardzo ciężkie. Nim zdążyła się wycołać, chwycił ją za włosy. Ugryzła go w rękę. Palcami drugiej dłoni chwycił ją za nos i przekręcił. Coś chrupnęło. Trysnęła krew i załala jej twarz. Mocniej zacisnęła szczęki i jemu też upuściła nieco krwi. Wolną ręką zatkał jej usta i przygniół głowę do ziemi. Czowała, jak powracają mu siły.

Drapała jego palce, z całych sił starała się je odgiąć, ale nie mogła. Dziko waliła pięścią w spoczywającą na niej nieustępliwą masę. Jeden z ciosów trafił w bark. Na chwilę jego chwyt zelżał. Ale potem przycisnął ją jeszcze mocniej, jak gdyby chciał rozgnieść jej twarz na miazgę. Macała jego nagi tors, aż natrafiła na gojącą się ranę. Zatopila w niej paznokcie i pociągnęła.

Łysy zaryczał tak, że w szoku nie zauważyła, iż jego łapsko nie gniecie już jej twarzy. Wydostała się spod niego i rzuciła się do ucieczki.

Gnała z boczem wzgórza, odnalazła ścieżkę i zbiegła w stronę drogi. Nie słyszała, czyją goni, ale się nie oglądała. Wskoczyła do wynajętego samochodu, przekręciła kluczyk i wcisnęła gaz do dechy.

Opony zapiszczały na zakręcie. Przed sobą zobaczyła bramę wjazdową do domu Jimmy'ego Hana. Nie była dość szybka: wychodził przez nią właśnie Łysy z pistoletem w dłoni.

Stanął na środku drogi i wycelował w nią. Oczy miał wielkie i dzikie. Metal rozdarł metal. Beth schowała głowę za deską rozdzielczą i jechała na

oślepił. I znów metal rozdarł metal. Przednia szyba rozsypała się w drobny mak, poczuła mocne uderzenie. Kierownica wyslizgnęła się jej z rąk.

Uniosła głowę. Po masce pełzał Łysy z wycieraczką w dłoni. Drugą ręką dosięgnął ją i złapał za szyję. Potężna łapa zamknęła się i ścisnęła.

Świat podzielił się na punkty światła. Próbowowała złapać powietrze. Łysy dusił coraz mocniej. Światło zaczynało blednąć. Spróbowała skrócić ostro kierownicę, ale nie pozwolił jej na to. Jego twarz była tak blisko, że czuła na twarzy jego gorący oddech i widziała czerwone żyłki w jego oczach. Rzeczywistość wokół niej rozmyła się. Łysy warknął.

Próbowała krzyknąć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Zdesperowana, przycisnęła pedał gazu. Samochód wystrzelił do przodu. Dłoń Łysego jeszcze mocniej zacisnęła się na jej gardle. Zdjęła nogę z gazu i z całych sił wcisnęła hamulec.

Walnęła czołem w kierownicę. Jej szyja była wolna. Samochód skręcił gwałtownie w zarośla, zahaczył o drzewo, okręcił się i zatrzymał na poboczu.

Obejrzała się. Łysy leżał, wijąc się na drodze.

Znieruchomiał. Jej uszy wypełnił potężny ryk. I nagle ucichł.

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że z nosa kapie jej krew. Starła ją rękawem i wyprowadziła samochód na szosę.

Zjechała ze wzgórz. Otepiała, prawie nieświadoma własnych poczynań, przejechała przez tunel i wjechała na drogę prowadzącą na lotnisko. Wiedziała, że musi się spieszyć, ale wiatr wiejący jej w twarz przez otwór po szybie uniemożliwiał szybką jazdę. Odrętwienie ustąpiło i zaczęła tak się trząść, że musiała z całych sił ścisnąć kierownicę, by nie wypuścić jej z rąk.

Skręciła na zjazd oznaczony: „Lotnisko Chiang Kai-sheka”. Była już prawie przy terminalu, gdy zobaczyła jadącego z naprzeciwka zielonego rollroyce'a. Szofer był sam.

Zaparkowała przy pierwszym wejściu, wysiadła i wbiegła na halę. Spojrzała na odloty wyświetlone na monitorze. W ciągu ostatniej godziny wystartowały trzy samoloty: do Hongkongu, Sydney i Bangkoku. Za pięć minut był lot do San Francisco.

Podbiegła do kasy Chińskich Linii Lotniczych. Stała tam długa kolejka pasażerów. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili głowy i zaczęli się jej przyglądać. Wpuścili ją przed siebie bez słowa.

Stała przed kasjerem. — San Francisco — rzuciła. Jej głos brzmiał chrapliwie i ponagląco.

Mężczyzna cofnął się. — Następny samolot do San Francisco odlatuje jutro po południu.

- Nie. Ja chcę lecieć tym, który zaraz startuje.
- Ten lot jest już zamknięty.
- Zostało jeszcze pięć minut.
- Ale i tak mamy komplet pasażerów.
- Na pewno znajdzie się jakieś miejsce.
- Przykro mi.

Walnęła pięścią w ladę. — Wpisz mnie na ten cholerny lot.

- Już za późno. — Spojrzał gdzieś ponad jej ramieniem.

Odwróciła się. Przez przyciemniane szyby zobaczyła kołującego na pas startowy zielono-białego 747. Wzniósł się w powietrze i zniknął.

Odeszła od kasy. Za jej plecami ludzie zaczęli dyskutować.

Za dwie godziny odlatywał do San Francisco samolot linii singapurskich.

Poszła do łazienki, by doprowadzić się do jako takiego porządku i móc kupić bilet na nazwisko Nancy Johnson. Potem podeszła do budki telefonicznej, zadzwoniła do informacji międzynarodowej i poprosiła o numer Y.K. Linga w San Francisco.

Ktoś podniósł słuchawkę, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

— Tak? — usłyszała skrzeczący głos. Dźwięk był tak słaby, jak w nagraniu odtwarzanym wcześniej jakiś milion razy.

- Tu Beth Hunter. Słyszać mnie?

Głos po drugiej stronie odpowiedział, ale nie zrozumiała co.

- Słyszycie mnie? Czy mnie słyszycie?

Przechodząca obok budki Chinka odwróciła się i spojrzała na nią. Wpatrywała się w jej nos.

- Słucham? — zabrzmiał słaby głos po drugiej stronie.

- Tu Beth Hunter — krzyknęła na całe gardło. — Słyszać mnie?

Nagle słyszalność stała się idealna.

— Nie musi się pani wydierać — powiedział Y.K. Ling. — Dlaczego niepokoi mnie pani o szóstej rano? — Jego głos dochodził tak, jakby rozmawiał z budki obok.

— Właśnie zabiłam człowieka — wyrzuciła z siebie, choć nie to zamierzała mu powiedzieć.

- Kogo?

- Mężczyznę, który zabił Alberta.

— Zamieniam się w słuch. — W jego głosie nie było już ani cienia wcześniejszej złości.

- Albert był jednak na dobrym tropie.

- Proszę mówić dalej.

- Powiedział pan kiedyś, że ma trochę dynamitu.

- To prawda.
- Czy to aktualne?
- Tak.
- Czy chce pan zrobić coś dla Alberta?
- Niech pani nie zadaje głupich pytań.
- A czy mógłby pan zrobić duże bum? Nie chodzi o szkody, ale o to, żeby narobić hałasu.
- Taka mała dywersja? — Znów był w formie.
- Dokładnie.
- Dobrze. Gdzie i kiedy?

Zdradziła mu swój plan. Wydawał się znacznie lepszy, zanim o nim opowiedziała. Zastanawiała się, jak zareaguje Ling.

Ale nie zareagował. Powiedział tylko: — Proszę ubrać się w coś ciemnego.

I rozłączył się.

Beth podeszła do oficera straży granicznej. Popatrzył na jej nos i wystukał na klawiaturze nazwisko Nancy Johnson. Komputer nie zareagował. Nie poszukiwał kobiety o tym nazwisku. Możliwe, że nie szukał też Beth Hunter, ale wolała tego nie sprawdzać.

Wsiadła do samolotu. Na zewnątrz noc była ciepła i wilgotna; samolot wypełniało suche i zimne powietrze. Przykryła się kocem, a pod głowę włożyła poduszkę. Musiała się przespać.

Jednak jej oczy nie chciały się zamknąć. Nie chciały patrzeć na przedśmiertne drgawki Łysego.

Z kieszeni w siedzeniu wystawał *Newsweek*. Przekartkowała go. Znalazła artykuł o Chinach. Pisali, że maoiści wracają do władzy. Wśród umiarkowanych polityków przeprowadzono czystki. Od jakiegoś czasu nie widziano ich przywódców. Miały też miejsce egzekucje.

Artykułowi towarzyszyło zdjęcie tłumu Chińczyków wpatrujących się w przylepiony na murze plakat przedstawiający egzekucję, podobny do tego, jaki widziała w Wuxi. Dalej znalazła zdjęcie dwóch mężczyzn. Obaj klęczeli z plakatami na szyi. Za nimi stał żołnierz z karabinem.

Newsweek nie podał nazwisk skazanych — ich zdjęcie stanowiło tylko ilustrację dla artykułu — ale Beth wiedziała, kim są. Wielebny Huang, pochylony, utkwiał oczy w ziemi. Pan An spoglądał gdzieś daleko.

Zjawiła się stewardesa z ciepłymi ręcznikami.

35

Wrrr, wrrr.

Otworzył oczy.

Stali nad nim Jimmy i Han Shih, trzymająca w ręku bezprzewodową golarkę.

— Pora się ogolić — odezwał się Jimmy. — W takim stanie nie możesz nigdzie jechać.

— A dokąd jadę?

— Do domu.

— Do domu?

Jimmy pokazał w uśmiechu swoje duże, białe zęby.

— Tym razem równania były idealne. Jedziesz do domu.

— Idealne?

Jimmy przytaknął. — Za pierwszym razem musiały cię odurzyć lekarstwa. — Przysiadł na brzegu łóżka, które ugięło się pod jego ciężarem. — Ale nie chcieliśmy z nich zbyt szybko rezygnować. Martwiliśmy się o twój uraz głowy.

— Z moją głową wszystko jest w porządku.

— Mam nadzieję. Chcemy cię odesłać w doskonałym stanie.

— Kiedy jadę?

— Wkrótce.

— Czy zobaczę przedtem mojego ojca?

Jimmy popatrzył na Han Shih i przekazali sobie coś wzrokiem. Prędkość i zażyłość ich komunikacji pozwoliły mu wreszcie zrozumieć.

— Jeśli ona jest moją matką, to ty jesteś moim ojcem.

Znowu wymienili spojrzenia.

— Jesteś bardzo bystry — rzekł Jimmy, wstając.

— Poczekaj, chcę z tobą porozmawiać.

Wyciągnął do niego rękę, ale ruchy miał powolne, a chwyt za słaby. Jimmy się wyslizgnął.

— Później — odpowiedział. — Teraz pora na golenie. — Drzwi się zamknęły.

Han Shih pochyliła się nad nim. Zabrzęczała golarka.

— Ale czy ty jesteś moją matką? Wibrująca stalowa siatka dotknęła go za uchem.

— Co robisz?

— Golę cię.

— Ale to nie twarz. To głowa.

Podniósł rękę, żeby powstrzymać Han Shih. Strąciła ją. Spróbował raz jeszcze. Wolną ręką złapała oba jego nadgarstki i przycisnęła do piersi. Goliła mu głowę.

Ich twarze były bardzo blisko. Wyczytał w jej oczach, że myśli o czymś innym. Ruchy miała metodyczne; nie delikatne ani nie brutalne. Równie dobrze mogłaby przycinać żywoplot. Nie w taki sposób matka strzyże swoje dziecko.

Skończyła i wyszła. Zgolone włosy leżały na poduszce wokół jego głowy. Strzepnął je na podłogę. Kosztowało go to sporo czasu i sił. Gdy odpoczął, dotknął swojej głowy. Nasiliło to nudności, które tak naprawdę nigdy nie ustępowały. Zwymiotował niestrawionym ryżem.

— Jestem głupcem — rzekł do siebie i zaczął płakać.

Zamknął oczy i usiłował zasnąć, ale zapach mu nie pozwolił. Jego węch bardzo się wyczulił; reszta ciała była osłabiona. Prawo zachowania siły. Otworzył oczy i wyjrzał przez okno: śliwa z pierwszymi, pokrytymi rosą liśćmi, wysoki, biały mur, a za nim zielone wzgórze. Gdzieś niedaleko zaszczekał pies.

Usiadł z trudem, centymetr po centymetrze przesunął nogi do brzegu łóżka i spuścił je na podłogę. Wstał.

Pokój zawirował mu przed oczami: bambusowe łóżko, malunki, złota rybka, drzwi z motylami. Oparł się o ścianę i czekał. Był to miły, spokojny pokój wtedy, gdy się nie kręcił.

Po minucie czy dwóch ruszył w stronę drzwi. Stawiał krótkie kroczki, szurając nogami. Bał się podnieść stopy — bał się, że pofrunie do sufitu, taki był lekki.

Spróbował otworzyć drzwi. Zamknięte. Wcisnął i ciągnął rzeźbione motyle. Jeden z nich puścił. Ukazało się w nim niebieskie oko.

Ale motyle nie chciały otworzyć mu drzwi.

Podszedł do wysokiego okna. Składało się z dwóch skrzydeł. Na dole była metalowa zasuwa. Odciągnął ją i pchnął jedną połowę. Okno pozostało zamknięte. Spojrzał do góry. Była tam druga zasuwa, lecz poza jego zasięgiem.

Rozejrzał się po pokoju. Łóżko. Za ciężkie. Bambusowy fotel. Nie za ciężki, ale niezbyt mocny. Jednak będzie musiał wystarczyć. Przyciągnął go i ocenił wysokość. Jeżeli uda mu się na niego wejść, dosięgnie do zasuwy. Byli bardzo nieostrożni z tym oknem. Gdy leżał podłączony do kroplówki, było poza jego zasięgiem. Ale teraz kroplówki już nie było.

Opierając się dla równowagi o parapet, dźwignął na fotel najpierw jedno kolano, potem drugie. Podciągnął pod siebie stopy, kucnął i wstał chwiejnie, podpierając się o okno dla zachowania równowagi. Bambusowy mebel

trzeszczał niebezpiecznie. Podniósł rękę i odciągnął zasuwę. Krzesło zaczęło wyslizgiwać mu się spod stóp. Pchnął okno. Gdy się otworzyło, stracił równowagę i wypadł na zewnątrz.

Wylądował twarzą na miękkiej, zielonej murawie. Nie czuł bólu, ale nie próbował się podnieść. Oddychał zbyt ciężko. Z każdym tchem płuca wypełniał mu zapach ściętej trawy.

Coś szorstkiego i mokrego otarło się o jego policzek. Otworzył oczy i zobaczył wilgotny psi nos i długi, różowy język.

— Cześć, Trocki.

Pies zamerdał ogonem i potruchtał w cień śliwy.

Wycieńczony, wstał i kołysał się w oślepiającym słońcu. Patrzył przez zmrużone powieki. Cały świat drżał.

Zrobił kilka niepewnych kroków, uważając, żeby się nie przewrócić. Śliwa była daleko, a biały mur jeszcze dalej. I był o wiele za wysoki, nawet gdyby udało mu się zaciągnąć tam fotel. Odwrócił się i poszedł, powłócząc nogami, w stronę bocznej ściany domu.

Aż do pasma odległych wzgórz rozciągała się szeroka dolina. Pośrodku kilka niskich pagórków osłaniało grupę budynków. Był pewnie w jakiejś komunie ludowej. Nie wiedział, co uprawiają, ale cokolwiek to było, rosło w długich, równych rzędach, jak winogrona. Pomiędzy nimi jeździł traktor i rozpylał różowe chmurki.

A więc mieli w Chinach traktory, pomimo nadwyżki siły roboczej. Może życie w komunie wcale nie było takie złe. Mieli nawet baseny. Przy domu był jeden: nie powstydziliby się go nawet Beverly Hills czy Bel-Air.

Nie było w nim wody, za to na dnie leżała wielka beka od betoniarki. Spoczywała na drewnianych balach. Była tak ogromna, że wystawała ponad ściany basenu. Pierwszy raz w życiu widział mieszarke, która miała właz. Prowadziła do niego drewniana kładka.

Krok. Przerwa. Krok. Przerwa. Przeszedł po kładce do włazu i pochylił się nad nim. Był bardzo ciężki. Podniósł go na kilka centymetrów, wsunął nogę, uniósł jeszcze trochę, aż go otworzył. Stal brzęknęła o stal, wydając charakterystyczny odgłos. Rozejrzał się. Nikt nie nadbiegł.

Na dół prowadziła drabinka. Zszedł po niej. Po jednej stronie studni, którą schodził, widniał otwór, przez który mógł wylatywać gotowy cement; wpadało tamtędy światło. Naprzeciwko znajdowały się stalowe drzwi. Wyglądały na grube i ciężkie, ale gdy tylko ich dotknął, otworzyły się z hydraulicznym sykiem.

Zajrzał w mrok. Było na tyle jasno, że zauważył wyłącznik na futrynie. Pstryknął. Pomieszczenie załało się ostrym, białym światłem. Zobaczył wąski, stalowy pokój. Po jednej stronie stała wysoka koja. Nad nią wisiała torba

z luźno splecionych nylonowych nitki. Była pełna spleśniałych pomarańczy.

W ścianie tkwił jeszcze jeden przełącznik. Też go włączył. Pomarańcze zaczęły się huścić. Stalowe ściany buczały. Wyłączył obydwie pstryczki, wspiął się po drabinie, zamknął wąż i wrócił po kładce.

Przychodziły mu do głowy różne pomysły, ale nie miał czasu ich uporządkować. Z drugiej strony domu usłyszał zbliżający się samochód. Biegiem ruszył do okna swojego pokoju.

Oślepiło go słońce. Ziemia się zakolysała. Upadł. I nie mógł wstać. Zaczął się czołgać. Słońce nadal go oślepiało, ziemia wciąż się bujała, ale on czołgał się dalej. Od tego zależało jego życie.

Dopełził na tył domu, dosięgnął niskiego parapetu i podciągnął się. Wyteżył całe siły, by przerzucić swe ciało na drugą stronę, i zwałił się do pokoju.

Podniósł się, zamknął okno i chwiejnym krokiem ruszył w stronę łóżka. Był już prawie przy nim, gdy zawadził stopą o nogę biurka. Usłyszał głośny brzęk. Padł na swoje posłanie.

Z zewnątrz dochodziły głosy. Dwie złote rybki rzucały się w kałuży na podłodze. Nic nie mógł na to poradzić.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju weszli Jimmy, Han Shih i jakiś mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widział: miał przetłuszczone włosy, a w ręku torbę lekarską.

Jimmy spojrział na rybki na podłodze, a potem na okno. — Byłeś na spacerku?

Odpowiedź była zbędna.

Jimmy kopnął rybki pod biurko. — Jedziesz do domu — oznajmił.

— Czym?

— Łodzią podwodną, oczywiście. Już czeka na ciebie w bazie.

— W jakiej bazie?

— Jak to, w jakiej? W Szanghaju, rzecz jasna.

— To dobrze.

Jimmy przyjrzał mu się. Już miał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie.

— Najpierw upewnimy się, że twój uraz głowy nie jest zbyt poważny.

— Czuję się dobrze.

— A poczujesz się jeszcze lepiej. To jest twój lekarz. Kształcił się w Stanach. — Jimmy odwrócił się do człowieka z torbą, który wpatrywał się w podłogę. — Wytnie ci dzisiaj z mózgu małątki kawałeczek. Żeby złagodzić ucisk.

Podniósł się na łokciach.

— Czy mówisz o lobotomii? Tato?

Potem odwrócił się do Han Shih.

— I nic z tego nie będę pamiętał, mamó?

Han Shih zacisnęła usta.

— Ależ nie — uspokoił go Jimmy. — Nic z tych rzeczy. Zapamiętasz wszystko ze swojego pobytu w Chinach. Może jedynie nie będziesz już tak dobry z matematyki, tylko tyle. Ale bez trudu poradzisz sobie jako księgowy czy ktoś taki.

Usiadł i spróbował wstać z łóżka. Han Shih pchnęła go i opadł z powrotem. Drzwi z motylem się otworzyły. Dwóch Chińczyków wtoczyło do pokoju stół operacyjny.

36

Po jedenastu godzinach błękit za oknem zniknął we mgle. Samolot przedarł się przez nią i wylądował w San Francisco. Beth wynajęła samochód i ruszyła w drogę.

Było późne popołudnie. Świeciło słońce. Wiał lekki, ciepły wietrzyk. Znała tę trasę, jednak czuła się, jakby powracała do kraju swojego dzieciństwa po bardzo długiej nieobecności.

Przejechała przez Zatokę i skierowała się na północ. Po lewej stronie widziała tylko najwyższe części miasta, które sterczały niczym szczyty pogrzebanych we mgle ruin. Pomyślała o „Ozymandiasie” i próbowała zrozumieć, co generał miał na myśli, odnosząc go do przeszłości Chin. To pozwoliło jej zapomnieć o zmęczeniu, piasku pod powiekami i bólu nosa. Pilnowała się, żeby nie patrzeć w lusterko.

Godziny szczytu. Na autostradę jednostajnym ciągiem napływały samochody. Było już po szóstej, gdy dojechała do Vallejo, po siódmej, gdy minęła Napa. Skrzyła w drogę 121, stanowiącą wyjazd z doliny.

Ruch się zmniejszył. Minęła blondynkę na koniu i pikapa pełnego robotników o oliwkowej cerze. Poczowała woń eukaliptusów, potem dębów i sosen. Był to zapach Chin — nie Chińskiej Republiki Ludowej czy Tajwanu, lecz innych Chin, tych, w których był Teddy. W tych Chinach Łysy całą noc jeździł w tę i z powrotem, jakby był w dalekiej podróży. Tak pomyślałby każdy z przepaską na oczach, zwalony na pace ciężarówki.

Gdy dotarła do Wooden Valley, już nawet najniższe drzewka rzucały cień na drogę. Zaparkowała przed barem „Pod Reno”. Wciąż stał przed nim znak PIWO Z BECZKI, ale cena wzrosła do sześćdziesięciu centów.

Podłoga w środku była z nieheblowanych desek. Do tego pomalowany na mahoń bar. Trzej mężczyźni przy nim, w kowbojskich kapeluszach, popijali piwo. Odwrócili się, gdy wchodziła, i zmierzyl ją wzrokiem.

Y.K. Ling wraz z wnuczką Jade siedzieli przy jedynym w tym przybytku stoliku i wyglądali przez okno: starzec ze swoją rozwichrzoną brodą, w granatowym garniturze i czarnym krawacie; dziewczyna ze słuchawkami na uszach, w kurtce lotniczej i lustrzanych okularach. Beth miała ochotę ich wycalować. Uścisnęła jednak tylko dłoń starca, uśmiechnęła się do Jade i usiadła.

Y.K. Ling wduśił guzik przy swoim wózku i podjechał bliżej. Ogarnął ją wzrokiem.

- Wygląda na to, że podróże pani nie służą.
- Nie bądź niegrzeczny, dziadku — skarciła go Jade.
- Jak to, niegrzeczny? Spójrz na jej nos.

Jej oczy stały się puste. Zrobiła balon z gumy do żucia.

— Co podać? — zawołał barman z fioletowymi żyłkami na twarzy. Przed Jade stała puszką coli, przed jej dziadkiem woda.

- Kawę — odparła Beth.
- Kawę — powtórzył posepnie barman.

Gdy ją przyniósł, była słaba i ledwie letnia. Kiedy już wrócił na swoje miejsce, Beth zniżyła głos i zapytała:

- Czy wszystko ustawione?
- Ustawione — zawtórował głośno Y.K. Ling. — To odpowiednie określenie.

Roześmiał się. Beth spojrzała na bar. Nikt się nie odwrócił i na nich nie patrzył.

- Jest pan w dobrym nastroju — stwierdziła.
- Lubię zwiedzać wytwórnie win. To bardzo pouczające. Żałuję, że ominęła mnie część wycieczki, gdy poszedłem do toalety. Te sprawy zajmują sporo czasu, kiedy człowiek porusza się na czymś takim. — Klepnął w oparcie wózka. Jego oczy promieniały. — A musiałem iść dwa razy. Przewodnik był bardzo wyrozumiały. Chciałem dać mu napiwek, ale nie wolno im brać żadnych pieniędzy od zwiedzających.

- Dwa razy?

Potaknął. — Mają dwie toalety. Jedną tuż obok pomieszczenia do degustacji, a drugą w piwnicach. Zjechałem windą. Bardzo nowoczesną.

Beth przyjrzała mu się uważnie. Jego powieki opadły jak woalki, ale i tak dobywał się zza nich blask. Pomyślała o starych Chińczykach — Y.K. Ling, wielebny Huang, pan An, pan Lao — wciąż na pierwszej linii frontu w wojnie, która skończyła się ponad trzydzieści pięć lat temu.

— Chcę tylko, żeby było duże bum.
— Wiem, czego pani chce — zapewnił cichym, morderczym głosem, który już raz słyszała na pogrzebie Alberta.

— Chcę Teddy'ego. To wszystko.

Wpatrywał się w nią przez chwilę w milczeniu. Sprawdził, która godzina, i powiedział:

— Robi się późno. Lepiej niech pani nastawi swój zegarek według mojego. U mnie jest za dwadzieścia ósma. To daje pani dokładnie osiemdziesiąt minut.

Beth ustawiła zegarek. Próbowwała kilka razy, bo trzęsły jej się ręce. Y.K. Ling odwrócił kulturalnie wzrok. Wyszli na zewnątrz.

— Lepiej niech to pani weźmie — powiedział, podając jej mapę narysowaną na papierowej serwetce.

Jade pomogła mu ulokować się na fotelu dla pasażera. Sama usiadła za kierownicą kombiaka. Beth nie przypuszczała, że umie już prowadzić. Dziewczyna wychyliła się przez okno i dotknęła jej ramienia.

— Niech pani nie zbliża się do winiarni.

— Dobrze.

— Proszę się trzymać od niej jak najdalej.

Zapaliła silnik i samochód opuścił parking; stanowczo zbyt gwałtownie. Może akurat słuchała szybkiej muzyki. Kombi z rykiem pognało drogą do Napa.

Przed barem zaległa cisza. Na purpurowym niebie pojawiła się pierwsza biała gwiazda. Beth wsiadła do samochodu i ruszyła w przeciwną stronę niż Jade.

Droga prowadziła wzdłuż pasma wzniesień. Po prawej stronie pojawiło się ogrodzenie z drutu kolczastego, a za chwilę drogowskaz do Berryessa Wines. Beth jednak nie skręciła w wąską jezdnię, która prowadziła za górkę — na drodze stał wartownik z psem. Trzymała się trasy 121, aż dojechała na szczyt wzgórza. Tam stanęła i rozejrzała się po dolinie.

Widziała bramę i portiernię; winiarnię i biuro, osłonięte niskimi pagórkami; i zanikającą w gasnącym świetle dnia małą, mleczną plamę u stóp wzgórz po drugiej stronie doliny. „Baraki” — powiedział jej Rex Heidemann. — „Są zamieszkane tylko w czasie zbiorów”.

Przypomniała sobie pytanie generała: „Jaka właściwie była reakcja Rexa Heidemanna, gdy go pani wypytywała?” Wydawał się zaskoczony, gdy powiedziała, że Heidemann nie był zły ani nie próbował jej straszyć. Teraz wiedziała, że jej odpowiedź była szczerą, ale nieprawdziwą: Heidemann usiłował ją zabić.

Najpierw upewnił się, że tylko ona szukała związków między zniknięciem i przeszłością swego narzeczonego i że tylko ona wie o jego rozmowie z Teddym. Potem poprowadził ją przez oliwny gaj, gdzie znalazła korkociąg, i dalej, między winogrona.

Tam zastrzelił królika. Jednak teraz wiedziała, że wyciągnął pistolet, by pozbyć się właśnie jej. Uczestniczka pikniku wróciła po swój korkociąg i zobaczyła w jego dłoni broń. Więc zamiast Beth zabił królika: do tego miał przecież prawo. Drobną kuchenną przyrząd ocalił jej życie.

Heidemann zaczynał sypać informacjami. Powiedział jej nawet o planach Teddy'ego dotyczących ich podróży poślubnej. Czemu nie? Miała przecież zginąć, więc i tak nie mogłaby tej wiedzy wykorzystać. Mógł ją oczywiście zabić, nic nie mówiąc. Cały ten wstęp to było posunięcie okrutne, a co więcej, zbyteczne, daremne — jakiego to określenia użył generał Ma? *Bzdurny załącznik. Czary-mary* powiedział natomiast Y.K. Ling. Jasnoczerwone gladiole, *fu lu shou* na bileciku z kwaciarni, tajne sygnały rozpoznawcze, głowa w sedesie, Śmierć Tysiąca Cięć: *modus operandi* Bractwa Zielonego Węża.

Beth ruszyła dalej. Po kilku kilometrach dotarła do końca ogrodzenia z drutu kolczastego i zwolniła. Przy drodze rosły gęsto kolczaste krzewy. Przejechała jeszcze kilkaset metrów. Zaczynała już podejrzewać, że mapa Y.K. Linga jest niedokładna, gdy dostrzegła lukę w zaroślach. Skrzyła w nią i potoczyła się dalej, podskakując na wyboistej drodze.

Szlak przeciął dolinę i zaczął piąć się na wzgórze po jej drugiej stronie. Beth zaparkowała przy sośnie i dalej poszła pieszo.

Niebo pociemniało. Zaczęły pojawiać się gwiazdy, wzeszedł księżyc w trzeciej kwadrze, niezwykle błydy. Jasne punkciki, składające się na pas Oriona, ukazały się na swoich zwykłych miejscach.

Poniżej zobaczyła żółte światła. Te pośrodku to winiarnia, teraz częściowo zasłonięta przez pagórki; te znacznie bliżej niej pochodziły z baraków. Beth pewnie przemierzała wzgórze po wschodniej stronie doliny. Ziemia pod jej stopami była twarda i sucha; gdzieniegdzie tylko rosły chwasty.

Gdy dotarła na szczyt wzniesienia za barakami, była 20:25. Budynek, który zobaczyła, wcale nie przypominał prowizorki dla robotników winnicy— wyglądał jak wiejska rezydencja jakiegoś mandaryna: mały, biały domek z dachem jak pagoda, drzewa owocowe, basen; wszystko otoczone białym murem. Mógł to być projekt architektów Jimmy'ego Hana. A dlaczego nie? Przecież dzięki Gladd Group był właścicielem tej doliny. W jednym oknie paliło się światło. Beth zesłała po zboczu.

Mur nie był tak wysoki jak ten wokół rezydencji na Tajwanie i nie było na nim szkieł. Wspięła się i miękko wylądowała na trawie po drugiej stronie.

Nasłuchiwała. Z domu nie dochodziły żadne dźwięki, ale za szybą zobaczyła cień. Kucnęła za drzewem — za małe było na jabłoń; pewnie to śliwa. Cień zniknął.

Za dwadzieścia trzy minuty dziewiąta. Skierowała się w stronę domu, ostrożnie stawiając kroki. Obeszła basen, w którym spoczywał ogromny metalowy cylinder, i znalazła się od frontu budynku. Miał fikuśne drzwi, ozdobione rzeźbionymi motylami. Na podwórzu parkował czarny rolls-royce. Na końcu podjazdu stał biały, kamienny łuk. Beth przeszła pod nim. Brukowana droga prowadziła przez dolinę do winiarni. Widziała jej zarys na tle niskich pagórków.

Gdy wracała pod łukiem, zauważyła, że widnieją na nim dwa złote lub srebrne chińskie znaki i portret Mao. Za łukiem wznosiła się pagoda, a każdy z jej trzech poziomów spoczywał na głowach gargulców. W Chinach stanowiłaby sporą atrakcję turystyczną.

Przeszła na tyły domu i zbliżyła się do okna. Parapet sięgał jej do bioder. Okno składało się z dwóch skrzydeł. Podpełzła ostatnie kilka metrów do budynku i wzniosła głowę nad parapet.

Zobaczyła coś, co wyglądało jak mała sala operacyjna. Z sufitu zwisała lampa dająca mocne, białe światło. Pod nią znajdował się stół operacyjny. Po jego przeciwnych stronach stali kobieta i mężczyzna. Oboje mieli fartuchy i maski chirurgiczne.

Ostatnio Beth widziała tego mężczyznę, gdy wychodził z domu Jimmy'ego Hana w Tajpej ze swoją czarną torbą. Teraz mocował rurkę do plastikowej torebki z napisem *Pentothal*.

Kobietą była Han Shih. Układała przybory na tacy chirurgicznej. Obserwował ich tkwiący przy drzwiach potężny mężczyzna o srebrzystych włosach. Jimmy Han.

Na stole leżał przypięty nagi mężczyzna — jego ciało było wychudzone, głowa ogolona, twarz złana potem. Teddy.

Wpiła ręce w parapet, jakby ziemia usuwała się jej spod stóp. Oto znalazła niepodważalny dowód.

Usłyszała samochód. Silnik zamilkł. Drzwi za Jimmym Hanem otworzyły się i stanął w nich Rex Heidemann. Jimmy odwrócił się i machnął na niego, żeby wyszedł. Heidemann wycofał się. Teddy próbował zobaczyć, kto wszedł, ale ledwie mógł dźwignąć głowę. Beth przepełniła żądza zabijania.

Wybuchaj, kurde, wybuchaj!

Nagle Jimmy popatrzył w stronę okna. Schowała głowę. Nic się nie stało. Zerknęła na zegarek. Za osiem dziesiąta.

Wyrzała znad parapetu. Lekarz skończył podłączać przewód do plastikowej torebki. Na jego drugim końcu tkwiła igła. Trzymając ją w rękę, doktor nachylił się nad Teddym i macał żyły w zgięciu łokciowym. Teddy próbował się wykręcić, ale nie mógł się ruszyć.

Wybuchaj!

Jednak nic się nie działo.

Kable, pomyślała. *Gdzie są kable?* Odsunęła się od okna. Żadnych drutów. To oznaczało, że idą pod ziemią. Zaczęła biec wokół domu.

Tam. Dojrzała małą skrzynkę przytwierdzoną do fundamentów. Była zamknięta na kłódkę. Szarpnęła ją. Zamek nie puścił, ale włączył się alarm. Odskokczyła.

— Hej! — krzyknął Heidemann z przodu domu. — Co się dzieje?

Zaraz też usłyszała jakieś chińskie głosy.

A za moment: *bum*.

Wybuch nie był bardzo głośny: zabrzmiał jak salwa na wiwat. Jednak alarm przestał wyc. I zgasły światła w domu.

— Chryste! Co to było? — wydarł się Heidemann. Wszyscy wybiegli na zewnątrz.

— Chryste! — Wsiadli do samochodu. Wóz ruszył z rykiem.

Beth obiegła dom i znalazła się od frontu. Rolls-royce'a już nie było. Dostrzegła tylko jego tylne światła w połowie drogi do winiarni. Nad jej budynkami unosiły się płomienie jak proporczyki na nocnym niebie.

Odwróciła się w stronę drzwi. Uciekiniery zostawili je otwarte. Teraz ktoś tam stał: Han Shih. Wciąż miała na twarzy maskę chirurgiczną. Ich spojrzenia spotkały się. W oczach Chinki odbijał się ogień.

— Zejdź mi z drogi — powiedziała Beth.

Z ciemnego teraz pokoju dobiegł słaby głos. — Beth?

Być może Han Shih nie rozpoznała jej aż do tej chwili. Teraz jednak odwróciła się szybko i wbiegła do domu. W rękę trzymała coś błyszczącego. Beth rzuciła się za nią, dopadła ją i powaliła. Uderzyły o stół operacyjny i runęły na podłogę. Beth usiłowała znaleźć się na wierzchu. Nagle zdała sobie sprawę, że walczy sama.

Odwróciła Han Shih. Jej oczy były otwarte, ale już nie błyszczały. Błyszczał jedynie, skąpany we wpadającym przez drzwi świetle księżycy, skalpel sterczący jej z piersi.

Beth wstała, zawadzając o stół operacyjny. Jej palce otarły się o ciepłą córę.

— Beth. Czy to ty?

— Tak. Och, tak.

Przytulila go mocno. Ich serca byly razem.

— To naprawde ty.

— Tak, Teddy.

Odpiegla pasy przytrzymujace go na stole. — Mozesz chodzic?

— Mysle, ze tak.

Jednak nie byl w stanie nawet usiac. Podniosla go ze stolu. Byl tak lekki, ze chcialo jej sie plakac.

Wyniosla go z domu. Rolls-royce byl juz bardzo blisko winiarni.

— Nie mamy duzo czasu.

Ale mylila sie. Ziemia zadrzala pod jej stopami. Samochod wzbil sie wysoke w powietrze, rysujac sie na tle plomieni. Przez doline przetoczyl sie huk eksplozji. Gdy przeminyl, nastala martwa cisza.

— Czy to wojna? — zapytal Teddy.

— Nie. — Byla to zemsta ojca.

Teddy przekrecil glowe, zeby lepiej widziec. — Nie jesteśmy w Chinach, prawda?

— Prawda. Jesteśmy prawie w domu.

Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. — To dobrze.

Na odległym zboczu pojawiły się mrugające czerwone światła. Beth ruszyła w ich stronę, niosąc w ramionach Teddy'ego.

EPILOG

Cui bono? — powiedział Lathrop. — Co to znaczy? Wyjaśniła mu. Wyciągnął notes i zapisał.

— *Cui bono*. Podoba mi się. Co jeszcze może mi pani powiedzieć o generale Ma?

— A co chce pan wiedzieć?

— Wszystko, co pani pamięta. Staramy się aktualizować teczki najważniejszych ludzi z ich wywiadu.

— Nie mam wiarygodnych informacji. Generał być może już nie żyje.

— Nie oczekujemy od pani profesjonalnego raportu. Może wygląd zewnętrzny? Pełne nazwisko? Biegłość w angielskim? Takie rzeczy.

— Jegoteczka u was musi być bardzo cieniutka.

— Nigdy nie zaszkodzi zweryfikować tego, co już wiemy. — Patrzył na Beth wyczekująco.

— Muszę się nad tym zastanowić — odpowiedziała.

— Rozumiem — rzekł, bardzo starając się ukryć irytację. Spojrzył w notes. — *Cui bono*. — Wysupłał na twarz przyjazny uśmiech. — To wiele wyjaśnia. Rosjanie oczywiście chcieli mieć równania, lecz do tego uwielbiają wszelkie nieporozumienia między Chinami a Ameryką. Więc przy minimalnym ryzyku, ponieważ Han odwalił większość roboty, dostają równania, podczas gdy wina spada na Chińczyków.

Odwrócił się do Teddy'ego.

— Dlatego tak się starali wszystkich przekonać, że jest pan w Chinach. Jednak najważniejsze było oszukanie nie nas, lecz właśnie pana. Takie posunięcie było znacznie sprytniejsze, niż gdyby się po prostu pana pozbyli. Chińczycy mogliby zaprzeczać do końca świata, ale kto by im uwierzył? Przecież żyłby pan, co prawda po lobotomii, mając w pamięci wszystkie szczegóły pobytu w niewoli w Chinach. Chodzący dowód chińskiego barbarzyństwa.

— A pan by to łyknął — wtrąciła Beth.

Lathrop nie wyglądał na szczęśliwego. — Takie decyzje idą z góry.

— Jasne.

— I znowu zawracaliby sobie głowę prawdziwą łodzią? — dociekał Teddy.

— Nie. Potrzebna im była tylko na początku. Był to ich najlepszy rekwizyt, szczególnie z kilkoma ludźmi Hana przebranymi za marynarzy, żeby nie widział pan żadnych Rosjan. Potem, gdy był pan nieprzytomny, spotkali się z inną łodzią — skonfiskowaliśmy piętnastometrowy jacht zarejestrowany na nazwisko Heidemanna — i nastąpiła przesiadka. Prawdopodobnie nie przebywał pan na *Timoszence* dłużej niż godzinę.

— To znaczy, że ja byłem z powrotem na łądzie, podczas gdy Beth wciąż marzła w wodzie?

— Nie zastanawiałem się nad tym. Ale chyba tak.

— To im trochę pomieszało szyki, prawda? — powiedział Teddy. — Nawet jeśli nie rozumieli wtedy jeszcze znaczenia tego faktu.

— Nie nadążam — przyznał Lathrop.

— Chodzi mi o to, że Beth widziała łódź podwodną. I zidentyfikowała ją.

— Ach. Chyba można tak powiedzieć. Myślę, że spóźniła się dosłownie o kilka minut, żeby pana zobaczyć. — Lathrop chrząknął. — W każdym razie w drodze powrotnej woziliby pana przez jakiś czas, wsadziliby pana z powrotem do betoniarki, nafaszerowali narkotykami. Obudziły się pan w pontonie kilka kilometrów od brzegu.

— I wszystko dlatego, że chciałem odnaleźć ślad po moich rodzicach?

— Od tego się zaczęło. Kiedy skontaktował się pan z Heidemannem, ten spanikował. Bał się, że ktoś taki jak pan mógłby uzyskać oficjalną pomoc i odkryć jego udział w morderstwie pańskich rodziców, jak również ustalić, że przez trzydzieści pięć lat był na usługach organizacji przestępczej. Organizacji, która ma powiązania z Kuomintangiem. Rząd chiński wciąż ma obsesję na punkcie Kuomintangu, więc obawy Heidemanna nie były bezpodstawne. Skontaktował się z Hanem. On też rozpoznał zagrożenie, zarówno dla siebie, jak i dla Rexa, ale nie spanikował. Znalazł sposób na wykorzystanie sytuacji, politycznie i finansowo. Mówię finansowo, bo Rosjanie pewnie zapłacili mu za te równania fortuny. Musiał jedynie narkotyzować pana i wykorzystać pańskie zainteresowanie rodzicami, ukrywając zarazem każdy ślad tego zainteresowania tutaj, bo nie mógł ryzykować wzbudzenia podejrzeń po tej stronie oceanu.

— Beth to udowodniła.

Lathrop potwierdził jakimś nieartykułowanym dźwiękiem.

— Czy Heidemann miał też kryć fakt, że za zabójstwem rodziców Teddy'ego stał rząd USA? — zapytała.

Oczy Lathropa zwięzły się. Beth wiedziała, że kłótnia znów wisi na włosku.

— Rex Heidemann nie pracował dla rządu amerykańskiego.
— Od kiedy?
— To tajna informacja.
— Założę się, że tak. A co to za porozumienie zawarł rząd USA z Jimym Hanem w roku 1949?

— Nic mi o takim porozumieniu nie wiadomo. — Lathrop z trudem zachowywał normalny ton.

— Czy władze Tajwanu też były w to zamieszane? — spytał Teddy.

— Nie mamy na to żadnych dowodów. — Lathrop spojrzał na Beth spode łba, jakby spodziewał się, że go uderzy. — Żadnych konkretnych dowodów.

Beth i Teddy wstali, żeby wyjść. Lathrop wybiegł zza swojego biurka i otworzył im drzwi. Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdą.

Jednak Beth miała jeszcze jedno pytanie. — Jakie działania podjęliście względem Rosjan?

— Pracujemy nad tym. Nie będzie to łatwe. Wszystko oparte jest na przypuszczeniach — proszę nie zapominać, że *Timoszenko* wynurzył się „czysty”. Ale na pewno mają gdzieś tutaj agenta — bardzo szybko zweryfikowali równania. Dam wam znać, jak tylko pojawi się coś nowego w tej sprawie. Proszę się nie martwić.

— Ja się nie martwię.

Beth i Teddy mieli nad Lathropem wielką przewagę.

Wcześniej już wiedzieli, że Rosjanie mają gdzieś blisko swojego agenta: kogoś, kto dużo wiedział o teorii liczb, a twierdził, że tak nie jest; kogoś, kto próbował dowiedzieć się, czy długowłosego zdradził coś przed śmiercią; kogoś, kto znał datę ich ślubu i przekazał tę informację Jimmy'emu Hanowi; kogoś, kto pomógł przebadać torebki z herbatą, ponieważ oddalały podejrzenia od niego, a rzucaly je na Chińczyków.

Pojechali do Berkeley i zaparkowali przed wysokim domem szeregowym na Shasta Road. Trocki siedział w stojącej przy wejściu klatce — klatce, w jakiej zabiera się zwierzęta w podróż. Drzwi były otwarte. Weszli.

Marty Kesselman nie tkwił w swojej psychodelicznej piwnicy i nie miał na sobie stroju do biegania. Zastali go w salonie, ubranego w garnitur i krawat. Pakował właśnie walizkę.

— Wybierasz się na wycieczkę, Marty? — zapytał Teddy.

Marty nie podniósł wzroku. — Tak jakby.

— Dokąd? — zapytała Beth. Kesselman pakował się dalej. — Gdzieś, gdzie czeka na ciebie pokaźne konto w banku?

Marty sięgnął po buty do biegania i zaczął wpychać je do walizki.

— Te równania były sfalszowane, Marty — oznajmił Teddy. — Od początku do końca.

Marty zamarł.

— Twój przyjaciele w końcu się o tym dowiedzą — dodała Beth. — Jeżeli już nie wiedzą. Nie będą zadowoleni.

Wyszli, zostawiając go pochylonego nad walizką. Pojechali do domu i stali potem na balkonie.

— Zawsze było w tobie coś, co mi się nie podobało — wyznał Teddy.

— Co takiego?

— Twój nos. Był zbyt doskonały. Teraz ma charakter. — I pocałował ją właśnie w nos.

— Ciesz się nim, póki możesz. Nastawię go sobie.

Po zatoce pływały żaglówki. Jedna z nich rozwinęła spinaker. Wydał się.

— Pobierzmy się — powiedział Teddy.

— Najpierw zajdźmy w ciążę.

Objął ją. — Czy teraz będzie za wcześnie?

Ktoś zapukał do drzwi.

Teddy poszedł otworzyć. Posłaniec wręczył mu paczkę zaadresowaną do Beth.

W środku nie było żadnego listu. Tylko butelka Romanée-Conti rocznik 1962.

— Romanée-Conti, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dwa!

— Otwórz je — rzekła Beth. — Później ci opowiem.